

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 166.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1882.

SERYA V.

Maj.

TOM II. — ZESZYT V.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

— 227 —

Ukończono druk dnia 3 maja 1882 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Francya i Polska w pierwszej połowie XVIII-go wieku. Przez Alexandra Kraushara.	161
II. Piękno plastyczne i jego ideały w utworach sztuki klasycznej i nowożytnej. Przez Karola Matuszewskiego.	187
III. Pod wyrokiem. Opowiadanie z lat 1706—1713. Przez Kajetana Kraszewskiego.	209
IV. Dramat niemiecki XIX-go wieku. (Studyum literackie). Przez Teodora Jeske-Choińskiego. (Ciąg dalszy).	236
V. Rzut oka na obecne stosunki ekonomiczno-społeczne, tudzież na ruch umysłowy w W. Ks. Poznańskim. Dezorganizacyjny wpływ t. zw. „Praw Majowych;” znaczenie projektu „Władzy dyskrecyjnalnej.”—Zwycięstwo „Środka” nad ministeryalnemi projektami, za pomocą kompromisu z kołem polskim.—Zaciekłość apostołów germanizacyi.—Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, rzut oka na jego 25-letnią działalność. Rozbiór prac naukowych XI-go tomu „Rocznika” tegoż Towarzystwa.—Ważność pracy ks. kanonika Korytkowskiego: „Katalog arcybiskupów gnieźnieńskich.”—Znaczenie i wpływ arcyb. gniezn. Jarosława Bogoryi Skotnickiego.—Jazdźwowski „Sprawozdanie z wystawy antropologiczno-archeologicznej w Berlinie” (sierpień, 1880).—Rocznik VIII „Kólek rolniczo-włościańskich.”—Rocznik IV „Złotej księgi szlachty polskiej.”—Ks. kanon. Korytkowski: „Monografie wszystkich kanoników i prałatów kapituły metropolitalnej gnieźnieńskiej,” począwszy od r. 1000 aż do dzisiaj, zesz. 2.—Gazeta „Polnische Correspondenz,” wydawana w celu objaśnienia opinii w Niemczech o stosunkach polskich, przedstawionych kłamliwie przez organa niemieckie.—L. Meyer: „Zeitschrift fuer die Geschichte u. Landeskunde der Provinz Posen.”—Nowa księgarnia A. Cybulskiego.—Jul. Falkowski: „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce.” Tom II.—Projekt pp. Czarneckiego, Bron. Potworowskiego i Karłowskiego, nowej seryi $3\frac{1}{2}\%$ Listów Zastawnych z $1\frac{1}{2}\%$ amortyzacją. Przez Ludwika Żychlińskiego.	250
VI. O teatrach warszawskich	262
VII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Wystąpienie profesora Caro przeciw krytykom i krytyce.—Proces w literacko-artystycznym świecie: Aleksander Dumas z malarzem Jacquet. Wiersz z Harpagonem belgijskim. Zola z p. Duverdy. T. Jeż z Anglikiem Oksley. Pani Ernst z Towarzystwem literatów. Impresario Wagnera z teatrem Chateau d'Éau.—Studyum historyczne p. Vandal: „Ludwik XV i cesarzowa Elżbieta.”—Zmarły August Barbier.	272



De. I. 1.

FRANCYA I POLSKA

W PIERWSZEJ POŁOWIE XVIII WIEKU.

Albert Vandal: Louis XV et Elizabeth de Russie. Etude sur les relations de la France et de la Russie au XVIII siècle, d'après les archives du ministère des affaires étrangères. Paris, E. Plon, 1882, str. 446.

Pogląd na dzieje Rzeczypospolitej polskiej, mianowicie z epoki historyi nowszej, uległ w ostatnich latach jawnym wszechstronnie zmianom i to równie w polskiej literaturze historycznej, jak i w dziełach uczonych zagranicznych. Spostrzegamy atoli w obydwóch tych sferach pewną różnicę zapatrywania, przeważnie pod tym względem, że zmiana ta uwydatniona w naszej literaturze pod wpływem skutków strasznej klęski, zaprawioną jest goryczą rekryminacji ufnych w swój rozum polityków dzisiejszych; gdy tymczasem pisarze zagraniczni, gromadząc bardzo bogaty, częstokroć nowy materiał, odbywają tę wivi-sekcją z dyplomatycznym spokojem, spoglądając dumnie na rezultaty przezornéj polityki swych przodków.

Rzekomy związek duchowy Polski z Francją, który, w przekonaniu dawniejszych dziejopisów, miał mieć swe źródło w naturalnej a idealnej sympatyi narodu francuzkiego do zbliżonego doń cywilizacją, usposobieniem i rycerskością plemienia mniemanych „Sarmatów,” redukuje się zwolna do interesu czysto materyalnego, do liczniana korzyści namacalnej, czerpanej przez ciąg stuleci przez dyplomacją francuzką z terytoryalnego położenia Rzeczypospolitej szlacheckiej względem sąsiadów, zawsze groźnych, zawsze gotowych do rzucenia miecza na szalę wypadków dziejowych, ilekroć gabinety francuzkie usiłowały z zawichrzeń politycznych Europy, najdogodniejsze dla siebie wyciągać



korzyści. I nie widzimy w tém nic zadziwiającego, bo polityka nie opierała się nigdy na innym gruncie—i rozwój historyczny nie zna innych warunków swego organicznego postępu. Blichtr czczych frazesów o powinowactwie duchowém Polski z Francją, ustąpił obecnie miejsca jawnym względom na korzyści, wynikające z wyzyskiwania interesów dawniej Polski, na pożytek samolubnej polityki Ludwikowej Francyi.

W myśl tych poglądów, dawna Rzplita Polska o tyle tylko mogła liczyć na sympatyą Francyi, o ile materyalna jój potęga była dotyla znaczącą, że można było, w razie potrzeby użyć jój jako oręża przeciwko monarchiom środkowej i wschodniej Europy. Z chwilą rozproszenia obaw i niebezpieczeństw z téj strony oczekiwanych, ustawą i interes podtrzymywania budowy, w której wewnętrzne wiązanie poczynało przeschęcać, a w skutek tego i dach ku upadkowi zwolna nachylać się począł.

Nadeszła z czasem chwila, gdy interes Francyi zależał właśnie na przyspieszeniu politycznego upadku Polski, na wysunięciu na pierwszy plan potęg nowych, dotychczas lekceważonych, a porzuceniu tych, które przedtém, wydatną, jeśli nie jedną z wydatniejszych w życiu europejskiém odgrywały rolę. Dyplomacya gabinetów Francyi Ludwikowej, w swojej gorączkowej oscylacji, zastanawia właśnie przez ustawiczne zmiany, nie tylko ogólnego kierunku polityki, ale i sprzymierzeńców na krańcach północnych i wschodnich Europy usadowionych.

Podczas wojny trzydziestoletniej, w epoce, gdy ambicya Austrii zaczynała zagrażać niezawisłości Europy, kardynał Richelieu wynajduje na skraju Północy sprzymierzeńca, w osobie Gustawa Adolfa i wysuwa go jako placówkę przeciw armiom Tillego i Wallensteina.

Następnie Ludwik XIV ma w Turcyi osłonę i pomoc przeciwko Świętemu cesarstwu rzymskiemu, a w walce z podwójną koalicją znajduje po swojej stronie Szwecyą i Polskę, które tworząc aryergardę wschodnią królewskich armii, następują ciągle na pięty wojskom niemieckim, nie pozwalając im całą siłą uderzyć na nieprzyjaciela.

Już jednak pod koniec swego panowania, widział Ludwik XIV, że siły jego sprzymierzeńców słabną, natomiast z obawą i nadzieją patrzył na wznoszącą się potęgę nową, którą poświęceniem dawnych sprzymierzeńców, zbliżyć ku sobie i przejednać należało.

I oto nagły wzrost Rosyi utworzył dla Francyi nową polityczną zasadę: porzucenie tradycyi dawniejszej o konieczności pomagania Turcyi, Polsce i Szwecyi, natomiast dążenie do sprowadzenia owych państw do rządu wazali północnego mocarstwa, aby tą drogą zjednać sobie wdzięczność jego i trwały pomoc przy możliwych kombinacyach politycznych na europejskim kontynencie.

Tak wytknięta polityka znalazła echo w młodym i energicznym reformatorze Rosyi, w Piotrze Wielkim. Zbliżyć się do Francyi, zawiązać z nią stałe stosunki, stało się odtąd przewodnią myślą Piotra i jego następców. Katarzyna I zwichnęła nieco te widoki zbliz-

żeniem się do Austrii, lecz córka jój i następczyni Elżbieta, umiała zawczasu ocenić korzyści płynące z sojuszu z Francją, zwłaszcza z młodym jój królem Ludwikiem XV, który uosabiał w jój oczach ideał wielkości, wdzięku i majestatu.

Zostawszy władczynią wielkiego państwa, Elżbieta postanowiła urzeczywistnić ideę Piotra Wielkiego i zawrzeć trwałe z Francją przyzmięcie. Ludwik XV wszelako nie okazywał wielkiej w tym duchu inklinacyi, opiekując się gorliwie interesami dawnych swoich aliantów. Nie odstraszyło to jednak Elżbiety od powziętej raz myśli. Przy pomocy osobistości tajemniczej pewnego Szkota w spółce z rosyjskim bojarem i francuzkim kupcem, udało się jój po długich manewrach skłonić Ludwika XV do życzliwszych intencji na korzyść rosyjsko-francuzkiego przyzmięcia. Odtąd stosunki obu dworów stały się ściślejszemi i poufniejszemi, do tego stopnia, że w lidze z roku 1756 przeciw Prusom Fryderyka II uformowanej, wojska rosyjskie i francuzkie walczyły obok siebie na zgubę wspólnego nieprzyjaciela.

Ten kierunek polityki nie był wszelako trwałym. Już pod koniec panowania Ludwika XV, zaczęły przeważać na dworze francuzkim obawy, iż sojusz z Rosją musi się skończyć zgubą Rzpltej polskiej. Następstwem téj chwiejności, było osłabienie zaufania między dworami sprzymierzonymi a nawet i otwarta nieprzyjaźń Francyi, która wspólnie z Anglią podtrzymywała Turcyą przeciw interesom Imperatorowej Katarzyny II.

Wkrótce jednak potem, a na krótko przed zwołaniem generalnych stanów, Ludwik XVI na nowo nawiązuje nic zerwanych z Rosją układów, celem zawarcia franko-rosyjskiego aliansu.

Rewolucya z roku 1789 niweczy owe projekta, tak jak w czterdzieści lat później rewolucya Lipcowa zatamowała agitujące się podówczas między cesarzem Mikołajem a Karolem X rokowania.

Wydane świeżo dzieło p. Alberta Vandal'a ma właśnie za przedmiot badania stosunki polityczno-dyplomatyczne Francyi z Rosją w wieku XVIII, przeważnie zaś, stosunek Ludwika XV do Imperatorowej Elżbiety Piotrówny, w którym, sprawy i przyszłość Rzpltej polskiej niepoślednią, jeśli nie pierwszorzędną odgrywały rolę.

Pierwszy raz w owém dziele użytokowane materiały historyczne, z niedostępnego dotychczas dla wzroku badacza, archiwum ministerjum spraw zagranicznych francuzkiego zaczerpnięte, spokojny i beznamiętny pogląd autora na dziejową rolę Polski, w rozegrywającym się podówczas dramacie, czynią dzieło p. Vandal ważnym dla naszej historii przyczynkiem, rzucającym wiele światła na ludzi i stosunki pierwszych dziesiątków XVIII wieku.

I.

Zaczątek XVIII wieku był widownią gwałtownych zmian w politycznych i terytoryalnych stosunkach północno-wschodnich monarchii

Europy. Długotrwała wojna, w której Rosya, Szwecya, Rzplta polska i państwo Otomanów udział miały czynny, zakończyła się osłabieniem jednych, wzmocnieniem innych państw i nakazała Francyi myśleć o nowych aliansach, które miały zabezpieczyć na przyszłość wpływowe jej w Europie stanowisko.

W chwili zgonu Ludwika XIV, widownia wschodnia Europy przedstawia następujące ukształtowanie.

Turcya po zawarciu pokoju z Rosyą, walczy jeszcze z Austryą i Wenecyą. Książę Eugeniusz druzgocze jej armie w r. 1716 pod Peterwardein, wyrzuca je z Węgier i gotuje się zwycięzko wkroczyć do Belgradu. Jednocześnie Wenecyanie biją Kapudana paszę pod Korfu, niszczą Albanią, oblegają Dulcigno. Wysoka Porta prosi o pokój, który też zawiera w r. 1718 pod Passarowitz, z wielkim dla swjej dumy uszczerbkiem. Austrya zatrzymuje wszystkie zdobycze, banat temeswarski, Wołoszczyznę zachodnią, Belgrad i Serbią, wrzynającą się jakby klin w samo serce tureckich posiadłości w Europie.

Idąc w kierunku północnym, napotykamy bezmierne obszary Rzpltej polskiej niezabezpieczone od granic wyżynami, któreby powstrzymywały napierające ze wszech stron zastępy poządliwych sąsiadów.

Od południa, do samych murów Warszawy, nie napotykamy tu ani jednego większego miasta, oprócz wspaniałych rezydencji Czartoryskich i Branickich, ukrauszonych ścią wschodnim przepychem. W o-wych-to zamkach wre życie możnowładczej Polski, tam się odzywa surma wojenna i hałaśliwe zbiorowisko szlachty garnącej się około swych przywódców.

Na całym obszarze Rzpltej z r. 1716, widać jeszcze ślady spustoszeń po niedawno przebytych wojnach. Armie Stanisława Leszczyńskiego i Augusta II, sprowadziły za sobą zastępy Szwedów, Sasów i Rosyan, które niszczą i wysysają ostatnie soki z nieuprawnjej gleby. Wreszcie gdy zwycięztwo Sasa przy pomocy ośmnastotysięcznej armii Rosyan przeważyło, rozpoczęła się wewnętrzna robota stronnictw, która do nieszczęść wojennych dodała nową klęskę domowych rozterek, prowadzonych, jak świadczy poseł Ludwika XIV, Polignac, pod d. 31 sierpnia 1696 r. przez arystokratyczne damy. (Mariusz Topin: „l'Europe sous les Bourbons” I, 72).

Ku północy rozciągają się Prusy przekształcone w r. 1701 z elektoratu Brandeburskiego w królestwo. Za Niemnem, księstwo kurlandzkie, niezawisłe, pod dynastją Kettlerów, ulega już wpływowi Rosyi, oddzielając Polskę od Bałtyku.

Daliej, Szwecya jęcząca pod brzemieniem nieszczęśliwej wojny, wystawiona na łup wewnętrznych rozterek, obojętnym okiem spogląda na nowe usiłowania Karola XII, aby wojną w Norwegii przeciw Duńczykom prowadzoną, podnieść nieco blask sztandaru sponiewieranego półtawską przegraną i haniebną ucieczką króla do Benderu.

Opuszczając Finlandzką zatokę, spotykamy się na samym wstępie

ze śladami szybko wzrastającego militarnie i politycznie państwa. Na zdobyciu podwojnie, na Szwedzie i opornej naturze, terytorium, powstaje na rozkaz cara Piotra, w ciągu lat dwunastu (1703—1715) nowy gród, nowa stolica imperyumu—Petersburg. Z głębi tego grodu biegną na wsze strony ukazy, których celem jest przeobrażenie tego, co się już przeżyło, w formy nowe, zapożyczone z Zachodu. Petersburg miał być właśnie oknem na horyzonty tego Zachodu otwartym. Aby nową stolicę władzy i państwa na silnych i rozległych oprzecz podstawach, rzuca się Piotr na bałtyckie posiadłości Szwecyi: Ingryą, Estonią, Inflanty. Spotyka się jednak z równym sobie wojownikiem. Podczas gdy Karol XII, po zwycięztwie nad Narwią (30 listopada 1700 r.), rozporządza losami Polski i śpieszy do Lipska na konferencyą z księciem Marlborough, car Piotr spokojnie oczekuje chwili odwetu, którą też pod Połtawą (1709) znajduje. Porażka odniesiona nad Prutem, oddała na czas pewien dalekonośne względem Polski plany; lecz i ta klęska szybko zaciera się nowym powodzeniem wojennym, dla którego wyzyskania, Piotr śmiało obmyśla projekt przymierza z Francją i w końcu roku 1716 osobiście udaje się do nadsekwąńskijskiej stolicy.

We Francyi sprawowała rządy regencya, w osobie księcia Orleańskiego, oddanego w zupełności wpływowi i rządowi kardynała Dubois, niezmiernie zręcznego i zbiegliwego dyplomaty. Wiedział kardynał, że zawarcie przymierza z Francją należało do gorących życzeń cara i dlatego pragnął porozumienie się regenta z monarchą Północy obwarować zastrzeżeniami, któreby interesów Francyi, w obec zawistnych sąsiadów, na szwank nie naraziły.

Car Piotr możeby wołał, zamiast regenta, mieć przed sobą Ludwika XIV, dla którego żywił uczucia podziwu i życzliwości. Zamiast niego, widział młodzieńkie siedmioletnie chłopię, przyszłego Ludwika XV-go i doradców regencyi, dla których okazywał się wyniosłym i zamkniętym w sobie i z którymi nie życzył sobie prowadzić poufniejszych układów. Zabawiwszy przeto czas krótki w Paryżu, na samem już odjeźdnym, 17 czerwca 1717 r. zawiązał przelotną rozmowę z regentem, w przedmiocie politycznej konwencyi, doprowadzonej następnie do skutku, już po wyjeździe Piotra, w Amsterdamie, dnia 15 sierpnia 1717 r. Konwencya ta, w której przyjęły udział i Prusy, ustaliła porządek następstwa tronu we Francyi, z wyłączeniem od korony Burbonów hiszpańskich i Orleanów; natomiast Francya przyrzekła swe pośrednictwo w sprawie przywrócenia pokoju na Północy i poręczyła rezultaty, jakie z owego pokoju przewidywanemi być mogły. Zostawiało również w owój konwencyi furtkę do przyszłych traktatów: handlowego i politycznego (Arch. Min. Spr. Zagr. Sierpień 1717 r.).

Z tęp wszystkiemi upłynęły cztery lata, a żaden z aliantów nie zabierał się do spełnienia zawartych układów. Stanęły tu na przeszkodzie projekta kardynała Alberoni i barona Goertza. Ten ostatni bowiem, znalazł godnego siebie sprzymierzeńca w homonymie swoim, Niemcu Goertz, zauszniku i radcy Karola XII. Obaj powzięli zuchwa-

ły plan, odbudowania wielkości swoich przybranych ojczyzn. Jeden podjął się zbuntować Południe, drugi zaś Północ. Počas gdy Alberoni przygotowywał najazd na Włochy, rewolucją we Francyi i Anglii, Goertz podjął się zadania pogodzenia dwóch rywali i wrogów długoletnich: zwyciężonego pod Połtawą i Karola XII. Zamiar ten rokował powodzenie. Na skutek zawiązanych układów, Karol miał odstąpić Rosyi wschodni brzeg Bałtyku i suzerenat nad Polską, sam zaś miał rzucić się na Niemcy i powtórzyć na Austrii krwawe eksperymenty Gustawa Adolfa. Obaj zaś obiecali sobie wspólnemi siłami najechać na Anglią, w celu przywrócenia praw rodu Stuartów.

Król angielski i rejent, zagrożeni tym planem, zacieśnili węzły wzajemnego między sobą sojuszu, następstwem czego było osłabienie i oziębienie stosunków Francyi z Rosyą.

Europa znalazła się znowu w przededniu ważnych wypadków, gdy nagle śmierć Karola XII pod Frederikshallem, zmieszała wszystkie szyki Goertzowi i jego samego doprowadziła wreszcie do stóp rusztowania.

Szwecya i Rosya znalazły się znowu w otwartej nieprzyjaźni. Regent, ocalając Szwecyą, naturalnego alianta Francyi, przed smutnemi następstwami porażek, wysłał w końcu roku 1719 pana de Campredon do Stockholmu i do St. Petersburga, w myśli pośredniczenia między stronami. Car Piotr nie był do układów skłonnym, „Nie chcę, rzekł, z okien swych patrzeć na ziemię sąsiada!” Wreszcie Szwecya upokorzyła się. Traktatem Nysztadzkiem z 30 sierpnia 1721 roku, zgodziła się na ustąpienie pobrzeża wschodniego Bałtyku, z wyjątkiem Finlandyi.

Podpisawszy traktat, w charakterze pośrednika, wrócił de Campredon do St. Petersburga, gdzie objął stanowisko posła francuzkiego.

Pobyt jego w nowej stolicy Rosyi, był dla Europy zapowiedzią stanowczego między Rosyą a Francyą przymierza. Oprócz widoków politycznych, szło tu o skojarzenie Romanowych i Burbonów węzłami koligacyi rodzinnej. Piotr życzył sobie widzieć młodszą swą córkę Elżbietę na tronie Francyi, jako małżonkę Ludwika XV; gdy jednak zaręczyny młodego króla z infantką hiszpańską plany te rozwiały, począł myśleć o wydaniu Elżbiety za któregośkolwiek z książąt krwi burbońskiej, by tym sposobem urzeczywistnić w niedalekiej przyszłości te zamiary, jakie się snuły już wówczas w umyśle rosyjskiego władcy co do losów Rzplitej polskiej.

II.

Dnia 19 października 1721 r. wpłynął p. de Campredon, na pokładzie statku szwedzkiego, do Kronsztadu. Zaledwie się mógł rozgościć w ofiarowanym mu przez komendanta fortecy mieszkaniu, gdy niespodzianie Piotr zjawił się w Kronsztadzie, z powitaniem francuz-

kiego posła i wynurzył przytém uznanie najżywsze dla dobrych usług Francyi, okazanych w sprawie pokoju.

Ta oznaka bezprzykładnej łaskawości Piotra do rozpaczki doprowadziła posła austriackiego, upoważnionego właśnie przez dwór wiedeński do zaproponowania Rosyi przymierza. Niezadowolone Austrii wzrosło jeszcze, na widok szczególnych oznak uprzejmości Piotra względem francuzkiego posła, zaproszonego na uroczyste nabożeństwo do katedry. Pan de Campredon miał sobie zapewnione miejsce honorowe w cerkwi i był świadkiem niezwyklej sceny, gdy kanclerz państwa Gołowkin, po nabożeństwie, zbliżył się do cara i wręczył mu imieniem senatu i synodu adres, proszący, aby starostwianański tytuł cara zamienił na rzymski tytuł imperatora.

Okazałe uczty i uroczystości, jakie z okazji tego faktu nastąpiły, nie przeszkodziły imperatorowi wyjawić posłowi francuzkiemu, szczerego życzenia o zawarcie przymierza z Francją i wydania młodziej swój córki Elżbiety, za księcia krwi francuzkiej, któryby następnie z woli cara zasiadł na tronie Rzplitej polskiej.

Listy p. de Campredon z 8 i 24 listopada 1721 r., pisane do kardynała Dubois, żadnej w téj mierze nie zostawiają wątpliwości.

Tron polski w rzeczy samej zapowiadał podówczas blizki wakans. Zdrowie króla Augusta z dniem każdym pogorszało się. Od lat pięćdziesięciu, pisze p. Vandal, usiłowała Francya odpierać od Polski osłabionęj i stronnictwami nurtowanęj nacisk sąsiadów. Arcykatolicki król z upodobaniem uważał się i lubił być uważanym za naturalnego opiekuna wolności Rzplitej. Systemat taki był wynikiem poglądu słusznego i wspaniałomyślnego zarazem; żaden bowiem sprzymierzeniec nie rokował Francyi takich korzyści, jak Polska silna i niepodległa. Niestety jednak wiele faktów świadczyło o bezsilności usiłowań, podejmowanych w celu odrodzenia kraju tego, gdzie zło zapuściło głębokie korzenie. „Polska zamierała z braku organów, niezbędnych dla życia nowoczesnego państwa. Francya jęj tych organów dostarczyć nie mogła. Nie mogła ona dać Polsce rządu prawidłowego, stałęj armii, administracji i finansów, słowem, środków przeciwwagi usiłowaniom państw, zainteresowanych w podtrzymaniu jęj słabości i w blizkim jęj rozkładzie. Ludwik XV u szczytu swęj potęgi wyjednał u sejmu warszawskiego okrzyknięcie księcia Conti królem, ale nie miał sił w utrzymaniu elekta na tronie. Polacy wybierali francuzkich protegowanych, lecz opuszczali ich za zbliżeniem się armii rosyjskich i niemieckich. W gruncie rzeczy, niezawistość Polski była już tylko fikcyjną; wolność jęj polegała na zmianach swoich władzców, na możności stawiania się kolejno dziedzictwem Szwedów, Sasów, Niemców i Rosyan, nigdy zaś swojem własnym.”

Tego rodzaju sytuacja musiała mieć, jako naturalne następstwo, blizki podział terytoriów Rzplitej. O podziale tym myśleli sąsiedzi jęj już bardzo dawno. Europa wyczekiwała z obawą téj ewentualności; Prusy uważały ją za swe zadanie, namawiając Piotra Wielkiego do

tego dzieła, tak jak później stawiały tę propozycję Katarzynie I (Depesza Campredona z 12 czerwca 1725 r. Minist. fran. zagr.).

W obec zatem planu zakomunikowanego Francji przez p. Campredona, regent, jako polityk rozważny i przewidujący, nie okazał wielkiego wstrętu do kombinacji, która w rezultacie mogła złać na ród jego splendor królewskość. Szczególniej starszy syn jego, książe Chartres, do tej kombinacji nadawał się przewybornie. Przeważały tu jednak i względy natury osobistej i politycznej, które planom cara Piotra nie rokowały powodzenia. Najprzód niechęć regenta do skojarzenia się węzłem koligacji z rosyjskim dworem, a powtóre obawa przed niechęcią Anglii. Nieporozumienia między Jerzym I a carem Piotrem, doszły podówczas do zerwania stosunków dyplomatycznych między temi dworami. Anglia z podwójną też bacnością czuwała nad biegiem układów regenta z Rosją. Regent, wysoko sobie ceniąc charakter angielskiego alianta, obawiał się następstw proponowanej kombinacji politycznej Piotra W. i otrzymywane depesze od agentów swoich z Rosji przysyłał królowi Jerzemu, który je odsyłał z własnoręcznymi adnotacyami regentowi.

Po długich wahaniach i zwłokach, wreszcie pod jesień 1722 roku nadeszła do Petersburga, na ręce p. de Campredon długa instrukcja, w której kardynał Dubois wynurzał intencje dla Francji w kwestyi małżeństwa. Treścią tej instrukcji było przyjęcie w zasadzie propozycji dworu francuzkiego, pod warunkiem wszakże, że małżeństwo księcia Chartres z carówną Elżbietą nastąpi dopiero po uporządkowaniu sukcesyi tronu w Polsce i obiorze tego księcia za króla (Dubois do Campredona 14 października 1722 r. Arch. Min. franc.).

Widoki polityczne, towarzyszące instrukcji kardynała Dubois, polegały na zjednaniu sobie Rosji, bez uszczerbku dla aliansu z Anglią. Francya miała służyć tu w charakterze pośrednika między temi dworami, a następnie miała zjednać Anglią dla myśli trójprzymierza. Podstawą układów miała być konwencya, zawarta w r. 1717 w Hadze, z wyłączeniem jedynie Prus od zawartego przymierza i z zagwarantowaniem wszelkich nabytków przez Rosją traktatem Nysztadzkiem pozyskanych.

W chwili, gdy owe punktacye nadeszły do Petersburga, Piotr I walczył na Kaukazie, celem zdobycia zachodniego pobrzeża morza Kaspjskiego. Po zdobyciu Derbentu, wrócił do Moskwy, gdzie go już wyprzedził p. de Campredon. Z radością usłyszał Piotr I od francuzkiego posła, że regent propozycję małżeństwa za możliwą do spełnienia uważa. Małżeństwo Elżbiety z księciem de Chartres miało być jedynie utorowaniem córce imperatora, drogi do tronu francuzkiego; już wówczas bowiem delikatne zdrowie Ludwika XV nie rokowało Francji długiego panowania tego króla. Wszelako, warunek, stawiony przez regenta, aby małżeństwo odroczyć do czasu elekcji księcia de Chartres, wydawał się przybocznym ministrom Piotra W., Dołgorukowowi i Ostermanowi, zbyt uciążliwym. Pogląd taki dzielił i Piotr I.

„Cóż będzie, odezwał się książę Dołgoruki do p. de Campredon, jeśli król polski pożyje jeszcze lat piętnaście? W takim razie chyba księżniczka musiała zostać panną!.” Sądził zatem, że Francya i Rosya powinnyby zawrzeć ze sobą specjalną konwencyą w przedmiocie bezwzłocznego przystąpienia do małżeństwa i przyjęcia zgodnej polityki względem Polski.

Campredon zredagował w tym duchu kilka artykułów i przesłał je swemu rządowi w d. 13 marca 1722 r., prosząc o pełnomocnictwo do ich podpisania, przyczém bardzo żarliwie poparł myśl bezwzłocznego małżeństwa księcia de Chartres. „Nie jestto znowu rzeczą tak odległą, wyniesienie młodego małżeństwa na tron polski, jakby się to napozor zdawać mogło, pisał p. de Campredon. Wypadek ten mógłby być nawet przyspieszonym. Należałoby tylko postarać się o jakąś sprytną i czułą kochankę i zbliżyć ją do króla polskiego. Osoby, które widziały niedawno tego monarchę, zapewniają, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, niedługo już żyć będzie” (Minist. Zagr. 13 marca 1723 r.).

Jednocześnie starał się p. de Campredon podniecić regenta do szybszego postanowienia, obudzeniem w nim uczucia zazdrości. Donosi tedy o przybyciu do Petersburga dwojga książąt z domu Hessianhomburskiego w zamiarach starania się o rękę wielkich księżniczek. Nie zapomina przytém i o drobnych środeczkach zjednania sobie życzliwego usposobienia Piotra I. „Pozwalam sobie prosić Waszą Królewską Wysokość, pisał p. de Campredon, o nadesłanie J. C. Mości beczki dobrego wina. Te drobne dowody atencji znajdują skutek oczekiwany. Prosiłbym również o nadesłanie mi portretów króla, infantki, Jego Królewskiej Wysokości i księcia de Chartres, tak bardzo przez Jój Ces. Mość mile widzianego.”

Tego rodzaju depesze wymagały śpiesznej i stanowczej odpowiedzi. Jakże wielkiém jednak było zdumienie p. de Campredon, gdy mu ani jeden z kuryerów z Francyi przybywających, pożądanę w tym przedmiocie instrukcyi nie przywiózł. Przeszła zima i wiosna i lato nawet 1723 r. Francya głucho zachowywała milczenie. Ministrowie dworu rosyjskiego coraz silniej zaczęli nastawać na p. Campredon, aby im wolę regenta objawił. Biedny poseł jął się pisania listów rozpaczliwych, do kardynała, do regenta, do młodziutkiego, piętnastoletniego króla nawet. Wszystko napróżno. Wreszcie zniecierpliwiony, nie chcąc narazić sobie cara Piotra, udał chorego i położył się do łóżka. Dziwne zaiste postępowanie ze strony posta wielkiego mo-carstwa!

W początkach września wezwany został p. de Campredon do Peterhofu, letniej rezydencyi dworskiej. Przyjął go Piotr I łaskawie, nie okazując po sobie żadnego zniecierpliwienia; wszakże minister Ostermanu pod wieczór odprowadził posta na stronę, gdzie, widocznie, z danego sobie zlecenia, wyraził zdziwienie, że Francya tak obojętnie traktuje sprawę przymierza i małżeństwa.

Prawdziwą przyczyną kunktatorstwa Francyi, była i tym razem postawa Anglii, która nie życzyła sobie koligacyi Francyi z Rosyą. Względy polityki kardynała Dubois, który, nawet po dojściu do pełnoletności prawnej Ludwika XV, utrzymanym został na swém wpływowém stanowisku, nakazały oddalić zamierzone projekta na czas bardzo długi. Myśli swoje wynurzył on w depeszy, przez szesnastego dopiero z rządu kuryera przesłanej do p. Campredon, lecz już przez kardynała nie podpisanej. Zapadłszy silnie na zdrowiu, 10 sierpnia 1723 r. kardynał Dubois żyć przestał. Miejsce jego zajął książę orleański, nie uważając sobie za despekt zostać pierwszym ministrem w kraju, którego był regentem. On-to, nie zmieniwszy słowa, wysłał zredagowaną przez zmarłego kardynała depeszę do Petersburga, a w kilka miesięcy później książę Chartres, ku wielkiemu niezadowoleniu Rosyi, poślubił księżniczkę niemiecką.

Książę orleański nie przeżył swe go poprzednika długo. Tegoż bowiem roku 1723, w miesiącu grudniu rażony apopleksyą skonał.

Młody król powołał księcia de Bourbon, głowę domu Kondeszwów, na stanowisko swego doradcy, czyli istotnego drugiego regenta Francyi.

Zmiana ministeryum francuzkiego obudziła znowu w carze Piotrze nadzieję odnowienia zawiązanych stosunków z Francją. Tym razem nie było już mowy o aliansie rodzinnym, lecz głównie o przymierzu natury politycznej. W początkach r. 1724, książę de Bourbon otrzymał w téj mierze bezpośrednie zapytanie; lecz znowu nieporozumienie z Anglią stanęło na przeszkodzie doprowadzeniu aliansu do skutku.

Wśród podejmowanych nieustannie negocyacyi, myślą przewodnią których było obsadzenie tronu Rzplitej polskiej przez kandydata odpowiedniego widokom obu dworów, nastąpiła w końcu 1724 roku śmierć cara Piotra i objęcie tronu rosyjskiego przez wdowę jego — Katarzynę I.

III.

Zarówno jak Piotr Wielki, tak i następczyni jego, pojmowała doniosłość zawiązania bliższych dyplomatycznych stosunków z wielkimi mocarstwami Europy. Bezwzględnie téż, po objęciu tronu, zwołała Katarzyna I radę, złożoną z ministrów poprzedniego panowania: Tołstoja, Ostermana, kanclerza Gołwkina, admirała Apraxina i księcia Menszykowa. Wszyscy jednoznacznie wyrazili opinią w tym duchu przychylną, włączając do projektowanych rokowań i Anglią. Najbardziej za przymierzem z Francją przemawiała Imperatorowa. Tajna wiadomość, zakomunikowana jej z Francyi o nagłym zerwaniu małżeństwa króla Ludwika XV z infantką hiszpańską, ożywiła w sercu Katarzyny I.

rzyny dawne nadzieje i obudziła nowe widoki rodzinnych koligacyi z francuzkim dworem.

Ludwik XV od lat czterech był zaręczonym z infantką, sprowadzoną do Francyi w r. 1722 i wychowywaną w Luwrze dla uczynienia jęj Francuzką i królową. Lecz Ludwik miał lat 16, infantka zaś siedm. Ta nierówność wieku spowodowała odroczenie małżeństwa i pozbawiła Francuzą rękami długotrwałego pokoju wewnętrznego, ze względu na słabowitą organizacyą króla i rywalizacyą Kondeuszów z Burbonami. Letnią porą r. 1724, pierwszy minister pragnąc przyśpieszyć małżeństwo króla, szukał środków pozbycia się infantki i zastąpienia jęj odpowiedniejszą narzeczoną.

Wysłano tedy za granicę emisaryuszów zręcznych na zwiady. Nowy ów rodzaj stręczycieli miał objechać dwory monarsze, wywieźć się o kandydatkach do małżeństwa, o ich charakterze, ukształceniu i wdziękach. W ministryum spraw zagranicznych utworzono specjalne biuro informacyjne, pod kierunkiem p. de Morville. Zadaniem jego miało być utworzenie listy porównawczej kandydatek i opiniowanie o doniosłości matrymonialnych projektów. Kresem podróży emisaryuszów miały być granice Rosyi, z tém wszystkiém i wielka księżniczka Elżbieta na liście kandydatek figurowała. Lista ta składała się z siedmnastu księżniczek, podzielonych na rozmaite kategorye.

W początkach r. 1725 król mocno zachorował. Obawiano się o jego życie. Książę de Bourbon postanowił sprawę infantki ostatecznie załatwić, a już 11 kwietnia rada państwa uchwaliła odesłanie infantki do Hiszpanii.

Wiadomość ta doszła do uszu Katarzyny. Nanowo tedy zawiązano układy z p. de Campredon, tym razem na warunkach bardziej określonych. Powołano się na przykład francuzkiego Henryka I, wnuka Hugona Capeta, który pojął za żonę córkę wielkiego księcia moskiewskiego. Imperatorowa otwarcie miała w tęp mierze rozmowę z panem de Campredon. Pragnąc wyswatać księżniczkę Elżbietę za Ludwika XV i zjednać sobie dla tęp myśli księcia de Bourbon, nasunęła myśl, aby syn jego pojął za żonę córkę króla Stanisława Leszczyńskiego, od r. 1712 w Lotaryngii przebywającego. Małżeństwo to, wobec sympatyj, jaką król Stanisław w Polsce posiadał, mogłoby, zdaniem Imperatorowej, ułatwić kandydaturę księcia do tronu polskiego przy bliżkiej elekcyi, zwłaszcza przy zapewnionęj opiece i protekcyi obu dworów.

Słowem: Imperatorowa ofiarowała Francyi wraz z ręką córki przymierze trwałe, wspólną akcyą w Polsce, tron polski księciu francuzkiemu (Depesza p. de Campredon z 13 kwietnia 1725 r.).

Propozycye te nadeszły do Francyi, lecz nie wywarły korzystnego wrażenia. Zawotowano na ich marginesie wyrazy: „Tenue secrété” i odesłano je do archiwum.

W połowie maja 1725 r., tajemnicza osobistość przybyła do Petersburga. Był to oficer angielski de Hay, poplecznik dworu Stuartów, awanturnik i intrygant. Misyą jego było utworzenie koalicyi przeciw

Francyi, a duszą téj koalicji był król hiszpański wspólny ze swym ministrem, baronem de Ripperda.

Filip V pragnął zemsty za wymierzoną sobie ze strony Francji obrazę. Znalazł on poplecznika dla téj myśli w renegacie Ripperda, który trzy razy zmieniwszy ojczyznę i religią, miał umrzeć jako basza marokański. Ripperda skojarzył i pogodził ze sobą Filipa V z Karolem VI, cesarzem, w myśli podniecenia ich przeciw Francji i Anglii. Wysłano p. de Hay do Rosji, aby i tu znaleźć sprzymierzeńców. Imperatorowa dała posłuchanie emisaryuszowi, ale przed powzięciem decyzji w duchu proponowanój koalicji, pragnęła dowiedzieć się, jakie są zamiary Francji w kwestyi małżeństwa z wielką księżniczką Elżbietą? Zażądała w téj mierze stanowczój od pana de Campredon odpowiedzi.

Campredon spostrzegł groźne niebezpieczeństwo. Przeniknął zamiary emisaryusza i bezzwłocznie doniósł o nich swemu dworowi, domagając się śpiesznój odpowiedzi.

Tym razem księżę de Bourbon stanowczo odrzucił propozycyją rosyjską i znalazł to, czego szukał oddawna napróżno.

Szczególnym zbiegiem okoliczności, sama Imperatorowa ułatwiła mu wybór.

Wzmianka o córce króla Stanisława Leszczyńskiego, proponowanój dla syna jego, otworzyła mu szeroki horyzont polityczny w interesie Francji.

W Maryi Leszczyńskiej widział księżę urzeczywistnienie ideału upragnionego dla Ludwika XV. Córka zdetronizowanego króla, dziewczyna dobrze wychowana, pochodzenia szlacheckiego, bez wysokich pretensji, szczególnie odpowiednio nadawała się do roli małżonki zależnój i uległój, jaką pragnął widzieć obok Ludwika XV na tronie Francji.

Wysłał tedy bezzwłocznie jednego z emisaryuszów małżeńskich, kawalera de Meré, do Wissenbourga, gdzie król Stanisław z żoną i córką przebywał. Skromne otoczenie téj rodziny zrobiło wielkie wrażenie na p. de Meré. W pełnych zapału wyrazach kreśli on poetyczny obrazek zdetronizowanego króla, obok którego, z wdziękiem i słodyczą króluje księżniczka Marya, cała oddana pobożności i dobremu uczynkom. Ujęty poetycznością tego obrazu król Ludwik XV, nie długo się ociągał; 27 maja 1725 r. obwieszczono publicznie o małżeństwie króla.

Wiadomość o tym fakcie wywarła wielkie wrażenie w Europie. Wrażenie to mniej było korzystnym w otoczeniu króla i między mieszczanstwem paryzkiem.

Odgłosy kronik owoczesnych malują dosadnie niezadowolenie dworu z takiego obrotu rzeczy.

„Małżeństwo już ogłoszono, pisze w dzienniku swoim adwokat Marais („Journal de Mathieu Marais,” t. III, 187). Dwór tak posmutniał, jak gdyby mu doniesiono, że król został apopleksyą rażonym.”

„Zobaczymy, piszą drudzy, jakie to będzie następstwo związku z córką króla, który już królem być przestał i który należy do narodu zupełnie nam obcego.”

„Miał racją Paryż, dodaje od siebie p. Vandal, przewidywał on lepiej, aniżeli nasi mężowie stanu. Wybór Maryi Leszczyńskiej był błędem kapitalnym. Jeżeli nowa królowa miała okazać na tronie przykład wszelakich cnót, nie posiadała ona wszakże ani jednej zalety, niezbędnej dla zjednania sobie serca króla. Z politycznego punktu widzenia, małżeństwo polskie żadnej nam nie przynosiło korzyści, a mogło wciągnąć Francją w przykre awantury. Ludwik XV nie otrzymał w posagu ani pewności, ani nadziei aliansu; natomiast on-to miał przyjąć na siebie moralny obowiązek popierania pretensyi rewindykacyjnych Stanisława Leszczyńskiego do tronu polskiego.”

Imperatorowa rosyjska dowiedziała się z wieści publicznej o małżeństwie króla. Dopiero po notyfikacji, uczynionej dworom przez Stanisława Leszczyńskiego, zdecydowała się Francya wyjaśnić pobudki tego kroku w liście, przesłanym do Petersburga 30 czerwca. Główną przeszkodą miała tu być różnica wiary. Pobudka nie szczera, gdyż z depeš p. de Campredon wiedział dobrze dwór francuzki, że księżniczka Elżbieta gotową była z woli Imperatorowej przejść na katolicyzm.

Naturalném następstwem małżeństwa króla było oziębienie stosunków między dworami: rosyjskim i francuzkim. Skorzystała z tego nastroju Austria i skutkiem zręcznych zabiegów doprowadziła Rosyą do zawarcia traktatu wiedeńskiego z dnia 25 sierpnia 1726 r., zawartego na przeciąg lat trzydziestu. Treścią układu miało być wspólne działanie polityczne, przeważnie przeciw Turcyi, względem innych państw zastrzeżono wyczekujące i odporne stanowisko.

Konwencya ta, o której historia dotychczas mimochodem wzmiankowała, stanowi jeden z najważniejszych w XVIII wieku dyplomatycznych aktów i sprowadziła przewagę niemieckiego wpływu na dworze St. Petersburgskim. Tekst układu podaje Martens w zbiorze: „*Traité de la Russie avec l'Autriche*,” t. I, na str. 34. Od téj chwili Austria i Rosya zaczęły postępować wspólnie w kwestyach europejskich. Na kongresie w Cambrai z r. 1727 umocowani rosyjscy szli ręką w rękę z ministrami austriackimi, a gdy następuje Rosya poraż pierwszy ukazała się na polach bitew w Europie środkowej, było to jedynie gwo-li udzieleniu pomocy austriackim armiom.

IV.

Katarzyna I zakończyła życie w r. 1727. Tron objął wnuk Piotra W., Piotr II, którego imieniem sprawowali rządy: Menszykow i książęta Dołgorukowowie. Piotr II zmarł w siedmnaście roku życia. Z następców Piotra W. pozostały tylko córki: starsza, poślubiona księciu de Holstein i Elżbieta. Dołgorukowowie i Golicynowie usunęli ją od dziedzictwa, powoławszy na tron krewniaczkę Piotra W., Annę Iwanównę,

księżniczkę kurlandzką. Rządy jój były dalszym ciągiem polityki Katarzyny I co do przymierza z Austryą i chłodnych stosunków z Francją.

W r. 1726 p. de Campredon odwołany został ze swego stanowiska. Miejsce jego zajął pełniący obowiązki ambasadora p. Magnan.

We Francji po księciu de Bourbon objął ministeryum kardynał Fleury. Utrzymywał on przyjazne stosunki ze Szwecją i z Polską, nie zawiązując serdeczniejszych z Rosją.

Tychczasem w Rosyi partya „starowierców” wzięła górę i z niechęcią spoglądała na wpływ austriacki i Niemców w ogóle na dworze. Najzarliwszym stronnikiem przymierza z Francją i osłabienia związków z Niemcami stał się feldmarszałek Mūnich. Cesarzowa Anna okazała się przychylną tój polityce, pod warunkiem, że Francya zaprzestanie się mieszać do spraw polskich i pozwoli Rosyi odebrać Turkom Azow.

Gabinet francuzki wahał się dość długo, aż wreszcie wahanie to sprowadziło nowe zerwanie rokowań i zacieśnienie przyjaźni z Austryą.

Od r. 1733—1738 wpływ aliansu austro-rosyjskiego był dominującym. Następstwa jego odbiły się na Polsce.

Po śmierci Augusta II, sejm obrał Stanisława Leszczyńskiego królem. Bezwłocznie armia rosyjska wkroczyła do Polski i usunęła od tronu teścia Ludwika XV, wysunąwszy na jego miejsce kandydaturę księcia elektora saskiego. Anglia zachowała neutralność. Francya zwróciła się nieprzyjaźnie ku Austrii i przesała Stanisławowi Leszczyńskiemu zasiłek trzech batalionów. Dowódzca ich p. de Plelo, ambasador francuzki w Kopenhadze, padł pod murami Gdańska, lecz sprawy Leszczyńskiego nie ocalił. Mūnich załatwił się z partyzantami króla Stanisława, a Francya podpisując z Austryą preliminarja pokoju w Wiedniu (1735), zgodziła się na usunięcie Leszczyńskiego od tronu i ofiarowanie mu rządów w Lotaryngii.

Obsadzenie tronu polskiego przez kandydata Rosyi i Austrii, od tych mocarstw przyjmującego rozkazy, było spełnieniem pierwszej części programu austro-rosyjskiego aliansu; część druga miała się spełnić niebawem. W latach 1736 i 1737 Austrya i Rosya wypowiedziały wojnę Turcyi i wkroczyły na jój terytoryum. Tym razem Francya była szczęśliwszą. Usiłowaniom jój ambasadora p. de Villeneuve w Konstantynopolu udało się sprowadzić porozumienie. Traktat pokoju w Belgradzie w r. 1739 podpisanym został.

Imperatorowa Anna, zawdzięczając Francji ów rezultat, odnowiła z nią stosunki dyplomatyczne. Książę Kantemir został ambasadorem w Wersalu, zaś p. de la Chetardie, minister francuzki w Berlinie, wysłany został do Petersburga w charakterze ambasadora, głównie jednak z misją zasięgnięcia języka co do widoków Rosyi na przyszłość i korzyści panowania księżniczki Elżbiety przy zmianie tronu. Wybór p. de la Chetardie był bardzo szczęśliwym. Zdolności tego dyplomaty, jego zręczność i układność, dawno już zwracały na siebie uwagę. Wyjechał on do Rosyi w końcu r. 1739 w bardzo świetnym otoczeniu. Przyjęty ostentacyjnie w Dreźnie, w Warszawie i w Rydze, w tém osta-

tniem mieście przez generała de Bismarck, gubernatora ówczesnego rosyjskiego, przybył do St. Petersburga, gdzie otrzymał bezzwłocznie uroczyste posłuchanie u cesarzowej Anny. Zaraz po tej audyencji la Chetardie udał się do wielkiej ks. Elżbiety, a krok ten, oprócz pobudek galanterii, miał jeszcze i pobudki polityczne na widoku, mianowicie zjednanie sobie przychylności księżniczki, która najwięcej posiadała warunków zajęcia miejsca na tronie Piotra W. Życie ówczesne St. Petersburga przedstawiało jeden szereg uczt i zabaw, kierowanych przez ulubieńca Imperatorowej, Gustawa Birena. Biren, Münich i Österman, stanowili radę państwa i przewodników oryginalnych zabaw ku uciesze Imperatorowej. Do rodzaju tych zabaw należało np. wystawienie na Nowie wśród najcieplejszej zimy sypialni z lodu i zamknięcie w niej na noc ślubną księcia Golicyna, który się z miłości ożenił z osobą niższego stanu. Łóżko ślubne, stoliki, kanapy, krzesła, pokój cały, wszystko to było wyciosane z brył lodowych.

Anna Iwanówna zmarła nagle w listopadzie 1740 r., zostawiwszy testamentem dziedzictwo tronu, synowcowi swemu Iwanowi brunszwickiemu, z ustanowieniem nad nim regencyi w osobie Birena.

Regencya ta nie była długotrwałą. W kilkanaście dni później rewolucya pałacowa, pod wodzą Münicha przeprowadzona, zapewniła Birenowi miejsce na Syberyi, zaś wielkiej księżnie Annie Leopoldównie stanowisko regentki nad Iwanem VI. Ojciec jego, książę brunszwicki, został generalissimusem, Münich zaś pierwszym ministrem.

Europa obojętnie przyjęła wiadomość o zmianie rządów w Rosyi. Zajmowała ją sprawa nierównie ważniejsza. Na dni ośm przed zgonem Anny zmarł w Wiedniu cesarz Karol VI. Nie miał on spadkobiercy męskiego, usiłował więc za życia zapewnić tron córce swój, Maryi Teresie, mocą sankcyi pragmatycznej, przez sąsiadów za ważną uznaną. Zaledwie jednak zamknął oczy, gdy już elektor bawarski wyciągnął rękę po koronę i po dziedzictwo ziem austriackich; król hiszpański domagał się ziem włoskich, dom saski Czech, król pruski Fryderyk II Szlązka. Fryderyk nie bawiąc się w pretensye, śmiało wtargnął do Austrii i bez wypowiedzenia wojny zagarnął Szlązk.

Podczas gdy zachodziły tak ważne w środku Europy wypadki, Rosya stała się znowu sceną dyplomatycznych matactw, w których pan Chetardie odgrywał rolę główną, przygotowując umysły ku bliźkiej zmianie tronu na korzyść w. księżnej Elżbiety. Przy pomocy Lestoqua, Hanowerczyka, doktora i zaufanego księżniczki, nastąpiło bezpośrednie porozumienie się jój z francuzkim postem i od tej chwili p. de la Chetardie stał się pośrednikiem i kierownikiem spisku, uknutego przeciw regentce.

W styczniu 1742 r. spisek ten dojrzał do tego stopnia, że można już było przystąpić do działania. Wsparta na wiernym pułku preobrażeńskim księżna Elżbieta, śmiało wydała hasło do wybuchu. Przyaresztowaną regentkę z mężem i jój poplecznikami, odprowadzono do więzienia.

Imperatorową okrzyknięto z zapałem córkę Piotra Wielkiego, Elżbietę.

V.

Nie wchodząc w bliższy rozbiór wypadków wojennych, w których Francya, Austria i Prusy miały udział, a zakończonych akwizgrańskim pokojem, nie zatrzymując się nad fluktuacją usposobień wzajemnych Francyi i Rosyi, o jakich dzieło p. Vandal'a obszernie się rozwodzi, przechodzimy do sprawy bliżej nas obchodzącej, do stanowiska zajętego przez Ludwika XV po zgonie kardynała de Fleury, względem wypadków w Polsce.

Usposobienie Ludwika XV dla Rosyi było zawsze niechętném. Wtrącając się do spraw Turcyi, Polski i Szwecyi, następca Ludwika XIV trzymał się z jednej strony starodawnéj tradycyi francuzkiej, z drugiej zaś strony pragnął za pomocą tych państw utworzyć związek obronny przeciw napierającej ku Zachodowi polityce Rosyi. Zamiar ten, pomimo korzyści jakie przedstawiał, nie był pozbawionym wielkich a niezwalczonych trudności. Kredyt Francyi w Konstantynopolu, Warszawie i Stockholmie zmalał znacznie od chwili, gdy Turcyja, Polska i Szwecya przekonały się dowodnie, że między dobrmi chęciami gabinetu wersalskiego a ich wykonaniem, leżała dość znaczna przepaść. Z tém wszystkiém Ludwik XV nie dał za wygraną. Celem jego polityki stało się odtąd szukanie środków przekonania sąsiadów Rosyi, iż tylko w wewnętrzném odrodzeniu się ich, w wytworzeniu potęgi materyalnej i solidarnym między sobą związku, spoczywa ocalenie.

Plan taki potrzebował powiernika. Od chwili śmierci kardynała de Fleury, Ludwik XV oświadczył urzędownie, że pierwszych ministrów mianować już nie będzie. Nie mając ich na stanowisku jawném, miał wszakże tajnych zauszników, a do ich liczby należał synowiec wielkiego Kondusza, książę Ludwik-Franciszek de Conti, zwycięzki w boju, wymowny w radzie, umysł przenikliwy i ogładzony czytaniem się i szermierką prowadzoną z dyplomatami na peryodycznych schadzkach w głośnym pałacu du Temple. Ambitny, chciwy władzy i dostojestw, książę de Conti, marzył o tronie, o szerokim wpływie na bieg wypadków europejskich. Przedewszystkiém tedy, zwrócił wzrok na Wschód, gdzie ewentualności elekcyi bardzo się zuchwałym planom księcia uśmiechały. Zamiar poślubienia wielkiej księżny Elżbiety skłonił księcia de Conti do wystąpienia w roku 1741 posłańca swego, pana d'Avesnes, do St. Petersburga, celem wybadania gotowości pretendenci owéj do tronu carów, do przyjęcia oferty. Wielka księżna oświadczyła, że celibatu nie porzuci, jako zapewniającego jój niezawisłość. Po objęciu tronu przez Elżbietę, książę de Conti ponowił swoje oświadczenie, lecz i tym razem bezskutecznie.

W niewesołym usposobieniu ducha po otrzymaniu nowego odko-

sza, dowiedział się książę, że do Paryża przybyła deputacya panów polskich z Andrzejem Mokronoskim na czele, w zamiarze bezpośredniego z nim traktowania. Celem téj deputacyi było wzmocnienie i odnowienie w Polsce partyi francuzkiéj. W przewidywaniu śmierci Augusta, utworzyło się w Polsce silne stronnictwo, w zamiarze zwerbowania sobie kandydata z rodu Bourbonów, by tym sposobem zapewnić sobie na nowo łaskę i opiekę Francyi.

Gorące i przekonujące słowa deputatów nie pozostały bez wpływu na umysł księcia de Conti. Postanowił on przenieść siedlisko marzeń swych i politycznych widoków z Rosyi do Polski. Udawszy się bezzwłocznie do króla, wyjawił mu treść rokowań z deputatami i prosił o pozwolenie udzielenia im przychylnéj odpowiedzi. Ludwik XV poznał odrazu korzyść, jaką dla jego własnych widoków kombinacya ta przedstawiała, a obok tego mógł mieć już w księciu de Conti sekretnego ministra, na którym mu tak zależało. Jak długo trwała wojna o sukcesyę austryacką, król ograniczał się na dawaniu tajemnych rad księciu de Conti, pozwalał mu wysyłać do Polski emisaryuszów i utrzymywać z Warszawą tajne stosunki. Po zawarciu pokoju, rola ta wyszła na szersze tory. Rozpoczęta się polityczna robota, mająca na celu oderwanie Turcyi, Polski i Szwecyi od rosyjskiego i austryackiego wpływu.

Elekcyja księcia de Conti do tronu polskiego, miała być wynagrodzeniem Francyi za dotychczasową jéj politykę i miała służyć odtąd za oręż przeciw Rosyi.

Środki podjęte w tych widokach, wyświetliła nam wydana nie dawno korespondencya sekretna Ludwika XV p. t.: „Correspondence secrète de Louis XV, publiée par M. Boutaric, d'après les originaux conservés aux Archives nationales. Paris, 1866.” Do wyjaśnienia tego ciekawego epizodu, służy również dzieło hr. Alberta de Broglie: „Secret du roi” i artykuł p. Józefa Łoskiego p. t.: „Wojciech Jakubowski marszałek polny wojsk francuzkich,” pomieszczony w r. 1873 w „Bibliotece Warszawskiéj.”

Narzędziami owéj walki dyplomatycznéj, stali się emisaryusze rozesłani do wszystkich dworów mocarstw Północy i Wschodu. Wybór był tu nader trudnym, lecz książę de Conti miał w nim przewagę stanowczą. Postarał się o załadnienie ambasad wyłączenie swoimi przyjaciółmi i poplecznikami. Onto zaproponował wysłanie do Konstantynopola hr. des Alleurs, stałego gościa pałacu du Temple, on wyjechał poselstwo pana des Issarts do Polski, kawalera de la Touche do Berlina, a markiza d'Havrincourt do Szwecyi. Zawiązała się tedy między owymi emisaryuszami a ich protektorem stała korespondencya, ukryta naturalnie przed wzrokiem sekretarza stanu do spraw zagranicznych, lecz dostępna wyłącznie oczom króla.

Takimi były początek i źródło słynnéj korespondencyi sekretnej, która przez czas długi mocno pokolenia następane intrygowała, aż do chwili, gdy ciekawość w téj mierze, choć w części wydawnictwami

o których wyżej mowa, zaspokojoną została. Zauważyć należy, że w epoce, gdy korespondencya wzmiankowana wzięta swój początek, markiz Puyseulx, minister spraw zagranicznych i przedstawiciel polityki francuzkiej, dzielił w zupełności poglądy króla i jego powiernika, choć takowych mu nie komunikowano. Sekretna korespondencya zatem, nie miała na celu, jak to błędnie sądzono, krzyżowania akcji dyplomacyi urzędowej, lecz stanowiła niejako sekretny jój aneks. Zbiór p. Boutaric obejmuje jedynie listy pisane przez króla do p. Tercier a następnie do hr. de Broglie w przedmiocie kierowania sekretnej korespondencyi w stronę tych agentów, którzy byli wtajemniczeni w tę intrygę. Instrukcyje przesyłane przez powierników myśli królewskiej rozmaitym agentom, odpowiedzi tych ostatnich, listy które Ludwik XV przysyłał im w ważnych okolicznościach, nie były znanymi p. Boutaric. Książę de Broglie miał je przed oczyma układając swoje dzieło. Dopiero p. Vandal zużytkował wszechstronnie ów materyał i z tego względu opowieść jego ma podwójną dla nas wagę.

Wiedział Ludwik XV, że w Konstantynopolu należy rozwinąć główną działalność, celem zaszachowaniu polityki rosyjskiej i wywarcia przez Turcyą wpływu na Polskę. Hrabia des Alleurs rozpoczął pierwszy ogień. Siłą zręczności i zabiegliwości dotarł on do głównego wezyra, przeniknął do Kızlar agi, naczelnika eunuchów, szerząc wszędzie ideę konieczności zreformowania armii i przeciwstawiając rublom rosyjskim pieniądź francuzki. Powoli też udało mu się odzyskać teren utracony przez Francycą w Turcyi. Wysoka Porta okazała się skłonną do podjęcia roli opiekunki interesów Polski i Szwecyi.

W trakcie tego Rosya zajęła Finlandycą, korzystając z niesnasek domowych zajątrzonych między rosyjskiem stronnictwem czapek, a francuzkiem kapeluszy. Powodem była oktrojowana Szwecyi po śmierci Karola XII konstytucya uprawniająca nieład w kraju.

Podczas gdy Rosya rozszerza granice swego państwa z uszczerbkiem Szwecyi, Francya odwołuje się do Turcyi, wzywając ją do stawienia oporu wzrastającemu wpływowi Rosyi. Turcyą usłuchała. 20 maja 1750 r. wręczono posłowi rosyjskiemu groźną notę turecką, z zapowiedzią zbrojnej interwencyi, w razie nie opuszczenia terytorium Finlandyi. Dwór St. Petersburski wyraził gotowość usposobień pokojowych, pod warunkiem, że konstytucya szwedzka utrzymana zostanie. Miało to wszystko na widoku zyskanie na czasie.

W koncu r. 1750 umiera król szwedzki. Tron objął po nim Adolf Fryderyk. W skutek oświadczenia jego, że żądane nowe reformy konstytucyjne podjętymi nie zostaną, Rosya opuściła Finlandycą.

Posuwając dalej swą politykę, Ludwik XV przeniósł walkę do Warszawy. Dotychczas ajenci francuzcy mieli za główne zadanie przeciwstawiać wpływom Wiednia i St. Petersburga, w sejmie Rzpłtėj i przy boku króla — wpływ francuzki. Pomocnikiem gabinetów rosyjskiego i francuzkiego we wszelkich tych działaniach skierowanych przeciw Francyi, był rezydent angielski kawaler Haubury Williams,

wielki intrygant, dyplomata zręczny, nienawistny Francyi. Dla zrównoważenia, a jeśli można i obalenia jego wpływu, dwór francuzki wysłał był w marcu r. 1752 do Warszawy, w charakterze ambasadora swego, hrabiego de Broglie. Na wyjeźdnem z Francyi, otrzymał on notatkę własnoręczną króla, w której wyczytał: „hrabia de Broglie da wiarę temu wszystkimu co mu wyłuszczy książę de Conti, i zachowa to w najgłębszej tajemnicy.”

To co książę de Conti miał oświadczyć panu de Broglie, polegało na wzmocnieniu stronnictwa francuzkiego i na rozpoczęciu otwartej w tej mierze walki. I instrukcyje nowego ministra spraw zagranicznych francuzkiego p. de Saint Contest, dążyły ku temu celowi. Dzieło księcia de Broglie „*Secret du roi*” (t. I, str. 50 do 111), obejmuje szczegółowo sprawozdania prac rezydenta francuzkiego w Warszawie, podjętych gwoli zniweczeniu intryg kawalera de Williams; opisuje ono zręczność p. de Broglie, któremu w krótkim czasie udało się zjednać szerokie koło partyzantów i doprowadzić do zerwania związanej już konfederacyi, która miała na celu narzucenie sejmowi praw przez Rosyą zadyktowanych, i w jaki sposób udało się odjąć Czartoryskim, przywódzcom owego stronnictwa, ordynacyą ostrogską. W ciągu niespełna lat dwóch, najwplywowsza część szlachty przejednaną została dla sprawy francuzkiej, a książę de Conti mógł już spokojnie pracować w osobistych swoich widokach.

Stan zdrowia Augusta III budził poważne obawy. Niechcąc aby śmierć króla zaskoczyła Francyą znieścacka, książę de Conti napisał do p. de Broglie, aby stawił jego kandydaturę i przygotował umysły do tej elekcyi.

Tym razem jednak, tajemna dyplomacya nie była w zgodzie z ministeryum. Systemat p. de Saint Contest polegał na ścisłym skojarzeniu elektorstwa saskiego z królestwem polskiem i na utworzeniu z owych ściśle ze sobą w jedno połączonych państw, bulwarku przeciw rosyjskim wpływom. Postawiony w tak trudnym położeniu hr. de Broglie, miał tylko wybór nieposłuszeństwa. Plan księcia de Conti wydał mu się niemożliwym do urzeczywistnienia. Opuszcza go więc rezolutnie i rozpoczyna działać na korzyść domu saskiego. Lecz i taka kombinacya grzeszyła niepraktycznością. Nie mogła się Francya spodziewać, iż wybór przez nią uczyniony będzie przyjętym, o ile sobie nie zjedna Fryderyka II, który jakkolwiek przedstawiał się sprzymierzeńcem Francyi, jednak energicznie tak przeciw jednej jako i drugiej oświadczał się kombinacyi.

Dnia 24 grudnia 1754 roku, Fryderyk w liście do pła swego w Paryżu, oburza się na intrygi hr. de Broglie. „Książę de Conti—pisał—uczyniłby dobrze, gdyby zapobiegł knowaniami swego ministra.” 18 października 1755 roku, rozważając hipotezę porozumienia między Francyą a Saksonią, oświadcza, że: „musiałby się w takim razie wycofać z gry i nie umaczałby pióra dla odnowienia traktatu z Francyą.”

W początkach r. 1755 hr. de Broglie zdawał się już być u kresu

swoich usiłowań. Otrzymał on od swego dworu upoważnienie do zawarcia z Augustem III traktatu przymierza: jako elektor, miał on dostarczyć Francji pomocy zbrojnej; jako król, miał wzbronić armiom rosyjskim raz na zawsze wstępu na terytorium polskie i zezwolić narodowi na zbrojne skonfederowanie się przeciw Rosji.

Jednocześnie p. des Alleurs zaproponował Turcyi ustanowienie punktów przedugodnych traktatu z Francją, na wypadek możliwych zawikłań w Polsce.

Pierwsza część planów Ludwika XV urzeczywistniła się. Wpływ francuzki wzmógł się silniej niż dotychczas, w Konstantynopolu, Warszawie i Sztokholmie.

Europa podzieliła się na dwa stronnictwa, gotowe rzucić się w wir walki. Z jednej strony Francya, mająca za sobą Hiszpanią, Włochy, Prusy, Szwecyą, Polskę i Turcyą; z drugiej Anglia, Austria i Rosya.

Najmniejszy powód do nieporozumienia między dwoma państwami, mógł rozpalic ogień walki w całej prawie Europie. Powód ten istniał w Ameryce, gdzie już oddawna toczył się między Anglią a Francją spór o granice ich wzajemnych posiadłości. W r. 1754 przyszło do otwartego wybuchu. Eskadry angielskie wędrowały po wszystkich morzach łowiąc francuzkie statki.

Czując się bezpieczną na swojej wyspie, Anglia nie była w Europie bezpieczną, gdyż posiadała na kontynencie elektorstwo hanowerskie, patrymonium panującej rodziny. Jerzy II zamierzał wziąć na swój żołd część armii rosyjskiej i w tym celu wysłał kawalera Williamsa z propozycjami do Drezna i St. Petersburga. Lecz i Francya nie była bezczynną. Następca p. des Alleurs, p. de Vergennes, podjął się misji podniecienia Turcyi przeciw Rosji i wciągnięcia do tego spisku kozaków zaporozskich. Wszystko już było przygotowanym do wybuchu, gdy nagle Ludwik XV jednym poruszeniem pióra obalił całą budowę dotychczasowych intryg dyplomatycznych.

15 maja 1755 r., przesyła on p. de Vergennes instrukcye wojownicze skierowane przeciw Austrii i Rosji. W rok później Francya i Austria zawierają przymierze a następnie w kilka miesięcy, wojska Imperatorowej Elżbiety wkraczają do Polski, tym razem z przyzwolenia i namowy Francji.

VI.

Zwrot dyplomatyczny z r. 1756 stanowi najważniejszy i najobfitszy w następstwa objaw XVIII wieku. Zerwał on nić tradycji, przeraził starych a doświadczonych polityków i zmienił stosunki międzynarodowe wielu państw. Następstw jego bezpośrednich nie należy szukać jedynie w połączeniu się Austrii i Francji, celem udzielenia nauki królowi pruskiemu, który przez swoją nieprawość i wyniosłość stał się zarówno nieznośnym dla Maryi Teresy, swój nieprzyjaciółki jak i dla alianta swego, Ludwika XV.

Jeśli potomność przez czas długi nie mogła należycie zrozumieć doniosłości wersalskiego traktatu, zawartego między arcychrześcijańskim królem z jednej, a cesarzową-królową z drugiej strony, to przyczyną tego była okoliczność, że na traktat ów zapatrywano się jako na objaw odosobniony, bez związku z całym szeregiem rokowań, jakie się prowadziły w rozmaitych okolicach Europy. Trzeba było dopiero doczekać się epoki, gdy tajne archiwa najważniejszych państw stały się dostępnymi dla badań naukowych, aby rola Rosyi w wypadkach przypisywanych wyłącznie udziałowi Francyi i Austrii, należycie wyświetloną została. Wiele światła rzuciły na przebieg tych wypadków dzieła p. Masson p. t.: „Memoires et lettres du cardinal de Bernis” (Paryż, Plon, 1878), d’Arnetha: „Geschichte Maria Theresia’s” według dokumentów wiedeńskiego tajnego archiwum, i dzieło p. Vandal’a, z którego obecnie zdajemy sprawę.

Pomijając już drobnostkowy wpływ pani de Pompadour, zadrażnietej w miłości własnej przez Fryderyka II, a zrzęcznie przez Maryą Teresę ujętej pochlebstwami, w obliczu nowych dokumentów, traktat wersalski przedstawia się jako dzieło obmyślane rozważnie i zadziwiająco konsekwentnie przeprowadzone.

Od dość dawnego już czasu starania Austrii celem zbliżenia Francyi ku sobie były widocznymi. Dopiero ambasador Kaunitz w r. 1755 otwarcie rozpoczął działać w tym kierunku. Ludwik XV zrazu nie zdecydowany, przedstawił ofertę Maryi Teresy ocenieniu opata de Bernis; lecz dopiero na skutek wdania się Rosyi w tę sprawę, nastąpił dawno oczekiwany zwrot w dyplomatycznych obu państw stosunkach.

Widzieliśmy, że na wiosnę r. 1755 kawalerowi de Williams przypadła w udziale misja wyjednanania u Rosyi pomocy materyalnej dla Jerzego II. Rosya tę pomoc w armii 70-tysięcznej za cenę stu tysięcy funtów szterlingów rocznie przyrzekła (Koch: „Table des traités,” tom II, str. 1).

Fryderyk II obawiał się obecności Rosyan. Traktat Williamsa przedstawił mu perspektywę zabójczych następstw utrzymania aliansu z Francją. Starał się przeto zbliżyć do Anglii, owocem czego był traktat zawarty 16 stycznia 1756 r. w Westminsterze, mocą którego, Prusy przyrzekły działać wspólnie z Anglią, przeciw każdej armii, któraby niemieckie przekroczyła terytoryum. Znaczyło to, że ostrze bagnetu zwrócono przeciw Francyi, o ileby ta do Hanoweru wkroczyć się poważyła.

Taka stypulacya była wprost przeciwną traktatowi, wiążącemu podówczas Francję z Prusami. Ale zdradziecki Fryderyk nie był wybrednym w środkach. Prawie pod oczyma p. de Nivernois, który z Wersalu przybył do Berlina celem odnowienia ekspirującego traktatu, Fryderyk II podpisał westminsterską konwencyę.

W odpowiedzi na tę zdradę, Ludwik XV przyjął ofertę Maryi Teresy i traktat wersalski zawartym został.

Jednocześnie między St. Petersburgiem a Wersalem agitowała

się jeszcze inna tajemnicza intryga. Pomimo chłodnego stosunku obu dworów, Elżbieta i jej powiernik Woroncow, zachowywali dla Francji uczucia sympatii. Ludwik XV ze swęj strony szukał w Imperatorowej jeśli nie sprzymierzenia otwartego, to przynajmniej mniej niebezpiecznego rywala, choćby nawet taką zmianę usposobienia przyszło okupić poświęceniem interesów starych aliantów Turcji i Polski.

Zależało więc na wyborze zręcznego pośrednika, któryby zdołał lody obojętności wzajemnych przełamać i oba dwory ściślej zbliżyć ku sobie.

Do pośrednictwa tak delikatnego użyto jednego z habitués pałacu du Temple, Szkota, kawalera Mackensie Douglas'a, poplecznika sprawy Stuartów.

Zadaniem jego miało być zbadanie gruntu na dworze St. Petersburgskim, charakteru doradców Imperatorowej i jej własnych poglądów na sprawy polskie, szwedzkie i tureckie.

Wszystkie te rady i instrukcje otrzymał Douglas na wyjeździe w małej tabakiereczce szyldkretowej z podwójnym dnem.

Letnią porą r. 1755 puścił się emisaryusz ten w drogę, lecz dla niepoznaki wędrował czas pewien po Niemczech, Saksonii, Austrii, Szlązku i Polsce, gdzie jako ciekawy turysta, zwiedzał kopalnie. Następnie ruszył do Gdańska, porozumiał się tam z partyzantami Francji i wreszcie stanął w Petersburgu.

Tu jednak misya jego napotkała na przeszkody tak ważne, że obawiając się losu poprzednika swego, Valcroissanta, zamkniętego za szpiegostwo w Schlüsselburgu, drapnął coby prędzej do Francji.

Po niejakiem jednak czasie wrócił na nowo do Petersburga w kwietniu 1756 r., gdzie doznał nader gościnnego przyjęcia.

Co spowodowało tak nagłą zmianę usposobień na dworze Imperatorowej? Rzecz to dotąd ciemna. Archiwa tajne o misyi pierwszej kawalera Douglas'a zachowują milczenie, natomiast wersya dość romantycznej treści, napełnia luki materyału piśmiennego i rzuca promyk światła na tę tajemniczą sprawę.

Podczas pierwszej swęj bytności w Rosyi, kawaler Douglas miał ze sobą młodziczką siostrzenicę, pannę Lię de Beaumont. Chroniąc się przed prześladowaniem Williamsa i Bestużewa, Douglas wyjechał; lecz pozostawił pannę de Beaumont pod opieką księcia Woroncowa, powiernika Imperatorowej. Woroncow przedstawił tej ostatniej piękną cudzoziemkę. Cesarzowa ujęta wdziękiem panny de Beaumont, mianowała ją frejliną na swoim dworze. Wkrótce téż frejlina stała się przyjaciółką i powiernicą Elżbiety i nieodstępną towarzyszką panny Daszkow, słynnej ze swych podróży, pism i awantur. Zachęcona tém przyjęciem panna de Beaumont, wyjawiała nagle przed cesarzową, o czém zresztą różni różnie na dworze już głosili, że nie jest kobietą, lecz mężczyzną, że się nazywa kawalerem Eon de Beaumont, z powodu cery swęj niewieściej i braku zarostu użytym za pośrednika do wręczenia cesarzowej własnoręcznego listu Ludwika XV.

Cesarzowa uśmieła się bardzo z owęj awantury i nietylko że nie oddaliła od siebie awanturnika, lecz zleciła mu oświadczyć królowi, że propozycją przymierza przyjmie pod rozwagę.

Eon de Beaumont wraca do Francji, znosi królowi wieść tak pomyślną, skutkiem czego Ludwik XV wysłał kawalera Douglas w charakterze posła oficjalnego do Rosyi, a p. Eon de Beaumont w charakterze jego sekretarza.

Takiemi były sprężyny, mocą których udało się Francji przełamać opór Elżbiety i nakłonić ją do wspólnego działania przeciw Fryderykowi, który z właściwą sobie bezczelnością w sierpniu 1756 napadł na Saksonię i zrabował archiwa w Dreźnie, doszukując się papierów, dotyczących spisku dyplomatycznego, przeciw sobie uknutego.

Marya Teresa dotkliwie uczuła się obrażoną napadem na swego sprzymierzeńca, elektora saskiego. Ludwik XV musiał jęj przyjąć z pomocą w myśl warunków traktatu wersalskiego.

Rosya ze swęj strony nie mogła się uwolnić od zobowiązań, zaciągniętych względem Austrii traktatem z r. 1746.

I oto zapaliła się w sercu Europy wojna, następstwem której było wysłanie przeciw Fryderykowi II armii przez trakt dawno wyczekiwany, tym razem przez samą Francją wytknięty—Warszawę.

Wypadki, jakie się wydarzyły na widowni rozpoczętej podówczas wojny, zarejestrowała historia. Są one zbyt znane, aby je potrzeba było w tém miejscu powtarzać.

Dla przyszłego ugrupowania stosunków dyplomatycznych w Europie, ważnym był krok zbliżenia się Francji do rosyjskiego dworu, na którym, jeszcze za życia Imperatorowej Elżbiety, rządziła żona Piotra III, następcy tronu, Katarzyna.

Kiedy w lipcu 1757 r. Ludwik XV wysłał do St. Petersburga ambasadora swego, p. de L'Hopital, pierwsze honory rezydencji cesarskiej czyniła postowi młoda, dowcipna i ocytana księżniczka Anhalt Zerbst.

Jako przyszła cesarzowa, Katarzyna za życia Elżbiety miała swoich ministrów i zauszników. Elżbieta miała za powiernika Woronowa, Katarzyna—Bestuzewa. Obok Elżbiety rządził Szuwałow, Katarzyna miała swego— w osobie Stanisława Poniatowskiego

Któżby mógł się być podówczas domyśleć, że ów 26 letni młodzian, którego głównem zajęciem było składanie hołdów bogini swego serca, stanie się z czasem następcą tronu Piastów i Jagielionów, że mając sobie losem wyznaczone długie panowanie, stanie się z czasem grabarzem własnego tronu i sprawcą nieszczęść ojczyzny własnej? Z świetnego pochodząc rod, spowinowacony z najmożniejszymi rodzinami w Polsce, Stanisław Poniatowski długo podróżował po Francji i Anglii, zanim się zwrócił ku Rosyi. W Paryżu, w salonie pani Geoffrin, dookończył swęj edukacji świeckiej i umysłowej. Utrzymywał stosunki z filozofami francuzkimi i jak wielu bardzo cudzoziemców owęj epoki, nienawidził Francji, naśladowując jęj maniery i obyczaje.

Był to typ skończony słowiańskięj piękności: wysunkły, blondyn,

o delikatnych rysach twarzy, o ruchach niewieścich. Miał w sobie więcej wyniosłości, aniżeli rycerskiej odwagi, świetności, niż gruntu moralnego: słowem, wszystkie zalety, niezbędne dla łatwych podbojów serc niewieścich. Katarzyna bardzo się zajęła młodym Polakiem i wyjednała dlań od Augusta III i ministra jego Brühla stanowisko posła Rzplitej przy dworze St. Petersburgskim.

Poniatowski wziął sobie za wzór kawalera Williamsa, a przybrawszy Bestużewa do związku, utworzył trójkę, której zadaniem było zjednanie wielkiej księżnej Katarzyny dla sprawy Anglii i Prus.

Posel L'Hopital dość bezwzględnie wyraża się, że trójca owa stanowiła „trio łotra, waryata i głupca” (le trio d'un coquin, d'un fou et d'un fat) (Arch. spr. zagr., 14 maja 1758).

Zadaniem p. de L'Hopital było złamanie oporu owych zauszników Katarzyny, zniweczenie ich antypatyi ku Francji i wciągnięcie w tryby téj polityki, jaka się podówczas agitowała przeciw Prusom.

Pierwsze kroki armii rosyjskiej pod wodzą Apraxina nie rokowały wielkiego powodzenia podjętej wojnie. Terytorjum Polski stało się widownią nadużyć ze strony wojska pomocniczego i sprzymierzonego, które, idąc przeciw Fryderykowi II, traktowało ziemię Rzplitej jako łatwą zdobycz. Kozacy dońscy zgłodniali i okrutni, Kałmucy azyatyccy sformowani w hordy niekarne, pustoszyli biedny kraj, uciskając mieszkańców i zabierając im dobytek. Za nimi szła armia regularna, ożywiona takąż samą do szlacheckiego kraju nienawiścią. Pobory, kontrybucye, ciężary, doraźne sądy i wieszania—oto był owoc téj nieszczęśliwej kampanii, zebrany przez Polskę nie dla jój interesu, lecz z woli i dla polityki Ludwika XV i Maryi Teresy. Partya tak zwana patriotyczna w kraju, z rozpaczą spoglądała na tę klęskę i szukała ratunku u rezydenta francuzkiego w Warszawie. Lecz coż mógł tu pomódz rezydent w obec faktu, że wszystko to działo się z wiedzą Francji i w bratnim sojuszu z nowym północnym sprzymierzeńcem?

Ludwik XV osobiście, być może, że i nie dzielił radości tych, którzy w takim stanie Rzplitej widzieli skuteczny środek dla przeprowadzenia ambitnych swych widoków. Wystanie ponowne hr. de Broglie do Warszawy, 1 lipca 1757 r., w epoce, gdy Rosyanie gospodarowali już na terytorjum Rzplitej, jest dowodem, że w głębi duszy Ludwik XV nie aprobował nadużyć, jakie się działy w Polsce.

W instrukcyi przez p. de Tercier hr. de Broglie przesłanej, najwyraźniej król oświadcza, że interesa Polski zawsze ma na pierwszym względzie. (Corresp. secréte, 1757). Jakoż, hr. de Broglie idąc w myśl téj wskazówki, starał się być tłumaczem krzywd Rzplitej, ponoszonych ze strony armii okupacyjnej, nietylko że się pod względem tych krzywd informuje, ale je prowokuje nawet. Dom jego stanowi zbiorowisko wszystkich uciśnionych, których żale i krzywdy przedstawia królowi Augustowi przy akompaniamencie natarczywych protestów i wysyła do St. Petersburga groźne noty.

Tym sposobem hr. de Broglie wstrzymuje nieco nacisk armii ro-

syjskiej, obawiającej się co chwila wybuchu powstania i daje czas Prusom do zorganizowania skutecznej obrony.

Podczas gdy Bernis hamuje nieco zapędy posła, pan Tercier podnieca go do czynów w imieniu króla.

Hrabia Broglie nie poprzestaje na dotychczasowej taktyce. Dowiedziawszy się że Rosya na wypadek śmierci Augusta III przygotowuje kandydaturę najstarszego jego syna, zbiera u siebie szlachtę, podniecając ją do oporu przeciw takim zamysłom.

Polityka francuzka ówczesna w kwestyi polskiej, pełną jest sprzeczności. Podczas gdy poseł l'Hopital w St. Petersburgu ma instrukcją oszczędzania wielkiej księżny Katarzyny i jój faworyta Poniatowskiego; w Warszawie p. de Broglie usiłuje wyjednać odwołanie młodego ambasadora Rzpltej. Książęta Czartoryscy, stojący na czele partyi rosyjskiej, budzili w nim obawę, iż przez krewnego ich będącego przy rosyjskim dworze, wolność polska na szwank narażoną być może.

Tak długo nastawał Broglie na odwołanie Poniatowskiego, że nakoniec August III przychylił się do tego żądania.

Gniw Katarzyny i oburzenie jój przeciw sprawcy tego dzieła, znalazły wyraz w poddaniu Apraksinowi myśli zatrzymania się w pochodzie przeciw Prusom. (Spr. zagr. l'Hopital, 14 maja 1758 r.). I w istocie, po bitwie krwawej, a nierozstrzygniętej pod Gros Jägersdorf, Apraksin cofnął się do oszańcowanego obozu i więcej się na teatrze wojny nie ukazał. Austriacy po zwyciężkiej bitwie pod Kolliuem, oczekują dalszego pochodu Rosyan. Francya bije Hanowerczyków pod Hastembeckiem, pcha naprzód księcia de Cumberland, wysyła na scenę wojny księcia de Soubise.

Fryderyk II mając tyły bezpieczne, rzuca się na Francuzów. Następuje krwawa walka i owoc jój—zwycięstwo Prusaków pod Rossbach.

Podczas gdy koalicja przeciw Fryderykowi II zawiązana, pragnąc powetować poniesione klęski, natęży siły dla zadania nieustraszonemu przeciwnikowi stanowczego ciosu; we Francyi następuje zmiana ministryum i kierunek sprawami zagranicznymi przechodzi w ręce hr. de Choiseul-Stainville.

W zamiarze zacieśnienia węzłów przyjaźni między Francją a Rosją, wysłał Choiseul do Warszawy markiza de Paulmy z wyraźną instrukcją porzucenia stronnictwa patriotycznego, zaniechania wszelkich środków dążących do odrodzenia Polski i stawiania jakichbądź przeszkód polityce rosyjskiej względem Polski.

„Podsycanie anarchii w Polsce, leży w interesie Francyi:” taką się stała dewiza nowego francuzkiego gabinetu. Ważna usługa wyświadczona koalicji przez Rosją zadaniem dotkliwej klęski Fryderyka II w bitwie pod Künersdorfem, umocniła Choiseul'a w zamiarach wielkiej względem północnego mocarstwa względności. W obec nowego kierunku polityki francuzkiej, jeden tylko Ludwik XV zachował osobiście żywe uczucie sympatyj dla Rzpltej, troszcząc się o jój przy-

szłość i o obsadzenie tronu przy następnej elekcji przez kandydata zarówno odpowiedniego dla interesu swobód Rzpltej, jakoteż i dla tradycyjnej sympatycznej nici między Francją i Polską.

To odosobnione stanowisko króla w obec radców korony francuzkiej i następstwa polityczne, jakie za sobą pociągnęło w ściślejszym skojarzeniu interesów i widoków trzech mocarstw: Rosyi, Prus i Austrii względem losów Rzpltej, stanowi przedmiot surowej krytyki nowoczesnych historyków francuzkich, a między innymi i p. Vandal, który, aprobując w zupełności politykę Choiseul'a i jego podkomendnych, upatruje w egoizmie i zaślepieniu Ludwika XV, źródło wszelkich nie-szczęść Francyi i jej bezsilności w najważniejszych kwestyach europejskich: wschodniej i podziałowej, jakie się niezadługo w sferze dyplomatycznych stosunków trzech skoalizowanych mocarstw agitować zaczęły.

Alexander Kraushar.

PIĘKNO

PLASTYCZNE I JEGO IDEAŁY

W UTWORACH SZTUKI KLASYCZNEJ I NOWOŻYTNEJ.

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Ujemności nowożytnej rzeźby.—Plastyczność osobą sztuki klasycznej.—Ideał plastycznego piękna u Greków.—Ich zabiegłość o rozwój fizycznych i estetycznych zalet ciała.—Zwrot w pojęciach ludów chrześcijańskich —Spirytualizm.—Nowe ideały.—Indywidualizm i uczucie w sztuce średniowiecznej.—Dwa różne ideały plastyki: Apollo Belwederski i Mojżesz Michała Anioła.—Wpływ antyków na sztukę.—Okoliczności tamujące prawidłowy rozwój ciała i brak pięknych jego okazów.—O znaczeniu antyków i żywej natury w sztuce plastycznej.—Prawda natury ogólna i prawda partykularna.—O szlachetności i trywialności konturów w postaciach ludzkich.—Czém jest realizm i naturalizm.—Malowniczość i żywioł dramatyczny w utworach rzeźby.—Michał Anioł i charakter jego dłuta.—Bernini.—Winckelmann i jego wpływ.—Canova, Thorwaldsen i Dawid z Angers.—Brak estetycznego poczucia i potrzeba teorii piękna.—Realizm nowoczesnych rzeźbiarzy.—Atalanta Pradiera i Venus z Milo.—O wzajemném uzupełnianiu się dwóch typów plastycznego piękna: męskiego i niewieściego.—Idealna piękność i szlachetna dystynkcyja typu skombinowanego.—Zjawienie się go w dawniej sztuce chrześcijańskiej.—Typ idealny w teatrze, beletrystyce i naturze.—Współczesna rzeźba pod tyranią zepsutego smaku publiczności.—Carpeaux i jego grupa przedstawiająca „Taniec.”—Naturalizm i poziomość natchnień.—Zakończenie.

W życiu artystycznym nowożytnych społeczeństw rzeźba nie odzyskała nigdy stanowiska, jakie między sztukami u starożytnych, klasycznych zajmowała ludów. W rozlicznych kierunkach swój pracy, ludzkość zdobywała sobie z biegiem dziejów nowe umysłowe widnokreśli, na nowe wkraczała tory, znacząc swój pochod dziejowy coraz to nowymi nabytkami; dodać jednak trzeba, że w tém ustawicznym naprzód

dążeniu, raz opieszalszóm, to znowu gorączkowém, nie zawsze zachować ona potrafiła zdobycze dawniejszych wieków; że z tych lub innych powodów często coś zaniechała, coś uroniła z dawnego ducha dorobku; a gdy jej przyszło się opamiętać i poza siebie obejrzeć, nie rychło spostrzegła stratę, która, w obec zmienionych warunków, nie zawsze odzyskać się dawała. Do takich zagubionych skarbów, niepodobnych już prawie do powetowania, do takich zaniechanych szlaków, na które, mimo wysiłków najgenialniejszych osobistości, nie udało się nam już później nawrócić, w dziedzinie sztuki należy rzeźba, sztuka ze wszystkich najplastyczniejsza.

Nie myślę twierdzić, jakoby czasy nowożytne nie mogły poszczycić się genialnymi rzeźbiarzami; wiadomo bowiem, że Włochy w epoce odrodzenia wydały świetny zastęp mistrzów, władających dudem niegoródzkiej starożytnych Greków; że zasłynęli jednocześnie i w krajach środkowej Europy Krafty, Vischery i Stwosze; że wreszcie i później, i dziś nawet, na cennych utworach dłuta nie zbywa. Stwierdzonym przecież jest faktem, że rzeźbiarzom nowożytnym, choćby najznakomitszym, braknie tego poczucia plastycznego piękna, z jakiego starożytni słyną mistrzowie, i że dlatego w utworach swych nie dosięgają oni do miary antykowych ideałów piękna.

Zaznaczenie tój różnicy między dziełami klasycznej a nowożytnej plastyki, w gruncie rzeczy nie daje podstawy do bezwarunkowego przyganiania artystom, że zesłi z torów wytkniętych przez greckich suycerzy; jak i ogółowi ukształconszej publiczności nie można mieć za złe, że zobojętniał na powaby plastyki, że w nich mniej gustuje niż w dziełach malarstwa, muzyki i poezji; że nawet braknie mu należycie rozwiniętego zmysłu estetycznego do ich ocenienia i odczucia. Taki bowiem stan rzeczy jest logicznym wynikiem całego przebiegu dziejów. Wytworzył się on pod działaniem tych samych cywilizacyjnych czynników, pod których wpływem rozwijały się i układały towarzyskie, moralne i umysłowe stosunki nowożytnych społeczeństw; te zaś ostatnie tak daleko odbiegły od norm ustroju starożytnego świata, że jak w moralności i religii, tak również i w sferze piękna, w sferze sztuki, będącej jak każdy inny objaw ducha wierném jego odbiciem, musiały dążyć do urzeczywistnienia innych ideałów. Minusy po jednej stronie, wetują się tu sownie plusami po drugiej. Bądź co bądź przecież nie przestaje być faktem, że pozbawiliśmy się całej i to bardzo rozległej sfery objawów piękna, piękna plastycznego, że do jego skarbów, rzecz można, klucz nawet zagubiliśmy. Harmonijna mowa marmurów i bronzów, mowa rytmicznych linii i idealnych pięknokształtów, którą niegdys Fidyasze, Mirony i Praksytelesy do spótczesnych sobie przemawiali, przestała być dla nas zrozumiałą.

Zadanie plastyki w duchu starożytnym pojętj, nie wybiegało po za ideał cielesnej piękności. Głównym jej celem było odtworzenie ciała człowieka, ale ciała w prototypowej czystości jego plastycznego i rytmicznego piękna; to jest, że nie naśladowała ona jego ułomnych czę-

stokroć wzorów w żywej naturze spotykanych, lecz odtwarzała je w myśl, że tak powiem, pierwotnej idei stworzenia, urzeczywistniającej się w naturze pod działaniem mnóstwa sił przypadkowych, które ją paczą i zacieraają. Poza te granice, plastyka grecka niedaleko już sięgała. Łatwo też pojąć, że w świecie chrześcijańskim dla sztuki tak pojętej nie mogło być stosownego miejsca, że entuzjastyczny jój kult mógł się przedewszystkiē zakorzenieć w starożytnēj Helladzie, przedstawiającej w ogóle tak uderzający kontrast ze światem dzisiejszym. Różnica, zachodząca między sztuką pogańską, klasyczną, a sztuką chrześcijańską, nowożytną, okaże się najdobitniēj, gdy utwory dłuta greckich mistrzów porównamy z naszymi rzeźbami. Postawmy obok posągu klasycznego, dajmy nato Herkulesa lub Jowisza, natchniony gorącą wiarą utwór chrześcijańskiego snycerza średnich wieków, jednę np. z tych rzeźb zdobiących portale świątyń romańskich lub ostrołukowych, a zrozumiemy tę różnicę.

U starożytnych Greków wszystkiē była piękna forma: zdawałoby się, że na nią jednę mieli tylko uwagę zwróconą: myśli, treści dość im było tyle, ile się jój w każdēj formie z konieczności zawrzeć musiało. Ich posągi, to ciała idealnēj piękności; ich ginachy, tragedye i epee przedewszystkiē harmonią rytmu, plastyką i w ogóle pięknością formy celują. O piękną formę ubiegają się nawet ich filozofowie, bo inaczejby ich może słuchać nie chciano; a historycy, jak Herodot, dla jój miłości nie wahają się częstokroć nawet istoty rzeczy, prawdy poświęcić. Dlatego cały ów świat helleński tak nam się posągowo pięknym i spokojnym wydaje, dlatego tak w nim wszystko zdaje się być skończonēm, zaokrąglonēm. I w istocie, stanowi on najplastyczniejszą w dziejach epokę: jest sam, rzecz można, skończonēm arcydziełem plastyki. Jakaś dziwna pogoda, jakieś bogie zadowolenie ze świata i życia, tchnie ze wszystkich produkcyi jego ducha, nacechowanych spokojem i przedmiotową trzeźwością poglądów. Ale właśnie ta przedmiotowość i trzeźwość wynikały z ograniczonēj względnie sfery ducha, w którēj się świat helleński z taką swobodą myśli i obyczaju obracał.

Ten zmysł Greków do odczuwania plastycznego piękna, to fanatyczne rozmiłowanie się ich w pięknych formach, zaznaczyły się dobitnie nawet w trybie edukacyi młodego pokolenia, którēj jednym z najgłówniejszych celów było rozwinięcie ciała i wypiełgnowanie jego estetycznych przymiotów. Przypomnijmy sobie tylko, ile to Grecyłożyli starania dla dopięcia tego celu. Bezwątpienia, już sam wpływ łagodnēj natury ich kraju sprzyjać musiał ich fizycznemu wykształtowaniu; atoli ćwiczenia ciała, rozpoczynane zwykle od lat najwcześniejszych, przyczyniały się najbardziej do nadania jego członkom owych form szlachetnych i harmonijnych, jakie się w greckich uwieczniły posągach. Wiadomo, że młodzi Spartanie musieli co dziesięć dni stawać nago przed eforami, którzy ich lustrowali, skazując tych, co nadmierne tyć zaczynali, na surową dyetę. Podobnież jedno z praw Pitagorasa zalecało wystrzegać się zbytniej ciała pełności.

„Wyobraźmy sobie, mówi Winckelmann ¹⁾, spartańskiego młodzieńca, zrodzonego z bohatera i bohaterki, który w niemowlęctwie swém nie był nigdy krepowany powijakami, który od siódmego roku życia sypiał na ziemi, a od najwcześniejszych lat ćwiczony był w szermierskich zapasach i sztuce pływania. Postawmy go obok współczesnego nam młodego sybaryty i osądźmy potem, którego z nich dwóch wybrałby artysta na wzór do młodzieńczego Tezeusza, Achilleusa lub nawet Bachusa.”

Greki strzegł się cielesnej brzydoty bardziej może, niż występku. Toż Alcybiades w młodości swęj dlatego jedynie zaniechał gry na flecie, że ta go do krzywienia twarzy zmuszała. A przykład jego był natychmiast przez wszystkłą młodzież ateńską naśladowanym. Grecy baczny tęż zwracali uwagę na naukę rysunku, tak zaniedbaną w dzisiejszym systemie wychowania: dawali oni kształcić w nięj swe dzieci, żeby im tą drogą otworzyć oczy na piękności ciała i nauczyć je cenić. To tęż na znawcach i fanatycznych wielbicielach piękna w Grecyi bynajmniej nie zbywało. Zgodnie z tēm usposobieniem Greków, publiczne igrzyska miały u nich znaczenie potężnej i cenionej wysoko instytucyi społecznej, one to bowiem były najsilniejszym dla młodzieży bodźcem do gimnastycznych ćwiczeń. Prawo przepisywało, żeby mający brać udział w igrzyskach olimpijskich, odbywanych co cztery lata w Elidzie, przygotowywali się do nich na miejscu przez dziesięć miesięcy. Przez cały ten czas wstrzymywać się oni musieli od mięsnych pokarmów, poprzestając na nabiale. Na tychże igrzyskach odbywały się konkursy piękności, a za odznaczenie się w nięj przysądzone bywały nagrody ²⁾.

Jak widzimy, cały stan rzeczy w starożytnęj Helladzie wytwarzał mnóstwo warunków, sprzyjających niezmiernie rozwojowi sztuki plastycznych, mianowicie rzeźby; ułatwiały one niesłychanie estetyczną edukację greckich obywateli, a jednocześnie nastęrczały artystom na każdym niemal kroku sposobność do studyowania form pięknie rozwiniętej natury ludzkiej, którą z taką starannością pielęgnowano. Najpiękniejsi młodzieńcy, zupełnie nadzy, tańczyli w teatrach greckich, a wielki poeta tragiczny Sofokles był podobno pierwszym, co w swęj młodości dał z siebie to widowisko swym współobywatelom. Dziewice spartańskie, które w ogóle odziewały się tak lekko, że ubiór ich zaledwie biodra osłaniał, w pewne uroczystości tańczyły zupełnie obnażone przed oczyma młodzieży. Słynna z wdzięków Fryne, kąpała się podczas igrzysk Eleuzyńskich w oczach wszystkich zgromadzonych Greków: artyści, patrząc na wychodzącą z kąpeli, mieli gotowy wzór do posągu Afrodyty, wyłaniającej się z piany morskiej ³⁾. Jednym słowem, zarówno artysta jak znawca i miłośnik piękna, mieli w Grecyi

¹⁾ Gedanken über die Nachahmung der griechischen Werke in der Malerei und Bildhauerkunst.

²⁾ Tamże.

³⁾ Tamże.

często możność obeznania się z plastycznymi powabami ciała ludzkiego. Gimnazya, w których młodzieńcy oddawali się ćwiczeniom ciała, zupełnie z odzieży ogołoceni, były prawdziwą szkołą dla artystów, którzy się tu schodzili studyować żywą naturę.

W takichto warunkach rozwijał się kult formy, kult plastycznego piękna u Greków, cechujący wszystkie ich utwory z dziedziny myśli i sztuki. Tylko przy współdziałaniu tylu sprzyjających czynników, mogła u nich rzeźba wznieść się na wyżyny ideału plastycznego piękna, nigdy już później nie osiągnięte ¹⁾. Jakże się tu dziwić, że u ludu co to piękno tak wysoko cenił, co do urzeczywistnienia jego ideału wszystkimi zniwierał drogami, hetera cieszyła się powszechną czcią, na równi z dostojną matroną i czystą dziewicą ²⁾.

Nie mogło być nawet mowy o takiej bałwochwalczej dla niego czci u ludów z późniejszej doby dziejowej, której stosunki układały się na wręcz odmiennych społecznych i moralnych zasadach; kiedy kościół krzewił naukę, że nie ciało pielęgnować, lecz że duszę kształcić i do jej uszlachetnienia wszelkimi siłami dążyć należy. Jakże ta ograniczona sfera ducha pogańskich Greków ciasną i ubogą wydać się musiała ludom chrześcijańskim, jakże ostro kontrastowała z nastrojem ich ducha, w którym pochodnia wiary tyle tęsknych, niezaspokojonych tu na ziemi żądź zapaliła, tyle rozległych przed jego oczyma widnokręgów roztoczyła, rozprzestrzeniając je w nieskończoność pozaświatowych celów!

W pojęciach moralnych tych ludów zaszedł zwrot stanowczy. Przejęte gorącą wiarą, nie pojmowały już one nawet owego entuzjastycznego uwielbienia formy, owęj apoteozy ciała; bo na to ostatnie nauczyły się zapatrywać jako na żywioł wrogi boskiemu pierwiastkowi człowieka, jako na podły zlepek, obracający się w proch, z którego powstał, gdy go duch zamieszkiwać przestanie. Owszem, z ciałem identyfikowano wszystkie przeciwieństwa, tamujące moralny rozwój człowieka. Dlatego walka przeciwko jego pokusom leżeć musiała w porządku rzeczy, pogarda ciała była ztąd następstwem naturalnym i logicznym, jego umartwienie stawało się zasługą.

Prosty ztąd wniosek, że i ów błogi spokój klasyczny ulecieć musiał z serc i umysłów, tyłoma uczuciami, tyłoma trwogami miotanych. W oczach ludzi, tak z gruntu teraz niepodobnych do owych klasycznych pogan, świat, ziemia przestały być zachwycająco pięknymi; przynajmniej nie budziły już tego, co dawniej, zapału; estetyczne ich

¹⁾ Dla czytelnika nieobeznanego bliżej z dziełami klasycznej sztuki, przyda się może wiadomość, że przy tutejszym uniwersytecie, w t. zw. Kazimierowskim Pałacu istnieje wcale zasobny zbiór greckich i rzymskich antyków w odlewach gipsowych. Ci, co nie mieli możności zwiedzać bogatych muzeów zagranicą, mogą tu zabrać znajomość z wielu znakomitszymi utworami dłuta starożytnych mistrzów.

²⁾ Winckelmann: Gedanken über Nachahmung der griechischen Werke.

powaby i płynące z nich rozkosze zmysłowe przestały bowiem wystarczać do szczęścia, odkąd myśl poza ich granicami ideałów swych szukać zaczęła. Mało ich obchodziła zewnętrzna, cielesna piękność człowieka; bo w rozumieniu ich, każde ciało stawało się pięknem, skoro je piękna zamieszkiwała dusza. Tak jak każda forma wydawała się im stosowną i piękną, byle doniosłą treścią była brzemiennea.

W obec nowych warunków duchowego życia, uczucie piękna klasycznego nikło, i z czasem zaginęło zupełnie. Stosunki moralne i religijne ułożyły się w sposób, niedozwalający nawet porównań pod tym względem ze stanem rzeczy u ludów starożytnych, i pociągnęły za sobą cały szereg zmian i następstw we wszystkich kierunkach pracy i myśli.

Tak więc odwrócenie się uwagi człowieka od rzeczy tego świata i skierowanie jej w głąb jego istoty, doprowadziło go do ześrodkowania wszystkich swych pragnień i celów w pracy około podniesienia i pokrzepienia swego ducha. Pozyskał on tym sposobem szerszy grunt do rozwinięcia swych wewnętrznych zasobów i do zapewnienia sobie indywidualności; nie było bowiem żadnej ogólnej miary, żadnej normy, podług której umysły i serca urabiaćby się miały. Potężniejący coraz bardziej indywidualizm, którego znamię człowiek wyciskał na wszystkim, czego się tknął, odbić się też musiał na utworach jego wyobraźni, na dziełach sztuki. Przytęm nowe estetyczne żywioły, wynurzające się stopniowo w zakresie artystycznej twórczości, rozwinęły znacznie sferę estetycznych ideałów ludzkości, zwracając działalność artystów na drogę najwłaściwszą do ich urzeczywistnienia.

Postacie rzeźbione lub malowane przez średniowiecznych artystów, oddalają się też nieskończenie od wzorów greckich, tak idealnie pięknych. Atoli gdy te ostatnie są raczej wcieleniem ogólnej idei człowieka, niż wizerunkiem jakiejś szczególnej, indywidualnej, wziętej z życia rzeczywistego postaci; tamte odznaczają się właśnie tęp, że są silnie indywidualizowane; a chociaż bywają one nie zawsze kształtne i plastycznie piękne, nie można im natomiast odmówić pewnego ruchu i życia, a nadewszystko piękna wyrazowego, które sobie w obliczu obrało siedlisko. Średniowieczni autorowie tych rzeźb i obrazów nie szukali wzorów do tych postaci ani w antykach, ani w naturze, lecz w głębi swego serca; niedołężnem częstokroć ich dętum i pendzlem kierowała naiwna a głęboka wiara, i dlatego ich utwory, acz im bardzo wiele pod względem artystycznym jest do zarzucenia, tęzną przecież podniosłą myślą. Ten to indywidualizm, który w płodach twórczego geniuszu chrześcijańskich ludów, w owych wizerunkach Chrystusa, Najświętszej Panny i świętych, zdobiących kościoły, tak się wymownie wypowiedział i dotąd wyraźną cechą chrześcijańskiej sztuki być nie przestaje, wystąpił z osobliwą siłą w dziełach sztuki ludów zamieszkujących ziemie bardziej ku północy wysunięte i bardziej zatem od siedlisk starożytnej sztuki oddalone, jak u Niemców i Polaków. W dziełach włoskich artystów ujawnia się on z nieco mniejszą siłą, bo go tu tłumilo pewne poczucie antykowego ideału formy, które się im

puścizną po starożytnym Rzymie dostało, a którém oni zawsze nad artystami z Północy górowali i dziś bodaj nad nimi górują.

Jednocześnie, obok mocno zaakcentowanego indywidualizmu, wynurza się w chrześcijański sztuce, mianowicie w rzeźbie inny jeszcze, nietyle może zasadniczo nowy, ile inaczej pojęty i zastosowany żywioł prawdy natury. Ta ostatnia była, jak to widzieliśmy, i dla starogreckich snycerzy największą mistrzynią; nie w tém przecież znaczeniu, by ci na każdym poprzestawali wzorze, jaki im żywa natura przed oczy stawiała; chociaż, jak wiemy, na pięknych wzorach im nie zbywało. Nosili się oni w myśli z prototypem téj natury, który na drodze studyów, kierując się wrodzonym instynktem estetycznym zdobyli; i te tylko kształty za wzór godny swego dłuta poczytywali, w których się plastyczna idea natury w całej swój odzwierciedlała czystości; a gdzie się czuć dawał jaki brak, gdzie się jakie nieestetyczne zboczenie nastęczało, tam oni naturę geniuszem swym w duchu owéj właśnie idei uzupełniali.

Takich idealnych kształtów, jakie np. nadał grecki mistrz Apollinowi Belwederskiemu, nie znaleźlibyśmy nigdy w naturze. Nie brał on ich bezwątpienia z żywego modelu, lecz tworzył według tkwiącój w cielesnej naturze człowieka ogólnej idei plastycznej, którą w posagu boga słonecznego do wymarzonego podniósł ideału. Zygmunt Krasiński, opisując w jednym z listów wrażenia swe z pobytu w Rzymie, przejęty uwielbieniem dla posagu Mojżesza, dłuta Michała Anioła, wyraził się, że Apollo Belwederski błędnie przy nim. Jestto tylko dźwięczny frazes, jak wiele mu podobnych. Dla wyżej zaznaczonych różnic, zachodzących między starożytną a nowożytną plastyką, czytelnik pojmie, że nie może być tu nawet mowy o porównywaniu z sobą dwóch tych arcydzieł dłuta, z których każde po swojemu jest znakomitým i nieporównaným. Sąd naszego wieszca w najlepszym razie dowodzi tylko, że jako nieodrodny syn swego czasu, napojony jego ideałmi, umiał doskonale odczuć piękności wielkiego dzieła chrześcijańskiej sztuki; gdy tynczasem brakło mu zmysłu do zmierzenia całej wartości posagu delfickiego boga i oczy jego prześlizgnęły się po powierzchni marmurowych kształtów, nie zdoławszy przeniknąć w głąb jego estetycznych tajemnic. Jeżeli potężny a wstrząsający swą wyrazową siłą posąg wielkiego prawodawcy Izraela można nazwać wcielonym dramatem dziejowym, to wrażenie, jakie odnosimy z widoku idealnie pięknego syna Latony, którego cała estetyczna potęga polega na zharmonizowaniu plastycznych i rytmicznych piękności ciała w dziwnie uroczy, a majestatyczną całość, moglibyśmy porównać do rozkoszy, doznawanej podczas słuchania symfonii. Prózna obawa, żeby posąg Apolina Belwederskiego mógł coś stracić na porównaniu go, choćby z takim Mojżeszem, żeby się dał jego blaskiem zaćmić. Tam uplastycznioną widzimy postać męża wielkiego ducha, a tak tytanicznej siły, iż odrazu jasnym staje się dla nas źródło téj władzy, jaką nad wyzwoloną z Egiptu

a krnąbrną rzeszą wywierał: tu olimpijskiego kosztujemy spokoju. Nie można tu ani porównywać, ani wybierać.

W chwili wyklarowania się nowożytnych stosunków, przypadającego na wieki XV i XVI, kiedy żadne uprzedzenia nie zaciemniały już poglądów na wartość umysłowych zdobyczy zapadłej pogańskiej przeszłości, a długo zapomniane skarby klasycznej literatury stały się przedmiotem ożywionych badań; kiedy i artyści, idąc za tym ogólnym ruchem umysłów, zaczęli odgrzebywać zabytki klasycznej sztuki, odtworzać jej formy i spożytkowywać je w nowożytnych celach: okazało się wtedy najlepiej, jak wielka zasadnicza różnica dzieliła dwie epoki dziejowe, które w wielu punktach, a między innymi i w sztuce, były wręcz nie do pogodzenia. Formy dawnej plastyki niezupełnie się do wyrażenia nowych idei nadawały, bo uleciał dawno ze świata duch, co je niegdyś stworzył i w nich się wypowiedział. Zachwycano się temi szczątkami, lubowano ich pięknnością, ale daremnie probowano tchnąć w nie życie. Skutek nie uwieńczył tych usiłowań zupełnie. Uskrzydłona myśl nowożytna nie chciała zamieszkać w tych kształtach pięknych cieleśnie, bo się w nich pomieścić już nie mogła. Skończyło się tedy na mniej lub więcej udatném naciąganiu tych form do nowych wymagań, i w rzeczywistości, cała epoka odrodzenia nie była bynajmniej wskrzeszeniem starożytnej sztuki, lecz tylko właśnie, takim jej form klasycznych przykrojeniem na nową miarę.

Jaką w ogóle ma wartość doba odrodzenia w rozwoju sztuki nowożytnej, jaki: dodatni czy ujemny na jej dalsze losy wpływ wywarła? Odpowiedź na to pytanie nie da się zawrzeć w jedném słowie i zresztą nie wchodzi ona w zakres niniejszego artykułu, którego ramy rozsądziłby musiała. Pamiętać jednak trzeba, że w świecie nic się dosłownie nie powtarza, że zatem i starożytna plastyka odżyła w całym majestacie swego olimpijskiego spokoju, zmartwychwstała z dziejowego grobu, nie mogła. Zresztą, wskrzeszenie jej było nietylko niemożliwem, ale i niepożądanem; jak niemożliwem i niepożądanem byłoby zawrócenie do dawno minionych społecznych i w ogóle cywilizacyjnych stosunków, których ona była wytworem. Natomiast stać się mogła i stać się była powinna światłem, rozwidniającem przebyte szlaki, gwiazdą przewodnią, chroniącą od fałszywych w przyszłości kierunków. I tak, zdaje mi się, niektórzy z wielkich mistrzów odrodzenia, pojmowali zadanie swojego wieku; wszakże nie wszyscy, i w tém tkwi ujemna strona wspomnianego okresu.

Ostatecznie z badania antyków, nie osiągnięto takich korzyści dla nowożytnej sztuki, jakich spodziewałyby się należało, bo nie wniknięto należycie w istotę ich piękna. Niebawem też artyści zwrócili się wyłącznie prawie do żywej natury, jako zrozumialszym, przemawiającą do nich językiem i interpretowali w marmurze z przedziwnem nieraz wirtuozyzmem dłuta jej kształty; ale w czystości i w szlachetności ich konturów, starożytnym rzeźbiarzom nie dorównali, bo ich wzoru sama natura dać nie mogła.

Nowożytny tryb życia nie bardzo sprzyja rozwojowi fizycznych i estetycznych własności ciała; system wychowania młodzieży nie prawie nie czyni dla osiągnięcia tego celu. Wprawdzie poziom publicznej moralności podniósł się niewątpliwie do miary nieznaną ludom klasy czynnym, i gdyby już nic innego, sami jeden ten fakt świadczyłby wymownie o cywilizacyjnej wartości nowych dążeń społecznych; ale i to niemiń jest faktem, że w skutek zaniedbania ciała, niezmiernie trudno jest znaleźć dziś człowieka pięknie pod każdym względem zbudowanego. Godzi się nawet wątpić czy znalazłby się taki jego okaz, coby wytrzymał porównanie z jednym z owych marmurowych posągów greckich, a t \acute{e} m sam \acute{e} m i wymagania artysty w zupełności zadowolić zdołał.

Pominąwszy znane już nam warunki, zapewniające Grekom harmonijny rozwój ciała; swoboda jego ruchów należała również do czynników, które na ukształtowanie się pięknego typu oddziaływały; zaś swobodzie t \acute{e} j sprzyjał sam ubiór, wygodny a nie wymyślny, który ruchom ciała najmniejszego nie zadawał przymusu. Jakże u nas inaczej i pod tym względem! Co warte są ze stanowiska wygody i estetyki nasze nowoczesne ubiory, obcisłe, niewygodne, uciążliwe, w których każdy żwawszy ruch czyni istną karykaturę z figury człowieka! Oneto wyrodziły ów przymus zawarcia się w pewnej kolekcji ruchów szablonowych, manekinowych, cechujących każdego przyzwolicie ułożonego człowieka, któremu, pod groźbą wystawienia się na śmieszność, przekroczyć ich niewolno. Uprzytomnijmy tylko sobie wszystkie owe kapryśne wymagania mody, którym tak pochopnie względy zdrowia, wygody i wrodzone uczucie piękna składamy w ofierze. Nie sąż one w porównaniu z pełnym prostoty strojem greckim istną torturą, wymyśloną jakby umyślnie na udrczenie ciała człowieka, na sparaliżowanie jego ruchów i zatamowanie naturalnego rozwoju członków, a więc i na ich oszpecenie? Nie sąż np. taką męczarnią, owe ciasne gorsety, wysokie i wiążące szyję kołnierzyki, sztywne krawaty, a przedewszystki \acute{e} m wszystkie rodzaje używanego dziś obuwia, dzięki któremu nie znaleźlibyśmy ani jednej zdrowo rozwiniętej, nieokaleczonej stopy. Piękny i konieczny mały bucik, który jest jedną z ambicji naszych modnych piękności, osłania częstokroć do potworności oszpeconą nóżkę. Nie pielęgnujemy więc ciała tak starannie jak Grecy, nie rozwijamy jego zalet fizycznych i estetycznych tak systematycznie jak oni, i dlatego nie stać nas na okazy pięknie zbudowanego ciała, tak niegdyś u nich powszechne.

Ale gdyby nawet natura samym zasobem sw \acute{e} j żywotności pokonała szczęśliwie stawiane j \acute{e} y rozwojowi przeszkody, gdyby o piękną budowę ciała istotnie łatwiej było u nas, niżby się z tego co rzekłem zdawało; to jeszcze nie mogłaby ona oddziaływać w takiej jak u Greków mierze na wyrobienie się naszego estetycznego uczucia, mianowicie na wykształcenie naszego gustu do plastycznego piękna. W obec dzisiejszych pojęć o t \acute{e} m, co jest obrazą wstydu, a co przywoitością—pojęć, których z nami pogańscy Grecy bynajmniej nie dzielili, nie moglibyśmy

z tój praktycznej edukacji korzystać. W czasach, kiedyśmy nawykli osłaniać się jaknajszczelniej od stóp do głowy, zwłaszcza téż w krajach północnych, których mieszkańców już sama surowość klimatu do takiego okrywania się zniewala: z widokiem ciała obnażonego, można się chyba bardzo rzadko, w wyjątkowych tylko spotkać okolicznościach. To téż natura, choćby w rzeczy samej najpiękniej ukształtowana, nie mogłaby dziś oddać artystom takich usług, jak niegdyś greckim snycerzom, którym, jak widzieliśmy, nastęrczało się tyle sposobności obserwowania pięknych proporcji i konturów.

Otóż, jak bijącą w oczy jest różnica między warunkami, w jakich kwitła sztuka plastyczna za klasycznych czasów, a temi, w jakich żyją i tworzą nowożytni artyści, tak niemniej uderającą jest ona między dziełami tych i tamtych. A jakkolwiek w zasadzie stoję w ogóle po stronie nowożytnych ideałów w sztuce, chociaż kierunki tój ostatniej, jako zgodne z nowemi umysłowemi prądami, uważam za uzasadnione, więc i słuszne; sądzę przecież, że jak w każdym innym zakresie pracy społecznej, tak i tu, nie powinniśmy tracić zdobyczy wieków minionych, tak po swojemu wielkich. Skoro nie tajną nam jest wysoka wartość dzieł sztuki greckiej, mianowicie skulptury; skoro godzimy się na to, że są one ostatnim wyrazem plastyki: dlaczego więc nie mielibyśmy z nauki przeszłości korzystać; dlaczego, zdobywając nowe dla artystycznej twórczości zakresy, mielibyśmy się wyrzec ideałów formy i pozbawić się przez to, jak już wyżej powiedziałem, całej a bardzo rozległej sfery pięknokształtu?

Zgadzam się, że piękno plastyczne nie może absorbować całego naszego entuzjazmu, jak niegdyś w Grecji i Rzymie; ale sądzę, że i ono pospołu z innymi ideałami piękna, powinno składać trybut estetycznym naszego ducha pragnieniom. Właśnie dlatego samego nawet, że społeczne towarzyskie i moralne stosunki nie dają nam możności kształcenia praktycznie naszego sądu o tém, co w plastyce prawdziwie jest pięknem; dlatego samego, powiadam, sztuka rzeźbiarska powinna wziąć na siebie ten obowiązek, zdobywając przez to rozleglejszą sferę działania i wpływu. Ale artyści, którym życie nie nastęrcza już dziś tak obficie i tak doskonałych wzorów pięknej natury, chcąc powyższego celu dopiąć, powinni starać się ją poznać ze starożytnych marmurów.

Nie w innym téż celu w akademiach sztuki, młodzież po lat kilka poświęca na studia z antyków, zanim się jęj do studyów z żywej natury wziąć pozwolą. Ma jęj to dać podstawę do zdrowego zapatrywania się na tę ostatnią. Czy to jednak skutkiem względnej krótkości i powierzchni tych studyów, czy skutkiem potrzeby częstego posługiwania się żywym modelem i obcowania z naturą, nie zawsze, niestety piękną: wspomniany system akademickiej edukacji nie wydaje pożądaných owoców. Artysta nie zawsze umie wskazówki antyku pogodzić z prawdą postrzeżanej natury, nie zawsze bowiem ma jasne pojęcie o tém, co w nięj jest typem a co tylko indywidualną stanowi właści-

wość. W obec spotykanych sprzeczności pozornych między antykiem a naturą, chętnie i bez należytej krytyki oświadcza się on na korzyść ostatniej, sądząc mylnie, że staje po stronie prawdy natury przeciwko jój opacznej interpretacyi. Zapewne, ciało choćby najniedoskonalsze, odtworzone dokładnie pendzlem czy dłutem, jest téż swego rodzaju prawdą natury, ale tylko jój prawdą, że się tak wyrażę, patologiczną; gdy tymczasem chodzić tu powinno jedynie o prawdę ogólną, typową.

Otóż więcéj jak pewna, że artyści częstokroć nie zdają sobie jasnej sprawy ze swego zadania, i że te dwie prawdy stapiają w jedném nie krytyczném pojęciu, które zaciemnia ich pogląd na żywą naturę. Ztąd to tak często, zamiast szukać jój prawdy w szlachetnych proporcjach członków, w harmonijnych ruchach i rytmicznych liniach, biorą za nią różne przypadkowe ułomności i zboczenia ciała, jak oszpecone chorobą lub nieumiarkowaném życiem torsy, różne zmarszczki i fałdy tworzące się na skórze, z powodu utracenia przez nią elastyczności i t. p. Wielki Rubens, którego obrazy zdumiewają bogactwem wyobraźni i czarują kolorytem, nie umiał nigdy w malowaniu ciała wznieść się ponad taką pospolitą naturę. Gdybyśmy obok posągu Wenery Medycejskiej, albo obok pełnych szlachetnego piękna postaci wyszłych z pod pendzla genialnego mistrza z Urbino, postavili „Trzy gracye” Rubensa (znajdujące się w galerii obrazów Akademii sztuk pięknych w Wiedniu), zrozumielibyśmy odrazu czém jest szlachetna czystość konturów, a co ich płaskość i trywialność stanowi. W utworach szkoły flamandzkiej i weneckiej znalazłoby się sporo podobnych przykładów; ale nie braknie ich i w dziełach spółczesnych artystów. Niektórzy nie cofają się nawet przed najpotworniejszemi szczegółami zwichniętej natury. Zdarzyło mi się widzieć malarskie studia jednego z naszych artystów, wykonane w cesarskiej Akademii petersburskiej, więc pod okiem tamtejszych profesorów i odznaczone jako wzorowe, w których owa mniemana prawda natury posuniętą była aż do przeniesienia na płótno z wielką skrupulatnością nagmiotków na nogach. Jest to tylko jeden przykład z tysiąca. Jaką korzyść, pytam się, przyniosło temu artyście i jego profesorom studyowanie antyków, któremu przecie każdy z nich kilka lat pracy poświęcił?

Zabierając się do wykonania jakiej kompozycyi, artysta stawia przed sobą żywy model, niekoniecznie szczęśliwie wybrany, i nie zadając sobie najczęściej trudu korygowania spotykanych uchybień, odtwarza go wiernie pendzlem lub dłutem, przeznaczając mu tę lub ową rolę w swym utworze. Nazywa się to realném traktowaniem przedmiotu. Tą samą zresztą drogą, posunąwszy się nieco daléj jeszcze, dochodzi się do tego, co w sztuce mianem naturalizmu określamy. Główną cechą tego ostatniego jest właśnie demokratyczne równouprawienie w obliczu sztuki wszystkich bez wyboru, chociażby najfenomenalniejszych zjawisk i zboczeń natury. Prawdziwe piękno ustępuje tu miejsca charakterystyce. Taki naturalizm daje widzom jedynie prawdę partyku-

larną, bo taka w żywej naturze jest najpospolitsza; obcą mu zaś jest prawda ogólna, typowa, jedynie sztuki godna.

Mniej nas dziwi brak rozwiniętego zmysłu do plastycznego piękna wśród ogółu ukształcenijszej nawet publiki; sami atoli artyści, zwłaszcza rzeźbiarze, powinni być wolni od tego zarzutu. Jakże bo zaszczyć się zdołają wśród ogółu poczucie tego piękna, jeśli go im samym częstokroć braknie? Przez przeniesienie w rzeźbie środka estetycznej ciężkości na siłę wyrazową i życie indywidualne, przez wprowadzenie do niej żywiołu dramatycznego i charakterystyki kosztem spokojnego piękna linii—jedynie jój właściwego, słowem przez wyłączenie zaakcentowanie prawdy natury, pojętej w sposób powyżej określony: w obec ograniczonych środków sztuki plastycznej, nie się wielkiego osiągnąć nie da. Malarstwo będzie tu miało zawsze zapewnioną sobie nad rzeźbą przewagę.

Natura, mianowicie owa natura powszednia, niewybredna, obejść się może doskonale bez odtwarzania jój, boć sama codziennie przed naszymi oczyma. Sztuka plastyczna ma inne zadanie, i wchodzi w drogę naturze nie potrzebuje. Jój celem jest dążenie do osiągnięcia ideałów pięknokształtu w granicach wytkniętych przez nowożytny kierunek myśli. A jakkolwiek niewłaściwem i krępującem polot wyobraźni wydać się może wszelkie ograniczenie artystycznej twórczości, sądziłbym przecie, że zawarcie się rzeźby w granicach tylko wspomnianych, wypływa z natury rzeczy i jest bodaj jednym z głównych jój żywotności warunków. Dlatego artyści, choćby i tacy co się zbliżyć zdołali pojęciem do antykowego ideału formy, niewłaściwie biorą się do odtwarzania dłutem postaci olimpijskich bogów i bogiń, bo jest to anachronizm; a szczególnie jest nim wszelkie zmyślanie owych nieskładnych personifikacji i alegorycznych figur, w duchu greckim tworzonych. Co nam po tych z obcego świata kreacyach, czyją wyobraźnię zdołają one porwać, kto w nie uwierzy? A cóż dopiero mówić o tych mitologicznych postaciach nowożytnego pendzla i dłuta, które artyści przyoblekają w najpospolitsze, najtrzywialniejsze kształty, a w których oczy widza, jak np. w owych korpulentnych Wenerach i Dyanach Mackarta, poznają jedynie opasłe Niemki? Co skłaniać może takich artystów do wybierania greckich przedmiotów, skoro im greckiego ciała, greckiej formy i greckiej duszy dać nie umieją? Mackart wprawdzie jest malarzem, a malarze, dzięki urokowi kolorytu, wiele sobie pozwolili mogą, wynagradzając brak szlachetnej piękności efektami innego rodzaju. Zawsze jednak jest on przykładem jak dziś t. z. realiści zapatrują się na piękno natury, jak grecką pojmują plastykę. Rzeźbiarze, trzeba im to przyznać, bywają o wiele wybredniejszymi co do szlachetności i czystości konturów; nie dlatego żeby t. z. realizm nie miał między nami hołdowników, ale że bądź co bądź, poczucie plastycznego piękna nie pozwala im po za pewne posunąć się granicę. Wyjątki przecie i tu bywają.

W miarę jak estetyczny zmysł człowieka zaczął zwracać się prze-

ważnie ku sferze piękna malowniczego, wyrazowego, dramatycznego; jak wzrastała potrzeba form stosownych do wyrażenia rozsadzających pierś uczuć i ideałów; malarstwo, poezya i muzyka przedewszystkiem wypłynąć na wierzchu musiały. Plastyka właściwa, rzeźba, zmalowała odtąd w swém znaczeniu; a jeśli mimo to żyć nie przestała, to dlatego jedynie, że wyrzekłszy się antykowych ideałów i ona też unieść się dała nowym estetycznym prądom, i że żywioły obrazowy, malowniczy i dramatyczny, rozpanoszyły się w niej ze szkodą prawdziwego piękna plastyki, wyciskając na nią znamię zgoła odrębne od téj spokojnej, majestaticznej piękności, jaką tchną dzieła starogreckich snycerzy. Z pod dłuta słynnych mistrzów odrodzenia, wychodziły bardzo cenne utwory, odznaczające się wytworną robotą, mające wiele malowniczego powabu i wdzięku; ale piękna czysto plastycznego, nie znajdujemy już w nich w téj mierze, jak w dziełach klasycznej Hellady. Jeden z nich tylko Michał Anioł stanął na téj wyżynie, i to jedynie w postaciach męzkich, silnych, muskularnych — tak odpowiadających duchowemu usposobieniu tego tytana; nigdy zaś nie osiągnął on téj estetycznej miary w kształtowaniu subtelných piękności ciała młodocianego lub w odtwarzaniu łagodnego piękna linii kobiecych postaci, które pod jego ręką, jak to już Winckelmann ¹⁾ zauważył, przedzierzgały się w hartowne, muskularne amazonki. W jego dziełach jest potęga, są one wymowne siłą uczucia, dramatycznością swéj akcji, którą silnie do imaginacyi widza przemawiają; posiadają zatem wiele przymiotów nieznaných greckiej skulpturze, ale najczęściej na nich musimy poprzestać. Sfera to, jak widzimy, niezmiernie rozległa—rozleglejsza od téj, w jakiej się niegdyś greccy snycerze zawarli—i dla twórczego geniuszu tém samém wdzięczniejsza. Tylko że zbyt może jednostronnie w tym kierunku pojęta i rozwijana, skulptura straciła wiele na idealnej form piękności.

Nie wychodząc z téj rozległej sfery, nie powracając na dawno zaniechane szlaki, z których sam bieg dziejów ich sprowadził—artyści przecież powinni by wyciągnąć wszelką możebną korzyść z dzieł starożytnéj plastyki i nauczyć się interpretować żywą naturę tak, jak to greccy mistrze umieli. Niestety, nie wszyscy z nowoczesnych artystów przyznają ich dziełom tę niespożyłą wartość dla sztuki. Bywają artyści tak nawskroś przesiąkli nowymi teoryjkami, pozbawieni tak dalece zdrowego estetycznego instynktu, że właśnie utworom greckiej plastyki zaprzeczają téj wyższości; że ją uważają za chorobliwy wytwór fanatycznego entuzjazmu dla wszystkiego, co pleśń wieków pokrywa. Z takimi trudna sprawa. Już słynny Bernini odmawiał przecie Grekom zarówno pięknej budowy ciała jak idealnej piękności ich figur. Zdaniem jego, sama natura najlepiej umie nadać kształtom ciała pożądaną piękność; zadaniem sztuki jest tylko umieć wykryć te piękno-

¹⁾ Gedanken über die Nachahmung der griechischen Werke in der Malerei und Bildhauerkunst.

ści. Szczycił się on tém, iż zdołał się otrząsnąć z przesądu w jaki był wpadł badając plastyczne wdzięki Venery Medycejskiej, i mniemając że są one jój tylko właściwemi, a które następnie, po długich studyach, odnalazł w żywej naturze. Ale, jak się z tego właśnie pokazuje, owa to Venus nauczyła go wykrywać w naturze piękności, które, jak mu się przedtém zdawało, tylko w niej mógł podziwiać; i gdyby nie posąg Venery, nie przyszłoby mu może na myśl szukać ich w naturze ¹⁾.

Tój wzmianki dosyć dla tych, co mogą być jednego zdania z przytoczoną włoskim mistrzem. Dodam tylko że Bernini, gdyby go stać było na zdrowszą krytykę zabytków starożytnój sztuki, może byłby uniknął w swych figurach ekliwój często miękkości i grymasów, które-remi chciał im dodać wdzięku—na ten ostatni bowiem punkt lubił kłaść nacisk w swych dziełach. Ale Bernini (1598—1680) należy już do okresu upadającej sztuki włoskiej, która niedługo umiała utrzymać się na stanowisku, na jakie ją Buonarotti i Rafael dźwignęli. Ci jednak czcili wysoce antyki i studyowali je. Ostatni wysyłał nawet młodych swych uczniów do Grecyi, żeby je na miejscu przerysowywali dla niego.

Sumienne studia Winckelmana (1717—1768) nad starożytnościami klasycznymi, których owoc złożył w powoływanych niejednokrotnie w niniejszej pracy pismach, przyczyniły się nie mało do otwarcia artystom oczów na wartość tych zabytków. Wprawdzie Winckelmann nie zawsze jest w posiadaniu klucza do wyjaśnienia estetycznych tajemnic klasycznej sztuki; a lubo często trafia dzielnie w istotę rzeczy, zdarza mu się też tu i owdzie kołować i tracić grunt pod nogami. Dlatego wskazówki, jakie daje artystom i miłośnikom sztuki, powinny być przyjmowane z pewną ostrożnością. Tak np. zagalopowawszy się w uwielbieniu idealnej skulptury Greków, olśniony jój majestatycznym spokojem, źródła tej potęgi wrażenia szuka w nieco opacznych wyjaśnieniach. „Na jedności i prostocie—powiada on—polega wzniosłość każdego piękna, tak jak od tych samych własności zawisła wzniosłość wszystkich naszych słów i utworów; co bowiem jest wielkie samo przez się, wykonane czy wyrażone z prostotą, staje się wzniołym” ²⁾. Dodać dobrze. Ale niżej nieco czytamy: „Z jedności wypływa inna własność, stanowiąca o wzniosłości piękna—jego nieokreśloność; to jest, że jego formy nie dadzą się żadnemi punktami ani liniami ustalić, jako jedynie do wyrażenia piękna zdolne; jest to zatem kształt nie mający nic wspólnego z postacią tej lub owój osoby z rzeczywistego świata, i nie wyrażający żadnego określonego stanu umysłu lub namiętności; te bowiem domieszałyby do piękna obcych mu żywiołów i naruszyły jego jedność. Według tego pojęcia, piękno przyrównaiby można do najdoskonalszej wody zaczerpniętej u źródła, która im muiéj ma po-

¹⁾ Gedanken über die Nachahmung der griechischen Werke in der Malerei und Bildhauerkunst.

²⁾ Geschichte der Kunst des Alterthums.

smaku, tém za zdrowszą, jest poczytywana, jako od wszelkich obcych przymieszek wolna" ¹⁾. Tu już Winckelmann posunął się zadaleko. Słusznie téż prostuje go w tém miejscu Carrière, który właśnie tę wodę dystylowaną uważa za niesmaczną, podstawiając raczej w jéj miejscy czyste wino piękna; „smak jego—powiada—przypomina winne jagody, z których je wyciśnięto i ziemię na którój wyrosły; ma ono właściwy sobie bukiet, ale przefermentowało i ustało się bez obcych dodatków" ²⁾.

Winckelmann sam zresztą w inném miejscu zwraca uwagę na typową różnorodność przedstawionych w plastyce bóstw greckich, idealnie pięknych a przecie mających swój indywidualny charakter, jak znane nam posągi Zeusa, Hery, Herkulesa, Dyany, Pallas-Athene; co by miejsca mieć nie mogło, gdyby tworzone były według jego teorii. Wreszcie to co pisze o grupie Laokoona i wielu innych arcydziełach starożytności ³⁾, świadczy że powyższej swéj teorii nie brał na seryo. Bądź cobądź, gruntowny ten znawca starożytności, pismami swemi wywarł wpływ na współczesnych i potomnych artystów, którzy zwrócili się do antykowych wzorów. Przerzucono się tedy w nowy kierunek; ale przerzucono bodaj zajadnostronnie, nie trafiając na właściwą drogę, do odszukania którójśnac brakło ówczesnemu pokoleniu artystów zdrowego instynktu. Z malarzy wymienię tu Francuza J. Davida, który prym wodził między takimi zaślepionymi a powierzchownymi naśladowcami klasycznej plastyki i niemca Rafaela Mengsa, który przez swój klasycyzm przyczynił się bezwzględnie do podźwignienia sztuki z upadku; ale ani we Francyi, ani w Niemczech zwrot ten w malarstwie do wielkich rzeczy nie doprowadził.

Zastosowanie poglądów Winckelmanna do rzeźby było pomyślniejszém w skutki; chociaż dzieła Canovy i Thorwaldsena właśnie najdowodniej przekonały, że zalety starożytnej plastyki nie dawały się tak łatwo osiągnąć z pomocą jego wskazówek i przepisów. Tajemnica uroku greckich marmurów niezupełnie była wyjaśniona. Canova cenił starożytność i całą siłą swego geniuszu dążył do szlachetnej czystości konturów i harmonijnego piękna greckiej skulptury; a jednak w najszcześniejszych nawet swych dziełach, nigdy im zupełnie nie dorównał, w wielu zaś wpada w oschłość i ubóstwo linii. Thorwaldsen, który téż na naturę oczyma Winckelmanna chciał się zapatrywać, nie był od Canovy szczęśliwszym. Więcej w nim może indywidualności i siły, ale te żywioły nie kojarzą się w jego dziełach harmonijnie z greckim żywiołem formy. Traktowane przez jednego i drugiego przedmioty mitologiczne lub z klasycznych zaczerpnięte dziejów, zdają

¹⁾ Geschichte der Kunst des Alterthums.

²⁾ Die Kunst im Zusammenhange der Culturentwicklung und die Ideale der Menschheit. Tom piąty tego dzieła wyszedł w przekładzie polskim p. t.: „Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku,” wydawnictwo Glücksberga.

³⁾ Geschichte der Kunst der Alterthums.

się najlepiej świadczyć, że pseudo klasyczny ten kierunek doprowadził ich do pewnego wyosobienia się duchem z pośród bieżących życiowych stosunków, których tętna należycie nie odczuwali, więc i natchnień z nich czerpać nie mogli. To też entuzjazm jaki obudzili, był sztucznym, powierzchownym, nieprzenikającym do głębszych warstw publiki. David z Angers (1789—1856) uczeń Canovy, umiał już lepiej godzić wymagania czasu z prawdziwie klasycznym poczuciem formy; ale David, niestety, nie znalazł naśladowców, a raczej tym ostatnim brakło jego geniuszu, jego artystycznego poczucia.

Nie myślę posuwać się tu aż do wskazywania drogi współczesnym rzeźbiarzom; bo jak z jednej strony jestem przekonany, iż żadne teoretyczne wskazówki na nic się tu nie przydadzą; tak z drugiej nie wątpię, że usiłowania samych artystów prędzej czy później wyprowadzą ich z błędnego koła, w którym się społeczna sztuka obraca. Łatwiej wytykać błędy tego lub owego kierunku, niż wskazywać niemyślne sposoby ich uniknięcia. Nie mogę jednak pominąć uwagi, jaką nastęrcza mi to nie wyklarowane estetycznie stanowisko, jakie rzeźba w rzędzie dzisiejszych sztuk zajmuje, a skutkiem którego nie dość jest wpływową i popularną. Zdrowy instynkt publiczny znajduje coś niewłaściwego w tych klasycznych reminiscencyach, z którymi spotyka się tak często w spiżowych posągach monarchów i wodzów, siedzących na rumaku boso i bez strzemion, w stroju rzymskich imperatorów. I ma słusność. Brak w tém niewątpliwie zdrowego sensu, jak go brak w niektórych posągach społecznych nam znakomitości, przekazywanych w stroju Adama w raju, czci i pamięci potomnych. Taki up. nagi posąg księcia Alberta w Londynie, z dodatkiem jeszcze owęj rury gazowej, którą praktyczni synowie Albionu do jego powierzchni przymocowali, pobudza mimowoli widza do wzruszenia ramionami. Zaiste naiwny to sposób godzenia starożytnej plastyki z nowymi celami. Nie dziwię się też nieprzyjemnemu zdumieniu, jakiego doznał Napoleon Bonaparte na widok swego posągu, dłuta Canovy, przedstawiającego pierwszego konsula w klasycznej nagości i bez wojennego rynsztunku. „Cóż u dyabła—zawołać miał wielki wódz—myśli sobie ten Canova: że się bije na pięści!”

Nie wiem gdzieś już wyczytał tę trafną uwagę, że najobszerniejsze i najznakomitsze prace prawodawcze przypadają na czasy powszechnego rozprzeżenia obyczajów. Słynny kodeks Justyniana, a może i działalność prawodawcza naszego sejmu czteroletniego, zdają się dawać podstawę do takiego twierdzenia. Tłómaczyć trzeba to sobie tak, że zachwianie się fundamentów społecznej budowy w skutek zacierającego się uczucia sprawiedliwości i obowiązku, wywołuje potrzebę subtelnych postanowień, któreby broniły pierwszej i uczyły drugiego. Coś podobnego powtarza się również na polu sztuki i jej teorii. Grecy nie zdobyli się na napisanie ani jednego traktatu o estetyce w zastosowaniu mianowicie do sztuk plastycznych; o naturze piękna zaledwie u Platona znaleźć można kilka, prawda że wcale trafnych uwag. Nie

przychodziło wówczas do głowy nikomu ująć w pewien naukowy system tego, co powszechnie rozumianém i odczuwaném było. Do naukowego traktowania filozofii piękna i sztuki, wzięły się dopiero od niedawna narody nowożytne, a z pośród tych przedewszystkiem północne, to jest od natury obdarzone więcej głębokiém uczuciem niż zamiłowaniem do plastyki, w której znowu ludy południowe nad niemi górują—jak się o tém z porównania choćby poetów przekonać można.

Ojczyzna „narodu myślicieli” Niemcy, w których pierwszy nowożytny estetyk Baumgarten (1714—1762) ujrzał światło dzienne, wydała ich na świat najwięcej i dotąd nie przestaje sypać jak z rogu obfitości różnemi estetycznemi teoryami. Tu jednak nasuwa się na uwagę, że ci najbliżsi nasi od Zachodu sąsiedzi, w rzeczach gustu i poczucia piękna, nie najlepszą nawet między narodami północnemi cieszą się reputacją. A choć niewątpliwie przesadził ten co twierdził, że po przeczytaniu wszystkich estetycznych traktatów, wszystkich dzieł z zakresu filozofii piękna, wiedział tyle o jego naturze, ile przed zabraniem się do téj lektury; bądź cobądź, istota piękna nie została należycie wyswietlona i praktyczny wynik tych prac teoretycznych, nie odpowiada ogromowi zadrukowanej bibuły. To pewna, że piękno, tkwiące z jednej strony w sferze pojęć, z drugiej sięga w sferę uczucia, i że nawet głównie do téj ostatniej należy. Samém pojęciem nigdy bodaj jego istoty nie przenikniemy, nie ogarniemy wszystkich jego pierwiastków; zkądinąd znowu, przy przebijaniu naszych uczuć na zdawkową monetę wyrazów—pierwsze wiele tracą na prawdzie. „Język kłamie głosowi, a głos myśli kłamie,” jak mówi poeta.

Koniec końców, artysta, zwłaszcza rzeźbiarz, któryby chciał szukać w książkach oświecenia co do celów i zadań sztuki, oraz dróg do niej wiodących, doznaje niemiłego zawodu. Tém może poczęści tłómaczy się ich niechęć do książek i poleganie we wszystkiém na intuicyi, co znowu ma swoje złe strony. Współcześni rzeźbiarze nie hołdują już rzekomemu klasycyzmowi Canovy i Thordwalsena, ale tém niemniej nie odzyskali straconej od wielu wieków busoli. Przekonawszy się, że ślepe naśladowanie antyków w duchu Winckelmanna nie wiedzie do celu, powrócili znowu z większém zaufaniem do żywej natury, słusznie sobie rozumując, że ona i Greków pierwszą była nauczycielką i że zatem lepiej czerpać naukę u źródła, niż z drugiej ręki, chociażby od Greków. Nie zrozumieli przecież jednéj ważnéj okoliczności, że przy czyna małych względnie rezultatów dla sztuki owego kierunku, leżała nie w zwrocie do starożytnéj plastyki, lecz właściwie w niedostatecznym zbadaniu jéj istoty i w powierzchowném tylko jéj form naśladowaniu. Odtąd w skulpturze zaczyna się szerzyć realizm, który, muszę przyznać, znalazł istotnie genialnych przedstawicieli. W sposobie zapatrywania się na zadanie sztuki ujawniły się atoli pewne różnice, pewne odcienia kierunków. Gdy jedni, jak Pradier (1792—1852), mimo przeświadczenia się o potrzebie realnego traktowania natury, dbali przeciwieź o szlachetną prostotę układu i czystość konturów, niezupełnie zrywa-

jąc z nauką, jaką ze studyowania antyków wynieśli; inni, jak współczesny nam Carpeaux (ur. 1827), zarówno w kompozycji, jak w sposobie naśladowania natury, stoją na gruncie naturalizmu.

Gdyby naśladowanie natury, chociażby takie, jak je Pradier pojmował, stanowiło ostateczny cel plastyki, jego Atalanta byłaby niezaprzeczoną arcydziełem, jak zresztą jest nióm ze względu na wysokie zalety dłuta, które nigdy zda się przedtem nie osiągnęło takiego doskonałości stopnia w wydobywaniu na jaw różnych subtelności plastycznych. Niestety, piękny posąg Pradiera, stawiony obok starogreckich marmurów, gaśnie przy nich, choć z tych ostatnich żaden takimi zaletami nie celuje. Mówiłem już wyżej, co rozumiem przez miano prawdy natury w sztuce; otóż dzieło Pradiera jest tylko genialną interpretacją owęj prawdy szczegółowej, indywidualnej; nie wznosi się ono do idealnej piękności form, i dlatego musi tracić na porównaniu go z taką Venus z Milo.

Kto nie podziwiał majestatycznej piękności tego ostatniego posągu, ten czytał lub słyszał przynajmniej o wysokich jego estetycznych zaletach. A jednak pod względem realnej prawdy natury i wytworności dłuta stoi on nieskończenie niżej od wielu dzieł nowożytnych. W oczach Venery z Milo brak najprzód symetrii, gdy bowiem lewe zdaje się być podniesione ku niebu, prawe natomiast ku ziemi jest skierowane; jedna połowa jęj lica jest cokolwiek szczuplejsza od drugiej, co znowu narusza symetrię; tors ma bardzo pięknie ukształtowany; ale nogi, gdyby je w myśli ogołocić z draperyi, okazałyby się tak kościstemi i suchemi, jakby do męzkiej należały figury; nareszcie stopy, o męzkich również konturach, ani porównywanemi być nie mogą z drobnymi a wytwornie modelowanymi stopami Atalanty Pradiera. Można by prawie mniemać, że przez jakąś pomyłkę, tors kobiety osadzony został na nogach należących do męzkiej figury.

„Lecz gdybyśmy, pisze D'Orcet ¹⁾, sprobowali pozbawić oczy owęj zézowatości i przywrócić symetrię policzkom; gdybyśmy skrócili nogi, pozbawili je téj masywności i nadali stopom więcej lekkości: spostrzeżlibyśmy ze zdziwieniem, żeśmy zniweczyli zupełnie charakter i wdzięk ogółu. Ta zézowatość oczu i ta masywność dolnej części figury, stanowią więc nierozdzielną część jęj piękności.

„Taką samą zézowatość i takie same męzkie nogi spotykamy we wszystkich wariantach Venery z Milo. Byłoby to wynikiem nieudolności artystów z owęj epoki? Z pewnością nie. Stopy Venery Medycejskiej, pominawszy stopy Atalanty Pradiera, są z pewnością najdrobniejszemi, jakie istnieć mogą; jęj nogi mają kontury pełne niewieścięj miękkości, jęj barki pozbawione są całkowicie owęj potężnej budowy, która figurze Venery z Milo dodaje tyle pełności, zaś jęj oczy rzucają najzupełniej proste spojrzenia. Na pierwszy więc rzut oka widać, że Venus Medycejska jest o wiele poprawniejszym odtworzeniem żywej na-

¹⁾ De l'androgynie dans l'art ancien et moderne.

tury, niż Venus z Milo. Zkądże więc to pochodzi, że nie sprawia ona tak wspaniałego wrażenia? Oto ztąd, że Venus z Milo jest typem skombinowanym, w którym siła męzka łączy się w pewnej mierze z miękkością i wdziękiem niewieścim."

Tłómaczy to nam tajemnicę, dlaczego wobec posągu Venery z Milo i sławna Atalanta Pradiera razi pewną popolitością linii. Rzeźba, ta sztuka idealnych pięknokształtów, jest wiecznie skazana na niepokalane dziewictwo konturów; a jakżeby ona mogła inaczej pozbawić naturę niewieścią pewnej banalnej miękkości linii, jeśli nie przez umiejętne zaakcentowanie w jęj konturach natury płci silniejszej? Poza granicami tego skombinowanego typu, niema bodaj w plastyce prawdziwego ideału młodości. W takim pojęciu plastycznego piękna człowieka, tkwi może cała tajemnica estetycznych uroków sztuki greckiej, która zawsze młodą być umiała; tój-to młodzieńczości zawdzięcza ona głównie potęgę swego czaru. Klasyczne posągi Apolina, Bachusa, Diany, Atalanty i wiele innych, są właśnie taką kombinacją estetycznych pierwiastków plastycznego piękna dwu płciom właściwych, i to je tak czystemi, tak wzniosłe pięknymi czyni.

Venus z Milo, jak brzmią szczegóły dotyczące jęj znalezienia ¹⁾, wykopana była (na wyspie Milo 1820 r.) wraz z innemi szczątkami, między którymi znajdowała się ręka trzymająca jabłko, która później jednak wskutek jakiegoś wypadku zupełnemu uległa pokruszeniu. Ręka prawdopodobnie należała do znalezionej posągu, jest on dziś bowiem, jak wiadomo, obu ramion pozbawiony. Potwierdzałoby to domysł D'Orce't'a, który w Venerze z Milo widzi Atalantę, personifikacyę mitu „wskrzeszenia życia,” wykonaną ściśle według hieratycznych przepisów; tak że cechy obu płci, jak i inne znane nam szczegóły, mają tu swe symboliczne uzasadnienie. Jak z tego widać, sztuka grecka, którą sobie zwykle tak swobodną wyobrażamy, była krepowaną kapłańskimi przepisami, mianowicie w uplastycznianiu mitów, o których jasne, zrozumiałe wyłożenie przedewszystkiém chodziło. „Ale właśnie owemu-to ograniczeniu i niewoli zawdzięczają wszystkie sztuki hieratyczne swoją wspaniałość i wielkość. Zamiast krepować ich polot, chroniły je one od służebnictwa w inném znaczeniu ciężkiego i poniżającego—od wysługiwania się tój publiczności nieokrzesanej a zmysłowej, która i dzisiejsze przepęlnia wystawy” ²⁾.

Podobnie i sztuka nowożytna najpiękniejsze ma wspomnienia z czasów, kiedy wyłącznie prawie na usługach wiary i kościoła pozostawała. Z nich-to niewątpliwie czerpała ona swe wzniosłe natchnienie, które tak podziwiamy w dziełach malarstwa i rzeźby z XIV i XV wieku, mimo licznych ich ułomności pod względem formy. A jest to tak dalece prawdą, że istotnie z epoką reformacyi, z upadkiem gorącej wia-

¹⁾ August Preuner: „Ueber die Venus von Milo.” Eine archäologische Untersuchung auf Grund der Fundberichte.

²⁾ De l'androgynie dans l'art ancien et moderne.

ry i jednoczesném wyzwoleniem się sztuki z pod wpływów Kościoła, traci ona odrazu swój wzniosły charakter; a jakkolwiek niezmiernie pod względem zewnętrznych zalet zyskała, pozbywa się odtąd stopniowo swych wewnętrznych przymiotów, schodząc z idealnych wysokości, by się w ziemskim tarzać prochu.

Twórcza fantazyja ludów chrześcijańskich, właśnie w owym szczęśliwszym dla niej okresie, szukała również ideału formy tam, gdzie go przed wiekami pogańska starożytność znalazła: w stopieniu estetycznych pierwiastków formy, charakteryzujących dwie płcie, w jeden ogólny typ idealny. Spotykamy go nianowicie w pięknych i wzniosłych postaciach, z jakich się składają owe niebieskie chóry aniołów na dawnych malowidłach. Ale pod wpływem źle zrozumianego zwrotu do form antykowych, cechującego okres odrodzenia, i owego anatomicznego pedantyzmu, w jaki wpadli naśladowcy Michała Anioła, idealny ten typ niebiańskich postaci znika szybko w chyłającej się do upadku sztuce.

Wygnyany ze sztuk plastycznych ów typ skombinowany, znalazł tymczasem przytułek w teatrze, gdzie go łatwo odnaléź w owych tchnących urokiem młodości trawestowanych paziach i t. p. figurach. Przypomnę tu tylko czytelnikom znaną im dobrze w prześlicznej interpretacji panny Popielówny postać zachwycającego trzpiota w sławnej komedii Beaumarchais'go „Wesele Figara.” Twórcy nowożytnéj operetki posunęli się nawet do pewnego nadużycia tych środków scenicznego efektu, zmiarkowawszy snać, jak dalece one ogólnie przypadają do gustu publiczności. Ale i w spółczesnej powieści i w utworach poetyckich można się spotkać z temi ujmującemi istotami, i pisarz, ile razy je do swéj fabuły wprowadza, może niemal być pewny najlepszego estetycznego skutku. Dość tu przytoczyć porywającą wdziękiem Dyanę Vernon, istotę o męzkim sercu w dziewiczej pierśi, jedną z najpiękniejszych znanych mi postaci kobiecych, jakie kiedykolwiek wyobraźnia poety stworzyła (w powieści „Rob. Roy” Waltera Scota). Mamy i w naszej literaturze podobne typy, że tu wymienię z nich tylko podobną z wielu względów do wspomnianej bohaterki angielskiego romansu, chociaż mniej wykwiennie zarysowaną Lorkę w „Macosze” Kraszewskiego i uroczą „Grażynę” Mickiewicza. Sama nawet natura zdobywa się niekiedy na takie arcydzieła i mamy ich w życiu z pewnością więcej, niżby się z pozoru zdawać mogło. Joanna d'Arc, którą legendy taką opromieniają aureolą, do tego rzędu arcydzieł natury należy.

I D'Orcet nie myli się może, gdy mówi ¹⁾: „że w sztuce wszystkich czasów i u wszystkich ludów, ideał piękna plastycznego nie może być ani absolutnie żeńskim, ani absolutnie męzkim: pierwszy bowiem przechodzi łatwo w miękkość i trywialność, drugi zaś w muskularność i brutalność. Z tego to téż powodu, każda postać nagiej kobiety, żeby nie raziła oczu, musi czynić zadość warunkowi téj płciowój dwulicowości.”

¹⁾ De l'androgynie dans l'art ancien et moderne.

Nie może tu być oczywiście mowy o zatarcu typowych różnic, stanowiących o charakterze konturów ciała téj lub owéj płci; nie chodzi bynajmniej o zmieszanie ich w jeden jakiś pośredni gatunek pięknokształtu, ni to męzki, ni żeński—boby to było potworną, pozbawioną wszelkiego estetycznego sensu abstrakcją. Ale ciało kobiety nie straci nic na charakterze, jeśli jego kontury pod ręką artysty nabiorą trochę większej wyrazistości linii; jak znowu figurze męzkiej na złe nie wyjdzie, jeśli szorstkie jéj kontury ulegną pewnemu złagodzeniu: w jednym i drugim razie dojdziemy tylko do typu bardziej wyszlachetnionego. Samo życie zdaje się dawać tu artystom wskazówki. Mężczyzna dobrze wychowany i w przyzwoitej obracający się towarzyskiej sferze, będzie się zawsze odznaczał pewnym złagodzeniem rysów, zarówno w fizycznym, jak moralnym znaczeniu, co go estetycznie nierównie wyżej stawia od szorstkiego prostaka,—na co, jak sądzę, każdy się zgodzi; tak samo téż wytwornie wychowana kobiéta, w której edukacji i o rozwoju ciała pamiętano i dla której częstokroć rozrywki męzkie, jak polowanie, konna jazda, nie są obcemi, będzie zawsze górowała pewnym wdziękiem nad kobietami, nadmiernie już „kobiecami,” wyróżniając się od nich prawdziwie arystokratyczną dystynkją. Bo trzeba dodać, typ, o którym mowa, jest z gruntu arystokratycznym i w pospólstwie darenniebyśmy go szukali.

Nowożytni artyści, którzy swe dłuto odtwarzaniu powabów niewieściéj piękności poświęcają, trzymają się niestety innéj reguły. Inaczej może nie znaleźliby admiratorów. Bo czyste piękno kształtów nie wystarcza dla tych, co w marmurowéj nagości ciała szukają wrzuseń poziomych, środków podłechtania swych brutalnych instynktów. Nie dla nich ta szlachetna miara, co od marmurowéj nagości posągu wszelką poziomość uczucia oddala; owszem, to co w pewnym kierunku grzeszy przesadą plastycznych powabów, ma dla nich największy urok. Przekwitłe piękności, o dobitnie zaakcentowanych kształtach, są właśnie w ich guście; a do niego i artyści się naginają. „Pradier, który się poświęcił studyowaniu kobiety, nie umiał nigdy przedstawić Ewy przed upadkiem.”

Spółczesna sztuka może się chełpić, że przestała być sługą koscioła i jego nauki; ale w zamian dostała się pod stokroć cięższą a przytém poniżającą tyranję. Tą tyranją jest zepsuty smak publiczny. Artyści nie mogąc nim owaćdnać i pokierować jakby chcieli, sami się widzą zmuszonymi dążyć, dokąd on ich wiedzie; a Carpeaux daje przykład, jak daleko zejść można na téj drodze. Dlatego warto zastanowić się nad jego sławną grupą marmurową, zdobiącą wraz z innemi dziełami skulptury fasadę wielkiéj Opery w Paryżu, a wyobrażającą „Taniec.”

Carpeaux pojęciem przedmiotu i wykonaniem jaknajwyraźniej dowiódł, że hołduje on owemu gatunkowi plastycznéj piękności, o którym przed chwilą była mowa. Taniec, rozwijający estetyczne zalety ciała w pięknych i pełnych wdzięku ruchach, i z tego względu przez

starożytnych do rzędu sztuk pięknych zaliczony, pod jego dźwiękiem przemienił się w jakąś dyabelską orgię. Dzieło to wymownie świadczy, że jego autor wzrósł i wyrobił się na to, czém jest, w czasach pewnego literackiego i artystycznego rozpasania, które skłoniło tyle znakomitych nawet talentów do szukania natchnień—nie w przeczystej kastalskiej krynicy, lecz w spofecznych mętach. Szalone te jego tanecznice, hasające bez opamiętania—to rozpasane, dyszące jedynie zmysłową rozkoszą bachantki. W pozach lubieżnie powyginanych, z pobudzającymi gestami, wirują one w dzikim jakimś zapędzie dokoła postaci młodego mężczyzny, który upojony tą dziką ochotą podnieca je ruchem rąk i okrzykami zadowolenia do tego wyuzdanego tańca. Oczy jego tchną zmysłową pożądlivością, a w twarzy odzwierciadlają się z całą brutalną prawdą doznawane przez niego wrażenia. Wszystkie figury dla tém większej dosadności, wyobrażone są, naturalnie, zupełnie nago. Szalone te pląsy snąc już długo trwają i zmęczone członki poruszać się zdają ociężale; ale w oczach biorących w nich udział tancerów, w ich spojrzaniach, ruchach i uśmiechach widać, że sobie w téj odurzającej rozkoszy podobają, że radeby się jój oddawać jaknajdłużej—choćby do zupełnego omdlenia. Wszystko w téj grupie zdaje się być obliczoném na wywołanie najgrubszego zmysłowego wrażenia, wobec którego cele wznioślejsze, estetyczne, schodzą tu na plan ostatni. Uniesiony wirami téj dzikiej krętaniny, widz nie odczuwa tu wcale piękna, nawet mu na myśl nie przychodzi go szukać. Prawda, że Carpeaux prawdziwie po mistrzowsku opanował marmur, że wlał w niego nieopisane życie, że w członkach tych rozochoconych istot drga żywa natura, w której odzwierciedlaniu, jak i w ogóle w misterności dłuta, niepodobna się już chyba dalej posunąć. Prawda, że z tych racyi grupa Carpeaux jest jedném z najznakomitszych dzieł współczesnej skulptury, że jest w swoim rodzaju arcydziełem; ale ideału plastycznego piękna w prawdziwém znaczeniu nam nie daje.

Gdy przyjdzie porównać z nią grupy innych rzeźbiarzy, zdobijące fasadę wielkiej Opery, to lubo przyznać im trzeba, że są w ogóle pięknie obmyślane, poprawnie i umiejętnie wykonane, żadna z nich nie sprawia jednak tak porywającego wrażenia, żadna nie może współzawodniczyć z arcydziełem Carpeaux. Miałoby to być dowodem, że artyści zubożyli na szlachetne cele sztuki, że dziś tylko żądze cielesne i poziome zapalić imaginację i natchnąć ich są zdolne? Pozwalam sobie mieć nadzieję, że panujący dziś zaraźliwie naturalizm, który z grupą Carpeaux i utworami Zoli dotarł, zdaje się, do ostatecznych granic, przechodzi obecnie stadyum przesilenia, po którym gorączka się zmniejszy, pierzchną wstrętne mary chorobliwej imaginacji i... da Bóg, znowu w zdrowszej znajdziemy się atmosferze i szerszą odetchniemy piersią. Wówczas i w sztuce plastycznej dzisiejszy naturalizm straci grunt pod nogami.

Pod Wyrokiem.

OPOWIADANIE Z LAT 1706—1713.

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

CZCIGODNEMU

EDWARDOWI RULIKOWSKIEMU

W KOTLICACH,

BRATERSKĄ PAMIĄTKĘ

PRZESYŁA

Autor.

I.

Nostris illuserat advena Regnis.

(*Virgil*).

Trudno zaprawdę o smutniejszą w historii kraju naszego epokę, nad owe pierwsze lata XVIII-go wieku, w których na polach i karkach naszych harce odprawiali bliżsi i dalsi sąsiedzi. Ludność miejscowa, jedyne natenczas schronienie znajdowała w niedostępnych kniejach; szły z dymem wsi, miasteczka i dwory; z bogatych dostatków, ba, i z powszedniego chleba rabowali nas wszyscy, począwszy od samego króla Augusta, co nawet dach miedziany z krakowskiego zamku zabrał sobie do Drezna, dla ozdoby dziedzicznej stolicy, jakgdyby wcale nie był pewnym, czy się na nowym tronie utrzyma.

Chciał on być drugim niby Ludwikiem XIV, nie mając jednak ani takiej bystrości umysłu, ani tak silnego charakteru, jak tamten,

pokątnemi się tylko, a chytremi bawił praktykami, ratował się przewrotnością, wzór swój, wszelako, prześcigając w obyczajach zgoła przykłądu niegodnych; jak to ci czynić zwykli, co naśladować innych, nie z własnego ducha wysnuć nie umieją. Zapatrując się tedy na owego francuzkiego monarchę, który absolutne w państwie swoim zaprowadzał rządy, chciał téż i elektor saski, lubo wolnego narodu obrany głosami, status Rzeczpospolitéj odmienić, a mimo zaprzysiężonych pactów, tron uczyniwszy dziedzicznym, samowładnie sprawami państwa kierować; dla dopięcia zaś tego niecnego planu, siał w kraju niesnaski, wystawiał go na ostatnie zniszczenie i gotów był nawet, dla zaspokojenia sąsiadów, ziemiami Rzplitej z niemi się podzielić.

Rzeczą jest niepodobną do przewidzenia, jakieby przyszły następstwa, gdyby zamiary swoje do skutku doprowadzić zdołał; to pewna jednak, że naonczas okoliczności i, jak mawiano, konjunktury polityczne, zdawały mu się z wielu względów sprzyjać. Najprzód więc, po zgonie bohaterskiego obrońcy Wiednia, ostatniego z krwi i kości króla szlachcica, kraj cały znalazł się na liczne podzielony fakcye, szczególne zaś wzburzenie panowało na Litwie, gdzie możny dom Sapiehów do przeważającej doszedłszy potęgi, a nadużywając swęj siły, przyczyną był tysiącznych skarg, sprzeczek, zawiści i wewnętrznej niezgody. Łatwo więc było Augustowi II, poddmuchując jeszcze ów w głębi nurtujący ogień, a z domowych korzystając niesnasek, strony przeciw stronom stawić i rzeczy tak prowadzić, aby widokom jego odpowiadały. Dla zapewnienia jednak swęj siły, któraby nietylko powagę jego na nowo objętym tronie ugruntować, ale zarazem na postrach i uskromienie narodu służyć mogła, potrzebował on trzymać w Polsce swoje własne wojska, a gdy się temu sprzeciwiały kardynalne Rzeczypospolitéj prawa, należało wynaleźć takie przyczyny, któreby koloryzując rzecz przed stanami, obecność tych wojsk w kraju tłómaczyć mogły. Tu naprzód istotną przyczyną była, w spadku jeszcze po wiekopomnym królu Janie otrzymana, wojna turecka, która wszelako wkrótce Karłowickim traktatem szczęśliwie zakończoną została. Uciążliwa przeto konsystencya wojsk saskich, tysiące popełniających wybryki i nadużycia, na które skarżył się i nie bez słuszności, naród cały, po owym traktacie byłaby ustać powinna; król téż je z kraju wyprowadzić obiecywał solennie, i to mu przychodziło nie trudno, gdyż obietnic swoich nigdy dotrzymywać nie myślał; plany bowiem działań politycznych dalszych, były jeszcze przed ukończeniem wojny tureckiej osnute.

Ludzie, występujący na widowni świata, w pierwszych latach XVIII-go stulecia, urodzeni i wychowani w wieku XVII-tym, zdradzali jeszcze w sobie, złe czy dobre, nie ostygłe starych średniowiecznych pokoleń namiętności; wiał od nich nieraz duch prawdziwie rycerski, w późniejszych już czasach nieznany. Bądź cobądź, wspaniałe i wybitne są postacie: Piotra, sprawiedliwie u swoich Wielkim nazwanego; Karola XII-go nieśmiertelnej sławy rycerza, awanturnika; sam

nawet ów przewrotny August silny, nie jest pospolitym człowiekiem; a wielu, w innych warstwach społecznych, spotykamy dzielnych, czasem również, awanturnicznych rycerskich postaci, począwszy od starego hetmana Mazepy.

Na ową tedy wyprawę turecką ściągały się saskie i koronne wojska, na Rusi, dokąd też i król August z Warszawy pośpieszył i gdy już w Rawie stanął, niezwykle zgoła spotkały go odwiedziny. Przybył tam, wracający właśnie z zagranicy Piotr Wielki. Tu, przyjaźń między obu monarchami serdeczną, związały wspólne polityczne plany, mające się po ukończeniu wojny tureckiej w wykonanie wprowadzić; głównie zaś opanowanie Inflant Szwedzkich, do czego, obecny tam na miejscu Szwed, Reinhold Patkul, był główną sprężyną. Car Piotr, potężne ustanawiając państwo i szerokie na przyszłość snując zamiary, potrzebował granice swoje do brzegów morskich od północy rozszerzyć; królowi Augustowi nietyłe może o część Inflant samych chodziło, ile o przyczynę jawną do trzymania wojsk własnych w kraju, na którego tronie zasiadał wprawdzie, ale nim, wedle woli swój, bez siły wojskowej despotycznie rządzić nie był w możności. Opanowanie zaś Inflant tém łatwiejszém się naówczas obu monarchom zdawało, że świeżo na tronie szwedzkim osiadły Karol XII, zaledwie ośmnasty rok liczył; lubo rycerski tego króla charakter zabłysnął już był świetnie, w najpierwszej wyprawie jego na Kopenhagę, gdzie Fryderyk IV, król duński, szwagrowi Karola XII, księciu Holsteiu Gotorp, wojnę wypowiedziawszy, zmuszonym był sromotny Trawenshalski pokój podpisać. Nie zraziło to jednak liczących na przeważne siły swoje, monarchów, którzy pewni byli, że z młodości i słałości sąsiada skorzystać potrafią.

Tymczasem, w onej wyprawie tureckiej, przednia straż wojsk koronnych posunęła się ku Dniestrowi, tu oręż polski, nie saski, po wiekowych z pogaństwem zapasach, raz jeszcze ostatni wiekopomną okrył się chwałą; hetman polny Potocki, w sześć tysięcy wojska, poraził na głowę, u Podhajców, Kapłan-Gereja, mającego pod sobą sześćdziesiąt tysięcy Turków i Tatarów; stanął więc traktat Karłowicki, a niebawem król August II, pod pozorem niedotrzymanych przez Szwedów traktatów Oliwskich, wojska swe saskie do Inflant wprowadził. Napróżno „protestowały się” stany Rzeczypospolitej, że ze Szwedem wojny rozpocząć nie chcą, że król, mimo zaprzysiężonych pactów, bez „sankcyi,” czyli upoważnienia narodu, nową rozpoczyna wojnę, że na karki spokojnych mieszkańców nowego ściąga nieprzyjaciela; nie pomogły żadne konfederacye, ani protestacye i wszczęła się owa straszliwa, a do szczytu kraj niszcząca płatanina, owa wojna wewnętrzna, w której nietylko Sasy i Niemcy, nietylko wojska sprzymierzonego z królem Augustem cesarza Piotra, między któremi byli i bałwochwalcy naówczas jeszcze, z za Uralu powołani, Kałmuki, nietylko Szwedy wreszcie, ale i własni nawet téj lub owéj strony zwolennicy, łupiąc, paląc i rabując przez lat sześć i więcej, pustoszyli kraje Rzeczypospolitej.

Z trzech na ziemi polskiej wojnę prowadzących monarchów, ka-

źdego wiodły do niej pobudki odmienne. Piotr W. miał cele czysto państwowe, organizacyjne, wojował dla dobra własnego narodu. Król August własnej tylko dogadzał próżności, dumie i ambicyi; Karol wreszcie, najzaszczytniejszy nieraz mogąc zawrzeć pokój, bił się i bił do końca, rzec można, z zamiłowania rycerskiego rzemiosła i zaciętości, jaka w nim z dniem każdym rosła do obu jego przeciwników; że zaś August II był cioteczным bratem Karola, tém bardziej może król szwedzki, czując nieuczciwość wypowiedzianej wojny, postanowił przeciwnika swojego w najboleśniejszej dotknąć stronie, upokorzyć i tronu polskiego pozbawić. Zaczęły się więc owe harce, istna partyzancka ciuciubabka, w której wszelako oręż szwedzki prawie zawsze, aż do bitwy Pottawskiej zwycięzki, coraz téż liczniejszych zyskiwał stronników. Armia bowiem Karola, we wzorowej utrzymywana karności, lubo niepozorna i na lichych koniach, cudów waleczności dokazywała. Ztąd i wszystkie rycerskie ducha umysły do niej się skłaniały; nadto, młody wódz, usłuchawszy przyjacielskiej rady stronnika swego Benedykta Sapiehy, podskarbiego W. Ks. Lit., surowo karał rabunki i nadużycia, popełniane przez żołnierzy; i sam król i generałowie jego niezawsze trzymali się téj chwalebnej zasady, rzecz pewna jednak, że naonczas wszędzie Szwed był mniej strasznym od Sasa. Mawiano, że i Szwed i Sas „obadwaj piją łzy narodu,” ale dodawano wszelako, że gdzie Sasy i ich sprzymierzeńcy przeszli, „chyba po nich pies zawyje.”

Mógł Karol XII, odparwszy w Inflantach nieprzyjaciela, strzedz tylko granic swojego państwa na miejscu, ale dla niego wojna była jedynym zajmującym go na świecie żywiołem, a nadto, każdy z monarchów wolał prowadzić wojnę o cudzym chlebie i na cudzej ziemi.

Od czasu wkroczenia Szwedów do Polski, przez lat prawie cztery, mimo sprzymierzonych wojsk Piotra Wielkiego i zjawiających się później wrzekomo groźnych sił Mazepy, które się na Wołyniu i Rusi rozlokowały, August II z dniem każdym, jakoby tracił grunt pod nogami; a gdy ze wszech stron przyciśniony umknął do Drezna, gdzie się balami i festynami pocieszał, zwycięzki tymczasem król szwedzki, już wprost o zawarcie przymierza ze stanami Rzplitej traktując, poniewolnie prawie cnotliwego Leszczyńskiego koronuje w Warszawie. Piotr tymczasem, ratując swego sprzymierzeńca, wkracza z licznymi zastępami do Litwy, dokąd téż i August niebawem pośpiesza. Ale Karol XII, mimo ciężkiej i srogiej zimy (roku 1705—1706) bieży na ich spotkanie; towarzyszy mu z 20-ma tysiącami ludzi Józef Potocki, wojewoda kijowski, który wraz z Krzysztofem Zawiszą, staczają pomniejsze utarczki; lecz gdy szwedzki generał Lewenhaupt silnie się trzyma w Inflantach, Renschild pobija część wojsk sprzymierzonych pod Wschową. August II ostrożnie uchodzi z Grodna przed ciągnącym Karolem, wojska Piotra cofają się w stronę Kijowa; Karol zaś, odwiedzając przyjaźnych sobie Sapiehów, idzie na dobra ich Derenya i Rózanę, do Pińska, ztąd na Łuck, mijając się z cicha stojącymi wojskami Mazepy. I tak, jedno, to drugie wojska całą wzdłuż i wszerz przebiegają Polskę,

jako współczesny kronikarz powiada „mienianego grają.” Garną się też do Karola dawni stronnicy Augusta, Jabłonowscy, Radziwiłł, Lubomirscy, Szczuka. Plany wojenne króla szwedzkiego w takiej trzymane są tajemnicy, że nikt, z najbliżej go nawet otaczających, nie wie, gdzie mu jutro noc przepędzić przyjdzie. Aż po niedługim czasie, zdumiony August II, dowiaduje się, że już mu Szwedzi w Saksonii, w jego własnym gospodarują kraju. Była to chwila, w której król szwedzki stanął u szczytu swęj potęgi i chwały; August zaś, całkowicie na duchu upadły, z pośpiechem i bez żalu przygotowywał się wyrzec polskiej korony, byle ocalić własną siedzibę.

W kraju tymczasem najzupełniejszy panuje chaos; dwóch jest koronatów, a niema ani rzeczywistego króla, ani bezkrólewia; jedne i też same tytuły urzędów i ministerji po dwóch nosi dygnitarzy; ze zmianą wojennych losów, przechodzą ludzie z jednego do drugiego obozu; knują się ciche potajemne intrygi. Na Rusi Potoccy skupiają wkoło siebie adherentów, zowiąc to „związkiem bezstronnych;” lubo bez zaprzeczenia trzymają ze Szwedem; natomiast dumny Adam Sieniawski, otrzymawszy właśnie od Augusta buławę wielką koronną, przestrzega ściśle punktów konfederacyi Sandomierskiej; Lwów i okolice owęj rezydencyi w Brzeżanach, postrachem, ściganiem i prześladowaniem, posądzonych o sprzyjanie Szwedom, stara się utrzymać w posłuszeństwie dla Sasa.

Stara Rusi stolica, czasu tych wewnętrznych zamieszek, w 1704 roku, poniosła szwank niemały. JMć pan Gałęcki starosta bydgoski, wojewoda inowrocławski, jeden z niewielu stałych i niezmiennych stronników Augusta, był naonczas komendantem Lwowa; prawda, że nie miał on nad trzystu ludzi, przydyantów do obrony, gdy nad wszelkie spodziewanie ukazały się wojska króla szwedzkiego pod murami miasta; albo więc nieopatrznie przeważającęj sile chciał stawić czoło bez nadziei odsieczy, albo się zbyt nieostrożnym okazał; dopiero się bowiem dowiedział, że Szwedzi już całe miasto opanowali, gdy sam generał Schteimbok do kwatery komendanta wpadłszy, wcale nie po rycersku, kijem go, jak ludzie naonczas pletli, po łbie kilka razy pomacał.

Wielkim sekretem zwycięstw Karola XII, była właśnie owa szybkość jego obrotów: pojawiał się nagle tam, gdzie go się najmniej spodziewano, wpadał jak piorun, i... zwyciężał. Na ten raz, Lwów, jako miasto zdobyte, traktowali wodzowie szwedzcy wcale nie łaskawie; nie dość bowiem, że na dwugodzinny pozwolono rabunek, lecz nadto nałożono na miasto naprzód pięćdziesiąt, potem sto dwadzieścia tysięcy talarów kontrybucyi, zabrano wszelkie zapasy broni i amunicyi, wielką ilość towarów łokciowych, sukna, biał, a nawet kosztowności i sreber.

Z czterech żywiołów, głównie składających ludność miasta Lwowa: katolików, żydów, rusinów i ormian, ci ostatni, dziś z katolicką ludnością najzupełniej w jedną całość złani, jeszcze w początku wieku XVIII-go, lubo szczerze do nowęj ojczyzny przywiązani, stanowili wsze-

lako narodowość jakoby odrębną z historii i obyczajów swych ogółowi bardzo mało znaną, a ze wszech miar ciekawą.

Dziś jeszcze podróżujących po Armenii w zdumienie wprawiają olbrzymie zwaliska Annikahaku, zburzonej w XI-tym wieku przez Turków armeńskiej stolicy. W gruzach tam leży sto tysięcy domów i tysięcy przeszło kościołów. Naoczności, z pod stóp Araratu, idąc w świat szeroki kilkadziesiąt tysięcy rycerstwa i szlachty armeńskiej, przed muzułmańską chroniąc się przemocą, szukało przytułku na gościnnych ziemiach słowiańskich. Wchodztwo takie powtórzyło się jeszcze i w XIV-tym wieku; osiedli więc na Podolu, Wołyniu i Rusi; tu otrzymali przywileje od Leona, księcia halickiego ¹⁾, dalej od Kazimierza Wielkiego, Jagiełły, Zygmunta i innych królów polskich, a odwdzięczając się przybraną ojczyznę, stali się jej prawdziwymi synami. Przemysłny i przedsiębiorczy naród ormiański, dawał Polsce ten właśnie żywiół, którego jej brakowało, handlarzy; wiadomo, że polskiej szlachcie, pod utratą prerogatyw, kupiectwem trudnić się nie było wolno, gdy najznakomitsi ze szlachty ormiańskiej, handel mając w obyczaju, prowadzili go swobodnie i uczciwie, do znacznych nieraz fortun i bogactw, z własną i kraju dochodząc korzyścią. Że to im jednak i do rycerskich nie przeszkadzało czynów, historia nam daje najlepsze dowody; świetnie się oni odznaczyli pod Grünwaldem i Tannenbergiem, pod Warną i w Wiedeńskiej jeszcze wyprawie, stając gromadnie: ilu zaś w różnych czasach wysługiwało się krajowi pojedynczo, wyliczyć trudno. W politycznych stosunkach z Portą do ostatnich czasów stawali oni, bądźto jako wysłannicy, bądź jako tłumacze, czyli dragomani. Cały handel polski z najdalszym Wschodem, oni głównie prowadzili, czyniąc ze Lwowa jakoby towarową stację z resztą Europy, która jarmarki lwowskie za tak ważne pod tym względem uważała, że wenecka, np. Rzeczpospolita utrzymywała tu stałego swego agenta, czyli wysłannika; o czém świadczy do dziś dnia jeszcze zachowany kamienny, skrzydlaty lew, godło ó-ego Marka, umieszczony na jednej z kamienic w południowej części rynku, gdzie niegdyś mieszkał rezydent wenecki. Dochodzili też niektórzy z Ormian lwowskich, do bogactw bajecznych, tradycja mówi o jakimś Bernardowiczu, który, żądającemu pożyczki stu tysięcy dukatów królowi Władysławowi IV, przynieść kazał za sobą dwa wory i kilkadziesiąt beczulek; w pierwszych była złota tylko i srebrna, w beczułkach miedziana moneta, w każdym zaś gatunku metalu po sto tysięcy dukatów, przyczém oświadczył, że zrobił to z powodu nieświadomości, w jakiej monecie Jego Królewska Mość pieniądze otrzymać sobie życzy. Niektóre też z zaśluzonych w swą dawną jeszcze ojczyznę rodzin ormiańskich, tradycyjnym obyczajem, wywierały na resztę swych współziomków wpływ prawdziwie patryarchalny; z pod władzy tej nikt ani śmiał, ani chciał się nawet wyłamywać; wspomagali oni uboższych, a wszystkich w solidarnym trzymali związku,

¹⁾ We Lwowie r. 1280 (G. Bruin).

tém bardziej, że od królów polskich otrzymane przywileje, oswabadzając ich, z małemi tylko wyjątkami, od praw magdeburskich, ojczytymi rządzić się im pozwalały. Z biegiem lat jednak, nie przeszkodziło im to do przyjęcia stroju i języka miejscowego, mimo poszanowania mowy własnej, jako téż obyczajów domowych i zabobonów, nawet do wiary ich i tradycyi przywiązanych. Obrządek wschodni zachowali oni byli do ostatnich prawie lat panowania króla Jana Kazimierza, przystępując do unii z katolickim kościołem, około 1664 r. za staraniem i prawdziwie apostołską pracą OO. Teatynów, kanoników regularnych, wysłanych z Rzymu z kolegium de propaganda fide, pod przewodnictwem świętobliwego O. Klemensa Gallena ¹⁾, a po nim O. Maryi Pidon, którzy tysiączne zwalczając niewygody, kłopoty, niedostatki, trudności i potajemne nawet przeciw sobie knowania, z chlubą pożądaný cel osiągnęli. Przystąpienie wszelako do jedności z katolickim kościołem nie mogło wpłynąć ani na wyrugowanie z samego obrządku pewnych form zewnętrznych, ani tém bardziej na zaniechanie i wyrzeczenie się natchmiastowe, niejakiich praktyk prywatnych i obyczajów domowych.

Tradycyjne pojęcia narodu, na których wytworzenie składają się wieki, jakoby z mlekiem wysrane i w krew samą przesiąknięte, z dnia na dzień zmienić się nie dają, a pod nowym kontuszem, długo się jeszcze stary żupan nosi.

W trzydzieści kilka lat, po owéj kardynalnój zmianie, jaką przyjął w Polsce naród ormiański, w gruncie rzeczy niewielkie jeszcze nastąpiły zmiany. Panowie rajcy ormiańscy, lubo żaden z nich, jak to mówią, „na codzień,” od dawna już nie używał armeńskiego języka, zawsze się jeszcze „Espahan” nazywali, zawsze był szanowany wielce Wartabiet ksiądz uczony, w dobrowolném zaś ubóstwie żyjący wędrowny pielgrzym teolog Anardrat zwany, gościem był czczonym i z radością witany wszędzie. Ani więc czujność OO. Teatynów, ani gorliwe apostołstwo cnotliwego księdza Kazimierza Muratowicza, naonczas pięćdziesiąt kilka lat liczącego, syna rajcy z Kamieńca, a ulubionego niegdys ucznia Ojca Pidon, nie były w stanie przeszkodzić, żeby gdzieś kto w cichości nie obchodził pięciodniowego postu przed popielcem, zwanego „Arasanwar,” o którym złośliwi utrzymywali, że był przez jakiegoś, przed laty, eczmidyńskiego patriarchy, na pamiątkę jego ulubionego pieska, nałożony. Dewotki ani ruszyły się bez „Hamailu” ²⁾, pewnego rodzaju amuletu, czyli paska papieru ze starożytnemi napisami i magicznemi znakami, który na sobie noszono. „Aismanrir,” stare pisane martyrologium ormiańskie, przez zjednoczone duchowieństwo znacznie zmienione, tajnie, w wielu domach, nie dla saméj może pa-

1) A. Pawiński: „Źródła dziejowe,” t. II-gi.

2) Zdaje nam się, że nazwa ta pochodzić musi od słowa arabskiego hammal—znoszący ciężar, jakoby ten amulet przyjmował na siebie ciężar nieszczęść, któreby spaść miały na człowieka, co go nosi na sobie.

miątki przechowywano. Kobiety, a szczególnie starsze, pamiętne, że według praw dawnych wolno im było wyższe duchowne przyjmować świącenie, lubo pozornie posłuszne były nowemu porządkowi rzeczy, w cichości jednak dawne zachowując praktyki, nieraz nawet szeptały o tajemnym spodziewanym niechybnie przybyciu „Neviraga,” wysłańca dalekiego patriarchy Wschodu.

II.

Od owego najścia Szwedów na stolicę Rusi, lat dwa upłynęło w 1706 roku i rany już się były nieco zabiłiżyły. Zwycięzki Karola XII oręż, coraz więcej zyskiwał stronników; było ich téż i we Lwowie niemało, mimo czujności Imć Pana hetmana, każdy jednak, co nie trzymał z Sasem, musiał się mieć wielce na ostrożności, takich bowiem Sieniawski za nieprzyjaciół ojczyzny ¹⁾ uważając, wyszukiwał, ścigał, więził i majątki ich na konfiskatę podawał.

Na gawędki téż i namowy zbierano się, dla ostrożności, częściami wieczorami, aniżeli we dnie, lubo słotna jesień tego roku nie bardzo je do przechadzek i odwiedzin ponętnemi czyniła. W pierwszej połowie listopada, zaraz prawie po zachodzie słońca, na rynku lwowskim, o trzy kroki nic widzieć nie było podobna, tém bardziej, że wichery, gnając czarne chmury, szalone tego wieczora wyprawiał harce i suchym piaskiem przechodniom zasypywał oczy. Kołatały téż głucho źle poprzymykane okiennice, wietrznik nawet na ratuszowej wieży umieszczony, choć niby lwa kształtem udawał, posłuszny, skrzypiał żałośnie tam i sam za wiatrem tańcząc. Zgoła, wieczór to był wcale nie do przechadzek, bo i kilka zakopconych latarni, niewiele te grube rozbiły ciemności; w górnych wszelako oknach kamienic, wszędzie prawie światła połyskiwały, a latarki snujących się tu i owdzie ludzi, na podobieństwo wilczych ślępiów, blade zdaleka rzucały blaski. Dolne okna domów ciemne były niemal wszystkie, okrom handlów kilku; największa zaś łuna biła z winiarni Kasperka, którego poufale zwano téż często Czyżykiem, bo się istotnie nazywał „Czyż,” a miał téż i w swój bladej a wygolonej twarzy, ze spiczastym, na przód wysuniętym nosem, a brodą i czołem, które w tył uciekały, coś prawdziwie ptasiego. Wyśmienite jednak miody, przednie zieleniaki i maślacze, zjednały mu wziętość i sławę najpierwszego na one czasy we Lwowie winiarza; ile że od najdroższych do najtańszych napitków, każdy tam znalazł, wedle swojej kalety, a nadto mógł jeszcze, gratis, popatrzeć na wielce urodziwą córkę gospodarza, Irnę, co znaczy po węgiersku Laryę, która całe nie w ojca Czyżyka, ale się wdała raczej w matkę swoją, Węgierkę, z pod Neitry rodem.

Ludno téż było zawsze, jako i w téj chwili w winiarni Kasper-

¹⁾ Pro hoste patriae, wedle urzędowego brzmienia punktów konfederacyi Sandomierskiej. *Przyp. Autora.*

ka; przestronna izba pierwsza i dwa dalsze alkierze, sklepione, z kraściastymi oknami, były wprawdzie mocno zakopcone, stoły od łokciów, a od siedzenia ławy połyskiwały, jakby je kto wybejcował; ale tém się Kasperek szczycił właśnie, jako dowodem, że próżno nie stały. Było więc tu gości siła różnego gatunku, boć gawęda przy nalanéj lampce najlepsza w winiarni, gdzie się i z niejednym znajomym spotkać i wieści różnych nasłuchać nietrudno. A czas to był właśnie, nie na co, jak na nowiny urodzajny. Więc kupcy i cechmistrze znaczniejsi, mieszczanie, wojskowi i szlachta, obsiadłszy stoły, każdy w swéj kompanii, zabawiali się dość gwarno, zwłaszcza téż w drugiéj izbie, dokąd nie wchodziłi zwykle ludzie późniejszej kondycyi. Tu, przy największym stole, ozdobionym kilku gąsiorkami zieleniaku, siedział czerwony z rudemi wąsami, a bystremi oczyma i miną wielce junacką, Jmpan Stefan Kotoni, natenczas towarzysz chorągwi pancernéj buławy wielkiej koronnéj, wierny przyjaciel Sasów, a hetmana Sieniawskiego ani ma damnata, zaprzędany mu z ciałem i duszą, za co téż późniéj, ożeniwszy się z Sosnowską, dostał królewską, kilkanaście wólk szekerego piasku, wieś Zamołodycze, z klucza Krzywowierzbskiego, w ekonomii brzeskiej; tuż przy Kotonim rozwalił się na ławie jakiś krewniak jego, młody żołnierz, który, co prawda, głośnym tylko śmiechem niekiedy wtórował rozmowie, skubiąc ustawicznie za ledwie wysypujące się wąsiki, ale za to pił... jak suseł, że mu w téj przynajmnieéj praktyce zarzutu zrobić nie było podobna. Z drugiéj strony wsparł się nad lampką zieleniaku Jmpan Jakub Russyanowicz, szlachcic z ormian lwowskich, zamożnych, lat około trzydziestu mający, czarniawy, z wypukłemi ciemnymi oczyma, nieco ospowaty, twarzy pocziwéj i wielce poważnéj; zdawał się trochę zafrasowanym, a słuchał właśnie z wielką atencją dyskursu Kotoniego z Jmpanem Gintowtem, starostą tryleszyńskim, którego głos bełkotliwy, lubo go jak mógł mitygował, głucho się pod sklepieniami izby rozlegał. Był zaś Jmpan starosta figury potężnéj, z siwiejącym wąsem, mimo lat z górą pięćdziesięciu żwawy i ruchliwy, a jako o mil kilka tylko pode Lwowem zamieszkały, z nowinami lub po nowiny zabiegał tu często.

— To nie może być—wołał starosta—sięgam Bogu! to nie może być. Jakże? tu o pokój traktują, król, mówią, do Saksonii się wybierają; gdzieżby znowu miał batalię wydawać?

Zaśmiał się całym gardłem Jmpan Kotoni.

— Ależ ja Waszmości, panie starosto, powiadam, że nie ma dwóch godzin, jak do zamku przyleciał z Brzeżan Jurkowski, który sam czytał pismo hetmańskie, nietylko że Mardfeld pod Kaliszem pobity, ale wzięto nawet w niewolę samego wojewodę kijowskiego ¹⁾ i z żoną ²⁾ i z dziećmi i pisarzową koronną ³⁾ i kuchmistrza koronnego ⁴⁾.

¹⁾ Józef Potocki.

²⁾ Wiktorya Leszczyńska.

³⁾ Zofia Czarnecka.

⁴⁾ Tarło.

Przyp. Autora.

— Jakto? i wojewodzinę i pisarzową?— spytał Russyanowicz.

— A jakże nie mieli brać— odparł Kotoni— kiedy wojowały.

— Pewno były w obozie?

— Gdzie zaś, w obozie— ciągnął towarzysz— na kulbakach, na koniach, uwijały się baby między szeregami, prochy w beczułkach do-
wożąc.

— Mira bilia! sięgam Bogu— wołał starosta— ot, do czego przyszło! baby wojują! Już się człowiek cieszył, że będzie przecież jakaś pacyfikacya, a tu znowu dyabli biorą wszystko, nowy galimatias!

— Ej, panie starosto— mówił Kotoni, spoglądając złośliwie— jegomość, widzę, coś ciągniesz za Szwedem; oj, ostrożnie: wiadomo, czym to pachnie!

— Kto? ja?— odparł Gintowt, widocznie tém posądzeniem przestraszony— w Imię Ojca i Syna!.. siedzę spokojnie, jak w miechu, sięgam Bogu!.. neutralny, neutralny jestem.

— Aha! toż-to i źle— przerwał pancerny— właśnie wojewoda kijowski tych, niby neutralnych, fundował; no, i okazała się teraz ta neutralność... cha! cha! cha!

Młody towarzysz wojskowy zawtórował głośnym śmiechem.

— Ale ja— protestował JMPan Gintowt— ja, nawet u siebie na granicy, kazałem postawić słup z tablicą i napisać wyraźnie „państwo moje jest neutralne,” a te bestye Szwedy, sięgam Bogu! i na to nie uważali; dwa lata temu, jak do Lwowa szli, zrabowali mnie z kretesem; to jeszcze może waszmość powiesz, że ze Szwedem trzymam, he?

— To swoją drogą, ale i z Augustem nie bardzo...

— Ja trzymam z Rzeczpospolitą, i kwita; co to, panie, gadać?! sięgam Bogu! to krótka materya: broni nie podnoszę, cicho siedzę, neutralny jestem!

— Dużo-ż tam wzięli niewolnika?— spytał nieśmiało Russyanowicz.

— A no— odparł Kotoni— piszą, że Brandt i Menzykow zabrali wszystkie czterdzieści chorągwi wojewody kijowskiego.— Machnął ręką.— Tam się dopiero nasi pożywią: aj! że mnie tam nie było!

Pan Jakub zbladł nieco i szybko do ust podniósł lampkę wina; nie chciał się, widać, zdradzić z wrażeniem, jakie ta nowina na nim uczyniła. Nie uszło to jednak oka starosty, który téż w téj chwili, jakby dla odwrócenia uwagi Kotoniego, zaczął go o dalsze wypytywać nowiny.

Ale wtém postąpił od progu gość nowy. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, z długą twarzą i długim wąsem konopiatego koloru, zawsze niby uśmiechnięty, z wyszczerzonymi zębami; ale w małych oczkach i całej twarzy malowała się taka złośliwość, chytryść i przebiegłość, że jéj zaden uśmiech nie był w stanie okrasić.

— Upadam do nóg! upadam do nóg!— mówił kłaniając się nisko, szczególniej staroście.

Zrzucił na ławę czarną opończę i na stół postawił świeżo zgaszoną latarkę.

— A ja, tu—ozwał się—z wielką nowiną...

— Wiemy, wiemy—przerwał pancerny.

— Waćpanowie dobrodzieje już widzieli?—mówił przybyły, sięgając do kieszeni od kontusza.

— Jakto widzieli?—zawołał starosta—co? bitwę pod Kaliszem! cha! cha! cha!

— Bitwę? jaką bitwę?—spytał ciekawie przybyły, zatrzymując rękę w kieszeni i stojąc w oczekiwaniu.

— Oho, to waszmość, panie Laszkowski, widzę, nic nie wiesz—rzekł Kotoni—Mardfeld na głowę, pod Kaliszem pobity, wojewoda kijowski z czterdziestu chorągwiami wzięty do niewoli!

Rozjaśniła się złośliwa twarz Laszkowskiego: zaśmiał się wesoło.

— A to się udało!—zawołał—będzie Szwed dyrdał z Saksonii, traktatów nie czekając; no! no! ale i ja mam *curiosum!*

Tu dobył z kieszeni sakiewkę i wyciągnął z niej spory a świecący medal.

— Widzieliście to, waćpanowie?—spytał.

Zebrani przy stole goście, podnieśli się i nachylili dla oglądania medalu, któremu starosta, wzięwszy go do rąk i poza świecę trzymając, przypatrywał się z wielką uwagą.

— Cóż tam jest?—pytał Kotoni.

— Jestto—mówił powoli Gintowt, to oddalając się, to zbliżając i do świecy i do medalu, a obracając go wkółko—jest... tego... niby orzeł i trzy ręce z boku, a jedna z góry, a tu napis naokoło... Sic decus... et vires pereunt.

Ruszył ramionami niechętnie.

— Dyabli ich wiedzą, co to jest!—rzekł, oddając medal Kotoniemu—teraz, panie, tych blaszek licha wie ile, a prawdziwych pieniędzy, sięgam Bogu! ani zobaczyć!

— A cóż z drugiej strony?—spytał Russyanowicz.

— Tu są—odparł Kotoni—herby Rzeczypospolitėj i cztery, zdaje się, berła, a na nich jakoby złamana korona, a z boku napis: *tutare labantes*.

— No, i cóż ten figiel ma znaczyć?—spytał krzywiąc się starosta.

— To tak niektórzy tłumaczą—odparł Laszkowski—że orzeł jest figurą Rzeczypospolitėj, a trzy ręce, co go skubią, to są niby trzej regnanci: Augustus, Karol i Stanisław; czwarta zaś ręka, która berło trzyma, oznaczać ma alianta rzeczypospolitėj, cara Jegomości Piotra, który jeden dziś, mając siły największe, kogo chce, z tronu może destytuować, albo też, kogo chce, na nim posadzić.

— Ba!—rzekł starosta—i niema dziwu, teraz jeszcze po kalijskiej potrzebie, to i większa racya, a ten, słyszę, generał Menżyk ma siła wojska pod sobą.

Tu zamilkł Gintowt, z pod oka i nieufnie spozierając na Laszko-

wskiego, który właśnie cichą jakąś rozmowę zaczawszy z Kotonim, pociągnął go aż do trzeciej izby. Gdy już więc byli za progiem, rzekł starosta, schyliwszy się do ucha Russyanowiczowi.

— Mój panie Jakubie, znam was wszystkich od dziecka, i ojca waszego, pocziwego, znałem; cóż u dyabła, żeście takiego szwagra, jak ten Laszkowski, dobrali... toż-to, sięgam Bogu! co o nim gadają... infamie...

Russyanowicz ręką machnął tylko.

— Ha! co pan starosta dobrodziej chcesz? Nieszczęście: wiadoma rzecz, jak się dziewczyna rozmiłuje, to już tam żadne perswazyje nie pomogą nic. Tak było i z siostrą; to też się potem i zagryzła i zmarniała, i sieroty zostawiła. A kiedy on się o siostrę naszą starał, my, oba z bratem, jeszcześmy gołowasy byli, on też się i ojcu nieboszczykowi dobrze akomodować umiał.

— A cóż z tym folwarkiem?

— Trzyma i trzyma; i posag wziął i pokwitowania wedle formy nie daje i folwarku nie puszcza i jeszcze szuka, czyby czego nie zarwać.

— Bójcież się Bogu! toż odbierać trzeba.

— Jak odbierać? gdzież teraz w takich czasach i sąd i sprawiedliwość znaleźć?

— To go bestyę zajechać! sięgam Bogu! zrobić zajazd, folwark odebrać i kwita.

— Gdzież? tu? pode Lwowem? On i tak już coś knuje; nie bez racyi taka z Kotonim konfidencya. Już się dowąchał, że Stefan, brat mój, był w chorągwi wojewody kijowskiego; jeśli wzięty, broń Boże, w niewolę, on go, jak Judasz, Sieniawskiemu wyda: może na nim uzskać kaduka i zabierze legitime całą po nim substancyą.

— A to, sięgam Bogu! infamis—mruknął starosta, kiwając głową i zamyślił się mocno; a po chwili, westchnawszy z owego zadumania głęboko, wstał i zabierać się począł do wyjścia. Za nim też posunął i Russyanowicz; pożegnawszy zaś starostę, który się powoli, na oczekujący nafi przed winiarnią skarbniczek gramolił, skierował się ku domowi.

Dwie były na Ormiańskiej ulicy, kamienice, do Russyanowiczów należące: pierwszój, idąc z rynku, posiadaczem był JMPan Jakub, którą też całą, bądź na sklepy i składy, bądź na mieszkania wynajmował; obok zaś leżącej właścicielem w połowie był brat pana Jakuba, Stefan, dziś w chorągwi wojewody kijowskiego zostający, druga zaś jej połowa należała do ciotki, po ojcu Russyanowiczów, wdowy już wiekowej, a bezdzietnej, JMPani Paparowój, klucznikowój kamienieckiej. Mówiono o nię że grube chowała po mężu pieniądze, ile że ten przed śmiercią na lat kilka, sprzedał był w Kamienieckim powiecie posiadane wsie: Baklatycze, Zielce i Kupicz, nadane ojcu jego Jerzemu Paparze na sejmie 1659 roku, za zasługi wojenne. Mieszkała więc JMPani klucznikowa w swojej połowie kamienicy; Stefana zaś część zajmował pan Jakub z żoną i gromadką rodziny.

Russyanowicze ze starój szlachty ormiańskiej pochodząc, dawno też jako i Paparowie indygenat polski posiadali; jakoż, Stefan, brat młodszy, wielce rycerskiego będąc animuszu, życie pędził w obozie i krwią sobie własne wypisywał zasługi. Starszy wszelako, p. Jakub, natury spokojnej, że był przytém człek wielce sumienny a uczciwy, gdy go raz do ormiańskiego magistratu na rajcę wybrano, już się też stał istnym mieszczaninem, że go i brat rodzony łykiem często przezywał. I tój wszelako funkcji rajcekiej, która mu nieco przyczyniała kłopotów, byłby się pozbył z ochotą, gdyby go nie wiązała życzliwość powszechna i wola jejmość pani małżonki. JMPani Jakubowa, lubo rządziła mężem jako sama chciała, niemniej go jednak uważała godnym nietylko rajectwa; ale najpewniejszą była, że prędzej czy później obsiadzie on miejsce, dziś przez czcigodnego JMPana Wilczka, burmistrza miasta Lwowa zajmowane, ile że i pan Wilczek, człek letni, mierzył już sobie tę pracę, która mu szczególnie w ostatnich czasach nie jednego siwego przyczyniała włosa.

JMPan Jakub Russyanowicz wyszedłszy z winiarni Kasperka i pożegnawszy się ze starostą, skierował się tedy przez rynek na Ormiańską ulicę, minawszy kilka domów otworzył furtę, która prowadziła w wązki zaułek między jego własną i braterską kamienicą i znalazł się przed boczném wejściem do domu. Drzwi wgłębione w murze, do których się po trzech kamiennych płytach wstępowało, wązkie były, zamczyste i żelazną obite blachą; pan Jakub dobył misternie rzezany klucz z kieszeni a poświeciwszy sobie małą latarką, otworzył je i wnet zatrzasnąwszy za sobą, powolnym krokiem, zadumany mocno, posuwał się szczupłemi i stromemi schodkami na górę. Tu zaledwie się znalazł w środkowej górnej sieni domu, z trzaskiem otworzyły się drzwi przeciwległe, wiodące do mieszkania pani Paparowej; wybiegła z nich dziewczeczka urodziwa, czarnooka i czarnowłosa, żywa, uśmiechnięta i figlarna wielce, lat około szesnastu: była to panna Barbara Słoniowska, sierota, wnuczka ukochana i wypieszczona wychowanka pani Paparowej. Poskoczyła ona żwawo, podsuwając świecę pod samą twarz prawie gospodarzowi.

— Czy to wujaszek?—zawołała.

— Aha! — ozwał się pan Jakub — toś ty widać kogo innego czekała?

— Cha! cha! — zaśmiała się Basia — oh! czemu nie? — ale wnet kwaśną minkę zrobiwszy, dodała—tylko na nieszczęście, nie mam kogo wyglądać.—Ale—prawiła żywo—babcia mnie wysłała pilnować, kiedy wujaszek z miasta powróci, bardzo ciekawa czy jakich nowin nie ma.

— Powiedz babci że są i ja tam zaraz przyjdę.

— Nie trzeba — odparła Basia—my na tę stronę zaraz z babcią idziemy, a wujaszek—dodała śmiejąc się—niech śpieszy prędzej, bo będzie bura od cioci: już dawno z wieczszą czekamy.

W tój chwili uchylono drzwi od mieszkania gospodarza, w któ-

rych ukazała się najprzód para pięcio lub sześćioletnich ślicznych dzieciaków a za niemi, przystojna i dorodnej postawy pani Jakubowa.

— Cóżes tak siedział w mieście?—spytała—wszystko wystygło: taka byłam niespokojna!

Gospodarz wchodząc na próg pocałował żonę, dzieci musnąwszy ręką po rumianych policzkach.

— Przepraszam cię, Zosiu—odparł—spotkałem się ze starostą Gintowtem: wielkie nowiny...

— Jakie?—spytała żona.

Pan Jakub zabierał się już do opowiadania, gdy z nieodstępną Basią, weszła właśnie pani Paparowa, dość zwawo i raźnie, mimo lat przeszło sześćdziesięciu i nieco przykrótszej jednej od złamania nogi, dla której się laseczką podpierała. Staruszka średniej była tuszy i małego wzrostu, ubrana w kabat z kanawacu, marmurkami podbity i kaptur ciemny, drobniuchnym obrzeżony rąbkiem.

Niecierpliwie i z ciekawością wielką zwróciła się do pana Jakuba.

— No, no, cóż tam nowego przynosisz?

Gospodarz opowiadać zaczął pośpiesznie o owój bitwie pod Kaliszem.

— Matko Boska!—przerwała pani Jakubowa—a cóż się stało z naszym Stefanem?

Gospodarz smutnie zwiesił głowę i ręce rozstawił:

— Niewiadomo.

— Może uciekł?—zawołała roztrzepana Basia.

Pan Jakub ruszył ramionami.

— Moja kochana — odparł — uczciwy żołnierz, z pola bitwy nie ucieka.

— Jeśli wojsko pobite, rozgromione — rzekła, niby pocieszając siebie i innych staruszka — mógłby ująć nie jeden...

Pocziwa pani Jakubowa, która ze wzruszenia mimowolnie aż na stołku przysiadła, a łzy jej się w oczach lśniły, rzuciła ręką niechętnie.

— Już choćby i uszedł — mruknęła głosem stłumionym — to pewno nie cało.

— Niéma co się alterować zawczasu — mówił uspakajając kobiety gospodarz — co drugim to i jemu, a nie wiemy nic jeszcze jak to tam było: może go łaska Boska ochroni.

— Dałam mu jak wyjeżdżał, hamail, co miałam od babci — przerwiała Basia — i obiecał że go zrzucać nie będzie...

— Kto z Bogiem, to i Bóg z nim — ozwała się staruszka — zmówimy z panią Kasyanową koronkę na jego intencją.

III.

Siedziba JMPana starosty Gintowta, wśród falowatych pól, w okolicach Lwowa położona, była wcale nie brzydka, o ile się do tego sama przyczyniła natura, dając wzgórze, doliny, drzew nieco i rzeczulkę

i stawek; wszystko się to jednak nie na wiele przydało, gdyż o korzy- stanie z tych darów ani dawniejsi ani terażniejszy dziedzic, zawołany wprawdzie gospodarz, wcale nie dbali. Stawek zarastał sitowiem, stru- miem omijając stare pnie wierzbowe co się w niego waliły, lub obsuwa- jące się gliniaste brzegi, mruzczał niechętnie, szukając dróg nowych; o pielęgnowaniu drzew ku ozdobie nie wiele myślano, dwór zaś rozło- żył się szeroko a wygodnie na najobszerniejszej płaszczyźnie. Był więc dziedziniec przestronny, w połowie zajmowany przez zabudowa- nia gospodarskie, w znacznej części murowane, naprzeciw których leżał dom mieszkalny z wysokim dachem, długi, drewniany, niski a w ziemię już wsiadły i czerniały przez lata; z dwóch boków stały po- mniejsze zabudowania, a za tém wszystkiém kilkanaście drzew starych i spory sad owocowy. Nic tu nie świeciło ku ozdobie, ład wszelako go- spodarski przeglądał wszędzie; przeciw niemu świadczyć nawet nie mo- gły sterczące smutno okopcone kominy i rumowiska jakiegoś spalone- go domostwa, pamiątka szwedzkich odwiedzin, bo i gruzy były tu już nieco uprzątnięte i białeły złożone przy nich nowe brusy i podwaliny, jako oczywisty dowód że mimo „ewentów” niepewnych i trwających je- szcze w Rzpltej zamieszek, wszystko tu szło swoim trybem a o jutrze myślano. Jakoż, wszyscy to o staroście rozumieli, że był gospodarz jakich mało, ale mu insi i za złe to poczytywali, iż sprawy publiczne w tak ciężkich czasach mniej zdawał się ważyć, jakoby go one tyle zaj- mowały, ile własny jedynie interes widział z nimi związany. Poró- wnywano go zatem często do owego sławnego niegdyś Połęckiego Fili- pa, o którym wspomina Paprocki, że: „chlewy dla bydła murował a sam w drewnianym gmachu siadał,” bo gospodarka była u niego głównym celem życia. Dla kogo jednak taką pracę JMPan starosta poświęcał, odgadnąć trudno; był bowiem wdowcem bezdzietnym, dalszych zaś krewnych, którzy gdzieś na Wołyniu mieszkali, na oczy w życiu swo- jém nie widział. Mieszkał przy nim jedynie brat jego bezzenny, Sta- niśław, którego starosta trzymał z dobrego serca przy sobie, ile że ten człek nieszczęśliwy, od lat dziewięciu rozum miał nieco pomieszany. Przyszło mu to z dopuszczenia Bożego, jakoby jeduėj minuty, czasu elekcji króla Augusta pod Wołą, kiedy w tłumie z niezgodności wo- tów wynikłym, JMPana Papieskiego, największego przyjaciela jego, przy nim samym rozsiekanio na miejscu. Uwidziało się tedy JMPa- nu Stanisławowi, że go naówczas bracia szlachta królem obrać chcieli, na podobieństwo owych wotów, które powoływały na tron Aleksandra Polanowskiego, w czasie przeszłej króla Jegomości Jana III elekcji. Tak dalece mu więc w głowie zamąciła ta myśl osobliwa, że gdy z in- nych miar okazywał się on człekiem cale rozsądnym, w tym punkcie plótk już duby smalone, wierząc w nie twardo; i nietylko sobie téj imagi- nacyi wytłómaczyć nie dawał, ale wszystkie nawet „conjunctury” i wypadki polityczne umiał on po swojemu zawsze objaśnić w ten spo- sób, aby je do własnej głównej zastosować myśli. Słuchając zatem owych argumentów jego osobliwszych, które jednak co się tyczy kra-

ju, były częstokroć z gruntu prawdziwemi, tém bardziej przychodziło ubolewać nad tym człowiekiem, co mając rozum cale niepospolity, użyć go na dobre nie mógł, i stał się podobnym do owego drzewa, wszystkie swe soki żywotne obracającego na tworzenie jakiejś chorobliwej w skałczoném miejscu narości, która nie jest ani drewnem, ani liściem, ani owocem.

Trzymał go więc starosta w swoim domu z braterskiego afektu, ile, że kłopotów miał z nim niewiele, gdyż pan Stanisław własny majątek z dobrej woli, w części na kościoły za duszę przyjaciela, w części bratu swemu rodzonemu rezygnował, a sam na małej poprzestając prowizyi, ukrywał się tu niby, jak mówił, u starosty „dla utrzymania incognito,” ku czemu zapuścił brodę ogromną i przyodziął się w strój pielgrzymi. Co soboty zaś, zimą czy latem, w pogodę i spiekotę, w słońce czy zawieruchę, szedł pieszo, odmawiając modlitwy i różańce, dwie mile przeszło do Lwowa; tam, u Bernardynów, przed ołtarzem z trumienką błogosławionego Jana z Dukli, Mszy Ś-tój słuchał i również pieszo do domu powracał. Wychodził zaś zwykle w piątek wieczorem, lub w nocy, dzień przepędzał w klasztorze i nazajutrz również nocą powracał.

Parę tygodni ubiegło od owego czasu, kiedy starosta w winiarni Kasperka dowiedział się o bitwie zaszłej pod Kaliszem; z mieszkańców Lwowa lub okolicznych, którzy pod chorągwią wojewody kijowskiego, albo pana pisarza polnego służyli, nikt się do téj pory nie pojawił w tych stronach; głucho tylko o téj klęsce dochodziły wieści. A jeśli kto z onéj potrzeby i zdołał się jako salwować, nieśmiało zapewne i zajrzeć tam właśnie, gdzie czujni zastępcy bawiącego naonczas przy królu Augusta Sieniawskiego, hetmana, baczenie śledzili tych, którzy stronę Szweda trzymali.

Korzystając właśnie ze spokojniejszego czasu, JMPan Gintowt obsiał, jak należy, oziminę w porę, część wymłóconego ziarna sprzedał, część na wszelki przypadek ukrył w paru miejscach w lesie, porządnie zypawszy w doły i zarównawszy je dla niepoznaki, a że mrozy jeszcze nie zcisnęły roli, całemi siłami podorywał pod wiosenne usiewy.

— Bo to, panie—mówił, siedząc w ganku wieczorem, do stojącego przed nim podstarościgo—teraz jutro niepewne: co urwiemy, to nasze. Zakopaliśmy trochę żyta i pszenicy, to na chleb; ale na wiosnę, sięgam Bogu! może być nowa bięda, owies nam spasą z kretesem, nie będzie czém siać; młóć aspan co najwięcej: trzeba i owsa ze dwa doły zakopać.

Z drugiejj strony drzwi, w ganku, siedział na ławie poważny a milczący JMPan Stanisław, w ciemnym brunatnym habicie, z różańcem u rzemiennego pasa zawieszonym; na głowę nasunął kaptur od chłodnego wieczornego wiatru, który mu długą siwiejącą rozwiewał brodę. Siedział tak oparty o ścianę i nieruchomy, czasem tylko nieznacznie poruszając wargami, jakby mówił pacierze; patrzył w dal, przed siebie, żaduój nie zwracając uwagi na toczącą się obok dalszą gospodarską rozmowę. Naraz, przychylił się nieco i brwi namarszczyw-

szy, począł się coraz baczniej wpatrywać; wreszcie wyciągnął chudą i żylastą rękę, ukazując gościnniec.

Starosta zwrócił się w tę stronę.

Na jasnym tle nieba, które zorza chłodnego jesiennego wieczoru powlekła barwą złoto-zieloną, rysowały się czarno a wyraźnie postacie dwóch jeźdźców, zmierzających prosto ku dworowi. Znikli zjechawszy ze wzgórza, ale w dolinie przed dworem, lubo ich widać nie było, cisza wieczorna pozwalała dosłyszeć wyraźnie dudnienie kopyt końskich, gdy przez most przejeżdżali.

— Jadą tutaj—rzekł Gintowt.

— Aby tylko nie nieprzyjaciel—mruknął zcicha podstarość.

— A któż dziś przyjaciel?—rzuciwszy jednem ramieniem, zauważał gospodarz.

— Jużto prawda, JW. Panie—odrzekł stary sługa—każdy bierze, nikt nie daje.

— Cha! cha!—rozśmiał się starosta—owszem, dają makary ¹⁾; aspan to musisz dobrze pamiętać.

Podstarość mimowolnie poruszył plecami, przypominając sobie szwedzkie odwiedziny.

Jezdni téż ukazali się już we wrotach i stępa podjechali pod ganek.

Gintowt namarszczywszy się i ręką przysłoniwszy oczy, wpatrzył się chwilę uważnie.

— A! sięgam Bogul—zawołał—pan Hrehory Puzyrowicz! no! i pan Russyanowicz! czy mnie oczy nie mylą?

— Czołem szanownemu staroście—odparł wesoło Puzyrowicz—nie mylisz się Jegomość wcale i zaraz się do stóp twoich ścię, tylko pierwój pomódz muszę Stefanowi, bo sam z konia pewno nie zlézie.

Posunął się więc gospodarz i stary sługa do pomocy, ale JMPan Stefan sam się już powoli gramolił na ziemię.

— Upadam do nóg pana starosty—mówił, witając gospodarza, a odczepiwszy obuszek od troków i opierając się na nim, postąpił na ganek.

— Cóżto waści?—zapytał Gintowt—ołowiana muszka ukąsiła? saska czy hetmańska?

— Bodaj tak!—odparł Russyanowicz—wcale nie żadna ołowiana muszka; ale istna żelazna gadzina!

— Jaka?

— A no, kałmucka strzała, to szkaradstwo od wszystkich kul gorsze: trzeba razem z mięsem wrywać i goić się nie chce.

Gospodarz zatém, prosił gości uprzejmie do domu a służba troki z koni zdjawszy poprowadziła je do stajni.

Po wieczery, kiedy jeszcze gospodarz, Stanisław i goście u sto-

¹⁾ Wyrażenie współczesne, oznaczające plagi, bizuny.

łu siedzieli a jadło sprzątniono i na obrusie chleb tylko i świeżo napełnione lampki starego miodu zostały, starosta kazawszy nowe bierwiona wrzucić na ogromny komin i węgryzka co przy nim z ozogiem siedywał odprawiwszy, zwrócił się do gości.

— No—ozwał się—teraz mi waszmość gadajcie, jakeście się z tój łaźni wyrwali? i co zamysłacie?

— E, tu relacya nie długa—machnąwszy ręką, odparł Puzyrowicz—mówią że nas pod Kaliszem Sasi pobili, a tam się żaden Sas nie bił, jako żywo!

— Co aspan gadasz?—przerwał starosta.

— Sas tylko do rabunku—wtrącił Russyanowicz—ile ich było, i drabanci królewscy uciekali wszyscy haniebnie; bili nas tylko Moskałe, Kozaki i nasze własne wojsko kwarciane.

— A prawdaż to, co gadają, że wojewodzina i pisarzowa siedziały na koniach?

— Jak nie ma być prawda—zawołał gorąco Puzyrowicz—prochy w beczułkach dowoziły; JMPani pisarzowa nie darmo przecie de domo Czarniecka! ot, to mi, panie, białogłowa!

— Nie pomogły jednak te prochy—dorzucił Stefan—Szwedów tam siła Kozacy wykłuli; wojewoda pod wieczer z chorągiewami kazał się wstecz ruszać do namiotów i pono nie wiedział nawet, że batalia przegrana. Nas z Hrehorym i z kilku pocztowymi wysłano na tylne czaty ku Koninowi i myśmy nie nie wiedzieli, aż znienacka Bradt z Sasami, Kozactwem i Kałmukami cały obóz otoczył, mnie postrzelono w nogę i ledwieśmy się z duszami w ciele salwowali z tój kłęski.

JMPan Stanisław tymczasem, słuchając rozmowy, milczący, ręce w tył założywszy, przechadzał się tam i sam wzdłuż izby, stawał niekiedy przed oknem i lubo na dworze ciemno było jak w saku, wpatrywał się przez chwilę w one czarne szyby i zuów powolnym krokiem powracał. Wreszcie, z powagą prawie majestatyczną stanął przed stołem i kiwając głową, a rękę podniósłszy do góry, rzekł zcicha:

— Kara Boża... więzy za nadużycia swobody... królom naszym dyktowaliśmy p a c t a, teraz nam sąsiedzki miecz pisze prawo... a za niezgody, obcy monarchowie nie dają narodowi własnego uznać wybrańca!

To powiedziawszy, zwrócił się i dalej, jak przedtém, milczący po izbie kroczył.

Starosta ruszył lekko ramionami i znacząco spojrzawszy na gości, zrobił gest palcem po czole; ale gościom znanym był pan Stanisław oddawna, więc Puzyrowicz, jako człek pusty a wesoły zawsze, zwrócił się ku niemu.

— Wasza Królewska Mość—rzekł—powinienbyś zwołać pospolite ruszenie, poszlibyśmy a przepędzili i Sasów i Szwedów.

Pan Stanisław stanął, spojrzął na mówiącego jakby z politowaniem niejakiém, wreszcie rzekł zwolna:

— Mylisz się, mości koniuszy koronny.

Na ten tytuł niespodziewany, Puzyrowicz skłonił się lekko od stołu.

— Nie otrzymałem dyplomu—rzekł.

— Później dostaniesz—odparł z powagą Stanisław.

— Ale cóż JMPan Jerzy Dzieduszycki na to powie?

Pan Stanisław kiwnął ręką i głową.

— Ja mu koniuszostwa nie konferowałem, waszmość je po panu Koniecpolskim, wojewodzie bractawskim otrzymałeś, ale ten był do rady lepszy od waszmości... Moja polityka—dodał po chwili—jest całę odmienna... ekonomiczna... wydam uniwersały, żeby nikt, pod utratę czci, nie ważył się ani Sasom, ani Szwedom pomagać... niech się sami biją z sobą... co to do nas należy?!...

— Ależ w naszym kraju!

— A cóż to szkodzi?—odparł z największym spokojem pan Stanisław—i owszem, dobrze; tylko niech za wszystko płacą, batalie niech sobie staczają na ugorach a obozy mogą na podorywkach zakładać, aby tylko wczas ustępowali.

Starosta ścisnąwszy ramionami wstał od stołu, za nim ruszyli się goście, Stanisław zaś kiwnąwszy ręką i mruczając coś, jako zwykły, sam do siebie, wysunął się z izby powoli.

Gospodarz zwrócił się do przybyłych.

— Żeście o mnie waszmość pamiętali—rzekł—bardzom ja rad; ale jakeście się tutaj przedrzeć mogli, gdzie się komendy saskie nieustannie włóczą, tego zgoła nie pojmuje.

Zaśmiał się JMPan Hryhory.

— A no, Pan Bóg strzegł, bywało różnie, aby nam się tylko dostać do Lwowa.

— Sfiksowaliście, czy co?—zawołał gospodarz—zdrową głowę pod ewangelią kłaść!

— W mieście nam najbezpieczniej—zauważył Puzyrowicz.

— Ja się muszę ze swymi zobaczyć, i na własnych śmieciach nieco podkurować—dorzucił pan Stefan.

— Bójcie się Boga! — przerwał starosta — tamże waszmościów hetmańscy natychmiast wytropią!

— Albożto nam na łbie napisano z kim trzymamy?

— Ba!—rzekł starosta—wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi.

— Nie jesteśmy przecie w szwedzkim obozie—odparł Stefan—wielocy na nas czynić nie mogą: jakim prawem?

— Gadaj zdrów—ciągnął Gintowt—hetman tam o prawo nie pyta; najprzód weźmie za czuprynę, a trzymając się sandomierskich pactów, zrobi z wami co zechce; instygator się znajdzie, a waszmości nie trzeba innego, jako jest sam Laszkowski.

— Co starosta mówisz!? — zawołał Stefan — toć mój szwagier, człek z kośćmi pocziwy.

— Cha! cha! cha!—zaśmiał się starosta—może tam kości i mięso nawet pocziwe, ale dusza nie; a jaką ma z Kotonim zażyłość, to

masz we mnie testem ocultum, że zaś na waszmości godzi, to ci i twój brat opowie.

— E, bo Jakub się przeciwko niemu uprzedził; żeby tyle biedy co z Laszkowskim! byle nam się tylko dostać do Lwowa.

Nastąpiły zatem długie narady; nazajutrz panowie towarzysze, zostawiwszy konie u starosty, poprzebierali się jeden za hajduka, drugi za woźnicę i przed zamknięciem jeszcze bram miejskich, wieczorem, wraz z Gintowtem dostali się do miasta.

Puzyrowicz, że był w pannie Deregowskiej rozmiłowany, z którą się też później i ożenił, a rodzice jej dla inwazyi nieprzyjacielskiej na ten czas mieszkali we Lwowie, zaraz też przyjechawszy pomknął do miasta, starosta zaś, którego woźnica naprzód piechotą dostał się do Lwowa i w gospodzie czekał, tamże zajechał; ztąd więc JmPan Stefan, Gintowtowi za pomoc podziękowawszy, pośpieszył do swoich.

Wielka była radość w kamienicy Russyanowiczów, kiedy się w połowie opłakany a za nieżywego, albo też przepadłego uważany pan Stefan pojawił. Więc i stara ciotka Paparowa, która go wielce lubiła i brat i bratowa i Basia, tysiącem go uścisków i pytań obsypali na wstępie. Rozmowa długo się w noc przeciągnęła a gdy staruszka z Basią odeszły i Stefana miał już brat do izdebki jego odprowadzić, zatrzymała ich jeszcze pani Jakubowa.

— No, kochany Stefanie — rzekła wesoło — kiedy nam zdrów, Bogu dzięki, wróciłeś, już cię teraz ożenimy.

— Czemu nie? — odparł śmiejąc się Stefan — ciotka Paparowa wspominała mi o tym zamiarze, jeszcze przed moim odjazdem; Basia na wcale miłą i urodziwą dziewczeczkę urosła... nie wiem tylko, czy mnie zechce.

— Za Basię, ja ręczę—mówiła żywo bratowa—a ciocia wyraźnie nam powiedziała, że ci i tę drugą połowę kamienicy i kapitały odda, jeśli się z Basią ożenisz.

— Niechże się lepiej poznają—przerwał pan Jakub—dwa lata jej prawie Stefan nie widział, tyle, co po parę dni, i to jeszcze dzieckiem była.

— O! czy to wiele czasu do tego potrzeba—odparła żona—jutro już się będą umizgać do siebie; Basi aż się oczy śmieją.

— Otóżto—gdyrał pan Jakub, pokręcając głową—strzela ona temi oczyma na wszystkie strony...

— Jeszcze-ż nikogo nie zastrzeżeliła—przerwała śmiejąc się żona.

— No, tak—ciągnął mąż—ale niema co ryb przed niewodem łapać; z Laszkowskim teraz niewiadomo, jak się pokieruje sprawa, a to człowiek zły z gruntu, i dla Stefana we Lwowie powietrze może być nie bardzo zdrowe...

— Ee, bo tobie się zawsze coś przywiduje—odparła pani Jakubowa, klepiąc męża po ramieniu—nie słuchaj go, Stefanie—dodała wesoło zwracając się do brata—idź spocząć, wszystko się to ułoży; bądź spokojny.

Ostrożny, a znający miejscowe stosunki p. Jakub, wymógł jednak na bracie, żeby mu dał słowo, o ile możności, jaknajmniej pokazywać się w mieście. Nie trudnym to było dla pana Stefana, któremu rana w nodze, niezagojona jeszcze, niewiele chodzić pozwalała, a piękna Basia do wypełniania miłosiernych uczynków, raptowne widać powołanie uczuwszy, z przykładną żarliwością pocieszała chorego. Jeśli więc nie byli wszyscy razem zebrani, a pani Paparowa siedziała na drugiej stronie u siebie, to się tak jakoś składało, że co chwila Basi wypadło pobiedz albo do ciotki Jakubowej, albo do dzieci za różnymi pilnymi sprawami, a przytém nie obeszło się, żeby i biédnemu inwalidzie nie przyszło rzucić słów parę i kilka wejrzeń, pełnych serdecznego współczucia.

W kilka téż dni zaledwie, po przybyciu Stefana, pani Paparowa z wielkiém ukontentowaniem widziała już dowodnie, że zamiary jój bez trudności uskutecznić się dadzą, i jak mówiła, „będzie mogła postawić Basię według swojej plany.” W mieście tymczasem, jako każda nowina szybko, niby z podmuchem wiatru obiega, więc i o powrocie brata pana Jakuba dowiedzieli się ludzie niebawem, a ciekawi wieści lub niespokojni o swoich, biegli do kamienicy Russyanowiczów. Trwała ta procesya czas jakiś, aż wreszcie unniejszać się już poczynała po kilku tygodniach, gdy dnia pewnego, właśnie kiedy wszyscy u obiadu siedzieli, wbiegła żywym krokiem dama jakaś, wcale nieznamą.

Pan Jakub, jako gospodarz, podniósł się na jój przywitanie.

Przybyła, szybkim ruchem odrzuciła kwefik, co twarz jój okrywał; a twarz to była prawdziwie niepośledniej urody, z cudnie pięknymi błękitnymi oczyma, które osłaniały długie rzęsy, ciemne jako i brwi, co się w lekkich łukach nad niemi zginały; na białém licu, przy ustach dwa rozkoszne dołki, niewymownego dodawały jój wdzięku, cała zaś postać w pełni, jakoby toczonych kształtów, dziwnie była foremną i urodziwą.

— Przepraszam, że tu wchodzę nieznaną — rzekła przybyła z niejakiém zakłopotaniem — jestem Rosnowska, podstolina, z Sanockiego.

Ruszono się od stołu, gospodyni zapraszała przybyłą do drugiego pokoju, ale podstolina zwróciła się do pana Jakuba.

— Wrócił Deręgowski w nasze strony — mówiła żywo — zostawiwszy tu żonę i córkę we Lwowie, mówił mi, że tu bawi pan Hrehory Puzyrowicz, alem się o niego dopytać nie mogła; pani Deręgowska poradziła mi więc, żebym się udała do państwa, gdyż podobno któryś z panów był także pod Kaliszem... w téj potyczce, chciałam się o moim mężu rozpytać... dowiedzieć...

Gospodarz wskazał na Stefana.

— To mój brat właśnie — rzekł — był w téj potrzebie.

— Czyś Waćpan znał mego męża? — spytała podstolina — był w chorągwi pana pisarza polnego, Potockiego.

— Nie, pani—odparł Stefan—ja byłem z wojewodą kijowskim.

— Możeś co o nim słyszał przynajmniej.

— Nic zgola, bom po tej klesce nikogo, nawet z towarzyszków, nie widział.

— Żadnej wiadomości!—szepnęła jakby do siebie podstolina—nigdzie się niczego o nim nawet dopytać nie mogę.

Stała chwilę milcząca a zasmucona i tak piękna, że się na nią pan Stefan, jak na malowany obrazek zapatrzył; wreszcie, mimo uprzejmych zaproszeń gospodarstwa, pożegnała ich, zabierając się do wyjścia. Wybiegli za nią panowie do pierwszej izby, Stefan ujął futrzaną szwedkę, czyli mantolet, podając go odchodzącej. Już się odziewać miała podstolina, gdy nagle stanęła, jakby skamieniała, a po chwili szybkim posunawszy się ruchem, chwyciła Stefana za rękę, którą przytrzymał futro.

— Ten sygnet!—zawołała—zkąd go pan masz? na Boga! mów pan!

I stała strwożona, w niemém oczekiwaniu, z niedomkniętymi ustami i szeroko rozwartymi oczyma.

Stefan, zmieszany mocno, zrazu nie mógł się zdobyć na słowo.

— To mego męża pierścień! Ach Boże! zkąd go pan masz?—powtórzyła nagląco.

Russyanowicz coraz bardziej zakłopotany, stuliwszy rozpostarte przedtém futro, razem i drobne rączki podstoliny i pierścień na swym palcu przytrzymał.

— To chyba jaka omyłka—odrzekł—może podobny.

Pan Jakub, widząc wahanie się brata i wzruszenie pani Rosnowskiej, przyszedł jój w pomoc.

— Mów, zkąd-że masz ten pierścień? bo i ja go u ciebie przedtém nie widziałem; juźcić go przecie nie zrabowałaś nigdzie!

Na to nieopatrzne przemówienie brata, panu Stefanowi twarz krwią nabiegła z czołem i uszyna.

— A cóż u Boga!—zawołał żywo—leżąc pod Koninem dwa tygodnie ranny, kupiłem go od żyda, szynkarza, a żyd razem z odciętym palcem od Sasów.

— Ach! to okropne!—wykrzyknęła podstolina—może to inny, podobny jaki, pokaż pan; tam była w środku cyfra i data.

Stefan, zciągnawszy pierścień, podał go żywo; ale zaledwie nań okiem rzuciła pani Rosnowska, zachwiała się, i gdyby jój był Stefan w swe silne ramiona nie chwycił, byłaby zemdlona na podłogę upadła.

Zrobił się tedy rozruch i niepokój w domu; Stefan złożył ostrożnie powabny swój ciężar na sofie, zaczęto trzeźwić omdloną. Woda, ocet, larendogra i rozpuszczenie sznurówek, pożądany wywarły skutek. Podstolina niebawem westchnęła głęboko, otworzyła piękne oczy i kąpiąc je w łzach gorących, głośno szlochać poczęła.

Uciszyli się zatem wszyscy, a staruszka, pani Paparowa, wy-

szedłszy z owój komnaty do pierwszego pokoju, zażywając tabaczkę, rzekła zcicha do pana Jakuba:

— No, chwala Bogu, że płacze i rozpacza głośno, już ja na to doświadczona; nic jój nie będzie: prędko się po nieboszczyku pocieszysz.

— Jak nie ma płakać—odrzekł pan Jakub—taka niespodziana wiadomość.

I zwrócił się do Stefana.

— Pocóż ci było gadać jeszcze o tym palcu?

— A! boś mnie też zagadnął!—odparł Stefan, który zasapany i nieukontentowany chodził po pokoju.

— Nie alterujcie się, nie alterujcie—mówiła pocieszając starszka—już ja wam mówię, że jój nic nie będzie; byłaby w niepewności żyła, to jeszcze ciężej, a kiedy płacze, to już dobrze. Gorzej to, jak kto płakać nie może... a niby jest na oko spokojnym... już taki nie odęskni do śmierci.

Tu, nadbiegła gospodyni.

— Stefanie!—rzekła, gestem go przyzywając—chodź, podstolina cię prosi.

Wszedł więc do drugiej izby ostrożnie i cicho; pani Rosnowska, zapłakana, siedziała na sofie, trzymając pierścień w ręku, oglądając go i obracając na różne strony.

— Przepraszam pana—rzekła podnosząc zażawione oczy na Stefana—taki cios okropny!...

Zaniosła się znowu od płaczu, ale po chwili uspokoiła się nieco.

— Czy nie mógłbyś pan mnie—spytała—choć cośkolwiek powiedzieć? jak to było? może ten żyd co wiedział?

— Nie wiem nic zgoła—odparł Stefan—wątpię, żeby i żyd co mógł wiedzieć.

Nowe więc zaczęły się płacze, ale już cichsze i po nie jakim czasie, zabierając się piękna podstolina do wyjścia, nieśmiało i z niejakiem wahaniem zwróciła się jeszcze do Stefana.

— Ale pan—rzekła zcicha i trwożliwie—za ten pierścień zapłaciłeś...

— Ależ, pani—odparł żywo Stefan—proszę mi nie robić tój przykrości, a chcąc w inną stronę zwrócić rozmowę, dodał:

— Może Waćpani dobrodziejka pozwoli się odprowadzić?

— Na Halickie—szepnęła słabym głosem—i z przyzwoleniem, czy podziękowaniem skinęła głową.

Tak się ta tragiczna, w domu państwa Jakubowstwa, zakończyła scena. JMPan Stefan odprowadził panią Rosnowską na Halickie, ale wróciwszy smutny, a zalterowany mocno i sam się jakoś uspokoić nie mógł i żadne nawet uśmieški a żarciki Basi, rozchmurzyć go nie były w stanie.

Tegoż wieczora JMPani Paparowa, klucznikowa kamieniecka, zakatarzona i nieco kaszląca siedziała w swoim mieszkaniu, oczekując

przybycia pani Kasyanowój, przyjaciółki swój od serca, do której codziennych prawie odwiedzin tak już była przywykła, jako się człowiek w regularnym życiu przyzwyczaić może do jakiejś stawy lub każdej innej rzeczy, która mu, bądź przyjemną, bądź pożyteczną się zdaje. Pani Kasyanowa, wdowa po kupcu zmarłym przed dwudziestu laty w Kaffie, dokąd po towary jeździł, cała oddaną była pobożności tylko, modlitwie, miłosiernym uczynom i dewocyi; gardziła ona marnościami świata, o którego wszelako zdrożnościach nieskończone rzeczy miała do opowiadania, znając najdokładniej, nietylko mieszkańców całego Lwowa, ale i okolicznych, i wiadomości o nich mając niewyczerpane. Za jęj-to głównie pośrednictwem mogła pani Paparowa w największej tajemnicy, ewangelicznie, aby nie wiedziała lewica co daje prawica, wspomagać często jakichś nieznanych i niewidzialnych, wstydzających się zebrać ubogich, w których wynajdywaniu szczególniejszy talent posiadała pani Kasyanowa. Towarzystwo jęj tém przyjemniejszym jeszcze było szanownej pani klucznikowój kamienieckiej, że pojęcia tęj pobożnej niewiasty, dziwnym sposobem zgodne były z pojęciami pani Paparowój, i nie było rzeczy, w którejby jęj zdanie różniło się od zdania pani klucznikowój. Ztąd też, lubo staruszka traktowała panią Kasyanowę nieco poufale, pokładała w niej jednak większe, auizeli w kimkolwiek bądź zaufanie; nic prawie bez niej nie uczyniła ani postanowiła, we wszystkim zasięgając jęj rady, której nie mogłaby nie słuchać, gdy od tak zacnej i świętobliwej pochodziła osoby.

Czekała więc pani Paparowa owego wieczoru swojej przyjaciółki niecierpliwiej nawet niż kiedy, od trzech dni jęj bowiem nie widziała.

Staruszka siedziała na małej sofce w ciepłym futrzanym, jak zwykle, kubraczku, robiąc pończochę. Na okrągłym stoliku, przed nią, stała taca i filiżanki do kawy, z którą widać na przybycie pani Kasyanowój oczekiwano. Pokój słabo oświecały dwie świece w jednym dubeltowym lichtarzu, osłonięne spuszczanym kapturkiem, który całą izbę, prócz stołu, szarym pokrywał mrokiem. Z drugiej strony stolika, Basia, mając do tamburka umocowaną siatkę, zdawała się najpilniej zajęta robotą, która jednak niewiele postępować mogła, ile że robotnica co kilka minut wybiegała, powracała na chwilę i znów jęj coś przeszkadzało i odrywało od pracy.

— Długo jakoś nie przychodzi—ozwała się wreszcie pani Paparowa, przerywając milczenie.

— Właśnie, zdaje mi się, że idzie—odparła Basia—pobiegnę, zobaczę.

Ruszyła się więc żywo od stołu, ale wtém i pani Kasyanowa właśnie ukazała się w progu.

Była wzrostu małego, lat sześćdziesięciu może, średniej tuszy, trochę garbata, przez co głowa tylną częścią topiła się w ramionach tak, że twarz z małemi biegającemi, szaremi oczkami, nadmiarę duża i trędowata, zadzieraa się do góry, a naprzód wystawała spiczasta broda, która, z braku zębów, znajdowała się w blizkiem sąsiedztwie

potężnego nosa, barwy czerwono-sinawej. Przy zmrużonych oczkach i zawsze, jakby do litery *u* sznurujących się ustach; słodziuchny uśmiech nie schodził z jęj miłego oblicza. Na peruczce, zakrywającej pół czoła, strzepił się kornet z szerokimi szlarkami, kiwającemi się za każdym poruszeniem głowy, a wielka tyftykowa chustka, złożona w klin, spływała z jęj bombiastych pleców, końcem sięgając prawie do podłogi; na lewej ręce zawieszona nieodstępna torba, a w prawej facel-let, a lias chustka do nosa, dopełniały stroju.

Zaraz tedy, od progu, dał się słyszcć cienki, syczący a chrapliwy głos pani Kasyanowej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; całuję nóżki pani klucznikowej dobrodziejki.

— Na wieki, na wieki—odparła pani Paparowa, posuwając się na kanapie dla przygotowania miejsca przyjaciółce.—Cóż to się stało, kochana pani Kasyanowo, tak dawno u mnie nie byłaś?

— Ach! moja droga pani dobrodziejko—mówiła kłaniając się i posuwisto zbliżając do stołu, przybyła, a oglądając się niespokojnie po bokach i poza sobą, rzekła:—co za nieszczęście ja miałam, niech Bóg uchwali!

— Jezus, Marya! cóż takiego?—spytała gospodyni.

— Ze zgryzoty dwa dni chorowałam—mówiła pani Kasyanowa.

— Ale cóż to było?

— Książd Muratowicz zawsze coś do mnie cierpi; i teraz znowu...

— Moja pani Kasyanowo—przerwała gospodyni—taki świątobliwy kapłan, cóżby miał cierpieć do ciebie?

— Otóżto — ciągnęła pani Kasyanowa — świątobliwy, może to być, ale zawsze... nie czysty Ormianin, już on zewszystkiem złacinniał; lada o co, zaraz hałasuje, a my przecież mamy swoje prawa.

— No, dobrze—rzekła gospodyni—ale teraz to już jest jedność kościołów.

— Jedno to jedno; no, a cóż tam jemu szkodzi, że ktoś pobożny zrobi... po staremu ofiarę.

— Jakto ofiarę? do kościoła? Przecież tego pewno bronić nie będzie?

— Otóżto, że broni; tam, w tym domu, gdzie ja mieszkam, u gospodyni chorowało dziecko; pocziwa, powiadam pani, kobiecisko, téż nasza Ormianka; szkoda mi jęj było, naradziliśmy się, i oni tam zabili jałowicę na Madagh ¹⁾.

— Na Madagh? — przerwała pani Paparowa — to podobno nie wolno, mówią, że to pogański obyczaj.

— Otóżto, kochana pani dobrodziejko—trzepała żywo pani Kasyanowa—bronią, bronią; a to przecież ofiara z pobożności, na chwałę

¹⁾ Zabijano bydłę na ofiarę, którego części składano u drzwi cerkiewnych.
Przyp. Autora.

Bożą. Książd Muratowicz się dowiedział; co było hałasu, święty Antoni! i na mnie się skrupiło... niech Bóg broni!

— Ale wié kochana pani dobrodziejka—dodała z uśmiechem, ciszéj, popiwszy kawę zbyt duży kęs bułki, który przez gardło przechodzić nie chciał—wié kochana pani? dziecku zaraz pomogło; jak ręką odjął, jak panią szanuję, odrazu; tylko drugiego dnia dali mu coś zjeść i to najgorzej zaszkodziło, że już późniéj... nie można było odratować. Ach! kochana pani dobrodziejko, co to teraz téj biédy na świecie—mówiła dalej—ot, ta wdowa, co to jéj pani klucznikowa dobrodziejka, temu dwie niedziele, posłała przezemnie trzy lewkowe ¹⁾, nieszczęśliwa, teraz téż straciła dziecko; nędza, niéma za co nawet pochować, oh!

— Któraż-to—spytała gospodyni.

Pani Kasyanowa zakrzusiła się bułeczką.

— A, ta... ta, jakże?... Wierzbicka.

— Ot, wiesz co? kochana pani Kasyanowo—odparła staruszka—jakoś... nie pamiętam tego nazwiska; dałam ja trzy talary, to mówiłaś dla jakiegó Brzozowskiéj.

— A, tak, tak—podchwyciła pani Kasyanowa—ja, bo, zawsze się mylę; aha, Brzozowska, nieszczęśliwa kobiéta: nędza, nędza, pani dobrodziejko!

— A, no, to trzeba jéj będzie dopomódz.

— Oj, to kochana pani klucznikowa będzie miała wielką przed Bogiem zasługę; coto, proszę pani, bez opieki! a teraz, w téj wojnie, tyle wdów: niech Bóg broni!

— A, to prawda—przerwała pani Paparowa—ot i my dziś tu także taką okropną mieliśmy scenę!

— Co? scenę? jaką scenę?—podchwyciła ciekawie pani Kasyanowa.

— Imaginuj sobie, moja kochana pani—ciągnęła gospodyni—dziś, w czasie obiadu, wbiegła tu, do nas, jakaś dama, piękna, bardzo piękna białogłowa; dopytuje się Stefana, czy nie wié co o jéj mężu, że był z nim razem w téj potrzebie pod Kaliszem; Stefan nic nie wiedział; już tedy odchodzi. Stefan jéj podaje szwedkę, a ta go łap za rękę, poznaje sygnet mężowski; a Stefan go kupił u żyda, i słyszé, imaginuj sobie acani, był odcięty z palcem!...

— Z palcem!.. Jezus, Marya!

— Z palcem—powtórzyła pani Paparowa—wiéć kobiecina, jak nieżywa, padła, ledwieśmy się jéj dotrzeźwili; ale prędko przyszła do siebie.

— Któż-to taki? kto?—pytała żywo pani Kasyanowa.

— Jakaś Rosnowska, podstolina, z Sanockiego.

— Podstolina?.. Rosnowska... wiem, wiem, kochana pani dobrodziejko... podstolina.. a cha, cha, no? to, to już, kiedy tak, to trzeciego męża straciła.

¹⁾ Talary.

— Ale gdzież? taka młoda, może ma lat dwadzieścia cztery, pięć, najwięcej.

— A, tak, tak, ta sama; oj, to! kochana pani dobrodziejko! kobicinka także! ho, ho! nasłuchałam się ja o niej niemało; mdlała, niby tutaj, a z mężem, to podobno, różnie bywało.

— Co acani gadasz? to chyba nie ta.

— Ale, ta sama, ta sama, podstolina; pierwszy mąż był jakiś powinowaty Sapiehów, sześć lat temu, w pół roku po ślubie, gdzieś tam, na Litwie, była, słyszę, między swymi batalia, to zginął; drugiego zabił w pojedynku jakiś gaszek jójmości; a za Rosnowskiego poszła, że był bogaty, ale już człek niemłody i podobno impetyk; jak mu też zaczęła różne sztuczki płatać, zmierzył sobie życie i poszedł do Szweda.

— Boże jedyny!—westchnęła pani Paparowa—czyż to może być?

— Tak, tak, kochana pani dobrodziejko, teraz taki świat; niech Bóg broni, co to się dzieje: bałamuctwa, kłótnie, niezgody, plotki... proszę ja, kochanej pani, a najgorzej te plotki!... Ja, tam, do niczego się nie wtrącam, ale co się dzieje! Ot, np. ta Kirkorowiczowa, przyczepiła się babsko do mnie, że ja coś na nią u Bartosowiczów gadałam!

Tu, pani Kasyanowa, jakby z rogu obfitości, wysypywać poczęła miejskie nowiny, i tém swobodniej, że Basia, nalawszy kawę, rada, iż starszka potrzebować jój teraz nie będzie, wysunęła się do państwa Jakubowstwa, na drugą stronę domu, chcąc zapewne z dobrego serca rozbawić nieco JMPana Stefana, który, od wypadku z pierścieniem, widocznie był jakoś nieswój i zamysłony.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dramat niemiecki XIX-go wieku *).

(STUDIUM LITERACKIE).

PRZEZ

Teodora Jeske-Choińskiego.

III.

Dramat romantyków. (Franciszek Grillparzer).

Zalicza się zwykle i Franciszka Grillparzera do dramaturgów fatalistycznych, choć użył tylko jedyny raz nieubłaganego bożyszcza Greków, jako motywu tragicznego. Urodzony w Wiedniu 15 stycznia 1791 r. ¹⁾, nie kształcił się pierwotnie prawidłowo, bo ojciec jego, mecenas, nie chciał wątłego chłopczyka zbytnią obarczać pracą. Niedostatki te wypełnił później, ucząc się nie tylko literatur i języków nowożytnych, lecz także starożytnych. Czytał w dojrzałym wieku niezmiernie wiele, odznaczając się rzadką u artystów zaletą, bo mozolną, mrówczą pilnością.

Gdy zawieruchy polityczne (wojny Napoleońskie) zabiły ojca i zabrały mienie, spadł na Franciszka, nie mającego jeszcze wówczas żadnej pozycyi, ciężar opieki nad rodziną. Przedwczesny ten trud o chleb powszedni, nadchodzący w czasie, kiedy rozwijające się dopiero skrzydła poetyckie potrzebują swobody i światła, przyczynił się do wyrobienia w Grillparzerze owęj bojaźliwości o jutro, która go nie odstępowała przez całe życie.

Słuchając prawa, zarabia lekcjami na swoje i rodzeństwa utrzymanie. Zostawszy w r. 1813 małym urzędnikiem, włókł ciężki łańcuch powszedniej pracy, to jako adjunkt w ministerstwie skarbu, to ja-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za marzec r. b.

¹⁾ Według zapisków biograficznych Henryka Laube^o, który się zajął uporządkowaniem spuścizny literackiej zmarłego w r. 1872 poety. Inni historycy literatury, np. Schmidt Julian i Koberstein, podają rok 1790.

ko dependent w archiwum wiedeńskim, doczekawszy się dopiero w późnym wieku, jako sekretarz cesarzowej austriackiej, lżejszego chleba.

Grillparzer nie bawił się w awanturnika, jak znaczna część autorów romantyzmu. Całym jego pragnieniem było własne ognisko domowe, lecz nie doznał i tej pospolitej uciechy. Rozmłotowawszy się bardzo rychło w Katarzynie Fröhlich, karmił się i pocieszał tém uczuciem przez całe życie, bo umarł starym kawalerem, choć go piękna „Katki” równie gorąco kochała. Poeta nie mógł się przekonać do małżeństwa w ubóstwie, nie chcąc, jak mówił, ofiary swęj kochanki. Dopiero krótko przed śmiercią zamieszkał z nią pod jednym dachem. Trzy panie Fröhlich, z których jedna była owym ideałem, urządziły mu gdzieś na czwartém piętrze, na Spiegelgasse, miłuchne mieszkanie obok swego i pielęgnowały starego kawalera z miłością rodzonych sióstr. Kochanka przeżyła poetę. Ona to zamknęła dnia 21 stycznia 1872 r. zmęczone jego powieki.

Zawód literacki rozpoczął Grillparzer od tragedyi fatalistycznej. Ówczesny dyrektor teatru wiedeńskiego, Schreyvogel (West), rutynowany aktor, któremu dwudziestopięcioletni poeta (w r. 1816) posłał „Die Ahnfrau” ¹⁾, zwietrzył w autorze natychmiast wrodzony talent dramatyczny. Przyjął więc tragedyą i postarał się o dobrą wystawę, przyczyniając się do szybkiego rozgłosu młodego pisarza. „Prababka” przebiegła szybko wszystkie sceny niemieckie, doczekawszy się w samym Wiedniu 62 wystaw.

„Jedną z hrabin z domu Borotynów zamordowano wskutek wirolomstwa. Ztąd zawisła klątwa nad całym rodem, bo „prababka” nie może dostąpić spokoju pogrobowego, aż całe jęj potomstwo nie zginie ofiarą za dokonaną na nięj zbrodnię. Dlatego musi mieć ostatni hrabia, Zdenko z Borotynu, dwoje dzieci: syna i córkę. Chłopczyka musi wykraść łotr Bolesław, aby go na zbójcę wychować. Młody hrabia, stawszy się rozgłośnym mordercą, przybywa ze swą bandą w okolicy swego rodzinnego gniazda. Tu widzi w lesie swą siostrę, hrabiankę Bertę i zakochuje się w nięj, bo nie wie, że to miłość kazirodca. On mniema, że herszt Bolesław jest jego ojcem. Chcąc osiąść ukochaną, idzie na zamek, gdzie się przedstawia jako szlachcic westfalski, Jaromir z Eschen. Stary hrabia nie odmawia przyzwolenia na małżeństwo, bo mu się śmiały młodzieniec spodobał. Lecz z lasu i z okolicy nadchodzą trwożące wieści o zuchwałych napadach rozbójniczych. Hrabia wysyła załogę swoją przeciw bandzie, w końcu idzie sam do lasu i ginie od miecza swego syna, Jaromira. Schwytanie Bolesława wykrywa całą rzecz. Hrabia umiera, córka zatruwa się, a syn zamordowanego, ostatni z Borotynów, kona w objęciach pokutującej w grobowcu rodziny prababki.”

Pomijamy rozbiór pomysłu tej tragedyi, gdyż trzeba by powtó-

¹⁾ W przekładzie polskim: „Matka rodu Dobratyńskich.”

rzyć to samo, co się powiedziało w drugim rozdziale o fatalizmie w ogóle. Dość nadmienić, że w całej tragedyi czyni jedyne widmo; reszta zaś osób biegnie bez woli i bez wiedzy w przepaść. Lecz jako utwór sceniczny, stoi „Ahnfrau” bardzo wysoko, co też Schreyvogel uznał, a co krytyka niemiecka pomija. Już w tej pierwszej pracy widzimy znakomitego technika. Zewnętrznym też zaletom zawdzięcza autor powodzenie tego iście fatalnego dramatu, którego dotąd nie wykreślono z repertuaru. Od czasu bowiem do czasu debiutuje w nim jakiś wędrowny, lub za efektownymi rolami goniący aktor.

Fatalizm, druzgoczący całą rodzinę, będący skutkiem zbrodni, dokonanej na prababce domu, naprowadza nas na nowy rodzaj tragedyi, zgodnej z pojęciami wiedzy nowożytnej, a leżącej dotąd odłogiem. Główną wadą metafizyki, popierającej przez ośnaście wieków tak zwaną szczęśliwościowość (eudajmonologia), było przecenienie stanowiska człowieka w ustroju wszechświata. Dopiero umiejętność najnowszych czasów, wierząca tylko w empiryę, zakreśliła jednostce właściwsze granice. Nie ulega wątpliwości, że tego „doświadczania” zawiele, że wyznaczylismy dziś zbyt szeroką działalność „eksperymentowi,” przechylając się zanadto w pochyłym kierunku jednostronności; lecz ograniczenie możności człowieka, polegające na ściślejszej jego łączności z przyrodą, pozostanie na zawsze dodatnim owocem metody pozytywnej. A z tego stosunku jednostki do praw przyrodzonych wypływa cały szereg rzeczywistych danych, z których dramaturg może nowy wybić kapitał. Oto traci dziad lekkomyślnie majątek, a niewinne wnuki pokutują za grzech ojca głodem, nędzą i wszelakiem poniżeniem. Albo rodzic wiedzie życie rozwiązłe, zanieczyszczając krew, a dzieci cierpią za przestępstwo jego chorobami; lub też popełnia przodek czyn nie szlachetny, którego hańbę dźwigają jeszcze dalekie wnuki. Dramat, posługujący się takimi motywami, będzie oczywiście pokrewnym wytworowi romantyzmu; lecz przyrodzony ten fatalizm nie znosi ograniczonej woli jednostki, owszem, potwierdza ją, będąc przestrożą i nauką dla człowieka: strzeż się, albowiem nietylko twoje własne, lecz i wnuków twych szczęście zależy od czynów twoich! Samo się przez się rozumie, że przesada doprowadziłaby i ten odcień do karykatury.

Znając prywatne Grillparzera życie, trudno pojąć, dlaczego umysł tak jasny i trzeźwy użył właśnie najdziwaczniejszej odmiany fatalizmu, jako motywu tragicznego. Człowiek, który usilnie na chleb dla rodzeństwa i siebie pracował, który nie wykroczył przeciw towarzystwu żadnym „poetyckim” wybrykiem, nie mógł być romantykiem w ówczesnym znaczeniu. Prawdopodobnie więc wyzyskał fatum greckie tak samo, jak Müllner, jako rzecz będącą na czasie i jako wygodny efekt tragiczny, nie przywiązując do niego rzeczywistej wartości.

Przypuszczenie to potwierdza Henryk Laube, pośmiertny wyda-

wca poety, który powiada ¹⁾, że w rękopiśmie oryginalnym nie ma owa „pokutująca prababka” tak doniosłej roli, jak w drukowanym wydaniu tragedyi. Na marginesie manuskryptu widział Laube dopisek Schreyvogel'a, domagający się głębszego i staranniejszego motywowania fatalizmu. Dyrektor teatralny wiedział, czego widzom potrzeba i nakłonił autora do hołdu gustom współczesnym ²⁾.

Jakiś znajomy prosi Grillparzer'a na przechadzce o libretto do opery. Poeta odmawia, lecz chodzi dłużej, niż zwykle, pod drzewami Prateru, bo omawiany przedmiot zajął jego umysł. Wracając do domu, miał już układ nową tragedyi w głowie, a w kilka tygodni potem oddał Schreyvogel'owi drugie swe dziecię poetyckie. Taki jest początek tragedyi pięcioaktowej: „Sappho” ³⁾. Pracy téj warto się bliżej przypatrzeć, bo należy nietylko do najlepszych dramatów Grillparzer'a, lecz w ogóle do najznowniejszych prac scenicznych owego czasu.

„Lezbijka Safo, wielka Grecyi poetka, idzie przez życie po kwiatach i wieńcach, burzą oklasków owiana i szeptem podziwu. Czasu ona nie ma do miłości, do wyzyskania praw i rozkoszy wiosennych. Mija młodość—nadchodzi wiek dojrzały.

„Sławna Safo siedzi w swoim pałacu, otoczona tłumem służby, z złotych naczyń jedząca, a grająca na złotych strunach złotej liry. Siedzi w pałacu, jakby na wywyższeniu, bo Grecya chyli się przed nią, bo wszyscy i wszystko wielbi imię sławniej, przez bogów bogato wyposażonej poetki. Siedzi jak królowa, mieszkańcy bowiem wyspy służą jej woli, jej skinieniom, a nawet jej zachciankom.

„Ale Safo jest kobietą, a rzadkień niewieście dano stanąć na wysokim szczycie bez namiętności, bez pragnień. Serce jej potrzebuje miłości, a im większe ono, im szersze, tém większych łaknie rozkoszy, a im dłużej pragnienia swe zwalczało, tém goręcej i namiętniej tęskni później za wzruszeniami słodkiego uczucia.

„Wielka Safo jedzie na igrzyska olimpijskie po nowy wieniec. Śpiewa tam Alceus, śpiewa Anakreon, ale daremnie. Występuje Safo i naród wieńczy swoją oblubienicę.

„A w tłumie opodal stoi nieśmiały wielbiciel... nieznanym, ale pięknym, nie sławnym, ale powabnym młodością.

„Ów młodzieniec (Faon) karmił się prawie od kołyski cudownymi słowika lezbijskiego pieśniami. On marzył o wielkiej Safo, on tkął

1) W komentarzu do „Ahnfrau,” umieszczonym w tomie II zbiorowego wydania, str. 148—158. Grillparzer's: „Sämtliche Werke,” 10 tomów z komentarzem H. Laube'go, 1872.

2) „Die Ahnfrau“ grano poraz pierwszy w Wiedniu 31 stycznia 1817 roku. Tragedya ta doczekała się za życia poety sześciu wydań, a po śmierci siódmego.

3) Podług zapisków Laube'go, tom II, str. 281—283, jak wyżej. Grillparzer pisał bardzo szybko. Wykończył on tragedya, gdy miał ochotę do pracy, w kilku tygodniach.

z nici swój wyobraźni jój obraz. Ujrzał ją teraz—wielką, stojącą wysoko nad ludem, uwielbianą, oklaskiwaną. Więc zbliża się bojaźliwie do niój, aby się dotknąć kraju jój uświęconej szaty.

„Jasnowidzące oko sławnój Safo, pada na zarumienioną twarz Faona; oko to odgaduje w młodzieńcu wielki zapas uczucia. Uwielbienie młodego Faona do sławnój poetki bierze Safo za miłość.“

Tragedya się zaczyna.

„Świeżym laurem uwieńczona, wraca Safo do ojczyzny swojój z ukochanym Faonem. Ziomkowie witają ją okrzykami, a domownicy pod wodzą zacnego Ramnesa (niewolnika) serdeczną radością. Ona przedstawia służbie nowego pana, a swego kochanka. (Akt I).

„Między niewolnicami poetki znajduje się młodziuchna, miła dziewczynka, Melitta, którą pani kiedyś z rąk rozbójników wykupiła. Ciche to, urocze dziecię, rozmarzone, tęskne, wonne dziewczę, kontrast dumnej, pewnej siebie, panującej wszędzie i zawsze wieszczki. Faon widzi to dziecię i rozkochuje się w niém. Melitta widzi pięknego młodociałą i urodą Faona i serduszek jój bije. Safo nachodzi młodych ludzi, gdy sobie pamiątki—róże dawają i zaczyna ich podejrzewać. (Akt II).

„Faon spoczywa na darniowej ławeczce. Zasnął; miłości szeptu wieją nad nim, nad sennym, bo rozkochał się w młodej Melicie. Jego miłość do Safo nie była miłością; było to tylko uwielbienie. Faon widzi teraz swój obłąd.

„We śnie marzy o Melicie. Wtém wychodzi z grotty poetka, całuje uspięnego, a młodzieniec szepcze przez sen: Melitta! Bezwiednie, półsennie słowo stroi bowiem z marzeniem jego serca. Safo widzi, co się dzieje, Safo cierpi, bo uczepiła się młodego Faona spóźnioną, więc potężną namiętnością.

Der Bogen klang,

...es sitzt der Pfeil! (Akt III, scena II.).

„A tak, utkwiła strzała, a siedzi głęboko w zranioném, krwawém sercu niewiasty. Safo przestaje być teraz poetką, ubóstwianą tryumfatorką, zamieniając się na najpospolitszą kobietę. Trucizna zazdrości rozkłada szlachetne jój serce i osłania jasne oko, biorąc mu daleki wzrok. Safo staje się nawet wstępną, bo mężczy niewinne dziewczę, Melittę, bo żąda od niój róży, którą Faon dał kochance, bo zwraca sztylet na białą jój pierś. Nadchodzący Faon przeszkadza morderstwu. (Akt III).

„Safo chce zemsty za jakąbądź cenę; nie umie wyrzec się młodego Faona, bo on dla niój wszystkim, on wyrazem pragnień jój życia, on ześrodkowanym jój uczuciem, on purpurą konającego słońca, co raz jeszcze nad chłodniejszą już ziemią swe cudowne rozłącza blaski. Więc trzeba usunąć rywalkę. Tam, za wody, do Chios, zawiezie ją wierny sługa, Ramnes, a Faon zapomni o dziecku i zostanie Safo własnością. Ale miłość czuwa, miłość podejrzewa. Faon nadchodzi w chwili, kie-

dy Ramnes chce Melitę uwozić. Więc bierze ukochaną i powierza jęj i własne losy niepewnej łasce słabęj łodzi—ucieka. Ramnes budzi służbę, budzi sąsiadów i pogoń płynie za uchodzącymi. (Akt IV).

„Już świta. Safo leży na darniowej ławeczce i czeka na pogoń i zdobycz jęj. Pogoń zawraca zbiegów.

„Safo, lękając się widoku Faona, obejmuje ołtarz Afrodyty. Tam staje przed nią młodzieniec i rzuca jęj przed zebraną służbą, przed całym ludem wielką obelgę w twarz. Nazywa ją zwodniczą Circe, lży ją, hańbi. Safo milczy. Jeszcze wre w duszy jęj nienawiść, jeszcze tkwi w sercu jęj koniec owęj strzały. Stopniowo, wolno przytomnieje, rośnie, Kobięta ustępuje, a wraca poetka. Śpieszy teraz do pałaca, kładzie na siebie pyszne suknie, swęj godności oznaki; bierze lirę, wraca nad brzeg morza, łączy ręce kochanków, błogostawi im, odzywa się jeszcze raz... wspaniale, wzniosłe, łabędzim, wielkiego serca, wielkięj duszy płaczem i rzuca się w morze—w objęcia śmierci. (Akt V).

Julian Schmidt, najsprawiedliwszy oceniacz Grillparzer'a twierdzi, że historia Sasy nie nadaje się do dramatu ¹⁾ Odlamek z życia poetki lezbijskiej, zakłęty przez Grillparzera, zawiera w sobie rzeczywiście zbyt wiele czynników lirycznych i epicznych; lecz ustawiony w świetle właściwem, odpowiadałby zewszemniar warunkom tragedyi. Autor powinien się był zabrać inaczej do pracy. Dramat—to obraz całości; jedność akcji—to główne jego wiązanie. I dlatego musi być osnowa całością w sobie zamkniętą, alfą i omegą pewnego uczucia, pewnej namiętności, bez względu na jęj koloryt. Czy będzie genezą miłości, czy dumy, czy zazdrości—fałszywego zapalu, albolii zbrodni obrazem, rzecz obojętna, lecz musi mieć początek, środek i koniec. Piramidalna budowa dramatu warunkuje jego konieczną zwartość. Grillparzer zaś zaczął od środka. Nie widzimy wcale rodzącęj się miłości poetki, nie idziemy śladem groźnego uczucia, bo autor zaczyna tragedyą od spełnionego faktu, przez co pozbawił dramat stopniowania czynności. Genezy zazdrości samęj nie mógł mieć oczywiście na myśli, bo zrobił z nięj tylko popychającę do katastrofy motyw. Miłość zaś, przedstawiona w „Sapho,” nie wyczerpuje przedmiotu; jest tylko połową przebiegu uczucia. Niedostatek ten sprawił koloryt liryczny tragedyi.

I sam charakter Sasy, który jest dźwignią utworu, nie domaga w głównym rysunku. Wieszcżka historyczna jest stawną, dumną, władzy chciwą, panowania żądną, do hołdów przywykłą niewiastą. Kobięta taka może się rozkochać, bo miłość, będąca nakazem przyrody, nie oszczędza nikogo, lecz namiętność jęj zrówna się wtedy z rozmiarami jęj istoty. Gdy nią zawładnie, zachuczy, jak straszny wichur i szeroką zapłonie łuną; będzie wielka, potężna, zrodzi może Messalinę, lecz nie splami się małostkami. Safo nie może znieść pokornie obelg

¹⁾ Julian Schmidt: „Geschichte der deutschen Literatur seit Lessing's Tod,” IV-te wydanie, Lipsk, 1858, 3 tomy; tom II, str. 428.

młokosa, który niewdzięcznością za dobre jęj serce płaci; Safo nie może być sentymentalną Niemką, czém jest w tragedyi Grillparzer'a, bo to gorącego Południa córą i pieszczoch losu. Burząc i druzgocząc wszystko obok siebie, będzie postacią tragiczną, obejmując zaś bojaźliwie posąg Afrodyty, nie wzbudza litości. Słusznie mówi Ludwik Börne w ocenie tragedyi: chorą królową w łożku, z koroną na głowie, lub władczynią na tronie, drżącą febrycznie—tak albo inak przedstawia nam się Safo—a wskutek tego sąsiedztwa wielkości i słabości tracimy współczucie i cześć dla niéj ¹⁾. Bojaźliwy umysł autora (wiemy, że obawiał się małżeństwa, nie mając odwagi zajrzeć ubóstwu w oczy) nie umiał stworzyć wielkiego charakteru. Czasem dźwignie się Safo, lecz po chwili spada z wyżyn i marzy. Dwoistość charakteru bohaterki jest drugim, ważnym błędem utworu.

Rysunek postaci drugorzędnych wytrzymuje najwybredniejszą krytykę. Cicha, przeczuwająca jak marzenie młodości, wonna jak wiosenny kwiat Melitta, przeciwieństwo bohaterki, jest uroczym tworem. Tak samo dzielny sługa, Ramnes.

Robota tragedyi, pominawszy kilka usterek, jak niezręczna, zbyt epiczna ekspozycja i zawiłka liczba monologów, jest główną siłą Grillparzer'a. Obrazy dramatyczne rozwijają się z wielką znajomością warunków scenicznych, niebrak i stopniowego zaciekawiania, we właściwém miejscu użytych efektów, a nawet stosownie do przedmiotu dobranych dekoracyi. Dykcya jego nie płynie wprawdzie w równym tonie podniosłości, nie ma tak jaskrawych i barwnych obrazów, jak u Schiller'a, ani tak groźnych, jak u Szekspir'a; lecz rozporządza potrzebnym do tragedyi patosem, podnosząc się nawet miejscami do natchnienia. Wszystkie te zalety sprawiają, że „Sapho” należy, mimo licznych usterek, do lepszych dramatów literatury niemieckiej ²⁾. Dlatego pomijają ją niesłusznie ówczesni krytycy niemieccy, jak: Solger, Steffens i Tieck, którzy nie mieli dla niéj ani słówka uznania.

Grillparzer napisał oprócz wymienionych dwóch tragedyi, całyszerę prac dramatycznych: „Das goldene Vliess” (1821, Złote runo), „Ottokars Glück und Ende” (1825, Ottokara szczęście i zgon), „Ein treuer diener seines Herrn” (1828, Wierny sługa swego pana); „Des Meeres und der Liebe Wellen” (1831, Fale morza i miłości); „Der Traum ein Leben” (1834, Sen życiem); „Weh dem, der lügt,” komedye, (1838, Biada temu kto kłamie). Będąc nadzwyczaj wrażliwym na krytykę,

¹⁾ Ludwig Börne: „Gesammelte Schriften,” Hamburg, 1829, 7 tomów; tom II, str. 100. „...eine Königin im Krankenbette mit der Krone auf dem Haupte; oder eine Königin auf dem Throne, von Fieberschauern gerüttelt, so oder so erscheint uns Sapho—und durch diese Nachbarschaft von Grosse und Schwäche wird Ehrfurcht wie Mitleid von uns abgewendet.”

²⁾ „Sappho” grano poraz pierwszy w Wiedniu, 21 kwietnia 1818 roku; w tym samym roku wyszła z pod prasy. Rola tytułowa była ulubioną głośną Zofii Schröder.

cofnął się, gdy komedia „Biada temu, kto kłamie” upadła, zupełnie na scenie, pisząc od r. 1838 tylko dla siebie. Dopiero w ostatnich latach pozwolił przyjaciółom odczytać tę i ową pracę, ale do druku i do teatru już nic nie przeznaczał. W rękopiśmie zostawił wykończone dramata: „Libussa, ein Brudermord in Habsburg” (Libusza, spór bratni w Habsburgu); „Die Itdin von Toledo” (Żydówka z Toledo) i fragmenta „Ester i Hannibal” (tylko jedna scena). Prace nie wchodzące w zakres dramatu, jak dwie powiastki, rozprawę o dramacie hiszpańskim, mnóstwo aforyzmów, ułamek autobiografu i t. d. pomijamy ¹⁾.

Grillparzer nie był poetą pierwszego rzędu, lecz nie był także zwykłym fabrykantem teatralnym, jak Kotzebue, Müllner, Raupach i wielu innych, którzy występowali równocześnie, ciesząc się daleko większym powodzeniem. Nie rozporządzał on środkami, trwającymi wieki, lecz pracował z przekonaniem i z miłością. Jako technik zaś sceniczny, góruje ponad swoim czasem, i dlatego należy mu się baczna uwaga, zwłaszcza od dramaturgów niemieckich, którzy grzeszą głównie zaniedbaniem formy. Romantykami nie można go właściwie nazwać mimo „Prababki.” Stojąc zdala od ówczesnego ruchu Niemiec, którego ogniskiem były miasta: Weimar, Jena, Berlin, w końcu Dreźnie; nie wciągnięty do polemiki, lubiący spokój i miarę we wszystkiem, wiódł sobie w Wiedniu cichy żywot „filistra,” nie troszcząc się wcale o zachwyty i rozpacz, które targały piersią romantyzmu. Wprawdzie dotknęły i jego kończyny wielkiej fali niemocnej skargi epigonów „oświeconych,” wprawdzie złożył i on hołd tak fatalizmowi jak fantastyce; lecz, stojąc na uboczu, nie szamotał się, jak bracia po piórze za granicami Austrii, jak „Die da draussen im Reich,” idąc spokojnie własną drogą. Nie przechodził też wcale procesu rozwojowego, nie fermentował, przebijając się do samowiedzy, czemu podlega każdy pierwszorzędnny talent, odwrotnie, pozostał przez całe życie tym samym Grillparzer'em, którym był, licząc lat piętnaście, bo już w tym wieku napisał dramat „Blanka von Castilien,” znaleziony po śmierci w biurku, a odznaczający się mimo nieudolności chłopiędcej temi samymi co późniejsze, zaletami. Był więc talentem średnich rozmiarów, jednym z tych, które w każdym czasie będą sobą, nie postępując ani cofając się. Nadeszły inne czasy. „Młodzi Niemcy” zdruzgotali romantyzm, rzucając światu rękawicę, podnosząc ideały „oświeconych”—pojawiła się powtórna reakcja po r. 1848—zagrzmiały nowe, a śmiało hasła po r. 1860... a Grillparzer pozostał do śmierci zręcznym dramaturgiem, wiernym niezmiennie kolorystowi czasu, w którym pisać zaczął.

Właściwej popularności nie doczekał się nigdy. Wprawdzie obiegały „Prababka” i „Sapho” z trzaskiem i łomotem sceny niemieckie,

1) Całą spuściznę literacką Grillparzera tak za życia drukowaną, jak pozostała w rękopisach wydał Henryk Laube; uporządkowaniem mniejszych poezji zajął się Józef Weilen.

lecz reszta upadała zwykle po pierwszym przedstawieniu; większa część nie doczekała się nawet po za Wiedniem ani jednej wystawy. Kilka ról, podtrzymywanych przez głośniejszych aktorów, nie zeszło dotąd z repertuaru. Odnosi się to głównie do „Prababki,” do „Sapho;” do trzeciej części trylogii „Złote runo” (Medea) i czasami do baśni dramatycznej w czterech aktach „Sen życiem.”

Przechodzimy teraz do poety, którego współcześni prawie nie znali, a któremu potomni wracają właśnie cześć. Dziś dopiero stawiają Niemcy zasłużony pomnik najniezszczęśliwшему i najgenialniejszemu z dramaturgów romantyzmu. Zastanowimy się obszerniej nad życiem Henryka von Kleist, bo żywot jego to zwierciadło całej epoki. Ujrzymy w tém zwierciadle rozpaczliwą walkę wielkiej duszy, szamocącej się z bezwiedzą swego czasu, dążącej daremnie do równowagi, do spokoju, nie przetrawionej, nie ukojonej nigdy. Poświęcając biografii Kleist’a więcej miejsca, spełniamy nie tylko obowiązek sprawiedliwszej od współczesnych potomności, lecz szkicujemy równocześnie psychologią romantyzmu, której karykaturę widzieliśmy już w genialnym Werneze ¹⁾.

IV.

Henryk von Kleist.

Henryk von Kleist, pochodzący z starożytniej rodziny pruskiej, urodził się w Frankfurcie nad Odrą dnia 10 października 1776. W duszy jego drzemały od powicia marzenia poezyi, bo każdy Kleist był poetą ²⁾. Z przodków Henryka był najznakomitszym, Ewald von Kleist, znany rycerz i pieśniarz.

Osierociawszy bardzo wczesnie, chował się Kleist w domu swjej ciotki, pani von Massow, kształcąc się pod opieką domowego nauczyciela, którego rzutkością myśli i pojętnością zadziwiał. Uczył się szybko, namiętnie, rwał się naprzód, nie mogąc zwyczajem natur artystycznych przy jednej wiedzy długo wytrzymać.

W roku 1792 wstąpił, stosownie do tradycyi swego rodu do wojska, a w roku 1795 odbył jako junkier pruski kampanią nad Renem

¹⁾ Oprócz wymienionych w tekście źródeł, posługiwał się autor w trzech poprzednich rozdziałach następującemi dziełami: 1) „Ludwig Tieck,“ *Kritischen Schriften*, Leipzig, 1848—1852, 4 tomy; 2) G. Jung, „*Geschichte der Frauen*,“ I Theil, Frankfurt a. M., 1850; 3) Solger, „*Nachgelassene Schriften*,“ 4) Klinger, „*Betrachtungen und Gedanken über verschiedene Gegenstände der Welt und Literatur*,“ 5) J. J. Honegger, „*Grundsteine einer allgemeinen Geschichte der neuesten Zeit*,“ Lipsk, 1868—1874, 5 tomów; 6) Robert Prutz, „*Vorlesungen über die Geschichte des deutschen Theaters*,“ Berlin, 1847.

²⁾ Szlachta pruska mówiła: „jeder Kleist ist ein Dichter.“

(Rheinfeldzug). Z wyprawy tój wrócił do Poczdamu w stopniu chorążego. Bülow ¹⁾, pierwszy biograf jego, opowiada, że był w tym czasie „bardzo eleganckim, do tańca i różańca kawalarem,” nie odznaczającym się jednak swą niezwykłą zdolnością. A przecież kipiła już w głębi młodego serca, bo „zgrabny oficer” zaczynał właśnie dziewiętnasty rok życia, więc epokę, w której się wszelkie talenta do „hulanki myśli” zabierają.

Teraz dopiero odczuł przyszły poeta jednostajność życia garnizowego i zatęsknił do wiedzy, do nauki. Zaczął brać lekcye matematyki, której się przez dwa lata całą oddawał duszą. Doznawszy w jesieni roku 1798 zawodu w pierwszej miłości ²⁾, zaniedbuje służbę i ubranie i rzuca się w objęcia filozofii, szukając w jej toniach pociechy i zapomnienia. Sprzykrzywszy sobie wśród poważnych studyów nudne zajęcia oficera, postanawia zrzucić mundur. Lecz rodzina sprzeciwia się. Prawie wszyscy Kleistowie byli żołnierzami, służąc krajowi z mieczem w dłoni rycerskiej. Dlaczegoż wyłamywać się z pod tradycyi rodu? Jakże można chcieć zamienić pewną karyerę i przyzwoite stanowisko na niewyraźne, dalekie cele? Uczyć się, zostać studentem, będąc już oficerem, na co, po co? Walka miała być gorąca ³⁾, bo młody junkier znajdował się rzeczywiście w trudnym położeniu. Cóż bowiem odpowiedzieć na słuszne ze stanowiska praktycznego rozumu zarzuty opiekuna? Że marzy „o wielkości,” o godności autora, filozofa, poety? Któż uwierzy? Talent nie znajduje nigdy wiary, dopóki się nie ukaże w blaskach dojrzałości. W tój biedzie pocieszała Henryka jedyna siostra, Ulryka, natura równie jak on niezwykła i szczytna. Ona to zagrzewała go do wytrwania, rozumiejąc brata, ona wysłuchiwała z pobłażaniem miłości żalów jego, skarżących się w listach ⁴⁾.

Przekładania rodziny nie pokonały Kleista. Mimo oporu opiekuna, podał się do dymisyi i uzyskał ją w r. 1799 ⁵⁾. Zdjąwszy mun-

1) „Edward von Bülow, Heinrich von Kleist's Leben und Briefe, Berlin, 1848.

2) Bülow, jak wyżej, str. 7.

3) Dr. Adolf Wilbrandt, Heinrich von Kleist, Nördlingen, 1863; str. 11 i następane.

4) Listy te zebrał d-r A. Koberstein, „Heinrich von Kleist's Briefe an seine Schwester Ulrike,” Berlin, 1860.

5) Ludwik Tieck, przyjaciel i wielbiciel Kleista opowiada w przedmowie do kompletnego wydania dzieł przedwczesnie zmarłego poety: „Heinrich von Kleist's Gesammelte Schriften, herausgegeben von L. Tieck,” Berlin, 1826, 3 tomy, str. 4. Że król pruski nie chciał się młodego oficera pozbyć, dając mu tylko urlop na czas nieograniczony. O tём nie wie jednak nic Bülow, a zaprzecza wręcz najlepiej poinformowany Wilbrandt (jak wyżej, str. 13, w uwadze).

dur, osiadł w Frankfurcie, gdzie się zapisał w uniwersytecie na wykłady fizyki i matematyki Wunsch'a, a historii Hülmanna ¹⁾.

W chwili kiedy Kleist, licząc dwódziesiąty trzeci rok życia, porzucał pewną karierę, zaszczyty i awanse, któreby wnuka starożytnego rodu nie były ominęły, odbywała się w Niemczech rewolucja literacka, określona już w pierwszym rozdziale. Schiller i Goethe, stanąwszy u kresu swego talentu, zaczęli się cofać, a młodzi reformatorzy szukali daremnie lepszego programu. Apatya wszędzie i chaos. Nauka, oparta na tak chwiejnej podstawie, nie mogła uformować się w całokształt zwarty i samowiedny, bo Kleist był tak samo dzieckiem i wychowawcą epoki przejściowej, jak Tieck i Werner. Rzadkiemu umysłowi dano zapanować nad czasem, z którego wyrósł; wierzymy nawet, że żadnemu, bo tak zwany geniusz bywa zwykle skutkiem poprzednich, choć zrazu zakrytych przyczyn. Gdyby się Goethe i Schiller byli urodzili kilkadziesiąt lat później, byłiby się stali romantykami, zamiast klasykami. Jutrenka wiary w potęgę rozumu, nie kładła i na wyobraźnię Kleista swych różowych palców, bo człowiek wierzący, nie byłby wołał w zaraniu młodości jak on: „Boże sprawiedliwości, przemów wyraźnie do człowieka, aby wiedział, co mu czynić wypada” ²⁾; albo: „potężny wicher uchwycił mnie, tłocząc rozdartą ną istotność do głębokiej mogiły” ³⁾. To skarga epoki zwątpienia i rozpacz, to wołanie romantyzmu! Szalony taniec czasu porywa Kleista, jak uniośł wszystkich, nie pozwalając się przetrwać jego umysłowi. Zamiast oddać się pracy systematycznej, rzuca się poeta z namiętnością wygłodzonej byeny na wiedzę, pragnąc jednym zamachem pochłonąć wszystko, co ludzie myśleli, cierpieli i tworzyli. Lecz do samowiedzy, do równowagi literackiej, czy filozoficznej, dochodzi się bardzo wolno. Nie dojrawszy natychmiast upragnionej „prawdy” na dnie pożeranych umiejętności, zbrzydził sobie mozolny trud i przestał być już po roku studentem uniwersytetu frankfurckiego.

Na czas pobytu w rodzinnym mieście przypada druga, trwalsza miłość Kleist'a. „Kiedy się człowiek przez pewien czas poważną, oderwaną zajmuje myślą—pisze do siostry ⁴⁾—wtedy sprawia zupełne oddanie się uczuciu wielką przyjemność. Wśród ciągłego dowodzenia i wnioskowania, zapomina się o sercu, a przecież tylko ono prawdziwe daje szczęście, którego nie można dowieść, bo nie jest twierdzeniem matematycznym.” Czuł więc potrzebę miłości i dlatego uchwycił z wdzięcznością rączkę panny von Zenge, córki generała, nie opiera-

¹⁾ Wówczas nie było jeszcze uniwersytetu w Berlinie.

²⁾ Tragedya: „Familie Schroffenstein,” akt V, scena 1; „Sprich deutlich mit dem Menschen, dass er's weiss, auch, was er soll!”

³⁾ Jak wyżej:

Mich hat ein grosser Sturm erfasst, er beugt,
Mein wankend Leben tief zur Gruft.

⁴⁾ List II do siostry, od str. 4—14, Koberstein, jak wyżej.

jącego się związkowi swego dziecka z wnukiem starożytnej rodziny. Zareczyli się i mieli zaślubić. Lecz młodemu romantykowi nie wystarczało ciche uczucie. Chciał burzy, ruchu, wzruszeń. Jedzie więc w r. 1800 do Berlina. Chce tam zostać dyplomata, jak mówi rodzicom narzeczonej, aby się z ukochaną jaknajwcześniej połączyć. Lecz w stolicy Prus zapomina o pannie i o praktycznych zamiarach, tonąc powtórnie w filozofii, poświęcając się tym razem Kantowi. Oczywiście, że i to dyletanctwo nie mogło przykuć do siebie na czas dłuższy niespokojnej duszy romantyka. Kleist rzuca powtórnie filozofią, skarżąc się do siostry ¹⁾: „w głowie mojej wygląda teraz jak w naczyniu, w którym obok wielkiego losu spoczywa tysiące karteek bez wartości. Cóż dziwnego, że człowiek w taki chaos drżącą z niepewności zanurza dłoń?” Niepokojony tą wewnętrzną niepewnością, która bywa dla ludzi genialnych furją, przypinając się do stóp, ucieka Kleist z Berlina, podejmując bezcelową podróż do Würzburga, nad której tajemniczością rozpisują się jego biografowie bardzo obszernie ²⁾. Ta ścisłość niemiecka nie wytrzymuje w tym razie krytyki, bo cóż prostszego nad potrzebę włóczęgi i nowych wrażeń, gdy w głowie zwątpienie łomocze? W liście dziesiątym do siostry pisze Kleist w tym czasie: „chwije się teraz ostatni filar mego życia, którego się trzymałem, ilekroć mnie wiry negacyi chciały pochłonać; przestałem kochać wiedzę;” a w liście jedenastym woła: „jedyny cel mego życia zbladł; nie mam już gwiazdy przewodniej” ³⁾. Miejsca te mówią dość wyraźnie, usuwając wszelkie uczone wnioski i pytania. Poeta chciał uciec przed sobą i w tym też celu wybrał się jeszcze w tym samym roku (1801) do Paryża, choć pisał rodzinie, że jedzie do Francji, aby się wykształcić w matematyce i chemii. Jakż powód miał podać? Że mu ciasno i duszno w ojczyźnie, że pragnie szerszego widnokregu, spodziewając się znaleźć w stolicy świata spokój umysłu i serca? Aniby go zrozumiano, ani pochwalono. Oszalał!

Podróż ta, odbyta w towarzystwie siostry Ulryki, wpłynęła na niego w pierwszej chwili rzeczywiście bardzo korzystnie. Widok nowych krajów, innych ludów zwyczaję zajęły go zrazu. Lecz umysł syna epoki przejściowej, jest jak chore nerwowo ciało. Nowość podrażni je, odświeży, ożywi, rozgorączkuje nawet na czas krótki, ale naprężone nerwy bolą jeszcze więcej, gdy po niezwykłym obwisną wysiłku. Już w czasie podróży do Paryża, miewał Kleist „napady romantyczne.” W Dreźnie np. wstąpił przypadkiem do kościoła katolickiego. Na stopniach ołtarza klęczał tam człowiek, modląc się gorąco. „Miałem ochotę—pisze poeta z téj okazji do swojej narzeczonej—rzucić się obok niego na kolana i płakać. O! choć kroplę zapomnienia, a byłbym za taką cenę został z rozkoszą katolikiem.”

¹⁾ A. Koberstein, jak wyżej, str. 17.

²⁾ A. Wilbrandt, jak wyżej, od str. 52—77.

³⁾ A. Koberstein, jak wyżej, str. 50—53.

Gdy wrażenia spowodowane widokiem metropolii cywilizowanego świata, minęły, zwarła pierwsza „rozpacz romantyczna” czarne swe groźne fale nad duszą młodzieńca. Odepchnięty zgnilizną życia francuzkiego ¹⁾, zaczął marzyć o sielance. Za resztę majątku postanowił kupić w Szwajcaryi trochę ziemi i mały domek. Tu chciał osiąść z swoją Wilhelminą i śnić życiem beznyslnego rolnika, *procul negotiis*. Gorącemi barwy maluje w listach do narzeczonej projektowaną sielankę szwajcarską; lecz stary generał von Zenge znieczepił się nareszcie, a i kochanka nie podzieliła zdania lubego. Zwraca więc uwagę jego na niemożliwość takiego życia, lecz gwałtowny Henryk obraża się na „praktyczny rozum” narzeczonej; milczy przez pięć miesięcy, a po czasie tym odpowiada namiętnie, wracając generałównie dane słowo. Wypadek ten był zewnętrznym powodem, przyspieszającym pierwszą katastrofę. Kleist rozchorował się ciężko w Szwajcaryi, walcząc przez długie, samotne tygodnie z zdradziecką potęgą niemocy nerwowej.

Dźwignąwszy się z choroby, poznaje w Bernie wesołą trójkę młodych literatów. Mieszkał tam Henryk Zschokke, znany nowelista, syn starego Wieland’a i księgarz Gessner, syn sielankopisarza. Zachęcony przez towarzyszków, napisał Kleist pierwsze swe dzieło literackie „*Der zerbrochene Krug*” (Rozbity dzbanek, które jest najlepszą komedią epoki romantycznej, stawianą dziś obok Lessing’a: „*Mina z Barnhelm*”). Odtąd opanowuje go nowy, a straszny demon. Sponiewierany i wyśmiewany przez rodzinę, porzucony przez kochanki, przekonywa się nagle, że posiada znakomity talent poetycki, bo towarzysze berneńscy podziwiają komedią, namawiają autora jęj do dalszej pracy. Więc jestem poetą? Jeżeli nim jestem, niech będę pierwszym, największym swego czasu wieszczem, niech będę sławnym, a rozgłos mój pomści najskuteczniej obelgi, wyrządzone mi przez rodzinę i tych, co mnie kochać powinni. Lecz na uznanie trzeba długo pracować, zwłaszcza gdy się gardzi utartą lub przez bieżących koryfeuszów wskazaną drogą, a Kleist nie umiał, nie chciał czekać.

Straszny demon sławy chwyta teraz Kleist’a za gardło, nie pozwalając mu wycząć. Aby mieć spokój do pracy, przenosi się na jakąś wysepkę jakiegoś jeziora szwajcarskiego. Tu komponuje, pisze, poprawia, niszczy co zaczął i znów tworzy, trawiąc się febryczną gorączką. Tu pisze pierwszą swą, pięcioaktową tragedję: „*Die Familie Schroffenstein*,” wydaną przez Gessner’a w r. 1803 bez podania imienia autora. Mimo chorobliwości, zwykłej w pierwiosnkach talentów silnych i samodzielnych, nosi dramat ten na sobie wszystkie znamiona geniuszu. Szamoce się w nim duch buntu, lecz duch potężny, olbrzy-

¹⁾ A. R. Schillmann, „*Heinrich von Kleist, seine Jugend und die „Familie Schroffenstein*,” Frankfurt a O., 1863, str. 7, (rozprawa umieszczona w programie szkoły frankfurckiej).

mi. Ukończywszy pierwszą tragedję, zabiera się poeta do drugiej: „Robert Guiskard.” Lecz praca ta nieudawała się, nie szła.

Rodzina musiała Kleist'owi w tych czasach wiele dokuczać. Nie mamy wprawdzie w tym względzie dokładnych wiadomości, lecz nie trudno domyślić się prawdy z luźnych, tu i owdzie rozrzuconych uwag. A sława nie przychodziła! Bożkowie romantyzmu, nie widząc w tragedji Kleist'a wyraźnych śladów ukutój przez siebie doktryny, pominęli dzieło zupełnie. Takiej zniewagi nie mogła znieść duma poety. Rozchorował się powtórnie, a kiedy wyzdrowiał, uciekł z owój wysepki i ruszył w nową podróż. Pojechał do Jeny, a ztamtąd do Weimaru. Schiller przyjął go mile, lecz z Goethem nie mogli się pogodzić. Tajny radca, wówczas już spokojny, sławny, dawno przetrawiony, widział w młodym Kleiście własną odbitkę z czasów, kiedy pisał „Prometeusza” i „Wertera,” a ludzie starzy nie lubią, gdy im ktoś przypomni, co w późniejszym wieku obłędem młodości mianują. „Kleist wzbudził we mnie—mówił Goethe—mimo najlepszych chęci szczerzego zajęcia się nim, odrazę, podobną do uczucia, wywołanego widokiem pięknego, lecz nieuleczalną chorobą napiętnowanego ciała”¹⁾). Natura harmonijna Goethe'go nie mogła sympatyzować z demoniczną, starganą i targającą się istotą największego z epigonów „oświecenia.”

(D. c. n.).

¹⁾ W recenzji Tieck'a „Dramaturgische Blätter,” Goethe's Werke, t. 35, str. 427.

RZUT OKA

na obecne stosunki ekonomiczno-społeczne, tudzież na ruch umysłowy
w W. Ks. Poznańskim.

PRZEZ

Ludwika Żychlińskiego.

Dezorganizacyjny wpływ t. zw. „Praw Majowych;” znaczenie projektu „Władzy dyskrecjonalnej;” Zwycięstwo „Środka” nad ministeryalnemi projektami, za pomocą kompromisu z kołem polskiém.—Zaciekłość apostołów giermanizacyi.—Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, rzut oka na jego 25-cio letnią działalność. Rozbiór prac naukowych XI-go tomu „Rocznika” tegoż Towarzystwa.—Ważność pracy ks. kanonika Korytkowskiego: „Katalog arcybiskupów gnieźnieńskich.”—Znaczenie i wpływ arcyb. guiezn. Jarosława Bogoryi Skotnickiego.—Jażdżewskiego „Sprawozdanie z wystawy antropologiczno-archeologicznej w Berlinie” (sierpień, 1880).—Rocznik VIII „Kólek rolniczo-włościańskich.—Rocznik IV „Złotej księgi szlachty polskiej.—Ks. kanon. Korytkowski: „Monografie wszystkich kanoników i prałatów kapituły metropolitalnej gnieźnieńskiej,” począwszy od r. 1000 aż do dzisiaj, zes. 2.—Gazeta „Polnische Correspondenz,” wydawana w celu objaśnienia opinii w Niemczech o stosunkach polskich, przedstawionych kłamliwie przez organa niemieckie.—L. Meyer: „Zeitschrift fuer die Geschichte u. Landeskunde der Provinz Posen. Nowa księgarnia A. Cybulskiego. Jul. Falkowskiego: „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce.” Tom 2.—Projekt pp. Czarneckiego, Bron. Potworowskiego i Karłowskiego, nowój seryi $3\frac{1}{2}\frac{0}{0}$ Listów Zastawnych z $1\frac{1}{2}\frac{0}{0}$ amortyzacją.

Jedną z najdotkliwszych klęsk, jakie nasze społeczeństwo gnębią, są tak zwane Prawa Majowe. Bezprawie to nabawiło nie tylko samego wielce możnego kanclerza ks. Bismarcka, ale i całe państwo pruskie tak wielkich kłopotów, że nawet taki zuchwały polityk nie chciał się długo przyznać do tego, że błąd popełnił, i to błąd dezorganizujący państwo. Nie przyznając się otwarcie do tej winy, zaczął je-

dnak objawiać chęć ulżenia katolikom w granicach idei owych praw majowych, z czego wynikł projekt władzy dyskreycjonalnej, który w lipcu roku 1880-tego zaakceptował sejm Pruski, za pomocą koalicji stronnictwa t. zw. konserwatywnego z liberaln^{em}, 4-ma głosami większości. Przeciw projektowi, przyjętemu niebawem i przez Izbę panów i sankcyonowanemu przez koronę, głosowało wówczas stronnictwo „Srodka” (Centrum), postępowcy i koło polskie. Na początku r. b. przedłożyło ponownie ministerstwo pruskie sejmowi pruskiemu projekt odnowion^{ej} władzy dyskreycjonalnej, projekt, przywracający artykuły ustawy lipcow^{ej} z r. 1880, któr^{ej} prawomocność kończyła się z upływem roku bieżącego. Nowy ten projekt uchylał decyzją sądów w razach spornych, a oddawał rządowi w rękę całą władzę. Artykuły projektu opiewały, że koronie służyć miało prawo ułaskawienia biskupów, złożonych sądowemi wyrokami z ich stolic, ministeryum zaś przysługiwać miała wolność zwalniania kapłanów od przepisanych ustawą kwalifikacyi, zwalniania administratorów dyecezyalnych od obowiązku donoszenia rządowi o nominacyach duchownych, przysługiwać miało zarazem prawo nie wstrzymywania pensyi duchownym. Projekt żądał więc dyktatury rządow^{ej}, przedstawiany będąc jako ponowny pomost, prowadzić mający do pożądanego pokoju. W komisyi, która projekt roztrząsała, ucierały się stronnictwa z wielką zaciętością, aż narreszcie wyszedł z komisyi okrojony i przeistoczony projekt rządowy, skutkiem ugody konserwatywnych członków z członkami centrum. Komisya skreśliła artykuł projektu rządowego, zawierający obowiązek donoszenia rządowi o każd^{ej} nominacyi duchownego, oraz skreśliła artykuł, pozwalający na posyłanie t. z. pomocniczych duchownych, z wyjątkiem niektórych dyecezyi (a miały się rozumieć przez te niektóre dyecezye—dyecezye polskie). Bądź jakbądź, chodziło znów o władzę dyskreycjonalną, przeciw któr^{ej} posłowie nasi w r. 1880 głosowali. Gdy przyszło w plenum Izby do głosowania, jakżeż będą polscy posłowie głosowali? Głosowali oni za kompromisem katolickiego centrum z konserwatystami, czyli, głosowali ten raz za władzą dyskreycjonalną, jakkolwiek okrojoną skutkiem kompromisu. Zmiana ta tak umotywowaną została, że projekt, przerobiony przez komisją, zawiera ulgi, w porównaniu z ustawą lipcową z r. 1880, skoro skreślony został artykuł, pozwalający wprawdzie na posyłanie pomocniczych duchownych, ale z wyjątkiem do polskich dyecezyi, skreślony zarazem został i inny artykuł projektu rządowego, artykuł zawierający obowiązek donoszenia rządowi o każd^{ej} nominacyi duchownego.

O to głosowanie naszych posłów za kompromisem konserwatystów z centrum, powstał wśród nas spór, który trwa dotąd, zapełnia szpalty pism i zaostrza dysputy prywatne. Że i bez polskich głosów kompromis mógł przejść, to fakt, że, mimo to, polscy posłowie za kompromisem głosowali, wskazuje na to, iż chcieli korzystać z okazji i pokazać dobrą wolę w obec rządu, który, zdaje się, że za kompromisem stoi. Czy rząd, jeśli swój projekt zmieniony przyjmie, użyje władzy

dyskrecjonalnej i na naszą korzyść? Jedni mają tę nadzieję, drudzy nie, posłowie, śnać, ją mieli.

Tyle o nas, a teraz nieco o naszych najserdeczniejszych. Już to dzienniki niemieckie z podwójną przeciw nam występują zajadłością. Jedne zarzucają nam zasadniczą nieprzyjaźń, drugie prawią, że nie rozumiemy nigdy, ponieważ należymy do szczepu słowiańskiego, zasady równouprawnienia i tolerancyi. Takie to zewsząd odbieramy dowody miłości, a bodaj znajdzie się w całych Prusiech kilka katolickich dzienników, które przyznały, że się ogół prasy myli, biorąc niechęć naszą za przyczynę, a nie za skutek. Są i takie organa, które wręcz żądają, aby rząd wypełnił nareszcie powinność swą i do szczętu nas zgermanizował *coute que coute*. Radzą rządowi, aby nabywał jaknajspieszniej, drogą bądź wolną, bądź przymusowej sprzedaży, polskie posiadłości, większe i mniejsze, na rzecz kolonizacyi; obliczają, ile milionów $\text{\$}$ fund perdu potrzeba, aby zdziały w przeciągu jakich lat 10 cuda, aby zamieniły kraik nasz stanowczo już i raz na zawsze w kraik, cieszący się błogostawieństwem kultury. „Rewolucyonisci,” „wstecznicy,” jedno i drugie miano na przemian otrzymujemy od naszych najserdeczniejszych, a w ostatnich czasach to prawiono nam aż z ław ministeryalnych o bezustanną agitacyi. Jak używają tego wyrazu na oznaczenie wszelkiego wyraźniejszego tętua życia, doś przytoczyć, że każde zbiorowe upominanie się o krzywdy w szkole i urzędzie, że każdego stowarzyszenia czynność, znaczy to samo co agitacya. Jeden z najjaskrawszych przykładów, jak dalece już wydoskonalono sztukę nazywania wszystkiego, co się lada biurokracie nie podobą, agitacyą, niech posłuży fakt, który zaszedł z okazji popisu szkolnego w szkole w Swarzędzu. Inspektor słyszy nazwiska dzieci takie, jak Majerowicz, Łoza i w. i., pyta, jakiej są narodowości, a gdy odpowiadają że polskiej, wpada w gniew, nakazuje ich nazwiska pisać od tąd Meyer i Lose; a gdy natrafia na opozycyą, zaczyna rozwodzić się w swoich „Berychtach” nad agitacyą, która śmiała spolonizować Niemców... Wprawdzie jegomość ów, to *curiosum* podwójne, bo zowie się „Lux,” ale czyżby wystąpienie jego było możliwem, gdyby nie istniał zacięcie natarczywy prąd przeciw nam w sferach urzędnikeryi wyższej i niższej?

Czekamy, czy nareszcie z rozkazu wyższego, nie zajdzie jaka zmiana, a swoją drogą „walczymy wytrwale przeciw twardym krzywdom i otwarcie i nadal praw naszych dopominać się nie przestaniemy dopóty, dopóki one pod rozważę nie zostaną wzięte i uwzględnione,” jak to wypowiedział na sejmie, świeżo co, poseł Szuman.

Dobiega 25 lat, odkąd założone zostało Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Przeciąg ten czasu powinien był rozmódz czynne siły jego i byt oficjalnie ustalić. Takby się też było stało, gdyby nie wskroś nieprzychylnie usposobienie władz, które, im dłużej trwa Towarzystwo i im skwapliwiej dąży do odpowiednich założeniu swemu re-

zultatów, tém większe napotyka zawady. I nie pomagają żadne dowody, chociaż i najoczywistsze, że towarzystwo gruntuje żywot swój na kulturze umysłowości rodzinnej i tylko na niej. Z początku istnienia Towarzystwa zanosilo się na to, iż, jeśli już pomocnej ręki nie poda władza, to chociaż przeszkadzać nie będzie. W biegu czasu tymczasem argusowi iście rozpoczęto rozwijać podejrzliwość, a że, jak kiedyś Richelieu powiedział, potrzeba woli przydybać tylko jakichbądź kilka, chociażby i najniewinniejszych słów lub faktów, aby z nich wydedukowała potępiającą sentencya, więc imano się tego środka *con amore*. Dostrzeżono np. w spisie członków całą masę tak zwanych *personae ingratae*, i wywodzono ztąd, jako i Towarzystwo Przyjaciół Nauk, nieprzyjazne życie musi tendencye, z czego poszło, że stopniową rozwijano pieczołowitość o to, aby, broń Boże, urzędnicy wszelkiego rodzaju, a przedewszystkiem nauczyciele, nie uczestniczyli w pracy wspólnej z owymi *personae ingratae*. I stało się, że Towarzystwo ograniczyć się musiało na siły, istniejące poza tą sferą, która ze stanowiska swego jest jakoby urodzoną do działania naukowego. I na nic dotąd nie przydały się do usunięcia niełaskawości i takie *ad oculos argumenta*, jak że np. pierwszorzędni uczeni nie naszej narodowości, cenią znakomite naukowe zbiory Towarzystwa i z nich czerpią, że wreszcie naukowa działalność owoce swe składa jawnie w „Rocznikach,” których treść ni razu nie wybiegła poza ściśle statutami zakreślone granice. Niedokładna to wprawdzie nazwa *Roczniki*, skoro przez 25 lat istnienia, jedenasty dopiero wyjść zdołał teraz, ale stanowi fakt ten zkadnąd najlepszy dowód, przez jakie mozoły przebijają się musi Towarzystwo, aby szczerpłe siły czynne w widocznej i na zewnątrz skupić działalności.

„Rocznik XI,” który mamy przed sobą po 3 letniej pauzie, ma być i ostatnim, nie dlatego przecież, że Towarzystwo na owoce peryodyczne naukowych prac rezygnuje, ale dlatego, że spostrzegło się, iż pożyteczniej będzie ogółowi przyjaciół nauki rodzimój, gdy mu się poda w innój, niż dotąd formie, pokarm umysłowy. Dotąd bowiem ogół, którego dochodziły *Roczniki*, niewiele mógł, z ich ciężko zwykle naukowe treści, korzystać, co się zmieni niewątpliwie, gdy, w miejsce *Roczników*, wydawany będzie z ramienia Towarzystwa kwartalnik naukowy o barwie literackiej. Niniejszy jedenasty *Rocznik*, z końca r. 1881 jest znów, tak jak i poprzednie, w większej swój części treści ciężko uczonej, przynosi nam owoc mozolnych po archiwach studyów, które ocenić dokładniej może tylko fachowy pracownik. Na czele *Rocznika* umieszczona jest praca ks. kanonika Korytkowskiego z Gniezna, p. t.: „Katalog arcybiskupów gnieźnieńskich, krytycznie zestawiony,” poczynawszy od pierwszego arcybiskupa Radzyna (1000—1006 r.) aż do dzisiaj.

Autor nie ograniczył się, jakby sądzić można, na prostym spisie, ale podał zarazem treściwe zapiski o działalności każdego z tych dostojników, prostując przytém na podstawie niezbitych dokumentów

mnogie fałszy i niedokładności, jakie się wkradły do prac poprzednich w tym przedmiocie. Z zestawienia powyższego katalogu, przedsięwziętego mianowicie z porządkiem, podanym co do następstwa i czasu, w żywotach arcybiskupów gnieźnieńskich, Długosza, Damalewicza, Bużeńskiego, tudzież w dwóch katalogach tychże arcybiskupów, ogłoszonych w „Monumenta Pol. Hist.,” t. III, pokazuje się np., że pierwszym arcybiskupem był dopiero Radzym, brat ś. Wojciecha, że w wieku XII opuszczony był np. całkiem arcyb. Bogumił (1167—1172 r.), że w wieku XIII, a i w XIV, niedokładnie nieraz tak Długosz, jak inni, podali porządek następstwa i czas zasiadania arcybiskupów na ich stolicach. Szczególniej należy okres po zgonie arcyb. Janusza (1271 r.) do najważniejszych i dopiero dokumenta przez Theinera ogłoszone, potrafiły go rozwidnić z grubszego.

Na drugiem miejscu, a dokładniej mówiąc, na trzecim, umieszcza tenże ks. kanonik Korytkowski życiorys dość długi jednego z tych arcybiskupów dawnych, których żywoty biografowie dotychczasowi po macoszemu traktowali. Jest nim arcybiskup, dwudziesty z rządu, Jarosław Bogorya Skotnicki. Uczony autor niema wprawdzie daru przeniesienia czytelnika w one czasy, odtworzenia ich fizynomii i tętna ich duszy, ale wdzięczność mu się i uznanie należy za tę sumienność, z jaką dobierał się do nowych źródeł i na nich oparty, podał nam materiały tyle obfite i tak skrupulatnie zestawiony do historii ostatnich dwóch Piastów. Autor nową całkiem odkrył kopalnię dziejową, z której niewątpliwie wielkie dadzą się przez długi jeszcze czas wydobywać bogactwa. Arcybiskup Skotnicki występuje w życiorysie autora, jako równie wielka jak król Kazimierz osobistość. Nie było pomysłu, ani przedsięwzięcia, ani trudności i niebezpieczeństwa, którychby arcyb. Jarosław nie był dzielił z królem Kazimierzem. Tu zastępował króla, owdzie pracował nad Statutem Wiślickim, lub doradzał założenie akademii, prowadził rozejmy i układy, krzątał się około podniesienia przemysłu i rolnictwa, budował wiele zamki, miasta, wsie, kościoły, rozrzucał opiekę nad ludem, jedność między duchowieństwem utrzymywał, prawodawstwo kościelne zasilił znakomicie, przez ułożenie zbioru ustaw synodów prowincjonalnych, archidiecezją zaś gnieźnieńską tak podniósł, iż o prym iść mogła i z najzamożniejszymi zagranicznymi. Ze oświatę między duchowieństwem pielęgnował, dość wspomnieć takich, między innymi, członków kapituły, jak Mokrskiego, później biskupa krakowskiego, jak Doliwę i Pałukę, później biskupów poznańskich, Jana z Czarnkowa, znanego kronikarza, Lisa kanclerza, proboszczów uczonych gnieźnieńskich, Koszutę i Iwona, Bodzantę, później arcybiskupa. 94 lat wieku liczył, gdy król Kazimierz umarł. On mu oczy zamknął, tak jak je zamknął i Łokietkowi, na którego początkowe panowanie młodość arcybiskupa przypadła. A była to młodość burzliwa, pełna wojennych imprez i gwałtów, jak wywodzi autor, opierając się na ciekawym dokumencie z 16/10 1335 r., wystawionym w Awinionie przez penitencyarza papieżkiego. Dokumentem

tym otrzymuje Jarosław dyspensę ab irregularitate, którą był ściągnął na siebie „przez palenie, łupienie, zabory i wyludnienia” („Cod. dypl. Wielk.” II, 477). Arcybiskup to Skotnicki, dźwignął w miejscu dawniej katedry gnieźnieńskiej, nową, która w murach i filarach głównej nawy i jej sklepieniu, po pożarze ostatnim z r. 1760 przeistoczona, a w pobocznych nawach ogromnych, niezmiennie do dziś przetrwawszy, świadczy o energii arcyb. Skotnickiego i jego przywiązaniu do stariej chwały metropolii gnieźnieńskiej. Że mury głównej nawy i nawy poboczne dotąd nienaruszone, pochodzą z owiej Jarosławowej budowy, świadczą kamienne zworniki, łączące także żebra sklepień naw pobocznych, oraz kapitele. Na zwornikach zachodzi herb Skotnickich 3 razy, na żebrawach zaś sklepień widać ornamentacye, które noszą niezaprzeczenie cechę budownictwa z drugiej połowy w. XIV. Nadto i na kapitelach 8-iu pierwszych filarów, widać również rzeźbienia z tej samej epoki i dwukrotnie znów umieszczone herb Skotnickich: Bogoryą.

Skotnicki był arcybiskupem, jak autor dowiódł, od 1342—1374 roku, a umarł w dwa lata później stuletnim starcem, podczas gdy „Monum. Pol. Hist.” opiewają w Katalogu I o Jarosławie arcyb. od 1282—1376 r., a w Katalogu II o Jarosławie, herbu Pogoń, od 1341—1376 r.; Bużeński zaś tylko datę śmierci przytacza.

Po tej pracy, mającej nieocenioną wartość materiału pierwszorzędnego, następuje ustęp z III tomu dziejów panowania Augusta II, przez Kazim. Jarochońskiego p. t. „Jesienna kampania Karola XII i Augusta II z r. 1704.” Wspomniałem już dawniej o tej pracy, zaszczytnie znanego naszego historyka, w czasie, gdy czytana była na posiedzeniu wydziału hist. Tow. Przyj. Nauk.

Również wspomniałem był i o następnej w Roczniku pracy, pracy p. Jażdżewskiego, którą czytał w Towarzystwie roku zeszłego. Tytuł jej: „Sprawozdanie z wystawy antropologiczno-archeologicznej w Berlinie” (sierpień r. 1880). Z wystawą tą połączono rozprawy, a mianowicie dyskutowano kwestyą, czy Słowianie dopiero w końcu w. VI po Chr. zamieszkali kraje między Elbą i Wisłą?

Nadmieniliśmy swego czasu, że archeologowi naszemu chodziło w tém sprawozdaniu jedynie o to, aby wykazać, że ostatecznie zaprzeczyć należy, iżby istniał jakibądź dowód, że Semnoni byli Germanami i że Słowianie dopiero w w. V lub VI osiedli między Elbą i Wisłą, co twierdzili Niemcy. P. Jażdżewski dodał teraz do dawniejszej swój pracy przypisek, w którym oznajmia, że prof. Virchow umieścił w zeszyte lutowym Sprawozdań Tow. antropolog. Berlińskiego z r. 1881 rozprawę p. t. „Die Deutschen und die Germanen,” w której, przyznając się do błędnych zapatrywań, zapowiada zupełny zwrot w poglądzie na kwestyą osiedlenia się, a nawet pochodzenia Słowian i Germanów. Virchow przyznaje, że badania czaszek nie doprowadziły do rezultatów, że brakuje wszelkich dotąd wskazówek, uwidoczniających różnicę długogłowych Słowian od Germanów i przytacza zdanie uczonego Kollma-

na z Bazylei, oparte na fakcie, iż znaleziono w grobach Frankońskich i Alemańskich 42 czaszki długogłowe, uważane zawsze dotąd za znamiona rasy Słowiańskiej. Virchow dodaje, że i pierścienie haczykowane winny uchodzić raczej za ornament Słowian, aniżeli Germanów.

Szóstej i siódmej w Roczniku pracy, autorem jest ks. dr. Łukowski z Gniezna. Czytał był obie w Towarzystwie Przyj. Nauk, o czem zdaliśmy już byli sprawę. Tytuły tych prac: „Archiwum Trzemeszeńskie” i „Rzekomy Kodeks ś. Wojciecha, oraz t. zw. dekretały pseudo-Izydora.”

I następna praca prezesa Towarzystwa p. t. „Szkic historyczny wypadków polskich w Szekspira „Zimowej powieści” i tegoż „Burzy,” była już swego czasu przezemnie wzmiankowana, z okazji sprawozdania z odczytów, mianych w wydziale histor. Tow. Przyj. Nauk. Dziś dodamy, że prof. dr. Caro zbiera ślady wszystkie w Szekspira dramatach, dotyczące zużytkowania przezeń wybitniejszych wypadków tragicznych z historii polskiej.

Dziewiątą z rzędu pracą, jest dr. Święcickiego „Krótki przyczynek do ważności skarbców w historii egipskiej.

Początek umieszczone jest Sprawozdanie z czynności Towarzystwa od r. 1878 do 1881, ułożone wedle protokołów, prowadzonych przez wszystkie trzy wydziały: historyczny, przyrodniczy i lekarski.

W końcu podany jest spis zmarłych przez lat 24 członków.

A teraz przypatrzeć się nam należy innemu „Rocznikowi, który oznajmia publiczności, jak się powodzi instytucji, nad którą, im bardziej zastanawiamy się, tém ją bardziej za kardynalną uznajemy; chociaż nie fakt, szczupłego zastępu obywateli naszych wiejskich, wywołał myśl „Kótek Włościańskich, on przecież powinien popychać do jaknajgorliwszego zajęcia się instytucją tych „Kótek.” Nigdy dość wczesnie o przyszłości zagrożonej myśleć nie można.

Na pierwszym planie chodzi o moralne podniesienie włościan, o pobudzenie ich do większej dbałości o wychowanie dzieci, o przyprowadzanie synów na zgromadzenie kółkowe, zastępujące pod niejednym względem brak szkół rolniczych; o umiejętniejszą pracę około roli i inwentarza, o oględniejsze zaciąganie pożyczek, ażeby włościanin nie stawał się pastwą lichwy, o zapoznanie się z pewnymi niezbędnymi kwestyami ekonomicznymi i t. d. Instytucya-to „Kótek,” im dalej rozwijać się i obszerniejsze zakreślać będzie koło, wszczeptać też będzie coraz silniej uczucie solidarności, a rugować sobkostwo. W Westfalii istnieje od lat 18-tu „Tywarzystwo chłopskie,” a liczy 18,000 członków. Podobieństwo jego organizacji z naszą, bez porozumienia się uprzedniego, wskazuje na pewne podobieństwo położenia stanu włościańskiego tu i tam. Naturalnie nie mówimy tu o podobieństwie położenia pod względem narodowym.

Przeczytawszy z uwagą „Rocznik VIII kótek rolniczo-włościańskich,” który niedawno co w druku się pojawił, nie dostrzegliśmy od zeszłego roku namacalniejszego postępu. Kółka nie wzrosły w liczbę,

a i udział właścicieli większych w $\frac{1}{3}$ powiatów, pozostał niemal tak samo bardzo małym.

Tu i owdzie da się stwierdzić wprawdzie wzrost poczucia potrzeby Kółek, widać gorliwszą wśród Kółek czynność, budzącą się świadomość dobrych ich skutków u pewnej liczby włościan, ale w ogóle nie wyszła jeszcze instytucja ta, tyle ważna, ze stadyum początku. Z 14 walnych zebrań powiatowych, 3 odznaczyły się tylko w roku bieżącym licznym udziałem. Niektórzy obywatele próbowali zachęcać włościan darowizną okazów, które potem losowano; ale okazało się, że to gorliwości nie zwiększyło. Po wylosowaniu bowiem, znów uprzednia wróciła gnuśność. Dopóki włościanin nie nabierze przekonania, że to o jego interes chodzi, dopóki nie zobaczy na coraz częstszych przykładach, że członkom czynnym w Kółkach, lepiej się powodzi, że czego jeden nie potrafi potrafi 20 lub 30 stowarzyszonych, dbających o wspólne potrzebom swym zaradzenie, dopóty ogólniejszych rezultatów nie zobaczymy. Jest nadzieja, że przy gorliwości chwalebnej i bezinteresownej znacznego zastępu obywatelstwa i duchowieństwa i przy wzmacniać zaczynającym się poczuciu wśród gron pojedynczych samegoż włościaństwa, instytucja Kółek nietylko nie ulegnie zastojowi, ale w pożądane owoce rość będzie. Już dziś wskazać można okolice, w których działalność Kółek namacalnie okazuje dobre skutki moralne i materialne i już dziś wymienić nazwiska takich dzielnych włościan, pracujących samowiednie w Kółkach, jak np. Napierała, Cieplucha, Tyrakowski. Ten ostatni potrafił, ku wielkiemu zadowoleniu i serdecznej radości walnego zebrania delegatów Kółek włościańskich, poprowadzić jaknajlepiej protokół, podczas gdy Napierała wygłosił rady i życzenia noworoczne dla włościan, zadziwiająco zdrowo pomyślane, a przytępne swojskiego humoru. Cieplucha znów zadał sobie pracę napisania wskazówek dla gospodarzy chłopskich. Są to cenne objawy, zwłaszcza mianowicie, że najlepiej przemówić zdolen jest zwykle swój do swego, a tém samém i najlepiej nań podziąkać. Że np. spłacanie ciągnących na gospodarstwach włościańskich długów, za pomocą wzięcia pożyczki Ziemstwa, robi większe postępy, jest to, w pewnej przynajmniej mierze, skutkiem miewanych na zebraniach Kółek dyskusji, a słysząc można było nieraz, jak włościanin jeden przed drugim argumentował, i na własnym przykładzie starał się wykazać dobry skutek zaciągnięcia na gospodarstwo długu Ziemstwa, skoro pozbył się z stosunkowo małym mozolem i stratą dławiącej go lichwy, lub uregulował spłaty rodzeństwa i t. p. obligacye.

Kiedy już poruszyliśmy kwestyą Ziemstwa chłopskiego, napomniemy przy tej sposobności, oparci na autentyczném źródle, o ile dotąd obu narodowości włościanie korzystali z dobrodziejstwa pożyczek Ziemskich. Otóż w r. 1879 oszacowanych zostało, na życzenie właścicieli, 206 gospodarstw włościańskich, z których przecież przystąpiło do Towarzystwa tylko 28, z obszarem 763 hekt. Listy zastawne, wydane na ten obszar, wynosiły 149,000 mar. W r. 1880 oszacowano

454 gospodarstw, z których wzięło znów tylko 123 Listy zastawne, z arealem 3,137 hekt., na co wydano Listów zast. 567,500 mar. W roku 1881 oszacowano gospodarstw 395, z których przystąpiło już do Towarzystwa 322, z arealem 7,472 hekt., na co wydano Listów zast. 1,495,700 mar. Z tej ogólnej sumy przypada, w przybliżeniu rzecz wzięwszy, połowa większa na gospodarstwa włościan polskich.

Po tej dygresyi finansowej, idziemy dalej w przeglądzie objawów umysłowości ściśle lokalnej. Zdawszy sprawę z objawu, że tak się wyrazimy, oficjalnego w naukowej dziedzinie („Rocznik Tow. Przyj. Nauk”), a potem w dziedzinie społecznej („Rocznik kółek włościańskich”), wspomniemy, chociażby tylko kilku słowy, o „Roczniku IV Złotej księgi szlachty polskiej,” pozostawiając sprawozdanie o nim innemu pióru; że autor z równem jak dotąd zamiłowaniem, a z coraz większą dokładnością traktuje swój przedmiot, zgodzą się na to zapewne krytycy; że umieszcza zbyt może nieraz obszerne monografie rodów, idąc w tym za mnogością materiału raczej, niż za ważnością rodu, z tego nie czynimy zarzutu autorowi i chyba tylko pod względem artystycznym nadmienićby tu coś się dało, jeśli ten wzgląd komu na sercu leży. Z monografii w niniejszym Roczniku umieszczonych, zajmuje bezwątpienia monografia rodu Sułkowskich pierwszorzędnę miejsce. Zwracamy na nią uwagę, jako na materiał obfity do historii. Archiwum Rydzynskie stało autorowi otworem i czerpał też z niego pełnemi rękoma. Co to np. za drastyczny stawa nam przed oczyma moment, gdy Fryderyk W., dowodząc już i tak do woli w granicach Rzeczypospolitej sobie przyległych, używa i forteli, jak np. następującego. Wysła oficera z kilkuset żołnierzami i każe mu poprosić o nocleg w Rydzynie ks. Sułkowskiego, a gdy ksiązę noclegu nie odmawia, oficer napada go w nocy, arestuje i jako podejrzanego o werbowanie na swą rękę ochotników dla króla Augusta, wywozi do fortecy Głogowskiej. Wielki ztąd w Polsce powstaje hałas, ale na hałasie się kończy, a ksiązę jak siedzi tak siedzi w Głogowie. Na listy księżny i księcia, raczy Fryderyk odpisywać. Między innymi, taką np. odpowiedź czytamy: *Quoique V-s etes prince, V-s ne l'etes pas assez, pour me faire la guerre*, więc też użyłem, konkluduje Fryderyk, sposobu jedynego, aby ci, mój ksiązę, oszczędzić gorszych przykrości, któreby cię były spotkały w roli belligeranta.

Uczony ks. kanonik Korytkowski, prócz umieszczonych prac w „Roczniku Tow. Przyj. Nauk,” o których mówiliśmy, przedsięwziął na wielką skalę opracowywać „Monografie wszystkich kanoników i prałatów kapituły metropolitalnej Gnieźnieńskiej, począwszy od r. 1000 aż do dzisiaj.” Właśnie co wyszedł teraz zeszyt II. Może to być monumentalne dzieło i nie wątpimy, że takiem będzie. Ogrom pracy, jaki czeka autora, nie da przecież, nawet w przybliżeniu, oznaczyć czasu, kiedy dzieło to ukończonem zostanie. Bliższe rozpatrzenie się w obu zeszytach, zniewoleni jesteśmy, dla braku czasu, pozostawić na później.

Zestawiwszy w powyższym szkicu najnowsze plody umysłowej

czynności w naszej dzielnicy Poznańskiej, wspomnieć nam jeszcze, chociaż tylko nawiasowo, wypada o pojawieniu się od 1 kwietnia pisma, w niemieckim redagowanego języku, które ma na celu obronę interesów polskich w obec Niemców, oraz obznajmianie niemieckiego społeczeństwa z umysłowością i ruchem społecznym i politycznym, tak naszym jak i ogólnie słowiańskim. Fundusze dają polscy nasi obywatele. Tymczasowo złożono 6,000 marek. Dwadzieścia osób złożyło się, każda po 150 marek, a jeden z najzamożniejszych obywateli wiejskich, zawsze chętnie przystępujący do ofiar, dał sam 3,000 marek. Redaktorem jest jeden z wytrawnych naszych pisarzy. Tytuł pisma, które peryodycznie co dni 8 wychodzić ma, brzmi: „Polnische Correspondenz.” O ile pismo to dopnie celu, trudno dziś przesądzać, natomiast stanowi ono jeden dowód więcej, jak czynimy wszystko, co w naszej mocy, aby dopomódz do rozbicia téj gęstej mgły, jaka zaległa przed oczyma Niemców pruskich, do osłabienia mocy tych uprzedzeń i tych kłamliwych wyobrażeń, jakie o nas tak prasa niemiecka, jak i „Berychty” urzędnikery rozsiewają. Chodzić będzie tutaj w pierwszym rzędzie o podawanie ściśle prawdziwych faktów i o poważne prostowanie tych, które prasa i nieprzyjazne inne sprawozdania o nas głoszą. Zadanie nie jest łatwe, jest nawet bardzo trudne, jeśli zważymy, że uprzedzenia przeciw nam, wiążą się ściśle z uprzedzeniami do wszystkich wybitniejszych osobistości, tak czynu jak pióra.

Niemcy poznańscy, swoją drogą, zdobyli się także na osobne pismo, noszące tytuł: „Zeitschrift für d. Geschichte und Landeskunde der provinz Posen,” którego redaktorem autor książki „Geschichte des Landes Posen,” archiwaryusz Meyer. O téj książce już wspomniałem w jednym z ostatnich mych listów. Azaliż, wnosząc z owéj książki, możemy się spodziewać po jój autorze jasnego poglądu, niezaciemnionego butą kulturtregerów par excellence?” o której nie tak to bardzo dawno temu, Auerbach, chociaż sam Niemiec, opiewał z ironią:

Ehe Gott die Welt geschaffen, waren schon die Germanen i t. d.

Mimo, że księgarnie poznańskie narzekają na stagnacyą w interesach, nowa od 1 kwietnia przybyła p. A. Cybulskiego, a projektowana jest jeszcze 7-ma. Na czém polegają rachuby nowych przedsiębiorców, nie wiemy, ale nie chcemy przypuszczać, aby wprzód nie byli wypośredkowali jakichś szans powodzenia i wnosimy dlatego, że bądź cobądź, popyt w Księstwie o płody umysłowe zwiększa się, chociaż przeważnie dotyczy on publicystyki peryodycznej, pochłaniającej i u nas całą niemal czynność rozlicznych gałęzi umysłowej pracy. Nie będąc zwolennikiem obrabiania kwestyi wszelkich z szybkością, jak gdyby pary, ucieszyliśmy się wydanemu nakładem Żupańskiego drugiemu tomowi „Obrazów z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce, przez Juliusza Falkowskiego.” Przedmiotem tych obrazów są czasy Księstwa Warszawskiego. Autor roztacza nasamprzód obraz wojska Ks. Warszawskiego z r. 1809, wyjęty z notatek barona Edw. Rasta-

wieckiego, znajdujących się w Muzeum archeol. wszechnicy Jagiellońskiej. Życie towarzyskie i obyczajowe szkicuje nam autor z znanym sobie talentem i ciepłem, posługując się w początku, bądź listami p. Nakwaskiej, pisanemi do siostry, p. Rastawieckiej, bądź z własnej czerpiąc pamięci; opisuje dalej, jak zapał dla Napoleona stygł po zawodzie Tyłżyckim w umysłach zimniej na rzeczy patrzących, kładzie przycisk na Kołłątaja broszurę: „Uwagi nad położeniem Ks. Warszawskiego,” przypominając, jak on to pierwszy wypowiedzieć śmiały myśl polityki francuzkiej po pokoju w Bazylei i to w ten sam sposób, w jaki uczynił to Thiers na wiele lat po nim, umieszcza potem wizerunki pierwszych ministrów Ks. Warsz., np. Żubieńskiego, „którego pobożność, podobnie jak i patryotyzm, miała pewną skalę barometryczną,” Łuszczewskiego, „nie orła, ale sumiennego i pracowitego urzędnika,” „drzemającego” Aleks. Potockiego, wreszcie ks. Józefa Poniatowskiego, łączącego dziwnie sympatyczną skromność z nielada bystrością poglądu na kwestye. W obrazowaniu Towarzystwa Warszawskiego w r. 1809, pokazuje się autor biegłym malarzem, korzystającym z barw, jakich mu dostarczyły pamiętniki np. J. Kropińskiego lub Leona Dembowskiego. Szkoda tylko dla ducha artystycznego całości, że nie porzucił na odmalowaniu nam li obyczajowo-politycznego obrazu owego czasu, ale zapełniał im dalej, tém obficie książkę swą temi oficjalnemi datami, nietylko o Księstwie Warsz., ale i o całym Cesarstwie, które już tyle razy czytaliśmy gdzieindziej, a dołączył zarazem w ciągu opowiadania te same skargi na Napoleona, w stosunku jego do nas, jakie już dzisiaj utraciły tak wiele na dawném swém prawie obywatelstwa. W grzechach Napoleona względem nas i nasze grzechy, politycznie rzecz biorąc, wielką grały rolę. Autor nie doszedł jeszcze w tomie II-im do końca istnienia Ks. Warszawskiego, zakończył swą pracę kapitulacją Warszawy po bitwie pod Raszynem.

Ze spraw ekonomicznych, które od pewnego czasu tak wielkie w naszym żywocie zajmują miejsce, poruszymy dziś jeszcze jedną. Dobiega otóż lat 25, jak Nowe Ziemstwo Kredytowe, z ramienia rządu ukonstytuowane zostało. Działalność jego przez przeciąg lat 25-ciu ogarnęła całe Księstwo. Ogólna emisya Listów zastawnych wynosi aż do końca roku 1881 sumę 255,357,000 marek. W samym roku 1881 wynosiła emisya 13½ miliona marek. Amortyzacya wynosi 26,235,000 marek. Abluowano z końcem roku zeszłego 24,393,000 m. Waliduje więc w Listach zastawnych 204,727,000 marek. Do funduszu rezerwowego należy z tego 19,586,000 marek. Trzech obywateli, t. j. pp. S. Czarnecki, Bron. Potworowski i Karłowski, podało przed miesiącem wniosek do wydziału t. z. ściślejszego nowego Ziemstwa, aby w najbliższym czasie emitowano nową seryą 3½% Listów zastawnych z 1½ procentową amortyzacją i aby dotychczasowy 10-cio procentowy fundusz rezerwowy zniesiony został, w miejsce zaś jego aby zaprowadzono zwyczajne, z góry płatne, półroczne spłaty procen-

towe. Wnioskodawcy odwołują się na poparcie swój propozycji na to, iż stan hipoteczny dóbr, Listami zastawnemi obciążonych, daje wierzycielowi bezwarunkowe bezpieczeństwo, że zaś pożyczki Listów zastawnych powinny być jaknajniżej oprocentowane, wywodzą dalej, że nagromadzone kapitały mają raczej bezpieczeństwo hipoteczne na celu, aniżeli wysokie procenta, kładą przycisk na fakt, że szybkość amortyzacji podnosi kurs i że wreszcie konkurencyi rozlicznych banków hipotecznych, czoło stawić skutecznie można tylko, przez zmniejszenie procentu i szybką amortyzacją.

11 kwietnia 1882 r.

O teatrach warszawskich.

A dopókiż tego!—zawoła czytelnik z Cyceronem przeciwko tym Katylinom dziennikarskim, którzy spiknęli się na zagładę spokoju teatralnego. Ale na ten raz nie trwóście się. Nie będziemy tu mówić ani o dyrekcyi nowej, ani o dyrekcyi dawniej, nie będziemy wyliczali ani deficytów, ani zysków żadnej; ale opowiemy poprostu cośmy słyszeli o teatrze w ogólności i w szczególności o naszym, jako instytucyi mającej na celu uprawę sztuki, w najwyższym jój wyrazie poetycznym i artystycznym.

U nas naprzykład, kto przeżył w Warszawie pewien czas, nie może nie dostrzedz wielkiej różnicy pomiędzy porządkiem dawnym i tegoczesnym, i to nie od wieku ale od lat dziesiątków. Gmach się postarzał, skład się odmłodził, widzowie nie do poznania.

Mieliśmy operę, która i zachwycała i opłacała się; gdzież ona dzisiaj? Nic smutniejszego nad widok téj ruiny: a że publiczność nie lubi dzisiaj widoków smutnych, więc ucieka, zostawiając na polu kilku maruderów, wpośród krzeseł zajętych w części przez bilety bezpłatne.

Czém się to dzieje? Ha! Zważmy najprzód jaki jest stosunek dzisiejszej publiczności do widowiska teatralnego. Dawnemi laty, kiedy nie istniały jeszcze takie jak dziś ułatwienia komunikacyjne i pasportowe, Warszawa siedziała więcj w domu, i nie widząc zagranicznych przepychów, nie zużywając sobie smaku, poprzestawała na wyrobie domorostym, jakimkolwiek on był. Teraz, byle kto objeżdża stolicę gustu i postępu, wsiąka wrażenia rozmaite, uczy się porównywać, krytykować, rafinuje sobie smak, a wróciwszy do domu, znarwiony, żąda tego samego: nie znalazłszy, obojętnie na to co widzi. Nawykł zagranicą do imion wielkich, do reputacyi europejskich; nie zadawalnia go reputacya parafialna, zdolność choć prawdziwa ale średnia: ginie przez to nie sympatyczna jaka istniała przedtém pomiędzy sztuką a publicznością, kiedy np. Dobrski i Rivoli, Troszel i Rywacka byli dla naszych uszu szczytem doskonałości, tak jak przedmiotem uwielbień, bez porównań ze strony widzów do doskonałości nierównie wyższych, ale obcych. I nie jest to bynajmniej jakieś uczucie przeciwnarodowe, broń Boże! Krótki pobyt Czechowskiéj, Kochańskiéj, Mierz-

wińskiego, najlepiej świadczy o tém, jak zarówno i o tém czego się dziś zachciewa warszawskiemu widzowi opery.

Ale czy jest sposób na dogodzenie takiej zachciance? Bynajmniej. To nie trzystotysięczna ludność miasta, z której kilkanaście tylko tysięcy należy do poważnych widzów teatralnych, zdolną jest utrzymać operę w warunkach żądanych dzisiaj, gdzie tacy kompozytorowie jak Verdi i Wagner posunęli orkiestrę do możliwych i niemożliwych granic, od głosów żądając wysiłków i giętkości wyjątkowych, gdzie ekspozycja zewnętrzna kosztami walczy o lepsze z ekspozycją kosztownych głosów, nawiasem mówiąc, wszędzie bardzo dzisiaj rzadkich a więc tém kosztowniejszych. Gdybyśmy tu urządzili najcelniejszą operę, będzie do niej natłok przez kilka miesięcy, bilety będą się w dwójnasób i trójnasób płacić; ale tém gorzej dla opery miejscowej: wyszeptawszy się nad zwykłą miarę meloile, tém bardziej stronić będą od niej potem. A operze potężnej na pobyt stały fundusze napływowe kasy nigdy nie wystarczą; widzów, bodaj najbardziej zamitowanych, zbraknie niebawem. Warszawa, miasto ogołoczone z warunków rezydencyonalnych, starczyć może funduszami ludności nie na operę, ale na operetkę, na taką właśnie jaką posiada, tylko, przy zmianie warunków szafowania groszem teatralnym, lepiej ułożoną, gorliwiej pracującą i odpowiedniej prowadzoną.

I taką operę teatr nasz posiadać powinien, jeśli, w pomyślniejszych warunkach zostając niż kiedykolwiek, bo mu miasto dostarcza dwa razy tyle słuchaczy niż przed dwudziestu laty, nie ma się okazać niegodnym swojej tradycyi, opieszałym i niedołężnym. Nie dokaże on tego nigdy, łatając się ladajaką włoszczyzną efemeryczną; ale wybrakowaniem sił zużytych, odświeżeniem nie w jednym, ale we wszystkich kierunkach składu jednostkami uzdolnionemi i sympatycznemi, zamknięciem kieszeni na zachcianki, a otwarciem jęj na stałe i istotne dla sztuki pożytki, przy częstszym, rozumnie się, urozmaiceniu repertuaru nowościami prawdziwie powabnemi. Jeżeli scena warszawska nie ma być miejscem popisu dla obcych talentów rozmaitej skali, ale ogniskiem dla sztuki krajowej, bodźcem do jęj uprawiania; jeżeli słowem, mamy mieć operę polską, nie zaś jakiś potworny bigos muzyczny, którym nas częstują Bóg wie odkąd, należałoby raz pomyśleć o składzie solowym na seryo, o inném urządzeniu chórów, i o innym sposobie wykonywania. Wszak każde mniejsze nierównie niż Warszawa miasto niemieckie, ma swoją operę, będącą w dobrém zachowaniu u ogółu; ale ta opera, przedmiot troskliwości zwierchniczej, dba o dokładność i jedność wykonania powierzonych jęj dzieł, nie przedsięwberze nad siły, i ma to przekonanie, że na niwie melodyi rosnąć powinny róże nie zaś nieśmiertelniki, trwałość swą opłacające brakiem blasku i woni.

Taka opera średnia, ale w skali swęj doprowadzona do doskonałości, byłaby, tak jak była przez długie czasy, zaszczytem miasta, który możeby się materyaluie jeszcze nie opłacał; ale od czegoż są zasiłki

rządowe, zawierające się: 1) w lokalu bezpłatnym; 2) w dochodzie z najmu lokali posiadanego gmachu; 3) w corocznym zasiłku wynoszącym przynajmniej trzydzieści tysięcy rubli! Jeżeli przedsiębiorca prywatny nie posiadający wszystkich tych beneficjów, a nadto z szóstąj części dochodu ogałacany, może wychodzić jako tako, i mieć jaką taką operetkę, to przecież przy tych beneficjach, umiejętnie użytych, można by stworzyć, a raczej przywrócić w teatrze naczelnym operę dobrą, choć nie pierwszorzędną. Raz mając dobrą podstawę stałą i dla dobra sztuki konieczną, czemużby nie dać gościnności od czasu do czasu jakiéjsz jednostce wyjątkowej? I owszem. Ale ponieważ takich jednostek wyjątkowych nie możemy utrzymywać stale, a grzechem byłoby utrzymywać operę stałą w wyjątkowej nicości i bezładzie, powinniśmy użyć dobrej chęci ażeby się ratować drogą pośrednią, której warunki techniczne i administracyjne doskonale kompetentni znają.

Jeżeli teatr nasz nie może utrzymać opery pierwszorzędnej, dlaczego utrzymuje pierwszorzędny balet? zapyta ktoś. Otóż to pytanie bardzo drażliwe. Balet posiada język kosmopolityczny, wymowę uniwersalną, i teatr nasz taki balet posiadać musi. Wchodzimy w to położenie przymusowe, i co większa, zgadzamy się, że bądź co bądź, takiej nawet skali teatr jak warszawski, bez wyborowego baletu obszedłby się z trudnością. Ale czyż potrzeba ażeby balet pochłaniał rok rocznie bezpowrotnie po kilkadziesiąt tysięcy rubli, na wystawienie takich widowisk jak owe pięcioaktowe, wyczerpujące cały wieczór, nużące jednostajnością, przeto zrzadka zwiedzane a wyciągające całe magazyny drogich materyi, świadczył z prawdziwego złota i t. p.? Nam się zdaje że dla równowagi i zadośćuczynienia zarówno potrzebom sztuki jak wymaganiom od niej niezależnym, najwłaściwiej byłoby obliczyć z lat kilku, ile balet rzeczywiście przecięciowo przynosi na rok dochodu, i według tego budżet jego roczny ograniczyć, z uwagą, rozumie się, na wydatki znaczniejsze jednorazowe, jako to: zakup materyałów ubiorczych, albo wystawienie raz na lat kilka sztuki nowéj większego zakroju. Inaczej, balet zawsze żywić się będzie sokami opery i dramatu, lub téż stanie się przyczyną ciągłych deficytów. Bo lubo nie możemy przytaczać cyfr ze źródeł urzędowych, a nie urzędowe nie znaczą nic, możemy jednak na oko osądzić, na jaką to cyfrę złoży się uposażenie piéniężne kilku tancerzy i tancerek solowych, kilku przodowników i kilkunastu przodownic, oraz tak liczne gościny różnego wieku, od niemowląt aż do zgrzybiałości, z dodaniem kosztów materyału jednorazowych i kosztów wystawy wieczorowej, które to ostatnie także nie byle jaką rubrykę stanowią. A my co uczęszczamy do teatru i wiemy wiele wieczór baletowy przynieść może, zwłaszcza gdy się balet starzeje, możemy przecież mieć miarę stosunku wpływów do tak ogromnego wydatku. Czémże się więc pokrywa niedobór? Jużesmy powiedzieli. Trzeba temu moloszemu pieszczołowi poświęcić niemal cały zasiłek skarbowy, a jeszcze uskubnąć coś z opery lub

dramatu. Oj! to złe i nie do darowania złe gospodarstwo, które dla nóg poświęca umysł i serca.

Boć ten biedny Kopciuszek teatralny, ten dramat, toż to największa podpora materyalna, tak jak najwyższa chluba naszej sztuki scenicznój. Nie z baletu znają nas ludzie zagranicą; z opery, daj Boże aby nas nie znali; ale znają nas z dramatu i komedyi. I tu należy jednak uczynić rozróżnienie. Życie i zajęcie się publiczności należy nie do dramatu właściwego, ale do komedyi, której niemal każde przedstawienie jest nowym dla niej tryumfem, gdy niemal każde przedstawienie dramatu jest nową dla niego klęską. Wypadałoby się zastanowić, z kąd to pochodzi: czy ze złego wyboru, czy ze złej gry, czy z braku zamiłowania ogółu do poważnych przedstawień? Przeciwno wyborowi, słowa powiedzieć nie można. Wystawiamy Szekspira, Szyllera, Getego, Słowackiego, czynimy pod względem wyboru wszystko, co miejscowe warunki pozwalają, a jednak, po kilku przedstawieniach, widzowie zaczynają się przeredzać, nasamprzód pustoszeją łoże, następnie krzesła i sala świeci pustkami. Z wyjątkiem kilku, taka kolęj większej części dramatów tragicznych. Jeżeli więc nie w wyborze, to w czém inném musi leżeć tego faktu przyczyna. Rzeczywiście, w składzie naszego dramatu zamało posiadamy żywiołów iście tragicznych. Każdy mniejwięcej artysta, raz zawładnąwszy pewną technikę, da się nagiąć do pewnych sytuacji, zarówno poważnych jak wesołych, groźnych lub uciесnych; ale inaczej się one przedstawia, jeśli odpowiadać będą górującemu w naturze usposobieniu artysty, niż kiedy tylko je nakieruje tresunek. Daje się to spostrzegać w pośród talentów wyższych, cóż dopiero pomiędzy średnimi. A, nie wymieniając nazwisk, przebieżmy w myśli skład cały dla zobaczenia, ile to w nim jednostek posiada ten prawdziwie tragiczny temperament i nastrój, jakiego wymaga dramat poważny. Wyliczylibyśmy zaledwie kilka. Do niedawna jeszcze z trudnością przychodziło obsadzić drugą rolę kobiecą: dziś—i to zasługa dyrekcji nowj—siły się wzmogły, przez co dramat śmielj żeglować może, ale pod jednym, nieodzownym dla wszelkiego skutku warunkiem: potrzebuje sternika, i potrzebuje tём więcej, raz dlatego, że, jak powiedzieliśmy, potrzeba znaczną część składu naginać dopięro do nastroju tragicznego; powtóre, że raz zagubiona u nas przed laty tradycja gry tragicznój, dotychczas nie powstała, i należy ją wskrzesić, do nowych żywiołów i upodobań czasu zastosować.

Gdybyśmy mieli do czynienia z jednostkami wyrobionemi, z wirtuozami, zadanie byłoby łatwém. Ale na wirtuozach sztuka nie stoi; to tylko popis. Sztuka stoi na jedności i okrągłości, jaką z materyału danego wyrobić można: i oto zadanie kierownika. Urządzenie scenarjusza, ukostiumowanie, udekorowanie, cała technika i anatomia wykonawcza, to rzecz reżysera; ale fizyologia, pojęcie ducha utworu, wcielenie go we wszystkie cząstki organu scenicznego, wypróbowanie, czy każda cząstka dostatecznie sprawę zdaje z tego, do jakiego organizmu w tём chwili należy, zaprowadzenie ścisłego związku między czę-

sciami, jaki widzimy w organizmach żyjących, tak, iż zdaje się, jakoby jedna z drugiej wyrastała, lub była jęj dopełnieniem, czyli stworzenie harmonii i jedności gry, to rzecz już nie reżysera, ale dyrektora.

W naszym dramacie, i to nie nasza wyłącznie opinia, ale powszechna, takiej jedności niema. Każdy grający chodzi samopas, i jak w źle dobranej orkiestrze, głosy się rozprzegają, nie zlewając w jedność. Całe tęż znaczenie mają tylko soliści, na nich jedynie zwraca się uwaga widzów, a w chwili, gdy schodzą ze sceny, wnet rozpoczynają się szepty i oczy przestają spoczywać na scenie.

W tēm leży właśnie główna różnica powodzenia u nas pomiędzy dramatem i komedią. Ta, jako lepiej uposażona w temperamencie odpowiedniego, mniejszego wymagająca wysiłku, nigdy niepozbawiona tradycji scenicznej, snadniej ułożyła się sama przez się do pewnej jedności, nawet bez specjalnego przewodnictwa; tak, że niejednokrotnie utwór, choćby mniejszemi obsadzony siłami, wychodzi z zadania zwycięsko. Ale kiedy potrzeba skalę podnieść, kierunek zmienić, przejść w nowy, a nierównie wyższy porządek uczuć i obrazów, wtedy brak instynktu, niezastąpionego kierownictwem, sprawia, że działa się omackiem, na domysł, siły wreszcie nie dopisują, i utwór wychodzi bezbarwny. Cóż dziwnego, jeśli nie sprawia wrażenia? Zagrajcie nam, powiada publiczność, dramat, tak jak gracie komedią, a będziemy was równie często i z równym zadowoleniem odwiedzać: i publiczność ma słuszność.

Ale ten nieszczęśliwy dramat, tak bezwzględnie przez nas traktowany, może także odpowiedzieć: Dajcie nam więcej jednostek odpowiednich, nie wrywajcie ich do mnie z komedii, gdzie nawykają do odmiennego porządku, tak, że czasami śmieszają, gdzie powinny trwożyć, a tresunek będzie łatwiejszy. Sami powiadacie, że brak zachodzi i w charakterach naczelnych, a gdy jeszcze i siły drugorzędne nie dopisują, to cóż w takim razie począć? Prawda. Ale jest i na to sposób, do którego się zwołna dochodzi, a rzeczy tylko niepodobnych nikt nie pożąda. Nasamprzód, trzeba wyrugować nieużytki, a przez to otworzyć miejsce użytecznościom...

Ale czy takie postępowanie będzie na razie sprawiedliwem. Łatwo to powiedzieć, że instytucja artystyczna nie jest zakładem dobroczynnym: zatem nie idzie, ażeby, bez oględności, rodziny pozbawiała kawałka chleba. Cóż winien nieużytek, nieogłędnie przyjęty, który się już miał czas zaaklimatyzować na scenie i bez złamania losu cofnąć się nie może, jeśli święcie dotrzymuje tego, co obiecywał: być nieużytkiem? Gdyby się go pozbyto po roku lub dwóch pobytu, kiedy miał lat dwadzieścia i własną tylko osobę w opiece, nic właściwszego: byłby mógł rozpocząć nowy zawód i być użytecznością na innem polu. Ale teraz, kiedy mu dano czas założyć rodzinę, zabrnąć w długi, dziesięć lat zawracać sobie głowę dymami złudzeń, a przez to uniezdolnić się do wszelkiego zajęcia pożytecznego; kiedy wreszcie on pilnością wszelaką podtrzymuje swą nieużyteczność: byłoby uczciwie pozbawiać go jedynego do życia i do robienia długów sposobu? Nie, instytucja musi

przyjąć następstwa swego błędu i do czasu tolerować swe nieużytki: a tymczasem, jak w operze, tak i w dramacie zaprowadzić reformę.

Nie należy się ubezpieczać na to, że scena dramatu i komedyi jest dziś w kwitnącym stanie. Była niegdyś w tym stanie i opera; i nikt wtedy ani przewidywał takiego upadku, w jaki ją wtrącił brak przeczności. Znarowiono gust publiczny długotrwałym najazdem opery włoskiej, tak, że publiczność miała czas odwyknąć od swoich, a nie postarano się o to, iżby opera polska mogła przez tenże czas spętnieć, i czémś poważném się publiczności znarowionej zalecić. Wymyślono oszczędności na operze polskiej, trwoniąc fundusze na obcą, i rzecz kwitnącą doprowadzono do zbutwienia. Teraz o restauracyą nie łatwo.

Dramat nie jest wprawdzie w tém położeniu, ażeby mu rywalizacya obca zaszkodzić mogła. On zkądnąd zaatakowany być może: jemu grozi niebezpieczeństwo z dwóch stron. Nasamprzód zbraknąć mu może koryfeuszów, którzy, nie będąc ludźmi młodymi, mogą zapragnąć spoczynku, a wtedy będzie to cios straszliwy dla takiej sceny jak nasza, która, polegając na koryfeuszach i bezpieczna o powodzenie, gdy umieści na afiszu nazwisko wielkiego mistrza, nie dbała nigdy o wyrobienie sił mniejszych, tak, iżby one same przez się mogły podtrzymać interes sztuki. Nie chcemy nawet myśleć o tym wypadku, gdyby scenie naraz zabrakło Żółtkowskiego i Królikowskiego, tak jak zabrakło Modrzejewskiej i Bakałowiczowej. A więc drugą stroną niebezpieczeństwa stanowi to, że nasza scena dramatyczna nie kształci się tak, ażeby w razie zaćmienia gwiazd błyszczących światłem pojedynczém, mogła zastąpić je światłem zbiorowém gry skończonej, doskonale harmonijnej, chociażby nie pierwszorzędnej.

Kto zna sceny europejskie, ten przyznać musi, że na całym świecie znajdują się może dwa takie teatry, któreby skład osobisty mogły przedstawić równy naszemu—i to niekonicznie. Zwykle tam góruje jakaś jedna jednostka na tragedya, lub komedya; niechaj dwie: reszta, są to siły bardzo umiarkowane, nie do porównania nawet dalekiego z naszymi. Lecz, żeby na jednej scenie i w jednej sztuce spotkać się razem z takimi jednostkami, jak u nas, gdzie jednocześnie wystąpi Żółtkowski i Królikowski, Leszczyński i Tatarkiewicz, Rapacki i Ładnowski, Ostrowski i Szymanowski; panie: Rakiewiczowa, Deryng i Popiel, takiego zbioru nie widziano nawet w „Comédie française.” A jednak, na téj scenie francuzkiej, przy dwóch tylko tak utalentowanych jednostkach, jak niektóre z wymienionych tu, przy reszcie bardzo średniej, sztuka wychodzi znakomicie i zachwyca widzów. A to dlatego, że ta reszta wytresowana jest do ostatnich granic, obejmujących sztukę aktorską: to téż teatr francuzki, albo wiedeński, nie obawiają się zaćmienia żadnej gwiazdy. Utrata jednostki wyższej będzie tylko ubytkiem przykrym, lecz do upadku nie doprowadzi. U nas stałoby się inaczej, bo wrażenia gry pierwszorzędnej nie zdołałoby zastąpić wraże-

nie harmonii sił drugorzędnych. Pierwsza to podobno na świecie armia, a dzisiaj łącznie z teatrem Małym, tak liczna, która od bardzo wielu lat obywa się bez hetmana i bez ordynku. Trwać to może jeszcze czas jakiś, ale potrzeba tylko lekkiego wstrząśnienia, ażeby poszła w rozsypkę.

Wstrząśnienie to sprawić mogą fałszywe oszczędności i fałszywe spekulacje, dowodzące zupełnego braku zrozumienia interesów teatru. Przez co opera polska poszła w rozsypkę? Przez oszczędności. Zdrogo było nam mieć na dłuższy czas Czechowską, albo Kochańską, jako prymadonny; z drogi był nawet basista Wasilewski, jako śpiewak stały: zaprowadziliśmy więc oszczędności, ogłaćając operę z żywiołu swojskiego. Powierzaliśmy ją żywiołowi obcemu, który nas kosztował dziesięć razy tyle, bo sprawił to, że musieliśmy opłacać i Włochów, którzy śpiewali i Polaków, którzy milczeli; potrosze zadowolnić tylko melomanów, ogół publiczności odstręczył i przefrunął, nie zostawiwszy po sobie nic, prócz ogromnego deficytu w kasie i na scenie. Gdybyśmy połowę funduszu, zmarnowanego na Włochów, użyli na powstrzymanie rozsyпки składu miejscowego, na zastąpienie destruktyw siłami żywotnymi, mielibyśmy dotąd operę polską w całym możliwym organizmie i prawdopodobnie uniknęlibyśmy deficytu. Ta rzecz, ta rehabilitacja, jest jeszcze do zrobienia, tylko czy kto myśli o niej, czy kto jęj pragnie—nie wiemy; sądząc po upartych w kierunku destrukcyjnym działaniach—powątpiewamy.

Symptom podobnego działania okazał się i na dramacie, przez zerwanie z panią Popiel-Święcką, także dla oszczędności. Ale jeżeli na czém, to na dramacie najmniej oszczędzać się godzi. Toż to chlebobawca, nadstarzyciel wszystkich kłesk, sprowadzonych ulewą włoskiej nawałnicy i orgii baletowych. Jeżeli jego wystawa zewnętrzna kosztuje tak mało, zbierajmyż przynajmniej siły artystyczne, zamiast się ich pozbywać. Nasprowadzaliśmy tyle sił drobnych do teatru Małego—zgoda; one tam nieźle funkcjonują i z czasem przydać się mogą do podnioślejszych zadań; ale czyż one wszystkie razem wzięte zastąpią w widokach sztuki i korzyści materyalnej jednostkę taką, jak pani Święcka? Rzeczywiście, tego rozporządzenia, które kilka tysięcy rubli trwoni na wystawienie Eldy, a połowę tego oszczędza, tracąc ze sceny przyciągającą gwiazdę pierwszej wielkości, niepodobna sobie wytłómaczyć inaczej, jak ostatnią lekkomyślnością.

Weźmy znowu rzecz innego porządku oszczędnościowego; zdrogie są dla teatrów rządowych subwencyonowanych sztuki oryginalne, przez publiczność najbardziej ulubione. Więc ubogie te instytucje pozwalają bogatym teatrom ogródkowym nabywać za droższe pieniądze wprost od autorów utwory, które mają przywilej ściągać widzów tłumnie, po kilkanaście i kilkadziesiąt razy. Ta wyrafinowana oszczędność sprawia, że rządowy teatr Letni, ogołocony z artystów, udających się na urlopy, oraz ze sztuk nowych, ratuje się starzyznami i albo mało cc zarabia, albo do wieczorów dokłada. Na jesień zaś zbiera po ogród-

kach resztki i żywi się niemi przez zimę. Otóż-to co się nazywa wyrefinowana oszczędność! Kilkaset rubli zysku na rękopiśmie, a kilka lub kilkanaście tysięcy straty na widowiskach! Boć przecież przypuszczać się godzi, że „Emigracya chłopska,” „Czartowska Ława,” „Śąsiedzi,” „Rozbitki” i tym podobne utwory, z pierwszej ręki zainstalowane na teatrze rządowym, tak samo ściągająby tłumy, jak do ogródków, a tém samém napełniałyby kasę w sposób, któryby różnicę w cenie rękopismu uczynił niedostrzeżoną. Rękopism po ograniu w ogródku kosztuje mniej i teatr rządowy na tém robi spekulacyą, która mu udaje się tak samo, jak ostatnie występy gościnne.

Występy gościnne, czy to jako urozmaicenie, czy jako próba talentu, pożądane są bardzo, ale jak i kiedy. W ostatnim sezonie, poczęły się one u nas po Rychterze, od pani Hoffmann. Było to jeszcze dosyć szczęśliwie, bo ze sztuk grywanych dla pani Hoffmann, kilka zostało nadal w miejscowym repertuarze, a jedna tylko Marya Joanna udaremniła czas i pracę miejscowych artystów. Na początku stycznia przybyła Sara Bernhardt: i ta jeszcze wielkiej szkody nie wyrządziła. Wprawdzie osuszyła kieszenie, co nie mogło dobrze wpłynąć na późniejszą frekwencyą; bo kto płacił potrójne ceny za miejsce na przedstawieniach polskich. Ale w repertuarze miejscowym Sara nie sprawiła żadnego wyłomu: miała ona swój własny i swe własne towarzystwo, które grało bez prób (i dodajmy nawiasem, bez suflera); nasi więc artyści nie doznawali przeszkody w pracy. Zabawiła dziesięć dni i znikła, zostawiając po sobie przynajmniej znakomity wzór gry osobistej i godny przykład tresunku całości, mało uzdolnionej, a wszakże strojnój.

Po niej bezpośrednio przybywa Modrzejewska—i zobaczymy co się dzieje. Pani Modrzejewska powtarza pewną część repertuaru Sary Bernhardt; raczy nas szczęściem aż do przesytu, „Dama Kameliową,” ciesząc niektórych sprawozdawców, że ją idealizuje. Odświeża rzeczy dawno nie grane a upadłe, jak „Angelo Malipieri” i „Niewinni;” wystawia znova mdłą „Dama Treflową” i świetną „Norę.” Zachwyca w kilku sztukach, czaruje zwłaszcza w „Maryi Stuart” i „Norze;” w ogólności świetnieje blaskiem gwiazdy pierwszej wielkości, gra na cele dobroczynne, chwilowo wzbogaca kasę, a koniec końców zostawia po sobie ruinę. Jakoż, najmniej siedm sztuk całowieczorowych potrzeba było dla p. Modrzejewskiej uczyć się od *a* do *z*, bo albo to były zupełne nowości, albo rzeczy zupełnie zapomniane. A że z jej repertuaru dla repertuaru miejscowego nie pozostało i pozostać nie mogło nic zgoła i wszystek z nią razem wyjechał, przeto cała dwumiesięczna i mozolna, bo ruchem przyśpieszonym odbywana praca artystów miejscowych, poszła w zupełności na marne. Jakież tego następstwo? Oto po wyjeździe Modrzejewskiej, pusto w repertuarze, a więc pusto i w kasie. Zaledwie coś niecoś zdołał uszczknąć teatr Rozmaitości: całym jego plonem były pod ten czas „Niby małżeństwa.” Ale

teatr Wielki opustoszał i dla ocalenia go sprowadzono znowu operę włoską, powód bankructwa.

Słowem, skutkiem dwumiesięcznych występów p. Modrzejewskiej, repertuar złamany jest na cały rok i kuléc będzie przez cały rok. Bo niebawem z porą letnią nadchodzi czas urlopów, artyści się rozjeżdżają, tak jak już, nie czekając, dokonał tego p. Królikowski, oraz panna Deryng, która przez rok blisko nie miała sposobności w sztuce większego rozmiaru wystąpić: i reżyser traci głowę od namysłu z czém ma wystąpić, ażeby pustki zażegnać.

Oto właśnie pora na występy gościnne; ale nie podczas sezonu najprodukcyjniejszego, to jest w zimie. Któż z nas nie rad jest widziéć p. Modrzejewskiej; kto jój nie podziwia, kto by nie pragnął jój stałego na scenie naszej pobytu! Ale że p. Modrzejewska inaczej osobą swą rozporządziła, to czasowe jój odwiedziny witamy z zapalem, tylko niech one godzą się z dobrem miejscowej instytucji. Dla p. Modrzejewskiej wszystko jedno, kiedy i gdzie ma się udać na występy; od zwierzchności teatralnej zależy oznaczenie pory dla siebie właściwej. Gdyby to teraz właśnie zwierzchność sprowadziła p. Modrzejewską, cóż byłoby pożądanego, kiedy ruch urlopowy już się poczyna; ale w czasie najpodatniejszym do pracy i nauki, przez ósm tygodni paraliżować działalność sił miejscowych, pod złudnym pretekstem zarobku kilkudziesięciu tysięcy rubli, które nie pokrywają niedoborów późniejszych—jest to zbyt krzyżująca nieogłędność.

Dla ożywienia ruchu scenicznego, opóźnionego tym niefortunnym wypadkiem, już rozpoczęto transakcye to z Meiningenami, to z Salviniem, które niewiedomo czy i do czego doprowadzą. Meiningenowie, jako organizm scenicznej doskonałości niesłychanej; Salvini, jako artysta wysokiej miary, godni są zapewne widzenia; ale z drugiej strony, zastanówmy się nieco nad tym faktem. Opera włoska, dramat francuzki, włoski i niemiecki—wszystko to w jednym roku na scenie polskiej! Zaiście, trzebaby daleki świat obejść, ażeby podobny fakt zobaczyć gdzieindziej. Czyż to dlatego istnieje instytucja subwencyonowana, ażeby była miejscem popisów kosmopolitycznych? Czyż to już tak daleko zaszedł upadek żywiołu miejscowego, że przybytek Muzy rodzimój oddaje się w arendę obcym? I pytanie, kto tém wszystkiém rozrządza, kto proponuje podobne środki, zamieniające instytucyę krajową na giełdę spekulacyjną? Żal nam was i wstyd za was, artyści polscy, którzy nie potraficie honoru sztuki narodowej utrzymać!

Istnieje zasię komisya, ustanowiona przez władzę wyższą dla zreformowania teatrów rządowych i podniesienia ich smutnego stanu. Spodziewać się należy, iż komisya ta oceni wszechstronnie potrzeby instytucji. Ale nim ona zdąży wszystko przejrzeć i projekt jaki zbawienny ułożyć i nim przedstawienie jój uzyska sankcyę wyższą, dużo jeszcze wody upłynie; a tymczasem grunt, na którym instytucja stoi, wciąż łamie się pod jój nogami i jeżeli tak dalej pójdzie, może nie łatwo będzie zebrać wśród zwalisk materyał do odbudowy. Obok więc pro-

jektów reformistycznych, stojących na dalekim planie, należałoby jąć się zwawiej środków doraźnych, któreby uprzędziły niejako konkluzje komisji. Kierunek okrętu zostaje na odpowiedzialności sternika: jeden jest tylko w teatrze, od niego więc należy oczekiwać spełnienia zapowiedzi, jakie głośzono zrazu. Oczekujemy jakiegoś znaku zmiany stanowczój, bo dotąd, doprawdy, o teatrze mielibyśmy prawo powiedziéć z Bérangerem:

„Si je sais comment on s'y comporte,
Je voudrais bien que le diable m'emporte!”

Dnia 10 kwietnia, 1882 r.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA *).

Starożytni już przewali poetów i artystów *irritabilis genus*. Wątpimy jednak, aby ta choroba czepiająca się ludzi pracujących umysłem i wyobraźnią, doszła kiedyś do takich jak dziś rozmiarów. Mamy przed oczyma świeże dowody téj niesłychanej drażliwości między literatami i artystami francuzkimi. Zapisujemy je tu jako znamiona czasu.

Pierwszą ofiarą téj drażliwości stał się sympatyczny prof. Caro. Poważny ten członek Akademii, profesor filozofii w Uniwersytecie sorbońskim, zbyt gorąco wziął do serca niewczesne aluzje p. Pailleron'a, który w komedyi „Świat nudów,” stworzył pod nazwiskiem Bellaka, typ wytwornego filozofa, ulubieńca światowych i pretensjonalnych paryżanek.

Wiadomo każdemu kto od lat kilku uczęszczał na kursa, że podczas lekcji profesora Caro, największa aula uniwersytecka, nie mogła pomieścić niezliczonych słuchaczy i słuchaczek, że cały plac przed Sorboną pełen był świetnych ekwipaży; ależ pytamy, co temu winien profesor Caro, że dzielną wymową porywał swoje audytoryum, że walką toczoną z pesymizmem Szopenhauera, Hartmanna, Leopardego, poruszał do gruntu umysły spragnione wyższych ideałów?

Pailleron tłómaczył się wprawdzie po dziennikach, iż tworząc typ pedantycznego Bellaka, nie myślał bynajmniej o profesorze Caro; nikogo jednak nie przekonał, témbardziej że artysta grający rolę Bellaka, ucharakteryzował się w sposób nie pozostawiający najmniejszej wątpliwości. Prasa chciwa skandalów, daléjże szydzić z profesora: bez względu na szósty krzyżyk ciążyący na poważnym jego grzbiecie, dzienniki okrzyczyły go śmiesznym Lowelasem, niesytym serc niewieścich. Wyborna to była gratka dla materyalistów, aby bronią śmieszności zwalczyć najznakomitszego z dzisiejszych rzeczników „idealizmu.”

Profesor Caro zawinił, zdaniem naszym, ustępując ze szranek. Z początkiem szkolnego roku, pod pozorem zachwianego zdrowia, mia-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za maj r. b.

nował zastępcą swym profesora Joli i oddał mu czasowo katedrę, sam zaś jak Achilles w Iliadzie ukrył gniew pod namiotem. Od roku nie dał najmniejszego znaku życia.

Przerwał nakoniec profesor to uporeczywe milczenie, występując ostro („Revue des deux mondes” 1 lutego 1882 r.) przeciwko krytyce i krytykom dzisiejszym. „Krytyka naszych czasów, mówi on, zstąpiła tak nisko, do takiego stanu zniedołężnienia, w jakim jęj oddawna nie widziano. Dziś powodzenie książki, czy to powieści, czy dramatu, czy rozprawy filozoficznej, zależy od prostego przypadku, nie zaś od ścisłego wyrozumowania, i niczem nie da się usprawiedliwić. Co dzień spotykamy takie niespodzianki, dzięki przyjacielskim stosunkom, jakiejś franc-masońskiej solidarności, niektóre ramoty otrzymują skandaliczny rozgłos i zdobywają poklask wcale niezastużony.”

„Różnice w opiniach politycznych, mówi dalej, są głównym powodem takiego rozdwojenia. Nigdy jeszcze rozbrat nie był tak jak dziś radykalnym, nigdy nie zarysował się tak głęboko. W dziedzinie inteligencji toczy się wojna domowa, straszna, nieprześlądana, bez śladu owęj rycerskości, która niegdyś cechowała geniusz francuzki tak błyszczącym polem.

Większy jeszcze dowód drażliwości, posuniętej aż do wzajemnych zniewag, daje nam zajście Aleksandra Dumasa z malarzem Jacquet, jednym z najbieglejszych akwarelistów dzisiejszych. Przed laty kilku, Dumas nabył od niego piękny obraz olejny za 15000 fr. Wkrótce potem, odstąpił go innemu miłośnikowi sztuki za cenę dwakroć wyższą. Dotknęło to artystę do żywego, wymyślił więc zemstę szczególnego rodzaju.

W lutym otworzono w Paryżu wystawę akwareli: Jacquet przysła obraz pod tytułem „Kupiec z Bagdadu.” Widzimy tu bazar wschodni, napełniony mnóstwem malowideł. Dumas w kaftanie i jarmułce, przebrany za kupca izraelskiego, zaleca przybyszom swój towar. Podobieństwo uderzające. Jacquet okazał zaletę biegłego portrecisty.

Paryżanie chciwi wrażeń, biegną tłumami na wystawę: każdy chce widzieć ośmieszonego akademika, który rzuconemi w świat paradoksami, zniechęcił ku sobie wielką część publiczności. Gdyby Dumas zbył rzecz obojętnem milczeniem, wszystko poszłoby w zapomnienie; ale autor przywykły do szukania głośnych na scenie efektów, wziął sprawę z dramatycznej strony. Znalazł też gorliwego poplecznika w zięciu swoim Lippmanie, który jako izraelita, odczuł zniewagę wyrządzoną nie tylko teściowi lecz i plemieniu swemu. Podczas gdy Dumas zażądał w urzędowy sposób, usunięcia obrazu z wystawy, Lippman nie czekając na wyrok, sam sobie wymierza sprawiedliwość: rozbija laską szkło zasłaniające akwarelę, z uszkodzeniem, jak mówią malowidła. Rzecz poszła na drogę sądową. Jacquet domaga się 40,000 franków indemnizacji od milionowego wandalą; gdy to piszemy, wyrok jeszcze nie zapadł.

Przygoda Jacqueta z Dumasem, nie pierwsza w tym rodzaju. Ktokolwiek zwiedzał galerię Wersalską, zna olbrzymi obraz Horacego Wernet'a: „Zdobycie Smali.” Jedną z głównych i najwydatniejszych figur na obrazie jest tam stary żyd, uciekający ze skrzynką złota w ręku. Wernet skutkiem jakiegoś przykrego zajścia z wielkim finansistą Fuldem, uwiecznił na obrazie jego rysy. Fuld nie przyznał się do podobieństwa i rzecz poszła w niepamięć.

Podobny wypadek zdarzył się też przed laty trzydziestu w Brukseli. Zmarły niedawno malarz belgijski Wiertz, oddawał się głównie historycznym przedmiotom; wyjątkowo tylko malował portrety przyjaciół, lub osób odznaczających się typową fizygnomią. Dnia jednego wszedł do pracowni artysty notaryusz Van Speak. Znany ten skąpiec był celem powszechnego pośmiewiska; mnóstwo dykteryjek krążyło o nim w mieście. Zaprzagnął on mieć portret, wykonany pędzlem sławnego mistrza.

Wiertz byłby zapewne odmówił, ale typowa postać nowego Harpagona obudziła w nim werwę. Bacznym zmierzył okiem łusą głowę starca, czoło zorane w bruzdy, oczy błyszczące z pod kępiastych brwi, nos mocno zagięty jak dziób sępa, usta zaciśnięte, brodę śpiczastą, policzki płaskie, wyżółkłe jak stary pargamin.

Artysta żąda za portret dziesięć tysięcy franków, skąpiec targuje się zawzięcie. Tymczasem malarz wprawnym okiem rozpatruje się w jego rysach. Zgodzono się wreszcie na trzy tysiące franków.

Gdy skąpiec odszedł, malarz dalejże co żywo do pracy. Chwyta z pamięci charakterystyczne rysy modelu. Nazajutrz po tém odeśłał portret uderzający podobieństwem.

Wielkie było zdziwienie artysty, gdy posłaniec wyprawiony przez niego, odniósł napowrót portret z listem notaryusza.

„Proszę nie żartować—pisze skąpiec. Postąpiłeś pan ze mną, jakbym nie godzien był kilku posiedzeń. Chciałem mieć mój własny portret, a oto przysyłasz mi pan coś, bez żadnego związku z moją osobą. Weźże sobie to malowidło. Umowa zerwana między nami.”

Rozgniewany malarz chwyta znowu za pędzel; rysy pozostawia nietknięte, zmienia tylko postawę modelu; zacierą księgi i inne akcesorya; pokój notaryusza zamienia w ciemną i ciasną celę. Do ram przybija tabliczkę z napisem: „Uwięziony za długi.” Odwozi portret do kupca handlującego obrazami; każe pomieścić w oknie swoje dzieło.

Nazajutrz tłumy defilowały koło sklepu. Cała Bruksela wybuchła śmiechem na widok „Uwięzionego za długi” Harpagona.

Słyszcy to notaryusz: pędzi co tchu do pracowni artysty.

— Jakto?—woła z oburzeniem—pan śmiesz wystawiać mój portret na pośmiewisko całego miasta?

— Pański portret?—zagadnie chłodno malarz.

— Tak jest; podobny do mnie jakby dwie krople wody! wytoczę proces: drogo to pan przypłacisz...

— Mam przecież pański list—odrzeczce artysta—tam czarno na białém dowiedziono, że ten obraz nie ma żadnego związku z jego oso-

bą. Odesłałeś mi pan to malowidło: miałem prawo przerobić je i wystawić na widok publiczny.

Po długich targach i namysłach ze strony skąpca, stanęło na tém, że wyliczył artyście 30,000 franków. Odebrał obraz, pociął go na kawałki.

Wiertz odłączył od sumy 3,000 fr. jako umówione honorarium; 27,000 odesłał do kasy ubogich.

Nie wiemy czy Jacquet tak samo postąpi z sumą, jaką otrzyma od Lippmana.

Inny proces, którym zajmował się niedawno cały Paryż, jeśli pokazuje drażliwość, to już nie ze strony artystów ani literatów; ale spokojnych ludzi dbających o cześć imienia swego. Mówimy tu o sprawie adwokata Duverdy przeciwko Zoli, sprawie, której wystąpienie u kraktek akademika Rousse, jednego z pierwszych prawników, szczególne nadało znaczenie. Wystąpił on w obronie Duverdego.

Rousse opowiada przed sądem, jak kolega jego adwokat Duverdy, rzuciwszy okiem na dziennik „Gaulois” i drukowaną w odcinku powieść Zoli p. t.: „Pot Bouille,” wyczytał w niej własne swoje nazwisko. To nazwisko nosi w powieści prawnik zamieszkały przy ulicy Choiseuil, o dwa kroki od miejsca gdzie mieszka prawdziwy p. Duverdy. Zbliżenie biło w oczy.

Zostawmy na boku sądowe wywody, a z obrony p. Rousse weźmy tylko czysto literacką stronę. Ostra krytyka wyrzeczona przed trybunatem przez członka Akademii, zbyt wielką ma doniosłość, abyśmy ją przemilczeli mieli w Kronice naszej.

„Jeśli jest powieściopisarz—mówi p. Rousse—z którym niebezpiecznie spotkać się w drodze, którego pomysły groźne są dla osób wyprowadzonych na widownię, to niewątpliwie p. Zola, nikt temu nie zaprzeczy. Pan Zola bowiem nie patrzy na ludzi a nawet na kobiety ze strony pięknej a uczciwej, nie dostrzega w nich téj właśnie miłej a uczciwej strony, z jakiej wolno wszystkim poglądać na nie.

„Rumieniec okryłyby nam czoło, gdyby prawdą być mogły portrety nakreślone piórem p. Zoli, a brane jak mówi, z tego napół zgniętego mieszczaństwa, w którym gnieźdzą się wszelkie zbrodnie, wyległe na śmietnikach paryżkich. Osoby p. Zoli to nie portrety brane z rzeczywistych modelów, ale bezecne ich karykatury!

„W ohydny garnku swoim, (Pot bouille), ciągnie dalej mówca, p. Zola zamierzył pomieścić cały szereg obrzydliwych typów; jakoż dotrzymał słowa. Nigdzie nie dopatrzeć postaci jaśniejszej, naznaczonej choćby drobniuchną cechą idealizmu. „Assomoir” był szpetnym obrazem występków klasy robotniczej; „Nana” wyobraża kobietę w stanie najbezpieczniejszego poniżenia; „Pot bouille” ma dać poznać zamożne mieszczaństwo, zgniłe do gruntu, przysłonięte nazewnątrz obłudnym pozorem uczciwości. Aby wydobyć na jaw te wszystkie szkarady, pan Zola obrał na to dom położony w najwytworniejszej części Paryża,

przy ulicy Choiseuil. Ten dom rozmyka na oścież przed czytelnikiem, pokazuje mu kolejno salony, alkowy lokatorów, kuchnie, kurymarze, kryjówki i poddasza. Otwiera wszystkie zamki, podnosi wszystkie zasłony. Wykrywa cynicznie zmyślone przez siebie tajemnice."

Przytoczywszy kilka scen, których powtarzać tu nie będziemy, p. Rousse woła w najwyższym oburzeniu:

"Nie rozumiem jakim sposobem, człowiek z tak niezaprzeczoną talentem jak pan Zola, mógł przyjść do takiego poniżenia i upadku, mógł tak dalece zbrudzić pióro i duszę swoją, wymyślając i opisując podobne obrzydliwości!"

Łatwo pojąć jak to wystąpienie prawnika, który wymową doku-pił się palm akademickich, oburzyło do żywego zapalonych zwolenników Zoli. Dalejże więc chłostać tysiącem obelżywych pocisków naukową ciałą, które niedawno Wiktor Hugo nazwał nieśmiertelną oślar-nią. Jeden z tych zagorzalców woła z uniesieniem: „w koronie Zoli brakło najcenniejszego klejnotu; otrzymał go nakoniec: tym klejno-tem policzek wymierzony przez Akademią!... dziś tryumf mistrza zu-pełny; nic go już podkopać nie zdoła!"

Jakkolwiekbaż, trybunał inaczéj rzecz zrozumiał. Wyrokiem jego Zola zmuszony był usunąć nazwisko Duverdy. Gdyby nie uczyni tego, musiałby płacić codziennie sto franków pokrzywdzonemu.

Jakoż w odcinku „Gaulois," Duverdy zmienił się na p. des Trois Etoiles. Nie dosyć na tém, w kilka dni Zola odbiera nową reklamację od p. Vobra, którego homonym gra téż rolę w ohydnej powieści. Autor ustępuje bez oporu, usuwa nazwę Vobra, mieni go Sans Nom (Bezimiennym). Powstaje ztąd wrzawa dziennikarska; zdania ścierają się, sypią koncepta; szeregi najśmieszniejszych imion, jakich nikt żywy nosić nie może, zapełniają kolumny pism humorystycznych.

Zola tymczasem, odbiera listy po listach. Trzej panowie Josse rand dopominają się aby nazwisko ich usunięte zostało z dawniejszej jakiegó powieści; pan Mouret, którego homonym występuje oddawna, w dziesięciotomowej seryi romansów, powtórzonych w dwudzie-stu wydaniach, surowo zagraża procesem. Łatwo pojąć gniew Zoli. Zniecierpliwiony, pisze list otwarty do redakcyi „Gaulois:" „Jeśli ustąpię, mówi, to chyba przymuszony wyrokiem trybunału. Niech nam jasno powiedzą czego chcą ci panowie. To zamach na powieść współ-czesną. Autorom pozostaje tylko odwołać się do Izb, aby ustanowiły jakieś formalne prawo."

Skoro już mówimy o Zoli, wspomnijmy tu świeżo wydany jego zyciorys, nakreślony przez Pawła Alexis, jednego z najzariwszych jego przyjaciół i zwolenników. Biograf rozpoczyna rzecz ab ovo, podejmuje bohatera swego od kolébki; głębiéj nawet cofa się w przeszłość; przypomina rodowe tradycye, których szczęśliwy zbieg miał się odbić w geniuszu uprzywilejowanego dziecka wieku. Przodkowie jego po kądzieli, pochodzili ze krwi francuzkiéj; dziadek po mieczu miał w swych

żyłach krew starych Rzymian, babka była Greczynką. Urodził się w Paryżu w r. 1840, ale pierwsze lata spędził w słonecznej Prowancyi, rodzinnej ziemi ojca.

W pierwszych latach dziecka uderza nas szczegół bardzo charakterystyczny. Miał on wielką trudność w wymawianiu twardych zgłosek; usilne starania rodziców żadnego nie przynosiły skutku. Potrzeba było gwałtownego wzruszenia, aby złamać tę fizyczną zaporę. Otóż dnia jednego, pięcioletni chłopiec wpada w gniew i z ust jego niesfornych dotąd, wybiega wyraz: „cochon.” Słyszysz to uszczęśliwiony ojciec, dobywa pięciofrankówkę, rzuca ją tryumfalnie synowi.

Szczegół ten, powtórzony przez wielbiciela, stał się łakomym kąskiem dla krytyków przeciwnego obozu. „In hoc verbo vinces! woła jeden z nich, wyborny symbol! znamię predestynacyi!” Pięciofrankówka przyniosła szczęście Zolil! ileż-to innych miało się potoczyć do rąk jego za wyrazy stokroć bezpieczniejsze od nazwy niechlujnego zwierza.

Widzimy potem chłopca na ławie szkolnej to w Prowancyi, to w Liceum paryżkiem, to nakoniec w Sorbonie. Leniwy i niezgrabny, przy egzaminach otrzymuje gałki czarne, nie może dobić się bakaloreatu. Któż temu winien? Nie uczeń, ale pedanci szkolni, odpowiada biograf.

Nadeszły lata prób i nędzy. Zola pracować musi na kęs chleba. Walczy uporczywie, wydobywa z siebie energią godną podziwienia i godną lepszej sprawy. Dziennikarze, mianowicie Villemessant, odgadli wreszcie jego talent, podali mu bęben i cymbałki. Ośmielony Zola, nuż walić w osłą skórę i hałaśliwą wrzawą ściągać prenumeratorów. Ta metoda przypadła do smaku apatycznej i chciwej wrażeń publiczności. Zola trzyma jęj się wiernie w głośnych powieściach swoich; pociągnął dziś za sobą masę, utworzył nową szkołę.

Te walki i tryumfy opisuje z uniesieniem p. Alexis, sypiąc pełną ręką kadzidło na cześć bożyszczu swego. W końcu dziełka dodaje wiersze, kreślone ręką Zoli, jeszcze na ławie szkolnej. Są to cyniczne obrazy, naśladowane z Musseta, lecz pozbawione całkiem wdzięku poetycznego i tej wytwornej formy, której Musset zawdzięcza jedynie swoją wziętość.

Procesa literacko-artystyczne są dziś na porządku dziennym: wspomnieliśmy już o trzech, a w miarę, jak piszemy, trzy nowe pojawiły się na paryżkim widnokręgu. Pobudką do nich prawo własności w rzeczach inteligencji, niedostatecznie jeszcze określone. Jeden z tych procesów, bliżej nas obchodzący, zmuszony będzie zapewne wytoczyć nasz znakomity powieściopisarz T. Jeż (Miłkowski), przeciw literatowi angielskiemu p. Oxley. Ten ostatni nabył od Jeża prawo do przekładu pięknej powieści „Uskoki,” która, ze względu na dzisiejszy stan Bośni i Hercegowiny, tém większego nabiera znaczenia.

Otóż w tych dniach właśnie, p. Oxley przysłała autorowi wydrukowane dzieło. Jakież zdziwienie Jeża, gdy na okładce widzi tytuł:

„Anuncyata Grimani by T. Louis Oxley.” Imię polskiego autora całkiem pominięte, powieść dana jako oryginalny utwór.

W przedmowie p. Oxley przyznaje, że wysnuł wątek z powieści historycznej pana Miłkowskiego p. t. „Uskoki.” Pseudonim Jeża, pomija milczeniem, a wiadomo przecie, że nasz autor znany jedynie w literaturze pod tą przybraną nazwą.

„W „Anunziacie Grimani,” mówi Oxley, odstąpiłem jak mogłem najmniej od oryginalnej kroniki. Gdzie widziałem zbytek szczegółów (too redondant), użyłem nożyc, gdzie zaś czułem, że myśli i uczucia niektórych osób potrzebują rozwinięcia, tam rozszerzyłem koło ich działalnośći.”

P. Miłkowski ustąpił prawa do przekładu, nie zrzekł się jednak praw ojcowskich: „Uskoki” są dziećmi jego ducha; nikomu niewolno krajać ich, ani amplifikować.

Taki sposób przyswajania sobie cudzych utworów, bardzo dziś upowszechniony w Anglii. Wymyślono tam na to osobny wyraz *Adoption*. Teatr w Londynie przepełniony takimi adoptacyami komedyi, wodewilów francuzkich, w których Paryżanki w stroju i z nazwiskiem angielskiem najpocieszniej wyglądają. Kongres literacki, odbyty roku zeszłego w Londynie, usiłował położyć koniec tym nadużyciom, ale decyzye kongresu nie nabyły dotąd mocy prawa.

Mówiąc o „Uskokach,” dodajmy, że ta powieść ukazała się niedawno w języku francuzkim, przełożona świetnym piórem p. Antoniny Miłkowskiej, córki autora. Rozgłos, jaki ta powieść znalazła we Francyi, skłonił p. Oxley do przyswojenia jęj literaturze angielskiej.

Jeśli tłumacze dopuszczają się niekiedy nadużycia, to z drugiej strony autorowie, a szczególnie wydawcy, wpadają często w przeciwną ostateczność. Więzy, narzucane przez nich, świadczą, jak dalece myśl ludzka stała się dziś towarem, literatura i sztuka przedmiotem handlu, prostą spekulacją.

Od lat dziesięciu, pani Amelia Ernst, obdarzona w wysokim stopniu talentem deklamacyi, miewała publiczne odczyty w Paryżu. Był to wyborny sposób popularyzowania wielkich poetów, prelegentka bowiem, poprzedzając rzecz krótkim przemówieniem, dawała z kolei poznać najcenniejsze ustępy z Lamartina, Musseta, Wiktora Hugo i w. i. Tęj zimy pani Ernst objeżdża w tymże celu znaczniejsze miasta francuzkie. Otóż więc Towarzystwo autorów i wydawców, wytoczyło jęj proces przed trybunałem w Lille. Zdaniem Towarzystwa, potrzeba mieć od autorów formalne upoważnienie na publiczne odczyty ich utworów, odwołano się zatem do praw, zabraniających wszelkiego rodzaju reprodukcji.

Pani Ernst broniła się najsluszniej, że dając poznać piękne ustępy z poetów, wyrabia smak powszechny, rozbudza zamiłowanie literatury, a tém samém zachęca publiczność do nabywania książek. Trybunał w Lille uwzględnił tę obronę, co więcj skazał Towarzystwo au-

torów, na zapłacenie 500 franków oskarżonej, za przeszkody, jakie jój stawiano, i ztąd wynikającą stratę czasu.

Inaczej autorowie pojowali rzecz w początkach wieku tego. Klementyna z Tańskich Hofmanowa pisze w pamiętnikach, z jaką radością ujrzała tajemnie dokonany przedruk „Pamiętki po dobrej matce,” mniej zyskam pieniędzy, dodaje, ale zato książka moja bardziej się upowszechni! Dawniej jeszcze poeta Lemercier, wszystko eo zapracował, spieszenie oddawał biędnym, w obawie, aby zamieniając na pieniąż utwory myśli i wyobraźni, nie posunąć się kiedyś do myślenia dla zysku. Lemercier tak mówił w pierwszych latach wieku XIX-go. Nie miałe słuszności p. Michał Żmigrodzki, utrzymując, że ten wiek u schyłku stał się wielkim bankrutem!

Świat muzyczny ma także swój proces. Wiadomo, że impresario upoważniony przez Wagnera, zamierza na wiosnę rozpocząć objazd stolic europejskich, z gronem niemieckich śpiewaków, i przedstawiać najcelniejsze opery mistrza. Otóż ów impresario wytoczył proces dyrektorowi Paryżkiego teatru „Chateau d'Eau,” gdzie orkiestra wykonywa na porankach muzycznych, partycyą z pierwszego aktu „Lohengrina.” Sprawa toczy się jeszcze, mimo to muzyka Wagnera nie umilkła w Paryżu, przeciwnie nawet, ściąga coraz to liczniejsze tłumy słuchaczy. Ucho Paryżan widocznie do niej nawykło; czas złagodził nieco dawne uprzedzenia, sztuka odniosła tryumf. Jakkolwiekbądź zdaje się, że wędrowna opera niemiecka pominie Paryż w swój peregrynacy; język niemiecki zanadto wstrętny Francuzom, pamięć krzywd zanadto jeszcze świeża, aby w razie ukazania się Niemców na scenie, obejść się mogło bez jakiego skandalu! Wielbiciele nawet geniuszu Wagnera, pochylając czoło przed kompozytorem, nienawidzą jego osobistości.

Nienawiść to wzajemna. Ryszard Wagner trzykrotnie przebywał w Paryżu, a każdy pobyt był zawsze dla niego powodem nowych udręczeń. Pierwszy raz uciekł tu prosto z barykad drezdeńskich w r. 1848, kiedy wojska pruskie, na wezwanie króla saskiego, przywróciły w mieście porządek. Nieznany wówczas kompozytor, żył tu w ostatniej nędzy. Aby zarobić na kęs chleba, przerabiał partycye drugih na fortepian.

W jedenaście lat potóm, r. 1859, Wagner, otoczony już aureolą sławy, obsypany oklaskami, twórca „Lohengrina,” świadomy własnego geniuszu, przybywa do Paryża, z nadzieją najświetniejszych tryumfów. Najmuje salę w operze włoskiej, zgromadza orkiestrę, sam staje przed pulpitem, bierze na siebie dyrekcją. Występuje wreszcie z pierwszym aktem Lohengrina... okropny zawód! Publiczność z lodowatym chłodem przyjmuje arcydzieło. Krytyka milczy lub zbywa rzecz kilku ogólnikami: przyznaje Wagnerowi niejaki talent, podnosi tu i owdzie, miłsze dla ucha dźwięki, zabłąkane wśród chaotycznego zamętu. Pierwszy z ówczesnych krytyków Fiorentino, czepia się nawet osobistości

kompozytora. „Dwie wróżki, mówi on, stanęły nad jego kołyską: wróżka harmonii dała mu szerokie czoło; wróżka melodyi, przewidując krzywdę, jaką to dziecko ma jć kiedyś wyrządzić, siadła mu na twarzy i spłaszczyła nos szpetnie.”

Niesmaczny ten dowcip, powtórzyły nazajutrz wszystkie dzienniki; Wagner stał się przedmiotem pośmiewiska. Wściekły z gniewu, zadłużony, opuszcza Paryż, nie zrywa z nim jednak ostatecznie: bądź cobądź on go zmusi do oklasków, upokorzy przyszłym tryumfem. Jakoż w lat kilka później, występuje w operze z Tanhäuserem. Otóż i nowy, straszliwszy jeszcze zawód. Paryż wygwizdał arcydzieło, z większym wstydem dla siebie, niż dla genialnego kompozytora. Pobudką do skandalicznej manifestacji, była szczególnień niechęć do cesarstwa, pod którego opieką wystąpił mistrz niemiecki.

Wagner nie przebaczył Paryżanom: ukrył pałacy jad w głębi serca; aby go wyrzucić, czekał tylko sposobnej chwili. Jakoż, natychmiast po klęskach Francji, wystąpił z ohydny pamfletem, który przedstawiły wszystkie sceny niemieckie od Berlina do Renu.

Paryż nie przepomniał tćj zniewagi; niebezpiecznie budzić lwa uspięnego; rozumiał to i *impresario*, obdarzony monopolem Wagnera, na przedstawianie jego oper w stolicach europejskich; pominął Paryż, udał się prosto do Londynu.

W przyszłym miesiącu „Her Majesty Theatre” rozpoczyna seryą przedstawień wielkiego dramatu muzycznego: „Der Nibelungen Ring.” Całość odegrana będzie cztery razy. Każde przedstawienie zajmie cztery wieczory, jeden po drugim. Niewiadomo dotąd, czy Wagner zechce sam dyrygować muzyką; w każdym razie ma wziąć udział w ogólnych próbach. Artyści sami Niemcy, śpiewać będą w niemieckim języku. Tak kostiumy, jak i dekoracye zostaną przywiezione z Niemiec. Cena łoży na jedną seryą oznaczona 1,200 franków, krzesło 175; miejsca mogą być tylko zajmowane na wszystkie razem przedstawienia. Nie braknie jednak widzów między milionerami angielskimi. Paryż nie będzie na tych godach: garstka zamożnych dyletantów lub krytyków muzycznych pośpieszy niewątpliwie za cieśnią, ale opera niemiecka nie ukaże się zapewne na deskach żadnego teatru paryzkiego.

Wyszło w tych czasach z druku ważne dla historii dzieło p. *Alhier Vandal* p. t. „Ludwik XV i cesarzowa Elżbieta.” Autor tego historycznego studium, spożytkował w nićm dokumenta, z archiwów ministerjum spraw zagranicznych, niedawno dopięro otwartych dla publiczności. Jak sam tytuł pokazuje, idzie tu o zawarcie przymierza w wieku zeszytym, między Francją a Rosją, przeciwko Fryderykowi II. Wiadomo, że przymierze to niedoszło do skutku. Pilnie autor bada i jasno wykazuje powody tego zerwania. Wyprowadza ztąd wynik, że Francya w żadnej epoce dziejów swoich nie miała prawa obojętnie patrzeć na zagadnienia wstrząsające północą i wschodem Europy; że od

polityki, przyjętej przez nią w tych pytaniach, zależy częstokroć utrzymanie lub upadek jej wpływu na sprawy europejskie.

Z wielkiem zamięłowaniem autor przetrząsa stare archiwa. Nie ma dla niego większej uciechy, jak mówi sam, nad rozczytywanie się „w tych pożółkłych i zatęchłych stronicach, z których myśl wieku wytryska w całości, pełna życia.” To zamięłowanie odczuwa odrazu czytelnik. Vandal żywemi barwy maluje obyczaję dworów z wieku XVIII i wydatnie kreśli rysy ówczesnego społeczeństwa.

Nie potrzebujemy dodawać, o ile to dzieło, wysnute z ukrytych dotąd archiwów, ważnem jest dopełnieniem dziejów naszych z tej, niezbyt odległej lecz niedosyć znaniej epoki.

Znów śmierć poczęła grasować między akademikami. Niedawno umarł Karol Blanc, znakomity profesor estetyki w kolegium Francuzkiem; w kilka miesięcy po nim, zakończył życie August Barbier, którego satyry (Jambes) znalazły ogromny rozgłos po rewolucyi lipcowej.

Poeta gradem palących słów, sypnął w oczy ludziom ówczesnym, poruszył do gruntu ich sumienia. Po wygnaniu Burbonów i odsunięciu legitymistów z posad, otworzyły się szranki, dla chciwego zysku i władzy tłumu. Chmara kandydatów na opróżnione miejsca, zalewała stolicę, niby wezbrana powódź. Barbier schłostał ich ostrą satyrą pod tytułem: „La Curée,” żerowisko. Porównywa w niej tę cizbę, do gromady zgłodniałych psów, po dokonanych łowach. Bez litości szczydzi z tych bulwarowych dandysów, którzy, dopóki wrzała uliczna walka i sypały się kule, chronili się po buduarach, a teraz wyciągają ręce po zdobycz, z krzykiem: Vive la liberté.

„Wolność, woła on, to nie wyróżowana i wybielona Markiza z arystokratycznego przedmieścia, to krzepka mieszcza, ogorzała na słońcu, z głosem donośnym, z piersią potężną, zdolną wykarmić liczną i zdrową dźwiatwę!”

Za tą satyrą sypnął się cały szereg poematów, równych jej zapętem i niezwykłą potęgą słowa. Jednym z nich, poeta godnie uczcił Warszawę.

Imię Barbiera, wczoraj jeszcze nieznanne, przebiegało z ust do ust. Podczas gdy schłostani, powtarzali je z gniewem, ogół stawiał poetę obok słynnego już Wiktora Hugo.

Po tych pierwszych tryumfach, poeta udał się w podróż za Alpy. Pod czarem włoskiego nieba wyśpiewał poemat „Il Pianto,” dziki, namiętny, pełen siły. Porównywa w nim Włochy do Juljety, złożonej do grobu i zmartwychwstałej; przez mgłę przyszłości widzi ojczyznę sztuk wolną i odrodzoną.

Dla psychologów, którzy szukają harmonijnego związku, między osobistością poety a jego utworami, Barbier trudną był do rozwiązania zagadką. Ten zawołany szermierz wolności, nie przypominał postawą Spartakusa, ani żadnego z atletycznych gladyatorów. Był to człowiek niskiego wzrostu, skromny, cichy, nieśmiały, zamknięty w sobie, nie

rozpraszający się na zewnątrz. Syn znakomitej matki, biegłej w władaniu pędzlem, odziedziczył po niej szczerą pobożność. Z myślą o dobrej matce, odmawiał co dzień modlitwy, których go dzieckiem nauczyła; z myślą o niej spełniał wiernie obowiązki religijne, z myślą o niej zwiedzał wystawy sztuk pięknych, przyglądał się pilnie, tak rzeźbom jak obrazom. Rozmiłowany w sztuce, szukał w niej, po wczesnym skonie matki, tych duchowych uciech, jakich życie samotne dostarczyć mu nie mogło. Pobyt w Rzymie i Florencyi, obznajmił go z arcydziełami słynnych mistrzów i rozwinął w nim wysoko poczucie artystyczne.

Ogledny w zawiązywaniu ściślejszych związków, kilku zaledwie przyjaciół liczył w ciągu długiego życia. Do tych należał rzewny poeta bretoński Briseux, uczony St. René Taillandier, słynny kompozytor Berlioz, równie jak on zamiętany w życiu wewnętrznym. Śmierć tych przyjaciół osamotniła Barbiera i ostatnie jego dni głęboką zaprawiała tęsknotą.

Był to zacny człowiek w całym znaczeniu słowa. Przed laty dwunastu, podczas oblężenia Paryża, mimo lat z górą sześćdziesięciu, przywdział mundur gwardyi narodowej, pełnił przykładowie służbę. Gwaty komuny, głębokim przejęty go smutkiem, nie opuścił jednak Paryża. W końcu marca, oddział komunardów, napadł go w domu, groźnie zażądał broni. Surowa postawa poety, zmieszała napastników: odeszli z niczem. Barbier nie oddał im strzelby, z którą ojciec jego w roku 1815 walczył na barykadach w Montmartre, przeciwko wojskom sprzymierzonym.

Oprócz „Jamb,” którym poeta głównie zawdzięcza sławę, wydał on wiele poetycznych utworów niezaprzeczonej wartości. Podczas pobytu w Londynie, wyśpiewał smętny poemat p. t. „Łazarz;” maluje w nim silnemi barwy nędzę proletaryatu angielskiego. Obraz górników w Newcastle skreślony po mistrzowsku. W zbiorze bohaterskich poematów p. t.: „Rimes heroiques,” opiewa poeta wielkich ludzi różnych narodowości. Jednym poematem uczczony Krzysztof Kolumb, innym Tadeusz Kościuszko.

Oprócz tego, napisał Barbier piękny liryczny dramat: „Benvenuto Cellini” do opery Berlioza. Tłómaczył z Szekspira tragedya: „Juliusz Cezar,” z Coleridge’a, słynny poemat: „Biędny Majtek.”

Wszystkie te prace otworzyły mu drzwi akademii Francuzkiéj w r. 1870.

Na kilka tygodni przed śmiercią poety, ukazał się zbiór licznych pieśni pod tytułem: „Chez les poètes.” Są to przekłady i naśladowania z rozmaitych autorów, tak wschodnich jak zachodnich, tak starożytnych jak współczesnych. „Ilekroć, mówi Barbier, jakiś ustęp poetyczny zachwycił mnie lub poruszył, nie mogłem oprzeć się przyjemności, jaką sprawiało mi przełożenie go na nasz język. Jedne z tych urywków, tłómaczyłem wprost z oryginału, z innych bratem tylko

myśl główną, usiłując, o ile można było zbliżyć się do formy oryginalnej." Tym sposobem zebrała się piękna równianka, upleciona z kwiatów wyrosłych, to pod słońcem Hellady, to na mglistych brzegach Albionu, to w cieniu wzgórz nadreńskich, to u podnóża Himalaj, nawet za murem chińskim.

Do tego wieńca wplótł poeta kilka najpiękniejszych kwiatów naszych. Sonet Mickiewicza „Burza” ślicznie wystąpił w znakomitym przekładzie. Z równą siłą przełożony „Chorał” Kornela Ujejskiego. Zdziwi się tylko nasz galicyjski poeta, gdy obok nazwiska przekształconego na A y u j e s k i, wyczyta, że poległ już przed laty dwudziestu.

Z POD WAWELU.

Krakowski karnawał.—Bal kostiumowy koła artystyczno-literackiego.—Koncerty: Joachima i Bonawitza, Bülowa, panny Sulkowskićj.—Koncert i wieczorki Towarzystwa Muzycznego.—Teatr krakowski; sprawa jego zamknięcia.—Prowizoryczny przy ulicy Wolskićj.—Komedia V. Bersezio: „Kłopoty p. Travetti.“—B. Czerwińskiego „Niewolnik.“—J. I. Kraszewskiego i K. Żalewskiego „Rodzina“.—Inne sztuki.—Poranki muzykalne.—Odczyt J. Horaina.—Wieczorek koła artystyczno-literackiego.—Wieczorki środowe, jak się odbywają.—Koncerty i przedstawienia teatralne w czasie postu na cele dobroczynne.—Odczyty urządane przez młodzież akademicką, na dochód swych instytucyi i bibliotek: dr. Izidor hr. Dzieduszycki (O patriotyzmie w Polsce), Stan. hr. Tarnowski (O Rzeczyposp. babińskićj), Edw. Krzymuski (O odpowiedzialności karnćj zwierząt), J. Rostański (O jesieni i jćj owocach), Nowicki (O znaczeniu wód naszych dla bogactwa krajowego).—Przegląd literacki i artystyczny p. K. Bartoszewicza. Pawła Popiela (tłóm. Iliady Homera), wyd. 2-gie; Alfr. Szczepański (Wybór liryki greckićj).—Dzienniki krakowskie: „Gazeta Krakowska.“ „Reforma.“ „Czas.“—Czasopisma: „Przegląd polski.“ „Przewodnik bibliograficzny.“—Brak pisma dla klas średnich.—„Świat ilustrowany“ Bensingera z Wiednia.—„Przegląd akademicki.“—Wydawnictwo K. Bartoszewicza.—Książka prof. Szujskiego o Polakach i Rusinach w Galicyi.—P. Maryan Gorzkowski o Matejce.—Gładyator Weleńskiego.—Z wystawy obrazów: Akwarele Juliana Fałata. Obrazy olejne: St. Rejchana, Ant. Kozakiewicza, S. Bienszada, Hernoisza, Papieskiego, Kleczyńskiego, Jasięńskiego, M. Dulębianki.—Wystawa obrazów dawnych w Sukiennicach.

I.

Z pewną obawą zabieramy się do korespondencyi z Krakusowego grodu, który słusznie, czy niesłusznie używa opinii majestatycznego grobu, przy którym można się tylko serdecznie wymodlić. Bieżący zaś wiek XIX-ty „szybkonogi” i „chichotliwy” (?!), nie umie lub nie chce cenić sprawiedliwie tego szczytnego nastroju duszy; ale ugania się tylko za tćm, co realne przedstawia korzyści, lub co pieprzną zaprawą, drażniąc zmysły, ma skutecznićj pobudzać umysł do pozytywistycznćj obserwacyi. Rzuciwszy jednak okiem na miniony już 1-szy

kwartał roku bieżącego, gdzie ruch karnawałowy mógłby interesować jednych, a kontemplacje wielkopostne mogłyby przyjemnie oddziaływać na usposobienie drugich, opowiem wam, życzliwi czytelnicy, cośmy przez ten kwartał robili w tej metropolii pamiątek naszych, gdzie z każdego prawie kamienia przemawiać się zdaje przeszłość wszystkim droga, gdzie myśl płocha pierzcha, a dusza na dziwne nastroja się toni. Jestże w tém ujemna, czy też może dodatnia strona Krakowa, nawet w porze karnawałowej?

Ale „czy znasz ty krakowskie zapusty?” A tegoroczne zapusty były wcale różne od wszystkich prawie swoich poprzedników. Po katastrofie w wiedeńskim Ringteatrze, spotęgowanej wrażeniem katastrofy w kościele św. Krzyża w Warszawie, nie wesoło przeszły święta Bożego Narodzenia i nie wesoło powitaliśmy rok nowy. Żałobny całun zawisł nad nami, gniotąca atmosfera nasiąkła echem grozy fatalnych wypadków, które cisnęły umysł i serce; nagie szkielety drzew, ogołconych z liści, a nie ubranych téj zimy białą śniegową oponą, sterczały w górę, jak opalone słupy lub ludzkich rąk piszczele. Jakby na dopełnienie miary zamknięto teatr, ze względu na bezpieczeństwo publiczne, dnia 5 stycznia, a wnet potem i salę balową hotelu Saskiego, w której się zwyczajnie większa część zabaw karnawałowych odbywa; zdawało się przeto, że rojenia i sny dziewczyczych główek, żądnych pierwszych balowych sukcesów, lub nowych zdobyczy, plany i kombinacje matek zawiodą wszelkie gorętsze oczekiwania. Symptomatem jawnym téj obawy, był też pierwszy wieczorek tańczący, urządzony dnia 9 stycznia, na dochód Towarzystwa św. Salomei, zamiast w saskiej, w reductowej sali. Tańczących było niewiele, dochód skąpy. Lecz reakcja nastąpić musiała. Im cięższy był smutek, tém więcej szaloną i żywą na jego gruzach wykwitła wesołość. Bal Towarzystwa strzeleckiego, który się odbył d. 21 stycznia w salach tego Towarzystwa, na dochód budowy nowego teatru, zgromadził już liczne grono uczestników, i wśród ogólnej ochoty, szczerości, przeważnie skromnych a gustownych toalet, w atmosferze nie przepełnionej koteryjnemi niesnaskami, ale tchnącej prawdziwem towarzyskiem ciepłem; bawiono się ochoczo do rana, i przysporzono sporo dochodu na cel zamierzony. Rozbudzona ochota nie rychło miała już spocząć. Bal na dochód pomnika A. Mickiewicza (25 stycznia), drugi wieczorek tańczący, na dochód Towarzystwa św. Salomei (30 stycznia), bal prawników, świetny pod każdym względem, z którego połową czystego dochodu wzbogacono fundusz pomnika Mickiewicza (1 lutego); bal na dochód ubogich, zostających pod opieką Sióstr Miłosierdzia na Kaźmierzu (6 lutego), bal akademicki (11 lutego), drugi bal Towarzystwa strzeleckiego (15 lutego), bal Towarzystwa opieki szpitalnej dla dzieci (20 lutego) i mnóstwo innych zabaw domowych, jest najlepszym dowodem, że bawiono się żywo i nadspodziewanie wesoło. Opuściliśmy jeszcze rozmyślnie bal kostiumowy koła artystyczno-literackiego, z którego połowę dochodu na pomnik Mickiewicza przeznaczono, ponieważ

chcemy o nim osobno pomówić. Już od jakiegoś czasu popadły u nas bale maskowe w dyskredyt i stały się tylko miejscem hałaśliwych niedzielnych zgromadzeń rzemieślników i służących. Tradycyjalny dowcip uleciał zupełnie i przeniósł się prawdopodobnie do Lwowa, gdzie nagle zaniepokojony płodzi, a raczej roni, niedowcipne „Różowe domino” i wcale nie Jowiszowy „Olimp,” śnać w podróży dosyć dalekiej zgubił barwne i drogie piórka. Otóż na jego miejsce poczęto u nas z powodzeniem wprowadzać bale kostiumowe, mające tę nad maskowymi wyższość, że biorą sobie za przedmiot strojenie się w historycznie prawdziwe ubiory różnych narodów i epok, nie zaniebując i narodowych. Jednym z najwspanialszych był zesztoroczny bal marszałkowski (ku uczczeniu marszałka krajowego d-ra M. Zybkiewicza), jego godnym towarzyszem był tegoroczny wspomniany bal kostiumowy. W gustownie udekorowanej sali Sukiennic, zgromadziło się około półtora tysiąca osób. Kiedy w poważnym pochodzie, ubrane w historyczne stroje pary przesunęły po sali, a wielu ciekawych tylko widzenia kostiumów, powoli się usuwać poczęło, rozpoczęła się swoim torem zwykła zabawa, która potrwała do rana. Wyniesiono z niej bardzo miłe wrażenia, i wspomnienia i nazwano ją słusznie królową wszystkich balów tegorocznych. Dochód czysty wynosi około 4,000 złotych reń. w. a., z którego połowa przypada funduszowi pomnika A. Mickiewicza.

Ale nie trzeba sądzić, jakoby w tych salach balowych, tylko Straussowskiego walca lub Wrońskiego mazurów rozlegały się dźwięki; znalazło się tu i na poważniejszą muzykę miejsce, dla koncertantów, których może nie rychło znowu Kraków będzie miał sposobność usłyszeć. Chcę mówić o koncertach Joachima i Bülowa.

Koncert Joachima i pianisty Bonawitza, inaugurował świetnie sezon muzyczny tego roku. Sala hotelu Saskiego zapełniła się dnia 3 stycznia tak, że nawet na estradzie ustawić musiano kilkanaście krzeseł, rzecz na koncertach w Krakowie niestychana. Bo téż samo imię Joachima, tego „króla skrzypków” nie tylko niemieckich, ale nawet europejskich, ma pod tym względem magiczną siłę; znawca, czy nieznanca, byle miłośnik muzyki, śpieszy, by go choć raz w życiu usłyszeć. Joachim rozpoczął koncert koncertem G-moll Brucha, następnie grał romans F-dur Beethovena i Sarabandę i Samburyn Leclaira. Podziwialiśmy w nim tę swobodę, z jaką wodził smyczkiem po dźwięcznych strunach, podziwialiśmy wyraz, jaki każdej kompozycji nadać umiał, ton i subtelne cieniowanie, posunięte do doskonałości. Ale dotąd przeważnie tylko podziwialiśmy. Dopiero po przegraniu tańców węgierskich Brahmsa we własnej transkrypcji z tą werwą i pieniącém się życiem, które im właściwe, zachwyił i oczarował zebraną publiczność. Grzmot oklasków zmusił koncertanta do powtórzenia części najcharakterystyczniejszej granego utworu. To samo wrażenie utrzymało się przy zakończającym wieczór koncercie Mendelsohna, jednym ze wspanialszych utworów tego mistrza.

O panu Bonawitzu, towarzyszącym Joachimowi, trzeba chyba tylko powiedzieć, co mu ogólnie przyznają, iż jest wybornym akompaniatorem. Z utworów, które sam na fortepianie wykonał, podnieść należy nokturn F-moll Chopina i tegoż nieśmiertelny polonez As-dur, grany tylko nieco zaszybkco.

Chociaż imię Bülowa, niemniej znane od Joachima, publiczność przecież krakowska nie zgromadziła się tak licznie w dniu 17 lutego, jak na poprzedni koncert. Przyczyny tego w tém przedewszystkiem szukać należy, że było czas ostateków karnawałowych (choćaż piątek), a nadto ceny wejścia, jak na Kraków, zawygórowane. Żeśmy nie wyszli pod wrażeniem takiego czaru, jak z koncertu Joachima, rzecz to naturalna, mająca swe źródło w różnicy samych instrumentów. Dwugodzinna przeszło prawie bezustannie gra na fortepianie, choćby takiego mistrza w swoim rodzaju, jak Bülow, musi znużyć słuchacza.

Niespodziewanie usłyszeliśmy już 18 stycznia koncert, młodzieżkiej pianistki, panny Sułkowskiej, uczennicy p. Schlözera, koncert, w którym wzięli udział pp. Singer (skrzypek) i Bylicki (pianista), w części zaś deklamacyjnej panna F. Stachowicz. Gdyby wolno było nazwać pannę Sułkowską jeszcze dzieckiem, moglibyśmy powiedzieć, że liczba „cudownych dzieci” znowu się powiększyła. Nadto ta siła i biegłość, tyle znacząca u pianistki, którą p. Sułkowska szczególnie w Mendelsohna „Rondo capricioso” i Webera „Perpetuum mobile” uwydatniła pamięć i pewność siebie, niezwykła w tym wieku, dozwalałaby się spodziewać świetnej dla tego talentu przyszłości, gdyby nie wygórowana ambicja i mimowolnie może w dziecku rozwinięte jeszcze poczucie własnej wartości i — wielkości, objawiane przez ignorowanie oklasków publiczności, wprawdzie nie tłumnie zgromadzonej, ale życzliwej. Brak też było grze biegłej i technicznie prawie doskonałej owego ciepła i uczucia, właściwego wiekowi starszemu, które zrozumienie i przyswojenie sobie utworu wywołuje u wykonawcy.

Nie próżnowało w tym czasie i Towarzystwo Muzyczne tutejsze, wegetujące dosyć pomyślnie pod egidą p. Niedzielskiego. Po koncercie (XI), danym d. 13 stycznia w sali reductów, którego część najważniejszą stanowił „Potop,” oratorium Saint-Saëusa na sola, chóry i orkiestrę, najwdzięczniejszą zaś udział ks. Marceliny Czartoryskiej, znanej i podobno ostatejniej z żyjących uczennic Chopina, urządziło też Towarzystwo 3 lutego wieczór muzykalny (IV) dla swych członków. Noskowskiego kwartet (op. 8), stanowiący piękny dowód talentu i wiedzy kompozytora, wykonano bez zarzutu; sola zaś na fortepian (Chopin Etuda C-moll, Żeleńskiego humoreska i Moszkowskiego walc), wykonane przez p. Bylickiego, stanowiły prawdziwą koronę wieczoru. Nowość nakoniec, jaką wprowadzono, zyskała wielką u publiczności przychylność. Oto p. Singer wyprowadził na estradę 12 swych uczniów z Towarzystwa, którzy unisono z towarzyszeniem fortepianu i harmonium, odegrali „Largo” Händla. W ogóle wyniesiono miłe wrażenie z całej

go wieczoru, urozmaiconego nadto deklamacyą art. dram. p. Wojdatowicza.

A przeto ani karnawał, ani obawa nieszczęść, ostatniemi wypadkami wywołana, nie zdołały publiczności powstrzymać od gromadnego zebrania się, jeżeli tylko miała nadzieję, że będzie po co. Jest ona bowiem nadzwyczajnie wyrachowaną i nie chce łatwo ponosić wydatków na przyjemności umysłowe, jeżeli pewnych i niechybnych nie przyniosą korzyści; jest nadto kapryśną i uległą prądom mody, czego najwięcej na sobie doświadcza teatr tutejszy.

Pod tym wpływem najrozmaitszych, a nie zawsze pomyślnych czynników, pozostając teatr nasz, nie przestał być przecież szkołą artystów dramatycznych. Wszystko prawie, czém się sceny polskie w Warszawie lub we Lwowie dziś poszczycić mogą, stawiało pierwsze kroki na tutejszych deskach, tu pierwsze powodzeń zbierało wieńce. Ale brak funduszu emerytalnego, zapewniającego artyście, co siły swe starał w służbie Melpomeny, choćby skromne utrzymanie na starość, był i jest głównym powodem, że poródszy w pióra artyści nasi, wędrują do innych miast lub prowincyi, gdzie im się korzystniejsze warunki bytu przedstawiają. Ztądto pochodzi, że ciągle z nowemi nazwiskami spotykamy się na afiszach teatru krakowskiego, że stronniczą krytyką miejscowego organu nie zbudowani, wcale nie ufamy artyście, któregośmy dobrze nie poznali. Ale niechno się zjawi artysta dawniej znany i powszechnie lubiany, wtedy natłok do kasy daje najlepszy dowód, o ile narzekania na obojętność publiczności dla teatru są uzasadnione.

Rozlepione na rogach ulic afisze czerwone, donosiły dnia 3 stycznia, że we czwartek, d. 5 t. m. daném będzie przedstawienie na korzyść ofiar ostatnich wypadków warszawskich. W przedstawieniu mieli wzięść udział p. Modrzejewska i p. Rychter; składać się ono miało z komedyi Fredry (ojca) „Pan Benet,” której rola tytułowa, jakby dla p. Rychtera stworzona, z 2-go aktu „Dalili” popisowej roli p. Modrzejewskiej, „Dwu bliźn” komedyi Fredry i sceny z Elżbietą z „Maryi Stuart” Schillera. Między aktami, miała odegrać muzyka wojskowa wyjątek ze „Stabat Mater” Rossiniego. Ceny miejsc były podwyższone, mimo to już we środę brakło biletów; przystawiono nawet kilka stołków, wszystko to było zamało. Już zaczynała się publiczność gromadzić, kiedy nagle zjawia się komisya rządowa i ze względów bezpieczeństwa publicznego, zamyka teatr. Wieść ta rozbiega się po całym mieście i wywołuje bardzo przykre wrażenie. Dlaczego zamknięto teatr, który nieraz już mieścił tyle w sobie gości, bez niebezpieczeństwa, i dlaczego zamknięto go właśnie przed tém przedstawieniem, czemu nie wcześniej lub później, darmo starano się pojąć. Podsuwano nawet rządowi polityczne w tym kroku pobudki, szukano sposobów usunięcia zakazu, wysłań deputacyą miasta do ministra spraw wewnętrznych, wszystko skończyło się na obietnicy, teatr został zamknięty. Artystem zapewniono pensye do 15 stycznia, poczem miała się rzecz stanowczo rozstrzygnąć. Zaczęły mimo to chodzić wieści, że wielu usu-

nięto, ale równocześnie wydobywała się na jaw myśl urządzenia gdzieś tymczasowego teatru. Wkrótce dzienniki miejscowe ogłosiły, że ks. Jabłonowska oddaje bezinteresownie budynek pusty, dawniej fabryki mebli giętych Kohna, znajdujący się przy ulicy Wolskiej. Urządzenie sali i sceny szło przyspieszonym krokiem i dnia 19 t. m. otwarto ten prowizoryczny teatr komedią W. Sardou: „Rozwiódźmy się” (Divorcés), rozwiązującą przynajmniej z pewnego punktu, węzeł gordyjski prawie, bo sprawę rozwodów, o której we Francji tyle rozprawiano.

Nie będę o tej sztuce szczegółowego dawał sprawozdania, jako o znaniej prawie powszechniej; muszę tylko podnieść grę p. Hofmanowej, której w tego rodzaju roli salonowej, nikt dotąd w Krakowie nie przewyższył.

Sezon benefisów otworzył p. Wojdałowicz, komedią Wiktora Bersezio p. t. „Kłopoty p. Travetti,” w której atoli ulubiony ten komik nie miał roli popisowej. Sztuka sama w sobie nie bez zalet, przedstawia z realistyczną prawdą stosunki urzędnika lombardzkiego, który w domu zawojowany przez żonę, w biurze wyzyskiwany przez kolegów, a traktowany z góry przez przełożonych, awansu doczekać nie może. Oszczerstwo, rzucone na jego żonę (drugą), dodaje mu energii do odparcia niecną insynuacji, ale go zarazem pozbawia urzędu. Piekarz, jego kolega dawny, a dziś nawet wierzyciel, ofiaruje mu u siebie miejsce sekretarza, z płacą wyższą od poprzedniej, urzędniczej. Pokonawszy dumę, Travetti, mimo powróconego mu urzędowego stanowiska, przyjmuje posadę sekretarza piekarskiego i widzi w tém koniec swych kłopotów. Mutatis mutandis dałoby się wiele z tego i do naszych (galicyjskich) przykroić stosunków; cała komedia atoli, pod względem artystycznym mało warta, więciej do farsy, niż do komedii zbliżona, niedługo w naszym utrzyma się repertuarze.

Los podobny spotka prawdopodobnie i jedną z nielicznych sztuk oryginalnych nowszych, przedstawioną na dochód p. R. Żelazowskiego, artystycznego dyrektora teatru, po odejściu p. Rychtera. Mówimy o „Niewolniku,” tragedyi w 4-ch aktach o 6-ciu odsłonach, Bolesława Czerwińskiego. Rzecz dzieje się w Sycylii, między r. 104 a 101 przed Chrystusem. Bohaterem głównym jest Atenion, niegdyś herszt rozbójników w Sycylii, dziś niewolnik Semproniusa, patrycyusza rzymskiego, zakochany w jego córce, Klaudyi i od niej nawzajem Kochany. Ulubieniec swego pana i okryty względami Klaudyi, pozwala sobie wiele, coby drugi ciężko odpokutować musiał, i sprawia nieświadomie, że przez niego wszystkim niewolnikom lżej i lepiej. Euporus, świeżo nabyty niewolnik, rzuca w jego duszę jad, który go wreszcie zabija; opowiada mu, że jest jego wujem, że znał jego matkę, nieszczęśliwą matkę, której oczy wydarto żywcem, za sprawą Klaudyi. Zemścić się, choćby nawet na ukochanej, staje się teraz hasłem Ateniona, w którym go utwierdza matka jego Partenope, żyjąca jeszcze na dworze Semproniusa. W nocy, po uczcie, wyprawionej przez gospodarza, dla przybyłego prokonsula Nerwy, z którego synem nawet Klaudyą zare-

czono, ma Atenion schadzkę z Klaudyą, a pocałunek, który od niej wymodlił, jest hasłem do ogólnego powstania niewolników. Straszne jest naigrawanie się ślepej Partenopy nad omdlałą Klaudyą. Rzymianie chronią się do obozu; Atenion staje się panem Sycylii i królem niewolników. Ale dawna miłość zmartwychwstaje, oziębłość do małżonki Gaji, jawnym tego dowodem. To też ta, zrozumiawszy przyczynę, sama sobie przecina pasmo żywota, aby Atenionowi nie być zawadą. Nerwa, w obozie Ateniona, zjawiwszy się skrycie i spotkawszy tam Hipoktenesa, sofistę, wziętego w niewolę, obiecuje mu złote góry, jeśli Ateniona skłoni do wypuszczenia Rzymian z matni. Hipoktenes, rozmawiając z Atenionem, zaszczebia w nim podejrzenie, że Euporus nie jest jego wujem, ani Partenope matką, że to wszystko zmyślane, w celu obudzenia energii w Atenionie i wywołania powstania. Opowiada mu o Klaudyi i wskazuje miejsce, gdzie się z nią może widzieć. Atenion się tam udaje, ale Euporus, podejrzliwy, odkrywa schadzkę, bierze ją za zdradę i przebija siostrzeńca, na którego trupie Klaudyą żyć sobie odbiera.

Oto szkic téj tragedyi napisanej białym wierszem, mającój dosyć życia dramatycznego; ale i wiele historyczno-psychicznych i scenicznych błędów. A najpierw, jakim sposobem mogła dumna patrycyszka rzymska zapomnieć się do tego stopnia, aby wchodzić w stosunki z niewolnikiem, który podług charakterystyki autora nie posiada żadnych wyższych przymiotów umysłu lub serca? Chyba że jego szerokie barki, które Sempronius Nerwie pokazuje, wywarły taki magiczny wpływ na tkliwą duszę Klaudyi. Dalej przyjmując nawet, że nie ma nic nowego pod słońcem, a więc że przedewszystkiém jedno zawsze jest w człowieku uczucie miłości, musimy przecież przyjąć, że ono się u każdej prawie jednostki objawia inaczej, choćby z drobnymi różnicami. To też gruchanie dwojga kochanków pod palmą w ostatniej schadzce, zwłaszcza po tyłu przejściach, po znieważeniu Klaudyi, gruchanie rzymianki z niewolników królem Antenionem, co pierwszy podniósł pochodnię powstania w imię zemsty na niej samej, gruchanie to nawet w obec wybiegu, że się nie czuje już rzymianką, bo Rzymianie nikczemni a z dawnéj rzymskiej cnoty tylko liche pozostały łachmany, wygląda na anachronizm. Podobnym anachronizmem chrześcijańskiego poświęcenia się dla męża, jest wprawdzie niechrześcijańskie samobójstwo Gai; ale samobójstwo wynikające z głębokiego przejęcia się świętością i nierozważnością związków małżeńskich, którego jak wiadomo, w Rzymie przedewszystkiém zaś, już w owym czasie nie było; tém mniej u niewolnicy. Stara, ślepa matka Ateniona, zbyt poetycznie usposobiona w opowiadaniu okropnéj sceny wydarcia jéj oczu. Tylko Euporus i Hipoktenes z prawdą oddani. Osobliwie ten drugi, sofista i przewodnik szkoły w Agrygencie, przejęty na wskroś zasadami Epikura, jest znakomitým wcieleniem filozofii utylitarnéj. Kiedy w akcie IV wychodząc z komnaty, gdzie podpisał sobie usnął; ale straszony marami i złemi przecuciami wstał, a napół trzeźwy, usiada przy pro-

gu i do księżycy w monologu się odzywa, słyszymy z ust jego jakby dosłowny Anakreonta wierszyk:

Pije ziemia czarna,
 Drzewa dęszcze piją
 Oceanu fale,
 Z chmur powietrznych żyją;
 Słońce pije morze,
 Księżyc pije słońce;
 Czemuż ja pić nie mam,
 Gdy gardło pragnące...? ¹⁾.

W ogóle znać, że autorowi świat starożytny nie obcy i że się gorliwie oddał studjom Szekspira. Ale nie odrazu Kraków zbudowano; gruntowniejsze studia i praktyka sceniczna, dadzą to, czego mu obecnie brakuje a przymioty już dzisiaj widoczne lepiej jeszcze uwydatnić potrafią.

Przedstawienie samo wypadło nie bez ujemnych stron już to w pojęciu ról, już też nawet w kostiumach. Publiczność nasza pojmująca teatr jako miejsce rozrywki a nie szkołę uczuć podnioslejszych i szlachetniejszych, nie zgromadziła się tak licznie jak na inne sztuki, osobliwie komedye, chociaż to był benefis p. Żelazowskiego.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad tą sztuką a to dlatego, że jest ona jedną z dwu oryginalnych w tym sezonie przedstawionych. Drugą była „Rodzina,” dramat w pięciu aktach przez J. I. Kraszewskiego i K. Zalewskiego, dany na benefis pani Hofmanowej. Ponieważ na kartach „Biblioteki Warszawskiej” czytelnicy już z tym utworem się poznali, nie chcę uprzedzać ich sądu szczegółową recenzją. O innych sztukach granych w tym czasie, nie wiele mamy do powiedzenia. Dwie z nich („Nabab” i „Paragraf 47”) są przeróbkami z powieści francuzkich Daudeta, trzecia „Porucznik fijołkowy” (Veilchenfresser) komedya w czterech aktach Mosera w przekładzie Zajączkowskiego, dana na benefis drugorzędnej artystki pani Baumanowej. Dziwna przeto panuje posucha na nowe utwory dramatyczne; wspominają o utworze Sewera p. t.: „Wielka polityka.” ale nie wiadomo jeszcze kiedy będzie przedstawionym. Natomiast postanowiła dyrekcya odświeżyć utwory W. Sardou. Dano więc 4 marca na benefis p. Szymańskiego „Wuja Sama;” 9 t. m. „Rabagasa” a 11 t. m. na dochód sympatycznej artystki panny F. Stachowiczówny „Pocziwych wieśniaków.”

Sprawę funduszu emerytalnego dla artystów dramatycznych, o której wyżej wspominałem, wzięli w ręce dwaj miłośnicy sztuki, pan Juliusz Mien, znany poeta francuzki i tłómacz Słowackiego, pan Zygmunt Cieszkowski. Za ich inicjatywą i staraniem, postanowiono urządzać dramatyczno-muzykalne poranki, z których dochód czysty złoży-

¹⁾ Przekład J. Szujskiego.

ny do kasy oszczędności, ma powoli tworzyć kapitał zakładowy. W poranku tym wzięli udział pp. Żeleński, Rychter, Wojdałowicz i Zenoni; panie Urbanowiczówna (była artystka teatru tutejszego), Stachowiczówna i Żelezińska. Odegrano sekstet Beethovena Es-dur (op. 20), p. Rychter deklamował z akompaniamentem fortepianu (p. Żeleński), p. Urbanowiczówna wygłosiła śliczny wierszyk „Za służbą” i odegrała ze współudziałem innych wspomnianych wyżej artystów i artystek komedijkę jednoaktową p. t.: „Siostrzyczka,” przełożoną z francuzkiego. Publiczność wyniosła z tego poranku odbytego o godzinie 3 po południu, bardzo miłe wrażenie.

Odczytów we właściwem tego słowa znaczeniu, nie było u nas podczas karnawału. Zanim atoli jeszcze na dobre karnawał się rozpoczął, urządził p. Julian Horain bawiący w naszém mieście, d. 6 stycznia odczyt, którego przedmiotem była humoreska p. t.: „Dobra żona—nie dobry mąż.” W odczycie tym wzięła udział i p. Modrzejewska, oddeklamowawszy kilka utworów poetycznych. Co do samego odczytu, trudno nam objawić jakiegokolwiek o nim zdanie, bo był on nawet dla bliższego kółka słuchaczy otaczających wieńcem estradę w sali Sukiennic równie niezrozumiały, jak i dla oddalonych. Wiek, osobliwie podeszły, ma swoje prawa, to prawda; ale powinien znać i swoje ułomności. Od prelegenta wymaga się przedewszystkiem wymowy jasnój i gładkiej. Najlepiej opracowany odczyt, wygłoszony słabo i niewyraźnie przejdzie bez wrażenia. Z całego odczytu uchwyciliśmy tylko konkluzją zawartą w tych słowach, że pszczoły wprawdzie żądła mają, ale zato miód dają; toż i zła żona nie jest nigdy absolutnie taką, i szczęście, które mężowi przynosi, powinno łagodzić wszelkie przykrości. Pani Modrzejewska deklamowała „Hagar na puszczy” wiersz K. Ujejskiego. Bez ujmy zasługom i wielkości artystki na scenie, musimy przecież wyznać, że deklamacya tego utworu wywarła na nas przykre wrażenie. Konwulsyjne zaciskanie zębów, stawianie oczu słupem, kurczowe zaciskanie pięści, może być w rzeczy samój wyrazem bezmiernój boleści, wyrazem trafnym i zyskującym uznanie; ale—na scenie. Deklamacya nie jest odegraniem roli, bo w takim razie musielibyśmy do deklamacyi i w odpowiednie ubrać się kostiumy. Tragiczność objawiona szarpaniem się i rzucaniem, wywołała w nas raczej politowanie nad stanem artystki, aniżeli współczucie cierpienia Hagar. Zato inne mniej tragiczne lub wcale nie tragiczne wierszyki jak wiersz Lenartowicza, Asnyka „Szkoła” i Anczyca „Drapieżne ptaszę,” były oddane z całym artyzmem odznaczającym panią Modrzejewską.

Dwa dni przed tém (d. 4 stycznia) przyjmowało u siebie p. Modrzejewską, p. Horaina i pp. Joachima i Bonawitza Koło artystyczno-literackie, urządzając uroczysty wieczorek w rocznicę swego powstania. A więc znowu p. Horain czytał zamiast zapowiedzianego „Figla pana Jerzego,” znaną humoreskę: „Rażony piorunem,” p. Modrzejewska deklamowała (przed swoim biustem ustawionym w salil) „Baśń tęczową” Asnyka i „Pożegnanie” Z. Krasińskiego, a muzycy miejsco-

wi, członkowie Koła z p. Niedzielskim na czele, grali i śpiewali na przemiany. Poczém nastąpiła druga ważniejsza część wieczoru—wspólna uczta. Trzeba bowiem wiedzieć, że ilekroć z jakiegokolwiek powodu wyjdzie od jednego z członków inicjatywa urządzenia uczty, wniosek znajduje niezawodnie poparcie. Jest znowu sposobność do wnoszenia toastów, puszczenia baniek patryotycznych i wzajemnej admiracji. A tymczasem traci się z oka cel główny Koła, któremu się konsekwentnie służyć powinno, jeżeli się ma w rzeczy samej, odpowiednio do statutu, naprawdę „rozbudzać życie towarzyskie między literatami i artystami, oraz popierać sztukę i literaturę.” Mamy wprawdzie lokal z czytelnią; ale nie mamy biblioteki, bo nawet nie wiemy w jakiej ilości znajdują się w Kole dary członków w książkach, lub roczniki czasopism. Z wydawnictw podjęto dotąd Koło tylko wydanie albumu rysunków i autografów na korzyść Zagrzebia pod tytułem: „Kraków—Zagrzebiowi,” z zabaw świetnym był tegoroczny bal kostiumowy, o którym wyżej uczyniliśmy wzmiankę, a który tylko stwierdza przekonanie, że Koło w tym kierunku rozwija energiczną działalność. O środowych wieczorkach dowiadujemy się tylko z oficjalnych doniesień w niejscowych dziennikach, podług których zawsze one się odbywają i zawsze są świetne. A tymczasem zaszedłszy do Koła, znajdujemy część obecnych członków w czytelni przy dziennikach, drugą w salonie na pogawędce, inną w jadalni przy szklaneczce. Przechodzimy z pokoju do pokoju, czekamy aż się rozpocznie czy to odczyt, czy deklamacya, czy gra na fortepianie, patrzymy na zegarek niespokojnie i pytamy sekretarza, bibliotekarza, gospodarza; żaden nie umie nam dać stanowczej odpowiedzi, tylko ogląda się za kimś, czy się nie zjawi i dobrowolnie wieczorku nie „zrobi.” Czasem rzeczywiście ktoś zagra; nie wielu wprawdzie ma słuchaczów; ale w sprawozdaniu będzie wymienionóm, że grał świetnie i nagrodzony został rzesistemi oklaskami, licznie jak zwykle zgromadzonych członków.

Jeżeli więc wieczorków nie ma (a nie będzie ich dopóki komitet z góry o nie starać się nie będzie), jeżeli nie ma wydawnictw, zbiorów artystycznych i biblioteki, to przynajmniej muszą członkowie mieć wszystkie czasopisma i dzienniki polskie i z zagranicznych najlepsze? Gdyby tak było. Tymczasem tu, podobnie jak gdzieindziej rządzą upodobania i sympatye a nawet zwyczaje. Wypada aby przecież był francuzki dziennik, wypada aby miesięczniki francuzkie leżały nierozcięte na stole, więc leżą; ale na pisma polskie nie ma funduszów... Gdzież więc mamy szukać tego wszystkiego, co literata i artystę obchodzić może, jeżeli nie w Kole artystyczno-literackim?

Niechaj nikt tych uwag nie uważa za surowe lub z uprzedzenia wynikię; wypływają one ze szczerój dla Koła życzliwości. Pragniemy jego wzrostu nietylko co do liczby członków, pragniemy jego rozwoju, który z pewnością nastąpi, jeżeli tylko komitet obudzi się z chwilowego spoczynku na bukietach balu kostiumowego i nie zechce być na to tylko komitetem, aby nim być, jak z pewnością nie dał dlatego tylko

impulsu do powstania Koła, aby figurować w księdze pamiątkowej między założycielami...

Pierwszym koncertem, jakim nas post powitał, był wieczór (V) Towarzystwa muzycznego, obmyślany bardzo umiejętnie. Zamiast łamania sobie głowy nad urozmaiceniem programu, któryby wszystkim dogodził, Towarzystwo postanowiło dać utwory tylko jednego mistrza i wybrało dzieła Mozarta. Kwintet Nr. 6 na dwoje skrzypców, dwie altówki i wiolonczelę, wypadł pod każdym względem gładko; dobrze wykonaną była sonata D-dur. Nowością było wprowadzenie do koncertu odczytu. Znany u nas pianista dr. Bylicki postanowił wykazać, że lubo wpływy, działające na „cudowne dziecko,” tamowały pod wielu względami swobodny rozwój talentu i mogły złamać go na zawsze, nie potrafiły jednak tego dokonać, bo geniusz prawdziwy w przeciwnościach zachęte znajduje. Nadto odegrała ks. Marcelina Czartoryska Rondo A mol i nadprogramowe wariacje, chór odśpiewał „Uwielbienie sztuki” i „Kantatę;” panna Beckmann, uczennica Towarzystwa, odśpiewała (soprano) Aryę z Wesela Figara i pieśń: „Fijołek.” Cały wieczór zrobił na licznych, jak zwykle, słuchaczach bardzo miłe wrażenie.

Nowością u nas był również (dnia 31 marca) koncert połączonych muzyk pułkowych, znajdujących się w Krakowie, w jedną wielką orkiestrę. Dochód przeznaczono na rzecz stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża,” mającego za zadanie niesienie pomocy rannym w wojnie, obok korpusu sanitarnego rządowego. Jeżeli cel sam w sobie ze względów ludzkości był godzien hojnego poparcia, to rzecz sama powinna była być dla Krakowa jeszcze większą przynętą. Kraków nie posiada żadnej orkiestry prywatnej, oprócz zawiązującej się orkiestry weteranów. Na balach, w teatrze, na wieczorkach, promenadach, wszędzie występują muzyki wojskowe, a gdyby tych zabrakło, lub rozporządzenia władz ich udział ograniczyły, nie byłoby nic na to miejsce. Usłyszeć więc utwory takich mistrzów, jak Beethoven (Leonore: Uwertura Nr. 3), Mendelsohn (Symfonia A moll), Wagner (Marsz z opery: „Tannhäuser“), odegrane przez orkiestrę, w której liczba smyczkowych instrumentów przechodziła setkę, było dla miłośników muzyki prawdziwą przyjemnością. Znaców szczególny niektóre nie zadowolniły.

Dnia 23 marca odbył się koncert ks. Marceliny Czartoryskiej ze współudziałem p. Heleny Modrzejewskiej, oraz artystów i amatorów. Program koncertu składał się przeważnie z utworów Chopina, których nieporównaną wykonawczynią jest u nas ks. Marcelina.

Młodzież akademicka urządziła wieczorek na cześć Juliusza Słowackiego, dając z jednej strony dowód czci dla geniuszu Juliusza, z drugiej popierając cel „Macierzy,” dla której dochód cały przeznaczono. Nie dosyć na tém. Prezes czytelnicy akademickiej, p. Ożóg, zapowiedział w przemowie wstępnej, że młodzież corocznie taki sam wieczorek i na ten sam cel urządzać postanowiła! Przepelniona słuchaczami sala, była znowu świadkiem tryumfów p. Modrzejewskiej, wobec której deklamacya „Grobu Agamemnona” przez jednego z akademików,

tehnąca zrozumieniem i uczuciem, wcale nie straciła znaczenia. W części muzykalnej odegrano dwa wokalnie-orkiestralne utwory M. Brucha i koncert A. Schumanna. Na zakończenie wygłosił słabo jeden z akademików prześlizchny wiersz Adama Asnyka, na tę uroczystość napisany, uniewinniający poetę z zarzutu, jakoby kazał:

bezładnym poruszyć się bryłom,
I po swój śmierci niosąc pieśń, jak sztandar, przodem
Prowadził bezbronne zastępy na wyłom,
Gdzie bez nadziei zwycięstw lały krew obficie.

* * * * *

Atoli: Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czémżebyśmy dziś byli, my, nędzarze smutni?

* * * * *

Że tak nie jest, to twoja, o poeto, wina,
Więc potonność już wyrok ogłaszać poczyna,
I laur, który oddawna tobie się należy,
Pośród nowych pokoleń bierzesz z rąk młodzieży.

Podobny wiersz nadesłała także poetka Marya Bartus, który odczytano, następnie zaś telegramy ze Lwowa, Pragi, Lechen, Berlina. Na zakończenie przemówił do młodzieży prof. dr. Józef Rostafiński, zachęcając ją do cichej a wytrwałej pracy, która zdobywa wiedzę, a to łącznie z oświatą ludu daje rękojmię przyszłości.

W teatrze przedstawiono w tym czasie ponownie po wielu latach dwie komedye W. Sardou: „Stryj Sam” i „Pocziwi wieśniacy,” potem nastąpił tydzień występów p. Modrzejewskiej. Artystka ta obrala sobie tylko trzy role do przypomnienia się publiczności krakowskiej; rolę Leonory w „Dalili” O. Feuilleta, tytułową rolę we „Frou-Frou” i „Maryi Stuart.” Mimo podwojone ceny niewygodnego teatru tymczasowego przy ulicy Wolskiej, mimo powtórzone te same role, teatr przez całych dni sześć był literalnie przepełniony. Dla Krakowa bowiem ma p. Modrzejewska obok oroku tej gry mistrzowskiej, którą obie sławią półkule, jeszcze powab zadowolenia miłości rodzicielskiej i dumy szlachetnej z takiego dziecięcia. Na dochód p. Br. Wolskiej wystąpiła jeszcze p. Modrzejewska w charakterystycznej scenie „Dalili” i w scenie obłąkania Ofelii w Szekspirowskim „Hamlecie.”

Post tegoroczny był sezonem odczytów, które u nas młodzież akademicka urządza na dochód swych instytucji i bibliotek, zapraszając na katedrę prelegenta bądź-to jednego ze swych przewodników uniwersyteckich, bądź innego poza jego obrębem stojącego literata, lub oddanego nauce męża. Mieliśmy więc i teraz szereg odczytów, który rozpoczął dr. Izidor Dzieduszycki rzeczując: „O patriotyzmie w Polsce.” W trzech, w różnych odstępach czasu po sobie następujących odczy-

tach, prelegent dotąd na polu literackim bardzo mało znany, przedstawił w historycznym obrazie „chorążych“ patryotyzmu, t. j. tych ludzi, królów, książąt, lub uczonych, którzy w każdej potrzebie umieli, z jasnym poglądem na stan kraju, stać u steru sumiennie. Bez pływania po powierzchni dziejów naszych i bez zbytniego zagłębiania się w szczegóły umiał dr. Dzieduszycki wydobyć to z naszej przeszłości, co mu, jako ilustracja, było potrzebnem i przedstawić w przystępnej i prostej, choć nieraz zbyt słabej formie, z której atoli wionęło szczere uczucie. Bez urągania przeszłości, ale i bez zakrywania jej stron ciemnych, doszedł w ten sposób prelegent do kongresu wiedeńskiego (1815). Że odczyt prof. St. Tarnowskiego: „O Rzeczypospolitej Babińskiej“ więcej jeszcze zainteresował naszą publiczność, nie trzeba dodawać. Wymowa prelegenta znana ogólnie, potrafiłaby przyciągnąć równą ilość słuchaczy, chociażby nawet sam temat był mniej interesującym, jak ten, który sobie prof. Tarnowski tym razem obrał. Niedawno patrzyliśmy na ten nowy utwór Matejki; naturalną przeto było rzeczą, że prof. Tarnowski rozpoczął przeglądem wybitniejszych postaci tego obrazu i podnosząc wrażenie wesołości, jakie się zeń odbiera, zapytał, czemu oni byli tak weseli i czy byli prawdziwie weseli i dowcipni? Powstania rzeczypospolitej owej nie wyjaśnił prelegent, a kreśląc jej dzieje wewnętrznego życia na podstawie znalezionej w muzeum Czartoryskich rękopismu, przedstawił je w dość niekorzystnym świetle: dowcipy członków rzeczypospolitej miały być tylko jałowemi, niezdarnemi wybrykami humoru, nie doprowadzającemi do żadnego rozsądnego celu. Że z krótkich wyrazów manuskryptu prelegent takich nie wahał się wyciągnąć wniosków, rzecz dziwna; dziwniejsza jeszcze, że prelegent prawie w czambuł za śmiech ten i żarty potępia Babińczyków, malując czarne tło dziejów ówczesnych. Pan Edward Krzymuski, docent uniwersytetu Jagiellońskiego, czytał „o odpowiedzialności karniej zwierząt.“ Zajmujący ten temat, obrobiony nawet zaumiejtnie, jak na odczyt, a przedstawiony barwnie, dał nam poznać w p. Krzymuskim na tém polu niezwykłego a pożądanego pracownika.

Oprócz tego miał prof. dr. Rostafiński odczyt o „Jesieni i jej owocach,“ rzucając w przystępnej formie ziarno swych badań naukowych ciekawej publiczności. Jużto w rzeczy samej przyznać trzeba, że prof. Rostafiński umie zainteresować przedmiotem, choćby pozornie nawet bardzo suchym, bo go umie otoczyć poezją przyrody i ożywić swym dowcipem, którego mu nie brak nigdy. Nakoniec miał prof. Nowicki, zasłużony założyciel Towarzystwa rybackiego, wykład „o znaczeniu wód naszych dla bogactwa krajowego,“ z którym potoczył przedstawienie nowej wylęgarni i puszczenie ikry do Wisły pod Zamkiem.

Mieliśmy jeszcze słyszeć Deotymę w powrocie ze Lwowa, gdzie ją z takim zapałem przyjmowano. Przedmiotem prelekcji miał być nowy jej dramat: „Jadwiga,“ atoli skutek nieporozumień, które z po-

wodu ograniczonego poetki czasu usunąć się już nie dały, zostaliśmy w nadziejach zawiedzeni.

Zaledwie wyraziliśmy ubolewanie nad brakiem u nas tygodniowego pisma literackiego, aż oto wydaje młoda księgarnia p. K. Bartoszewicza prospekt na „Przegląd literacki i artystyczny.“ Ma on wychodzić począwszy od 1 kwietnia, 5 i 20 każdego miesiąca i dawać obraz życia społecznego i literackiego w kronikach, sprawozdaniach i recenzjach, nie usuwając bynajmniej z pierwszego planu nowelli i powieści, poezyi, dramatów i t. p. artykułów lżejszej treści. Na współpracowników zaprosił p. K. Bartoszewicz, główny redaktor, znanych u nas pisarzy, których imiona dają już niejaką publiczności gwarancją. Do tego sam redaktor, zasłużony wydaniem dzieł swego ojca ś. p. Juliana, znany jako redaktor „Szkiców społecznych i literackich“ wychodzących w latach od 1873—1875, będzie z pewnością dokładał starania, aby pismo jego jedyne literackie dwutygodniowe w Galicyi, stało się potrzebą czytelników. Zachętą dla nich powinna też być przyobiecana nowość dodawania do każdego numeru na grubym papierze rysunku oryginalnego, jednego z artystów naszych, wykonanego sposobem autograficznym, z czego po roku utworzy się piękne album, oprawne w okładkę przyrzeczoną ad hoc przez redaktora. W końcu nizka jak na nasze stosunki cena prenumeracyjna, 1 zlr. 50 ct. w. a. (1 rs.) i przystępna nawet dla mniej zamożnych, powinna zapewnić pismu i materialne poparcie.

Z nowości literackich, wydanych w tym czasie w Krakowie, zanotować musimy drugie wydanie Homera Iliady, w przekładzie p. Pawła Popiela. Jest ono w większej części tylko przedrukiem wydania pierwszego, a więc dzieli z niem też same kulawości w rytmice, te same zagadki niezrozumiałe w skutek fałszywego przekładu, też same niedokładności i błędy w rzeczy samej i nakoniec też same horrenda językowe, które miłującego swój język ojczysty, strachem przepełnić muszą i mimowoli nasuną pytanie, gdzie się p. Popiel takiego języka nauczył. Jeżeli się przytem nie zapomni, że p. Popiel przeważnie ku pomocy uczącej się młodzieży swój przekład przeznaczył, która, jak zwykle, w drukowane wierzy, to cóż za skutki, na miłość Bożą, pociągnie za sobą ta samowola lingwistyczna! Tylko księga VI i to przeważnie w części pierwszej, przerobiona cokolwiek w tém drugim wydaniu, jak to sam tłumacz w przedmowie zanotował. Z poprawek tych wnioskować możemy, że tłumacz mógłby uczynić swój przekład wcale pożądanym nawet dla szerszej publiczności, gdyby go chciał oczyścić ze wspomnianych powyżej błędów, gdyby go jeszcze raz porównał z oryginałem, ale greckimi i có tylko można wygładził. Szkoda, wielka szkoda, że wobec potrzeby drugiego wydania, choćby z opóźnieniem jego pojawienia się, nie uczynił tego już teraz!

Od epos przejdźmy do liryki. Przed nami leży tomik wyboru (?) liryki greckiej w przekładzie Alfa (Alfreda Szczepańskiego) p. t.: „Na greckiej lirze,” wydany drukiem i nakładem A. Keissa w Wiedniu.

Zwrócenie się ku tej części płodów ducha greckiego, która u nas dosyć nie wielu znalazła tłumaczy, świadczy o kierunku potrzeb publiczności naszej, nieodrzucającej a owszem coraz więcej smakującej w źródle piękności poezji. Z drugiej zaś strony, ta próba przekładu spoczywająca przed nami, powinna pouczyć o innej potrzebie — o potrzebie poważnego zajęcia się światem starożytnym a przedewszystkiem greckim, który zawsze od nas dalszy, mniej zrozumiany, choć zrozumialszy i piękniejszy od rzymskiego, przechował dotąd czary poezji i piękna, przezierające nawet z tak dyletanckiego przekładu p. Alfa.

Jeżeli w ogóle bez gruntownej znajomości całej liryki greckiej nie można było żądać od tłumacza należytego wyboru, to sam układ alfabetyczny poetów, z których wyjątki w tym zbiorze znajdujemy, układ dobry w rejestrze dla skorzej informacji czytelnika, naprowadza nas na myśl, że tłumacz uczynił to, by uniknąć kłopotu z chronologią i systematyką w układzie podług rodzajów liryki przez poetów uprawianej. Podaje mniej znane imiona poetów i z ich utworów wyjątki jak np. „Agatias,“ „Palladas,“ „Rufinos,“ coby mogło być zaletą książki, gdyby atoli z najznakomitszych podana była obfitość utworów charakteryzujących poetę. Tymczasem z Agatiasa i Palladasa, mamy po dwa wierszyki (mówiąc nawiasowo, nie odznaczające się ani treścią ani formą) z Simonidesa zaś jeden, z Kallinosa dwa, którego każde słowo to perła uczuć patryotycznego, wysokiego nastroju. Dla Teogiusa tylko, całkiem słusznie dla niego samego; ale bez uwzględnienia innych, nie załował tłumacz miejsca, przytaczając czternaście ustępów. W ogóle brak przekładów obmyślanego planu w wyborze.

Co do samego przekładu, to najłagodniejszy filolog nim się nie zadowolni. Sam to tłumacz wyznaje w przedmowie (str. 3) że mu „nie szło o filologiczną szkolną ścisłość“ i że się starał o to „żeby parafraza nie przestała być przekładem.“ Jeżeli rozumiemy i usprawiedliwiamy pierwsze, nie pojmujemy drugiego; parafraza nie jest nigdy przekładem a przekład nie może być parafrazą, bo sobą być przestaje. Pan Alf chciał pogodzić ze sobą rzeczy niezgodne; nie więc dziwnego, że musiał chybić celu. Chcąc „aby czar poezji nie został zatracony,“ potrzeba samemu być poetą, a tymczasem p. Alf nieraz z rytmem nawet pozostaje w niezgodzie i prawdziwie poetycznych myśli w poetyczny nie umie przelać wyraz. Oto np. wiersz Meleagrosa na str. 85:

Pocoś rzuciła twój na kwiatach trunek,
 Czemuś się na mnie uwzięła?
 Gdy mi dawały wargi pocałunek,
 Natrętna tyś przyfrunęła!
 Mówisz mi, pszczołko: „w słodkim pocałunku,
 Cierń w ufne serce się wkrada...“
 Wróc do twojego ty na kwiatkach trunku,
 To samo miłość mi gada (!).

Czar poezji uleciał z niedołężnej formy!

Rażą czytelnika niektóre usterki przeciw gramatyce, jak np.: „niezatrzepocze“ (str. 42); „wziąść“ (121); „okręta“ (64); „niezabyje“ (146); „odelécha“ (102); „nalij“ (40); „puchar“ (45, 49, 57); „Moshos“ zamiast „Moschos“ (97). Do najudatniejszych ustępów tych tłumaczeń liczymy wiersz Alkmana (str. 42), Anakreonta (w. 2, str. 46, w. 5 na str. 50 i 6, str. 52), które przecież co do poetycznej dykcji nie dorównują przekładowi J. Szujskiego. Oprócz tego ładne obydwa wiersze Kallinosa, wszystkie Tyrteusa i kilka Teognisa. Z całości najlepiej przedstawia się część trzecia. Tłumacz poprzedził swój przekład rozprawką: „O poezji lirycznej na podstawie liryki greckiej,“ czytanej publicznie w Krakowie w r. 1867, a zawierającej obok znanych ogólników kilka ładnych myśli, ale nie dosyć zgłębianych, bo i całe studjum nie odznacza się gruntownością naukową.

Z powyższego obrazu wynika, że ruch literacki u nas powoli się ożywiać poczyna. Od roku blisko wychodzi obok „Czasu,“ „Gazeta Krakowska,“ uwzględniająca głównie sprawy krajowe. Z początku wychodziła dwa razy na miesiąc, potem co tydzień, dwa razy na tydzień, nakoniec teraz wychodzi trzy razy. Mogłoby się z niej dobre pismo wyrobić, gdyby rozporządzała większemi funduszami i siły swe wzmocniła. Kilka fejletonów było dobrych; w ostatnim czasie zwracały na siebie uwagę kroniki tygodniowe. Z nowym rokiem powstało nowe pismo codzienne p. t.: „Reforma,“ które ma przyszłość przed sobą. Zarzucają mu wprawdzie brak wybitnego programu; ale jakież program inny może mieć pismo chcące popierać przedewszystkiem społeczne i ekonomiczne sprawy kraju. Redagowane starannie, mało przecież ma różnorożności w fejletonie. Po słabiej noweli Asnyka „Opiekunowie,“ drukowano dosyć dobrą nowelę Bałuckiego „Do kraju,“ kilka poezji Asnyka, nowelę Sarneckiego „Marta,“ nie odznaczającą się niczem. Jeżeli już innych zasług nie położy (sądzą niektórzy), to zawsze pozostanie jej zasługą że zreformowała „Czas,“ który z drzemki współzawodniczką przebudzony, nabrał sił nowych a choć już niedowidzi i często się potkuje, idzie przecież dalej w obranym kierunku.

Jedyném u nas pismem miesięczném, jest „Przegląd polski“ wychodzący od lat 16, w tym roku pod redakcją prof. St. Tarnowskiego. Ogłasza w ciągu dalszym listy samego redaktora „Z Prus Królewskich,“ „Fausta“ Goethego w przekładzie J. Paszkowskiego, monografię literacką R. Ottmanna „O Julianie Korsaku,“ studjum Aëra „O nihilizmie“ i t. p. cenne literackie rozprawki. Istnieje dlatego sta tu quo, bo się nie potrzebuje oglądać na liczbę prenumeratorów; nie w takich warunkach powstałe przed rokiem „Muzeum“ pod redakcją dr. T. Rutowskiego, musiało po półroczném istnieniu zawczasie żywot zakończyć.

Tylko „Przewodnik bibliograficzny“ p. Wisłockiego, rozwija się pomyślnie, ale bo też nie jest pismem literackim, a nadzwyczajnie taniém (1 rs. rocznie). Ten ostatni warunek jest u nas bardzo ważny.

Czytanoby wiele, czytanoby może nie same tylko nawet utwory beletrystyczne, ale—żeby niewiele kosztowały ¹⁾.

Ci, których stać na wydanie kilku guldenów na miesiąc, na książki lub pisma, zadawalniają się wydawnictwami warszawskimi, które w tyłu tysiącach egzemplarzy po Galicyi się rozchodzą. W obec tego, utrudnione warunki bytu pismu tygodniowemu, w braku drzeworytni nawet nieilustrowanemu, stają się poprostu niemożliwością istnienia, czego dowodem niedawno pogrzebany „Tydzień” we Lwowie, od lat kilku jedyne, a w swoim czasie bardzo dobre pismo tygodniowe literackie.

Ale to wszystko dla zamożniejszych i więcej wykształconych, a cóż dla niższego urzędnika lub rzemieślnika? Jak dotąd nic i długo jeszcze nic. W wydawnictwach peryodycznych panuje u nas nieszczęśliwa skrajność: albo je przeznaczamy dla wykształconych albo dla ludu wiejskiego, zapominając o licznych zastępie ludzi, tworzących w miastach większych niepoślednią, a w miasteczkach prowincjonalnych wyłączną prawie, obok żydów, część ludności. Są to ci ludzie, którym dano pokosztować coś z nauki, a których albo brak środków, albo własna nieudolność lub brak talentu, na inną zwróciły drogę. Osobliwie w miasteczkach tworzą oni mieszczaństwo z pogardą „kottunami” zwane. Ale czy godzi się gardzić bratem dlatego, że on nie z własnej winy jest ciemnym i głupim? Ciemnota, obskurantyzm, partykularyzm, zabicie wszelkiego uczucia wyższego, panują tam samowładnie, a mamy dziś już wiele wsi, do którychby po oświatę iść mogli sąsiednich miasteczek mieszkańcy.

Dla nich niema kto zaświecić pochodni światła, dla nich nie ma nic. Przepraszam, dla nich jest „Świat illustrowany” księgarni nakładowej Zygmunta Bensiugera w Wiedniu, „pismo familijne, ku zabawie i nauce wszystkich stanów, którego głównym redaktorem, jak tytułowa mówi okładka, jest p. Andrzej Odrowąż (?). Pójdźmy więc po tę oświatę do Wiednia i przypatrzmy się jój bliżej. Obliczona jest na kieszonki i upodobanie naszej publiczności, bo tania. Dwa arkusze druku wyraźnego, na dobrym papierze, ozdobionego ilustracyami i ujętego w niebieską z tytułem okładkę, za 15 ct. czyli 12 kop.; cóż można więcej wymagać? Ale przypatrzmy się treści. Dość przejrzyć kilka numerów, aby powziąć o niej jasne wyobrażenie. Na pierwszym miejscu „Wina i odwet” powieść z życia społecznego, z niemieckiego, Ewalda Königa, romans ze stosunków wiedeńskich, należący do t. zw. literatury kryminalnej. Dalej: „Śniade dziewczę,” obraz z niw morawskich przez Fr. Göbl-Kopidląńskiego (?); „Skarb ojcowski” z czeskiego Jana Czerwenki; „Handzia,” obrazek z życia wiejskiego, skreślił po

¹⁾ Dowodem tego drugi rok wydawana przez Ad. Kaczurbę, najpierw w Tarnowie, a teraz we Lwowie „Biblioteka uniwersalna arcydzieł polskich i obcych, rozchodząca się w kilku tysiącach egzemplarzy, bo kosztuje kwartalnie tylko 1 zlr.

czesku J. H. Svihovsky, kilka humoresek wcale niehumorystycznych, objaśnienia do rycin, fraszki humorystyczne, prawie zawsze trywialne i bez dowcipu: oto wszystko. Ilustracje są dwójakiego rodzaju: robione dla „Świata,” jako ilustracje powieści lub humoreski, są nędzne pod każdym względem, kupione zaś od innych redakcyi, są niektóre wcale dobre. Wszystkie atoli, podobnie jak i tekst „Świata,” są duchem i częstokroć językiem wprost obce naszemu narodowi, nie podają mu nic, coby go obchodzić mogło, coby go zainteresować i zająć zdołało. Wyjątek w tym względzie stanowi okładka, która z całego pisma jest najlepsza. Na niej bowiem (na stronach wewnętrznych) spotykamy pod tytułem „Nowe książki,” wcale trafne charakterystyki nowych dzieł polskich, w „Wiadomościach pożytecznych” w rzeczy samej pożyteczne, a w „Rozmaitościach” nawet dobre rzeczy. Ale to nie wystarczy na karm duchową dla tych, którzy to pismo prenumerują, a jest ich dosyć znaczna liczba. P. Bensinger bowiem umie się wziąć do rzeczy. Urządza kolportacją po wszystkich miasteczkach, a niemal i wsiach. Usłużny żydek, za wynagrodzenie, choćby niewielkie, obarcza się wzorami obrazów olejno drukowanych, które za małą dopłatą (2 złr. 60 cent.) prenumeratorowie „w bardzo pięknych, szerokich złożonych ramach barocco” otrzymać mogą, zaopatrzy się w kilkanaście egzemplarzy pisma i chodzi od domu do domu; za drzwi wyrzucić się nie da, jeżeli kto nie kupi (a każdy zeszyt można pojedynczo kupować), pozwoli obejrzeć, zostawi nawet w domu i idzie dalej. Po jakimś czasie wraca, zastaje numer rozcięty, nie może go więc przyjmować, ale każe zapłacić, zachęca bądź co bądź zaciekawionych początkiem do dalszego prenumerowania i w ten sposób rozprzestrzenia to pismo po całej Galicyi, co gorsza, że mu nawet potrafi wyrobić wstęp do domów inteligencji, które to biorą „dla taniości towaru!”

W taki sposób rozrzucił już p. Z. Bensinger, po Galicyi, kilka skandalicznych romansów, wydawanych zeszytami, w taki sam rozprzestrzenia teraz „Świat ilustrowany,” lepszy od tamtych, ale niemniej przeto niepożyteczny, jeżeli już nieszkodliwy. Ale ma niebezpiecznego współzawodnika w księgarni S. Landaua w Krakowie. Księgarz ten posiadający w swęj księgarni stopy swych „nakładów” i mnóstwo olejnych druków, służących do nich za premie, wydawszy już przedtém w podobny sposób „Córkę galernika,” „Spekulantów i oszustów,” „Narzeczoną skazańca” i wiele innych, ogłasza obecnie, że wydaje E. Zoli „Nanę,” a jako premie, daje za małą dopłatą obrazy „Chodkiewicz pod Chocimem” i „Żółkiewski pod Cecorą!! Oto ilustracja naszych wydawnictw, oto konkurencya, z jakąby się liczyć musiało wszelkie pismo tygodniowe, chcące, jeżeli nie zabić, to przynajmniej osłabić wpływ tych piśmideł na klasy średnie. W obec ciężkich stosunków, nie ma nadziei, aby takie pismo wnet się u nas podniosło, ale czyby to nie powinno być ważną częścią programu powstającej „Macierzy polskiej” warto się nad tém zastanowić.

W towarzystwie pp. Bensingera i Landaua omal, zem nie zapo-

mniał o ważnym jeszcze wydawnictwie w Krakowie, a jest nim „Przegląd Akademicki,” organ młodzieży polskiej, wydawany staraniem czytelni akademickiej, pod kierownictwem d-ra Izydora Kopernickiego, członka Akad. Umiejęt., docenta uniw. Jagiellońskiego. Dotąd pojawiło się cztery zeszyty za półtora roku, tworzące dosyć pokaźny tomik. Wydawnictwo to powitaliśmy z radością dlatego, że oddawna czuć się dawała potrzeba organu, któryby lepsze prace akademików, czytane w czytelni akademickiej, w seminariach, lub pisane na konkurs Towarzystwa Bratniej Pomocy, od zatury chroniły. Osobliwie prace seminaryjne, opracowane nieraz z prawdziwie źródłową skrupulatnością i wiele z prac konkursowych Towarzystwa wspomnianego, warte są lepszemu losu nad ten, jaki je spotyka dotychczas, oddane na pastwę pyłowi zapomnienia. Nie wiem nawet zresztą, czyby to było tak niezgodne z Towarzystwem, gdyby było już dawniej podjęto się publikowania prac przez siebie nagrodzonych, tym więcej, że ma ku temu celowi potrzebne fundusze, któreby wielkiego uszczerbku kapitałom jego nie zrobiły, a znaczną przyniosły korzyść. Jeżeli zresztą już czytelnia w tej sprawie wzięła inicjatywę, mogło przynajmniej Towarzystwo do wydawnictwa się przyczynić tak, aby się nie potrzebowało oglądać na prenumeratorów, na których liczbę nigdy liczyć nie powinno. Organ młodzieży polskiej powinien istnieć niezależnie od chwilowych gustów publiczności, powinien stanowić tylko naukową karm dla tej młodzieży, którą dźiał drugi, t. j. Kronika akademicka, łączyć i jednaczyć powinien.

To też już w prospekcie „Przeglądu” znaleźliśmy z przyjemnością te same prawie myśli wyżej wypowiedziane. „W tym „przeglądzie,” dla swojej własnej wiadomości, zachęty i zabawy umysłowej udzielać sobie nawzajem będziemy co najdojrzalsze owoce naszych studiów naukowych nad wszelkimi przedmiotami..” „Do „Przeglądu Akademickiego” nie będą miały wstępu żadne sprawy bezpośrednie, nie należące do nas i do zakresu naszych obowiązków,” czytaliśmy i ujrzeliśmy w większej części spełnione w wydanych zeszytach. Znaleźliśmy tam cenne rozprawki historyczne Jana Leńka: „Uniwersytet Kazimierzowski na tle stosunków uniwersyteckich w wiekach średnich” i Mikrota Walentego (wcześnie zgasłego): „Walkę w Polsce o stosunek Kościoła do Państwa od r. 1434—1440;” rozprawkę naukową lingwistyczną I. Hanusza p. t. „O zakończeniu instrumentalu i location singularis masc. neutr. i instrumentalu pluralis deklinacji zaimkowej i złożonej w języku polskim,” zasługującą na uznanie i zastosowanie jej wyników, czego „Przegląd” początkowo się podjął, ale w 4-tym zeszycie zaniechał; przekłady z poetów starożytnych, jak O. M. Balzera wstęp z XIX pieśni Iliady, J. Pawlikowskiego z Vergiliusa Eneidy, J. H. Kallenbacha, wstęp z Lukrecjusza poematu „de rerum natura,” poprzedzony kilkoma słowami o poecie i Propercjusza „Królowa elegii”, wszystkie dobre, chociaż zdradzające niedostatki w formie. Mamy nawet artykuł prawniczy Wł. Abrahama: „Pojęcie i stanowisko

kradzieży w prawie polskim” i cenne Ig. Szy.: „Wskazówki dla uczących się botaniki.” Za niestosowny dla „Przeglądu,” uważamy artykuł (bo tak go nazwać musimy) Szymona Matusiaka p. t. „Nasze kwiaty polne;” w pierwszej części każący i ganiący, w drugiej naukowy, gdzieindziej w tym względzie należący i w rzeczy samej gdzieindziej przedstawiony (Archiv. f. sl. Phil. V, 4), równie jak cały dział drugi p. t. „Referaty i krytyki.” Jeszcze sprawozdania z dzieł naukowych, z których młodzież z korzyścią czerpać może, mogą być pożądane, ale krytyki rozpraw, nawet koleżeńskich, nie powinny mieć miejsca w „Przeglądzie Akademickim.” Krytyką starszych nic się nie osiągnie, krytyką kolegów drażni się ich niepotrzebnie. Zostawmy to innym. Dział Kroniki akademickiej zajmujący i bardzo potrzebny. Daje on nam autentyczne wiadomości o Polakach akademikach, po różnych uniwersytetach Europy rozpierzchniętych; korespondencye ich nie tylko dla akademików samych, ale dla wszystkich ludzi inteligentnych, wielki przedstawiają interes. W Bibliografii prac akademickich oczekiwaliśmy spisu dzieł lub rozprawek, wydanych przez akademików, bądźto jako prace konkursowe, bądź jako rozprawy doktorskie, lub pojedyncze artykuły pism czasowych. Taką też myśl w jej przeprowadzeniu, widzieliśmy w zeszycie I-szym; ale w III-cim już panuje „nieporządek miły.” Obok Baina Aleks., „Nauki wychowania,” znajdujemy K. Kraszewskiego: „Od szkolnej ławy,” obok „Commer-Buch allgemeines-deutsches,” „Professoren und Lehrer Kalender!” Albo więc ma to być ogólna bibliografia europejska, albo bibliografia w powyżej zakreślonych granicach; nie będąc ani jedną, ani drugą, nie jest właściwie niczem, bo jest bez korzyści. Jeżeli redakcyja „Przeglądu” pragnie umieszczać w Bibliografii i prace nie-akademików, ale dla akademików pożyteczne i potrzebne, to cóż łatwiejszego, jak podzielić tę bibliografię na: I. Prace młodzieży akademickiej i II. Prace dla młodzieży akad. pożyteczne. Qui bene distinguit bene docet.

W prospekcie na rok bieżący, zapowiedziała redakcyja wydawnictwo dwumiesięczne, w objętości 3—4 arkuszy, a więc 6 razy do roku i prosiła o poparcie moralne kolegów, a materyalne publiczności. Wiodocnie i jedno i drugie niedopisało, skoro dotąd nie pojawił się pierwszy zeszyt, chociaż mamy nadzieję, że się jeszcze pojawi. Zwracamy tylko uwagę redakcyi, aby się nie bawiła beletrystyką i nie chciała wykierować „Przeglądu” na pismo czasowe, bo i celu nie osiągnie i czas i nakład darmo utraci. Wierniej pierwszemu prospektowi, życzymy zaś z całego serca pomyślności!

O ruchu książkowym u nas, niewiele się w ogóle da powiedzieć. Większa część książek tu drukowanych, nosi inne, a przedewszystkiemi warszawskie firmy i tam bywa omawiana; zresztą zanotować tu chyba trzeba, wydawnictwa księgarni K. Bartoszewicza, syna ś. p. Juliana, który, po wydaniu dzieł ojca swego, rozpoczął szereg tanich wyda-wnictw, wydaniem wszystkich dzieł Juliusza Słowackiego. Wydanie to w 5-ciu tomach z portretem, z których już trzy z druku wyszły, jest

w formacie małej ósemki, na papierze nie najlepszym, ale dobrym, drukiem tylko cokolwiek zadrobnym, jest bardzo tanie, bo w drodze prenumeraty wynosi tylko 2 złr. 50 cnt. (2 ruble). Spodziewamy się, że znalazło poparcie publiczności i zachęci p. Bartoszewicza do dalszych podobnych wydań.

Chociaż nie w Krakowie, a nawet nie po polsku wydano dzieło prof. Szujskiego „O Polakach i Rusinach w Galicyi,” niech nam przecież wolno będzie kilka słów o niem pomówić, ze względu na jego ważność i ze względu na to, że szanowni czytelnicy nie będą mieć sposobności czytać go w oryginale. Dzieło to, obejmujące tom dziewięć publikacji Karola Prochaski w Cieszynie p. t. „Die Völker Oesterreich-Ungarns. Ethnographische und cultur-historische Schilderungen,” zawiera, oprócz wstępu 6 rozdziałów. W pierwszym p. t. „Kraj i ludzie” rzuca autor okiem na fizyonomię Galicyi od Karpat aż na dalekie Podole i w tym samym porządku, począwszy od górala tatrzańskiego, Podhalanina, Hucuła, przedstawia malowniczo strój, zatrudnienie i charakter Krakowiaków, Mazurów, Głuchoniemców (tak nazywa mieszkańców północnych stoków Karpat na południe od linii, pociągniętej od Pilzna do Łańcuta, a nazywa ich dlatego, że pochodzą z kolonizacji XIII i XIV wieku), Ruśniaków, Rusinów i Podolan, nie zapominając przytém we wzmiance, przynajmniej o Niemcach, Ormianach, Cyganach i Żydach, którzy z poprzednimi szczepami są wspólnie mieszkańcami Galicyi. W rozdziale drugim skreśla zwyczaje ludu i poezją jego, a mianowicie naprzód zwyczaje doroczne, potem bardzo szczegółowo obrząd weselny z tłómaczeniem celniejszych śpiewek. Widzi w nich więcej pierwotnych cech u Rusinów, czego dowodem i ich wierzenia i powieści, zawierające wiele szczegółów do ogólnej słowiańskiej mytologii. Śledzi dalej historyczne wspomnienia ludu, charakteryzuje pieśni i porównywa Krakowiaka z kołomyjką, jako dwa wyrazy odmiennych usposobień ludów. Trzeci rozdział ma za przedmiot przeszłość kraju, w której autor podnosi główne momenta z dziejów, stawia wysoko Kazimierza W. i przyczynę upadku Polski widzi już w zarodku po jego śmierci, kiełkującą w późniejszych walkach religijnych, a wykwitłą w anarchicznym „liberum veto.” Podnosi zasługi Sobieskiego. „Nietylko bohaterem był Sobieski, czytamy na str. 96, bo był i politykiem, usiłując krajowi dać dynastją, zaprowadzić stojące wojsko, a Ukrainę przez mądre urządzenia, Ruś przez wzmocnienie unii uspokoić.” Charakteryzuje w barwnych rysach stan Polski w XVIII stuleciu, ocenia usiłowania Czartoryskich i kończy ten ustęp słowy: „Nieszczęśliwe, rozpaczliwe kroki konfederacyi: detronizacya króla, zamach na niego w Warszawie, służą za dowód nieuleczalnej anarchii do odziania płaszczykiem podziału; szlachetna (!) Marya Terezya ustępuje przed obawą ogólnej europejskiej rewolucyi.” Rozdział czwarty nosi napis: „Społeczeństwo kraju w ostatniem stuleciu;” jego treścią jest scharakteryzowanie rządu austriackiego, urzędzeń Józefa II, politycznych konspiracyi przed rokiem 1845. Rok 1848 tworzy zwrot w ży-

ciu kraju; Bacha ministeryum chce wprowadzić wrócić dawne czasy, ale uwłaszczenie włościan już się dokonało, system szkolny polepszony, mężowie stanu i dziś jeszcze niepoślednie zajmujący stanowisko, występują na widownię. I literatura odtąd w Galicyi cokolwiek się podnosi. Po trafnej charakterystyce Agenora hr. Gołuchowskiego, ocenia w ten sam sposób działalność margrabiego Wielopolskiego i potępia ruch r. 1863. Wreszcie przedstawia najnowsze zdobycze autonomiczne, pracę w tym kierunku, ale upadek ekonomiczny kraju, powoduje ciężary podatkowe i podzielność gruntów, w obec braku przemysłu. Uważa dwa stronnictwa polityczne w kraju, z których pierwsze t. zw. krakowskie (lub Stańczyki, do których sam należy) wysoko podnosi. Porusza kwestyą rusińską, charakteryzuje szlachtę i mieszczaństwo galicyjskie; podnosi wartość i ważność polskich niewiast i kończy kilkoma rysami życia towarzyskiego, osobliwie w dwu głównych miastach, Lwowie i Krakowie.

Rozdział ten, w połączeniu z poprzednim, stanowi najwięcej interesującą część książki i dał powód krytykom do smagania autora za subiektywne zapatrywania polityczne.

W rozdziale piątym mamy skrzętnie zestawione statystyczne dane co do Galicyi: a więc co do ludności, obszaru, chowu bydła, kopalni, przemysłu i handlu, banków i zakładów kredytowych i komunikacji. O postępie cywilizacyjnym świadczy stan szkół ludowych, średnich, uniwersytetów i innych zakładów naukowych; rozwój Akademii Umiejętności. Skreśla zarząd kraju, zestawia cyfry podatków, nie pomija i statystyki moralności i zamyka podaniem ilości posłów do rady państwa.

W rozdziale szóstym rzuca okiem z „perspektywy powietrznej” (aus der Vogelschau) na kraj cały, jego zabytki archeologiczne, pomniki historyczne i godne widzenia osobliwości. Con amore daje obraz Krakowa, cieszy się wzrostem sztuki malarzkiej u nas, a z drugiej strony i rozwojem umiejętności, pod skrzydłami Akademii Umiejętności; linią kolei Karola Ludwika biegnąc, skreśla co widzi na północy i południu ciekawego, przybywa do Lwowa i znów go opisuje i w ten sam sposób dociera aż do granic wschodnio-południowych. Jestto jeden z najprzyjemniej czytających się rozdziałów.

W dodatku, który zakończy dzieło (od str. 168—282) daje autor zarys historii literatury polskiej i rusińskiej. W trafnych rysach wysuwa znaczniejsze postaci naprzód, notuje mniej wybitnych, podaje w wyjątkach, tłumaczonych bądź własnych, bądź innych ustępy z Kochanowskiego, Wacława Potockiego, Wespazyana Kochowskiego, Jędrzeja Morsztyna, St. Trembeckiego; z najnowszych Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Pola (tłóm. Th. Bratranka) i dochodzi aż do najnowszych czasów, odznaczających się ruchem na polu naukowym.

Jeżeli w ogóle cała książka, z wyjątkiem niektórych ustępów, jest nietylko na czasie, ale wypełniła konieczną lukę w literaturze niemieckiej, odznaczającej się ignorancją naszych stosunków, to zarys litera-

tury umieszczony na końcu, a napisany w ten sposób, pożądanym powinien być przez Niemców, poznających powoli z przekładów celniejsze ostatniej epoki płody naszego ducha. Nie wątpimy też, że ta książka zyska sobie uznanie w Niemczech, a nikt nie będzie uważał na niektóre usterki językowe, które popełnić musiał nie Niemiec z rodu.

Od poezyi słowa, od dzieł literackich i nauk owych, przechodzi my do poezyi, którą zamykają w sobie utwory pędzla.

Niedawno pojawiła się w Krakowie broszura p. Maryana Gorzkowskiego „O artystycznych czynnościach Jana Matejki, począwszy od lat jego najmłodszych, t. j. od r. 1850 do końca r. 1881 z dodaniem niektórych szczegółów do tegoż okresu odnoszących się.” Broszura ta, zaopatrzona małym drzeworytem, przedstawiającym biust Matejki, a składająca się z 96 stronic dużej ósemki, dzieli się na dwie części: pierwsza, rodzaj wstępu do str. 30 zawiera „Pobieżne spostrzeżenie o malarstwie u nas,” druga zajmuje się właściwemi na tytule wymienionemi czynnościami Matejki. Pomijając nietylko „pobieżne,” ale nawet niedorzeczne spostrzeżenia w części I-szej, znajdujemy tam przecież ciekawe daty i fakta, odnoszące się do pierwszego zawiązku szkoły Sztuk pięknych w Krakowie i katalog prac innych artystów, kwitnących przed Matejką. I właściwa rzecz, oprócz części biograficznej, nie jest niczém inném, tylko katalogiem prac Matejki z objaśnieniami, ułożonym chronologicznie rok za rokiem; na ostatnich kartach przy opisie hołdów składanych Matejce i odwiedzinach cesarskich w r. 1880 razi tylko ciągłe stawianie się autora obok mistrza z pełném nazwiskiem i tytułem: „sekretarz M. Gorzkowski” (por. str. 74, 78, 79, 81, 84, 91 (3 razy), 92. Praca ta w każdym razie ma wartość materiału do przyszłej historii sztuki polskiej w w. XIX a specjalnie do biografii Jana Matejki.

Na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych, absorbuje uwagę widzów wspaniała kreacya Welońskiego „Gladyator.” Prawą nogę wysuwając naprzód, z wyciągniętą ręką i głową nieco w tył podaną, której usta napół otwarte, występuje gladyator na arenę. „Ave Caesar, morituri te salutant!” W lewej ręce trzyma trójząb, a z niego spływa sieć mocna do uchwycenia przeciwnika. U lewej nogi na podstawie spoczywa także żelazny szyszak. Rzeźba ta z brązu imponująco robi wrażenie. Zarzucają jej, że głowa w stosunku do korpusu nieco zamala; ale to względne, modelowanie zresztą znakomite nawet w szczegółach, tylko niewyraźny jest ów pasek czy sznurek, na którym przy prawym boku wisi krótki miecz, w skutek czego wygląda ten miecz tylko jakby do boku przylepiony, a raczej przylutowany. Krytyka wita w p. Welońskim nową gwiazdę rzeźbiarstwa.

Między obrazami wyszczególnia się pana Antoniego Gramatyki „Spowiedź księdza Robaka.” Koloryt i kontrast światła bardzo dobre, w charakterystyce postaci tylko mało staranności. Sam ksiądz Robak wygląda raczej na wyniszczonego życiem, niż pokutą i wrzącemi pod habitem uczuciami steranego. Nie widać energii w wydatnych rysach,

choć one są szlachetne. Ale pan Sędzia to już nic sobie z opowiadania nie robi, siedzi sobie wygodnie na łożku, myśląc o czém inném; szkoda, że sobie dla odpędzenia nudów fajeczki nie zapalił! A dziwna ta jego poza w obec konwulsyjnych prawie scenery Gerwazego, wyglądającego raczej na przełętego niż zdziwionego.

Wojciecha Gersona „Zwabiona,” nie usprawiedliwia tytułu, bo „zwabionej” nigdzie niéma. Na pochyłości góry palą tylko juhasy watrę, a jeden z nich przygrywa na fujarce. Czy na ten głos miała się zjawić jaka dziewczyna? Zresztą wdzięczny to i miły obrazek równie jak Kochanowskiego „Gęsiarki.” Sumiennie wykonanemi są prace Sokołowskiego Zygmunta: „Podczas kazania” i „Przy święcie,” studya ze świata mieszczańskiego. K. Pochwalskiego „Psołnik” jest z rodzaju tych obrazków, co odrazu sobie jedną sympatyą widza, L. Löflera „Oświadczyń” zaś wywołują kliwość; córka bowiem przywołana przez rodziców, którzy jej pisemne pokazują oświadczenie, wygląda na gąskę czystej wody, z dość naiwnie, ale i głupio uśmiechniętą twarzą, której rumieniec wygląda na refleks różowej jubki. W charakterystyce tylko samego ojca wiele życia; w kolorycie miła harmonia. Przejmującego zato wrażenia realizmem pędzla p. Axentowicza doznaje się przed jego kompozycją p. t.: „Pustelnik.” W jaskini, której ruchomości stanowi garść barłogu, stara rogoża i brewiarz, kłęczy starzec po biodra obnażony, zatopiony w modlitwie.—Z krajobrazów piękny „Z naszych okolic” Kochanowskiego i „Z nad brzegów jeziora Auranzo w południowym Tyrolu” Świeszewskiego, Al. Schouppého: „Góra Gewont w Tatrach.”—Andrzeja Grabowskiego portret Franciszka Smolki, ma wszystkie cechy tego znanego portretów malarza; niepospolitemi jest również M. Krajewskiego portret damy w rembrandtowskim kapeluszu. Pan W. Kossak chciał się również w tym rodzaju malarstwa spróbować i zrobić fiasco. Portret marszałka krajowego M. Zybkiewicza jest chybiony; portrety dwu siostr razem w balowych toaletach, nie odznaczają się też niczém. W pracach p. W. Kossaka widzimy pośpiech szkodliwy; jego „Sztab Skrzyneckiego” to ilustracja kolorowana z dawnego „Przyjaciela domowego.”

Na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych zjawiły się niedawno dwie akwarele znacznych rozmiarów Juliana Fałata. Pierwsza z nich „Przy studni,” przedstawia grupę ośmiu osób na pierwszym planie umieszczonych, wcale malowniczo, a w szczegółach misternie wykonanych; druga „Mnicha z mszałem.” Piękne są też akwarele Talowskiego; ale nienaturalnością wychuchanego kolorytu, razi akwarela Tondosa, podpisana „Dajwór przy Kazimierzu.”

Z obrazów olejnych zwraca na siebie uwagę w części historycznej obraz Rejchana Stanisława „Perykles i Aspazya;” również piękny jest tego samego artysty portret mężczyzny. Ant. Kozakiewicza „Tandeta” i S. Bieszczada „To nic nie wart,” choć pokrewne treścią, różnią się bardzo wykonaniem, jakkolwiek i temu ostatniemu trudno wielu odmówić zalet. Nakoniec wymienić musimy Herncisza „Chłopca zapalające-

go fajkę," Papieskiego „Starego kawalera," Kleczyńskiego „U przewozu" i Jasińskiego podobnież zatytułowany wdzięczny obrazek. Piękne są Maryi Dulębianki „Studyum z natury," „Zamyślona" i „Jałmużna."

Niezwykłą a zarazem wielce korzystną, osobliwie dla młodych adeptów sztuki, była wystawa obrazów malarzy dawnych, urządzona w salach Sukiennic na dochód krakowskiego Towarzystwa dobroczynności. Złożyły się na nią galerye prywatne hr. Potockich, ks. Lubomirskich i w części hr. Tarnowskiego. Przedewszystkiem cenne egzemplarze znajdują się z zakresu malarstwa religijnego. Van Dycka „Spozelizio ś. Katarzyny," a w większej jeszcze mierze „Spoczynek Familii Świętej," Dolci'ego „Ś. Paweł pustelnik," Correggia „Święta Familia" i Ary Scheffera akwarela „Rozmowa ś. Moniki z ś. Augustynem w Ostyi," są pięknym wyrazem tego uczucia religijnego, które w wiekach dawnych ożywiało serca i umysły artystów, zagrzewało do kreacyi niedoścignionych. Wspaniałe są Dawida Teniersa dwie utarczki kawaleryi i przejmująca prawda sytuacji „Bitwa pod Waterloo" Karola Stenbena. Z portretów zasługuje na uwagę Filipa de Champagne portret Colberta, Velasqueza portret kardynała Xymenesa, Paola Cagliari portret Katarzyny de Medicis, Leonarda da Vinci głowa malowana na drzewie, Bacciarellego portret króla Stanisława Augusta, pseudo Van Dycka portret Cromwella i Lampi'ego portret damy. Nader miłe i urocze są trzy główki Jana Babpt. Greuze'a. W najszabszych okazach mamy malarstwo rodzajowe i pejzaże. Piękne są Querfurta dwa obrazki przedstawiające Polowanie konno, Gauermana Okolica styryjska, jeden z krajobrazów Duvivier'a. Kopia obrazu Battogniego z galeryi drezdeńskiej, wykonana sepją przez Jakóba Seidelmana, w sposób jemu właściwy, a przedstawiająca Magdalenę pokutującą w postawie leżącej, robi bardzo miłe wrażenie.

Dla naszych artystów młodych, którzy nie mają sposobności udania się zagranicę, by w galeryach sławnych mistrzów studyować, jest ta wystawa przedstawiająca w 15 obrazach szkołę wenecką, w 18 szkołę rzymską i florencką, w 21 szkoły inne włoskie, w 8 flamandzką, w 13 holenderską, w 18 niemiecką i w 25 francuską; prawdziwem dobrodziejstwem i słuszne były ztąd żądania naszego dziennikarstwa, aby ją jak najdłużej pozostawić otwartą, o ile to nie przekracza dobrej woli właścicieli.

Wszystkie przeto strony życia intelektualnego i artystycznego, znalazły u nas swoich niepoślednich reprezentantów, i oby tylko reszta roku była tak ożywioną we wszystkich sferach naszego życia narodowego, jak ten pierwszy kwartał, nie wahalibyśmy się przedstawić jój czytelnikom „Biblioteki," podtrzymującej niemal od pół wieku poważnie i wytrwale perydyczność naukową w literaturze polskiej.

Kraków, w kwietniu 1882.

No... No...

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Obrazki z życia i prawdy.” Zofii Rudnickiej, 2 t. w 8-ce mn. Ser. I, str. 235, II, str. 132, 122. (t. XVII i XVIII Biblioteki Nowości. Nakładem K. Łukaszewicza we Lwowie r. 1882).

„Obrazki” niniejsze dają się tak rozsegregować: „Marysia Stecka” i „Dwóch mężów” są ludowe, to jest opisują „zdarzenia prawdziwe” jak zapewnia autorka z życia ludu wiejskiego; „Niezawsze trzeba wierzyć,” „Nina,” „Za radą przyjaciółki,” są rodzajowe z życia potocznego klas wyższych; nakoniec: „Branka Turecka i „Palejowa córka” są historyczne a raczej podaniowe, z tych pierwszy ma być osnuty na tle podań własnej rodziny autorki:

Obrazki każdej téj seryi jednoczą się zupełnem podobieństwem sytuacji charakterów, toku rzeczy, tak że okrom dłuższego wątku zdarzeń, żona „dwóch mężów” ciągle przypomina „Marysię Stecką” a młoda mężatka, która tak słuchała rad przyjaciółki, jest jakby rodzoną siostrą „Niny”. Mniej już podobne są do siebie dwa wyż. wspomniane obrazki podaniowe, bo „Branka Turecka” ma tło historyczne czasów Jana Sobieskiego, choć bez kolorytu dziejowego, a „Palejowa córka” jest tylko wyjaśnieniem podania ludowego, o pokutującej po śmierci córce rozbójnika Paleja, zabitej przez ojca za miłość do nienawistnego mu kniazia Ostafiego.

Lubo „Marysia Stecka” jest „prawdziwe opowiadanie wieśniaczki” a „Dwóch mężów” również „zdarzenie prawdziwe”, obydwa jednak opowiadania tak odbiegają od naturalnego życia sfery, z której pochodzą, że za prawdziwy obrazek tego życia z trudnością przyjąć ich przychodzi; choć nie zaprzeczamy, że tak głęboka i wytrwała miłość jaką żywi Marysia dla swego Fed’ka, podobnież, Xenia dla Hrehorka, mogą się zdarzyć w stanie prostaczym jak i u ludzi wyższego towarzystwa. Dla prawdy zdarzenia autorka czuła się zniewoloną poświęcić prawdę artystyczną, która wymaga jedności szczegółów opowiadania z jego celem: silne namiętności nieprzystają do świata sielanko-

wego, który stanowi tło tych powiastek. Z Marysią Stecką godzi nas jeszcze jęj religijność: pod klątwą ojcowską poświęca swoje miłość dla kochanka obowiązkowi, który jęj każe ocalić podupadłych rodziców, zamężciem z dostatnim gospodarzem; żoną jest uczciwą, nietylko dla tego, że ten za którego wyszła, jest dobrym mężem, ale że niewierności choć wymuszonej poniekąd przysiędze, dopuścić nie może. Ale Xenia „w Dwóch Mężach“ już razi fantastycznością. Z miłością dla kochanka łączy nieubłaganą nienawiść dla narzuconego jęj męża, z którym się gorzej obchodzi, niż on z nią, gdyż jemu zarzucić może, chyba brutalstwo, że gwałtem narzucał się tęg, która go odpychała ze wstrętem, ale która mogłaby go uszczęśliwić a nawet uszlachetnić, nie już miłością, ale choćby ludzkiem obejściem. Z rozpaczy, zostaje zbójcą a Xenia dowiedziawszy się, że jest zgubionym, czuje się tylko uszczęśliwioną, że się go nareszcie pozbyła. Kilkakrotny zamach jego po powrocie z Syberyj na Xenię, która już była żoną, dawnego swego kochanka, i matką jego dzieci; spotkanie z Sarą, exaltowaną żydówką, która pomiędzy miłością dla nięj syna dziedzica a obowiązkiem względem rodziców, znalazła wyjście we wstąpieniu do klasztoru; długie ukrywanie się Xenii przed pierwszym mężem, w grocie; — wszystko to, pomimo możebnej prawdziwości podania, które przywodzi autorka, przypomina jakoś powieści o zaklętych królewiczach i królewnach. Zbyt heroiczny środek bronienia się od bezprawnej napaści.

W powiastkach drugiego oddziału, choć osnowy zmyślonej, więcej jest naturalności. Powiastka „Nie zawsze trzeba wierzyć“ ma pod tym względem najwięcej zalety. Znajdujemy tu naukę pożyteczną i dla panien i dla młodych mężatek, którym się zachciewa tego, czem być nie można. Gucio wcale niegłupi młodziak, wycalował kuzynkę Lolę, ale dowiedziawszy się, że o jęj rękę oświadczył się porządny dzierżawca, pomyślał wnet sobie „jakaby to była śliczna rzecz mieć zamożną, bogatą a tak piękną kuzynkę.“ Jakoż wyperswadował jęj, że nie powinna gardzić tak dobrą partją, a sam zapewnił, że jęj kochać nie przestanie. Skończyło się, jak się skończyć musiało. Lola przeboleła długie dni, ale gdy się dowiedziała że kochający kuzynek ożenił się z drugą, po mdłościach, spazmach, płaczach, i t. p. przeprosiła się z mężem.

Cieęższe próby przebyła Cesia (za radą przyjaciółki, z którą kuzynek Adaś obchodził się bardziej po bratersku, ale miała za to doradczynię w osobie jego ciotki, jednej z liczby tych dam światowych, co za młodu zajmują się, „studjowaniem serc“ a gdy nadeszły latka, znajdują zabawkę w zakłócaniu cudzej spokojności domowej. Usiłowania tęg damy, żeby swego siostrzeńca wsadzić pomiędzy Cecylię i jęj męża, nie udały się; p. Adam był stateczny. Ale młoda mężatka bardzo łatwo dała się przekonać, że jest nieszczęśliwa i porzuciła męża. Zaraz na wstępie tej awanturki, spotkało ją smutne rozczarowanie: dowiedziała się, że jest igraszką próżniacko-salonowej intrygi; bieda materyalna ciężko dała się we znaki. Ale „co dokuczy, to i nauczy“;

nastąpiła skrucha i powrót do obowiązku, który autorka cokolwiek kunsztownie, ale z umiarkowaniem, przeprowadza za pośrednictwem starego przyjaciela męża Cecylii.

Najmnień szczęśliwym z obrazków tego rodzaju jest Nina. Pani Jakóbowa (Mila) jest żoną człowieka „dobrym“ zwanego, co znaczy iż „niezrobił nic wybitnie złego, ale też nikt pretensyi nie miał, aby mógł co dobrego zrobić“. Miała także za młodu swój romansik, swoje sielankę, ale czuły Korydon kończył jeszcze uniwersytet, był bez majątku i losu: po długiej walce, trzeba było spełnić ofiarę. Mila rozstała się z marzeniem szczęścia, wyszła za mąż za człowieka bardzo prozaicznego a jednak była dobrą żoną, matką i gospodynią. Kuzynka jej Nina wyszła za mąż za człowieka lepiej ułożonego, dystygnowańskiego a mocno do niej przywiązanego. Była z niego zupełnie zadowoloną: „Czyż jest człowiek coby wytrzymał porównanie z moim Konstantym? w całym życiu mojem, nie spotkałam człowieka“ i t. d. wyrażała swoje myśli. A przecież gdy się pojawił p. Juliusz przyjaciel Konstantego, człowiek młody ale pozorze statecznego, przyszło jej do głowy, że musi się w niego zakochać. Od igraszek, zalotów światowych przyszło do zakochania i p. Konstantowa znalazła sobie człowieka, który zupełnie zakasował jej męża; p. Juliusz niechce zdradzać przyjaciela, ale delikatność dla kobiety nie pozwala mu szorstko odpychać rzucającej się mu w objęcia. Owoce zakazane nie dadzą się ukryć; romans zamienia się na tragedya, więc pojedynek, śmierć; lekkomyślna mężatka wstępuje do Norbertanek, pokutować za chwile zapomnienia.

A teraz zapytujemy, po co to wszystko? Techniczna strona obrazka cóż na tém zyskała że jego widnokrąg zboczony został krwią? Czytelnikom szukającym agitacyi nerwowej, zamala satysfakcyja? owszem delikatniejsi, będą mieli żal do autorki, że główną ofiarą zrobiła człowieka niewinnego. Pod względem etycznym, rzecz jest zupełnie chybiona. Cała książka pozwala wnosić o autorce, jako osobie bardzo poważnie biorącej obowiązki moralne. Nie sądzimy, żeby w niniejszej powiastce rozwijać chciała jedynie oklepany temat „ostrożnie z ogniem“; p. Z. R., jak się zdaje, rzecz bierze głębiej a zarazem i praktyczniej. Obowiązek przyszłej matki rodziny stawia po nad wszystkie przywileje tolerancyi światowej. Celem jej było widocznie, wytknąć niebezpieczeństwo wszelkiego zboczenia z twardej drogi dozgonnego obowiązku. „Kto się zapala żądzą nienależącą do siebie, nieciasty, popełnia już grzech cudzołóstwa, mówi Pismo ś.“ Z tak ścisłego pojmowania obowiązku małżeństwa, wynika surowa odpowiedzialność; słusznem się też wydaje, żeby zapomnienie choćby chwilowe obowiązku dozgonnego, karane było w sposób pamiętny na całe życie. Czy jednakże ta kara ma być koniecznie obciążona wyrzutem sumienia, krzywdy niewinnemu wynagrodzić się niedającą. Do tego braku symetrii moralnej pomiędzy zamiarem a uczynkiem, występkiem a karą, dołącza się jeszcze fatalizm, tem niestosowniejszy, że do żadnego efektu tragicznego służyć nie może. Dlaczegoż p. Jakób który jest „do-

brym“ tylko, ale niskiego poziomu moralnego człowiekiem, ma być szczęśliwszym mężem niż Konstanty niezmiernie od niego wyższy i którego katastrofy nic zgoła nie usprawiedliwia?

Praktycznie biorąc, morał tego opowiadania zupełnie jest chybiomy. Zawiele w nim grozy dla odstraszenia płochych, ale nieryzykujących się na złamanie wiary: lecz nadzieja zwycięzkiego wyjścia z przedsięwzięcia najeżonego tyłu niebezpieczeństwami, jest właśnie podniętą dla pogrążonych w zbytkach i rozpuście „rozbójników salonowych.“ Myśl autorki jest dobra, ale sternikowi nawy jęj opowiadania zarzucić należy, że jakby rozmyślnie szukał burzy, która zamiast do portu, zaniósł ją okręt na mieliznę.

Ogólną cechą „obrazków z życia i prawdy“ jest uderzające sprzeciwieństwo formy z treścią. Koloryt ich jest nadzwyczaj romansowy, jakby wzięty z pierwszego ognia wieku Koloandrow. Najwyższa to zapewne strona życia, lecz tém bardziej nietrzeba nadużywać farb w jęj malowaniu; zbyt wielki to przedmiot, aby zniknąć mógł w cieniu. A przecie bardzoby się pomylił, ktoby w tym kolorze chciał widziéć pogląd autorki na życie. Błąd to zresztą byłby nadzwyczaj płytkiej głowy czytelnika, gdyż p. Z. R. przez cały ten szereg scen uczuciowych przeprowadza wcale widoczne pasmo myśli wytrawniej, wielce trzeźwego poglądu na życie; romantyczne ma pióro ale przekonania stateczne, pozytywne. Ten zresztą, albo raczej, tego rodzaju pozytywizm, nie ma nic wspólnego z realizmem nowoczesnego powieściopisarstwa, który zawładnął piórem wielu naszych kobiet piszących, np. Morzkowskiej, Orzeszkowej, Sadowskiej i t. p. Chcąc znaleźć dla niej wzory, trzeba się cofnąć w dawne czasy naszego powieściopisarstwa. Najwięcej powinowactwa okazuje jak się zdaje z Jaraczewską. Nie mierzymy zresztą skali wartości względnej tych dwóch autorek. Dzieło niniejsze autorki nowo wstępującej w zawód a przynajmniej mało dotąd znaniej, sądzić powinniśmy raczej pod względem zalet niż wad, które z wielu pochodzić mogą przyczyn. Otóż powiedzieć możemy, że pomimo pewnego braku artystycznej formy, „Obrazki“ p. Z. R. podobać się mogą a poczęści na to zasługują. Jest w nich dużo naturalnego ciepła, jest pewna świeżość myśli, która wynika z czystości moralnej; obfitość żywiołu erotycznego niedoprowadza nigdzie do ckliwj sentymentalności. Z życzeniem lepszego nastrojenia formy do treści, powiedzieć można, że książka niniejsza, autorki swojej źle nierekomenduje.

R. B.

„Mapa archeologiczna Prus Zachodnich (dawniej Królewskich) z przyległemi częściami W. Ks. Poznańskiego.” Tekst objaśniający. Na podstawie badań dokonanych w latach 1875—1878 opracował Godfryd Ossowski. Wydanie nakładem ś. p. Zygmunta Działowskiego. Kraków, 1881.

Wszelkie poszukiwania starożytnicze, odkrycia i wykopaliska, nabierają dopiero wtedy prawdziwego znaczenia dla nauki, gdy przeprowadzono je systematycznie w danej okolicy lub porównano i zestawiono w jeden obraz na mniejszej lub większej przestrzeni krajów. Luźne odkrycia mają wprawdzie podstawowe znaczenie owych cegieł, bez których gmach stanąć nie może, ale żeby stanął, należy posiadać dostateczną onych ilość i wapno albo cement do spojenia. W literaturze naszej archeologii, zwłaszcza przed kilkunastu laty, lub nieco dawniej, stawiano nieraz wnioski i hipotezy, które nie mają dziś naukowego znaczenia, bo wysnute były z faktów pojedynczych a upaść musiały wobec szeregu nowych odkryć. Że wspomnimy tu tylko „O wykopaliskach leżajskich,” pracę napisaną pięknie i z erudycją przez Karola Rogawskiego, który jednak niewątpliwie rzecz swoją całkiem inaczej traktowałby, gdyby wówczas znano tak liczne w naszym kraju stacye krzemienne, do których i Leżajsk przeważnie należy.

Tym cementem, który w jeden obraz plastyczny łączy owoce mnogich odkryć i poszukiwań, są przedewszystkiem mapy archeologiczne, na których za pomocą oddzielnych znaków, określających różnego rodzaju przedhistoryczne sadyby, horodyszcza, groby i wykopaliska, badacz oryentować się może z łatwością po całym kraju, który na wielkim arkuszu papieru przed okiem jego leży. Map takich nie mieliśmy jeszcze, a tylko rozrzucone do nich materyały, niekiedy zgrupowane, jak n. p. przez Szaniawskiego w „Kaliszaninie,” przez Sadowskiego w pracy p. n. „Porzeczce Warty i Baryczy.” Olbrzymi tego rodzaju materyał, dziś stracony prawie dla nauki, widzieliśmy w rękopisach u ś. p. Bolesława Podczaszyńskiego, a p. Sadowski zamierza na wzór Warty i Baryczy, opracować dorzeczce Wisły.

Pierwszą w języku polskim a zarazem wspaniałą próbą, jest mapa archeologiczna Prus Zachodnich, opracowana przez p. G. Ossowskiego a wydana w Paryżu nakładem ś. p. Zyg. Działowskiego, prezesa wydziału archeologicznego i historycznego Towarzystwa naukowego w Toruniu. Pan Zygmunt Działowski świątły, zamożny i zasłużony ziemianin z Prus Zachodnich, zaprosił w r. 1875 w swoje rodzinne strony pana Ossowskiego, geologa i archeologa z Wołynia i do zbadania kraju pomiędzy Bałtykiem a Toruniem i Bydgoszczą, oraz sporządzenia mapy archeologiczno-topograficznej, środków materyalnych dostarczył, przy pomocy obywatelstwa polskiego stron tamtych. Tym sposobem powstała wielka karta z oznaczeniem wzgórz, płaszczyzn

i wklęsłości. Kolorem błękitnym, na rozmaity sposób cieniowanym, oznaczono na niej wody i moczary dawniejsze aluwialne, także wody, bagna, moczary i torfowiska współczesne, dzisiejsze. Wogóle karta długa 109 a szeroka 82 centymetrów przedstawia się nader świetnie, estetycznie, i jest ostatnim wyrazem paryżkiej mapografii. Na przestrzeni kraju dwadzieścia kilka mil długiej i kilkanaście szerokiej, naznaczono kilkaset miejscowości, w których poczyniono odkrycia i znaleziono zabytki przedwiekowe przy poszukiwaniach lub w sposób przypadkowy. Do oznaczenia rodzaju tych zabytków, użył p. O. na karcie rozmaite znaki, do których podał objaśnienia w dwóch językach: polskim i francuzkim. Takimi-to oddzielnymi znakami w mapografii archeologicznej, w ostatnich czasach przyjętemi, oznaczone tu są: palafity, okopy jednowałowe i dwuwałowe, mogiły ziemne i kamienne, groby nieciałopalne odosobnione i rzędowe, ciałopalne skrzynkowe, podkłoszowe, w urnach odosobnionych, kamienie ustawione na powierzchni: podziemne, legendowe, dołkowane, menhiry, trójki, szeregi, figury prostoboczne, kręgi, grupy nieforemne; dalej odkrycia przedmiotów zbiorowych, kjökkenmødding'i zabytki zbadane, zniszczone, domniemane, fałszywe, w liczbie małej lub wielkiej, z wieku paleolitycznego, neolitycznego, brązu lub żelaza. Użyte tu kombinowania znaków archeologicznych opierają się na podstawie zaleconej przez 7-mą sesję kongresu międzynarodowego antropologiczno-archeologicznego w Sztokholmie w 1874 r.

Z mapy pana Ossowskiego widzimy jak gęsto zamieszkane były w czasach przedhistorycznych okolice między Toruniem a Chełmnem, także koło Gościeradza, Gniewu, Skurcza, Malborku, Żukowa i nad morzem, na północ od Gdańska, gdzie dotąd istnieją nazwy wiosek polskie. Szeregi grodzisk czyli starożytnych warowni, widzimy szczególniej w okolicy Jabłonowa, Łasina i Gniewu. O ile w okolicach nadmorskich grodzisk prawie niéma, o tyle w głębi kraju, na wschód od Wisły, wielka ich mnogość. Mogił kamiennych ciałopalnych najwięcej w okolicy Nawry w Chełmińskim, tudzież na Kaszubach. Cały kraj atoli, jest tak zasiany grobami skrzynkowymi (z samorodnych płyt kamiennych,) że je uważać należy za właściwe ogółowi ludności tubylczej i od wieków krajowej, a wszystkie inne za należące do obyczajów i plemion obcych, wędrownych a przynajmniej wyjątkowe miejscowości zamieszkujących.

„Tekst objaśniający“ napisany do mapy powyższej przez p. Ossowskiego, jest ozdobnie wydaném dziełem w dwóch językach: polskim i francuzkim, a w formie wielkiej 4-ki. W „przedmowie“ autor objaśnia historją i stanowisko swojej pracy, oraz dziękuje obywatelstwu miejscowemu za szczerą pomoc i usuwanie trudności w dokonaniu dzieła, które na świeżej mogile zasłużonego ś. p. Zygmunta Działowskiego składa. W obszernym „wstępie“ p. Ossowski określa: obszar badań, przedhistoryczną fizyografią kraju i jego topograficzny obraz na podstawie studyów geologicznych, topografią pierwotnych siedlisk przedhi-

storycznej ludności, komunikacye na zewnątrz kraju i klasyfikacye zabytków przedhistorycznych. Przestrzeń zakreślona mapą i objęta przez badacza zawiera w sobie powiaty z Prus Zachodnich: Toruński, Chełmiński, Brodnicki, zachodnią część powiatu Lubawskiego, powiat Suski, Grudziącki, Kwidzyński, Sztumski, Malborski, Elbląski, Gdański, Wejcherowski, Kartuzki, Kościerzynski, Starogardzki, Chojnicki, Tucholski, wschodnią część powiatu Złotowskiego i pow. Świecki. Przestrzeń ta odpowiada prawie obszarowi dawnych Prus Królewskich z małym wyjątkiem dawniej Warmii i pow. Człuchowskiego, które w skład mapy nie weszły. Natomiast włączono tu powiaty Kwidzyński i Suski, należące niegdyś do Prus Książęcych i część pow. Złotowskiego z Wielkopolski.

Pan Ossowski twierdzi, że przestrzeń powyższa kraju stanowi pełną fizyograficzną całość, mającą związek z etnograficzną poniekąd odrębnością starożytnych jej mieszkańców. Jakkolwiek twierdzenie to oparte jest na podstawie wielu danych, to przecież zupełnej lub niezupełnej jego słuszności nie można ocenić, nie mając przed sobą takiej samej mapy archeologicznej sąsiadujących z Prusami Zachodnimi okolic Królestwa Polskiego, Pomorza i t. d. Zdaniem naszym, p. Ossowski nazbyt wielką także upatruje różnicę pod względem hydrograficznym pomiędzy wiekiem naszym a dobą badanych zabytków archeologicznych. Że różnica ilości i poziomu wód istniała, to więcéj jak pewno, ale czy była tak potężna, jak twierdzi autor, o tém wątpimy, bo nasze własne poszukiwania i spostrzeżenia na Mazowszu, Podlasiu, Litwie, a nawet w Wielkopolsce dopełnione, do nieco innych doprowadziły nas rezultatów. P. Ossowski powiada np., że „sama rozległa i mocno zagłębona dolina Wisły wskazuje, że całe szerokie, nizinne jej brzegowiska, w bardzo niedawnych dopięro czasach mogły się wynurzyć z pod wód stałych, któremi one dawniej pokryte były na całej swéj szerokości.” Że tak być mogło, nie przeczymy; ale stało się to w czasach niekończenie dawniejszych, niż nasze groby i popielnice, które względnie do formacyi potopowych i ukształtowania się dzisiejszej powierzchni ziemi, należą do epoki bardzo późnej. Na Mazowszu np., gdzie Wisła ma prawie ten sam charakter, co w Prusiech, znajdowaliśmy stacye krzemienne i groby pogańskie w dolinie Wisły, zaledwie kilka stóp wyniesione nad wiosenne wylewy téj rzeki, co nader wymowne dowodzi, że nie tylko dolina ta podobny już kształt posiadała przed lat tysiącem, lub dwoma tysiącami, ale że i wody wiślane nie podnosiły się już wówczas wyżej nad wylewy dzisiejsze. To samo znaleźliśmy nad Niemnem, Narwią, Bugiem, Sanem i innemi rzekami dawniej Polski.

Z badań i opisów fizyograficznych autora widzimy, że przedhistoryczna kraina Prus Królewskich była oddzielona nader trudnemi do przebycia moczarami od Prus Książęcych na wschodzie i od Wielkopolski za rzeką Notecią na południu. Natomiast znajdowała się w naturalnej i bezpośredniej łączności z całym obszarem dzisiejszej Pomeraanii na zachodzie i gubernii Płockiej na południo-wschodzie. To téż za-

bytki Prus Królewskich nie mają nic wspólnego z wykopaliskami obszarów zaelbląskich, a bardzo mało jednorodnych z pruskiemi przytrafia się pomiędzy wykopaliskami W. Ks. Poznańskiego. Z drugiej zaś strony, bardzo blizkie powinowactwo archeologiczne łączy widocznie wykopaliska zachodnio-pruskie z zabytkami dzisiejszej Pomeranii, a zupełna tożsamość identyfikuje je z zabytkami Powiśla mazowieckiego w gubernii Płockiej. Są to ciekawe spostrzeżenia autora.

Do ważnych zabytków w Prusiech należą sztańce przedhistoryczne, położone zwykle na wyniosłościach koło wód i stroną obronną ku wodzie. Tworzą one niekiedy całe linie fortyfikacyjne, np. na porzeczu Ossy, na wybrzeżu Małej Ossy i na lewém porzeczu Wieżycy, między Sztokmitem a Dybowem, zkąd dalej ta ostatnia linia ciągnie się wzdłuż lewego Powiśla aż do Garcu. Sztańce te zaznaczają widocznie pogranicza pewnych terytoryalnych obszarów, zajętych w posiadłość przez ludność przedhistoryczną i zabezpieczonych niemi od strony wód przed napadem zewnętrznym. Tu mimowolnie nasuwa się pytanie, czy część tych warowni nie należy do czasów historycznych? Wszak i wojownicza doba Piastowska musiała zostawić po sobie pamiątki tego rodzaju.

Opis wszystkich zabytków podzielił nasz badacz na następujące działy: 1) pałafty; 2) okopy (szańce); 3) groby nieciałopalne (rzędowe); 4) mogiły kamienne; 5) groby kamienne skrzynkowe; 6) groby podkłoszowe; 7) kamienie ustawiane; 8) urny odosobnione; 9) odkrycia przypadkowe przedmiotów luźnych. Mówiąc w tym porządku o wszystkich zabytkach, na czele każdego rozdziału p. Ossowski kreśli ogólną charakterystykę tychże i wskazuje źródła, z których czerpać można do tego przedmiotu odnoszące się szczegóły. Dalej przechodzi wszystkie miejscowości, których szczegółowe indeksy, podług nazw wiosek i użytych znaków archeologicznych, podane są pracowicie na końcu dzieła.

W ogóle praca p. Godfryda Ossowskiego należy do najcenniejszych, jakie posiadamy w literaturze naszej archeologii, przynosi bowiem nauce materiał arcy-bogaty, a co najważniejsza, że systematycznie przez sumiennego badacza w jeden obraz ujęty. Brak wprawdzie „Tekstowi objaśniającemu” rysunków starożytności, ale te znalazły pomieszczenie w drugim dziele p. Ossowskiego, p. t.: „Prusy Zachodnie.” Akademia Umiejętności krakowska wydała od r. 1879 dwa zeszyty, a trzeci przygotowuje do druku. Tym sposobem obydwie te dzieła dopełniają się nawzajem, stanowią prawie jedną całość, bogatą skarbnicę dla nauki polskiej i pożądaną dla oka pod względem wydawniczym, a stawiającą naszego ziomka z Wołynia w rzędzie zasłużonych i wytrwalszych badaczy i pracowników naszych.

Z. Gloger.

„Les oeuvres d'imagination, essai d'esthétique littéraire,” par Jules Guillemin, professeur de littérature française à Varsowie, membre de plusieurs sociétés savantes de France, Varsowie, 1882, 8^o min., str. 92.

Książka powyższa, w obcym napisana języku, lubo bezpośrednio nas się nie tyczy, zasługuje na pewną uwagę ze strony krytyki polskiej z tego powodu, że pojawienie się dzieła poważniejszej treści w języku francuzkim w Warszawie, jest wypadkiem bardzo rzadkim; dalej, że znajdzie się zapewne w ręku licznej miejscowej publiczności, bawiącej się z przyzwyczajenia lub z lekkomyślności francuzczyzną, a wreszcie dlatego, iż pojęcia i wyobrażenia naszej kultury nie mogły pozostać bez żadnego wpływu na autora, piszącego wśród naszego społeczeństwa, człowieka gruntownie ukształconego i nie uprzedzonego względem tych „barbares slaves,” z których współczesna Francya tak nikczemnie naigrawać się nie wstydzi.

Geneza książeczki jest dość ciekawa. Przed piętnastu laty, gdy we Francyi panowała moda wykładów publicznych, zwanych konferencyami, urządzający takowe minister Duruy zawezwał do współudziału i pana Juliusza Guillemin'a, który podjął ważny temat „wyboru lektury.“ Lekcyja publiczna zwykle albo rzuca się w ką, albo téż bezpośrednio oddaje się do druku. W obu razach postępowanie trafne nie bywa. To, co nie warto było drukować, nie zasługiwało także na wygłaszanie z katedry; z drugiej strony odczyt, choćby najlepszy, zależny jest od tylu warunków przystępności, krótkości, często bywa pracą tak kwapioną, że doprawdy zazwyczaj nie godzi się podawać go czytelnikom w tej postaci, w jakiej słuchacze byli go otrzymali. Pan Guillemin ¹⁾, nie drukowawszy, ani nawet nie zachowawszy sobie pierwotnego odczytu, podjął jeszcze raz tę samą pracę i po upływie lat wielu, mieszkając już w naszym kraju, napisał rozprawkę o tém, „po jakich znamionach poznaje się dobrą książkę.“

Ponieważ autor mówi tu wyłącznie o dziełach wyobraźni, czyli beletrystycznych, mamy więc przed sobą rozprawkę estetyczną, a dotego skierowaną głównie do celów praktycznych. Ukazując, jakimi zaletami winno odznaczać się dzieło imaginacji, pan Guillemin daje wskazówki, jakimi zasadami należy się kierować, aby z niewyczerpanej skarbnicy literatury wybierać tylko rzeczy prawdziwie godne ob-

¹⁾ P. Guillemin w literaturze francuzkiej dobrze jest znany, zwłaszcza ze swych prac na polu dyalektologii i topografii Szampanii, a nadto ze studyów nad archeologią i dawną literaturą francuzką. W r. 1869 i 1870 wraz z p. L. Landa, wydawał przegląd p. t.: „Materiały historyczne i archeologiczne.

znajmienia się z niemi. Dziś, gdy ocean książek starych i nowych zalewa pokolenie nasze coraz bardziej, mogą rozumne i trafne wskazówki w tej sferze, być nader pożądanym sterem w żegludze po tych bezbrzeżnych toniach. Społeczeństwo czyta wiele, ciągle coraz więcej; ale należyty pożytek w masach wcale nie odpowiada ilości przeczytanych książek. Większość ludzi chwytą taki materiał czytelniczy, jaki mu chwila bieżąca nastęrcza; książki przechodzą przez liczne ręce, pozostawiając nader słabe i nietrwałe ślady w umyśle. Tak do wyboru, jak i do wyciągnięcia korzyści z książek do czytania, potrzeba pewnej sztuki, umiejętności. Czytelnik winien być potrochu krytykiem, winien kierować się pewnymi zasadami przy wyborze i sądzeniu książki, inaczej będzie przyjmował z idyotyczną biernością wszystko, co mu papier zadrukowany przedstawi, lub też powodować się będzie wrażeniami całkiem przypadkowego charakteru.

Pan Guillemin wychodzi z następującej zasady: „Mamy w sobie kilka władz, które budzą się i zadawalniają przy czytaniu pięknego dzieła literackiego. Są to: wyobraźnia, uczuciowość, rozum, poczucie moralne i gust. Postaram się okazać, że gdy autor umie wydobyć przymioty, zdolne zadowolnić owe pięć władz, wtedy łączy z sobą wszelkie estetyczne warunki doskonałości, dostępnej dla słabego człowieka. Wszelako jeśli autor posiada choćby kilka tylko przymiotów, które tutaj wyliczam, może już mieć znaczną wartość, lecz im więcej ich ze sobą łączy, tém większy podziw w nas obudza.“ Rozwijając szczegółowiej swe zasady i wykazując, w jaki sposób utwór poetycki każdemu z tych postulatów odpowiada, p. Guillemin przechodzi do rozmaitych przykładów nietylko z literatury francuzkiej, ale w ogóle z literatury powszechniej. Zna on dobrze literaturę starożytną, arcydzieła zachodnich narodów, nawet kilkakrotnie potrąca i o naszą literaturę, której wszelako nie zna dostatecznie; wspomina jednak trafnie w odpowiednich miejscach imiona Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza i Kraszewskiego. „Pana Tadeusza“ zalicza do arcydzieł narodowych (str. 58), a w inném miejscu powiada (str. 28): „To połączenie piękna i prawdy, ideału i rzeczywistości, znajduje się w „Panu Tadeuszu“ i czyni zeń arcydzieło. Przy tej sposobności wtrącam tę piękną myśl nieznanego autora: „Poemat ten podobien do drzew, które korzeniami tkwią w ziemi, a głowy wnoszą w niebiosa.“

Przykładów z literatury powszechniej autor nie rozwija, natrąca je tylko; dla znających literaturę jest to poządane przypomnienie, dla niezających stanowi pobudkę do bliższego zapoznania się z wielkimi dziełami, o których mowa. W sądach swych unika wszelkiej wyłączości, stojąc na podstawie rozsądnego eklektyzmu, nie sądzi bowiem, by ów system, jałowy w filozofii, był także jałowym w literaturze. Co szczególniej mile uderza czytelnika: p. Guillemin wolnym jest od szowinizmu, tak często napotykanego u Francuzów. Ceni on swój język; ale uznaje niższość jego pod względem harmonijności od greckiego, łacińskiego i włoskiego, uznaje trudności w rymowaniu francuzkiem, za-

rzuca Wiktorowi Hugo i Dumasowi młodszemu, że w „Marion Delorme“ i „Damie kameliówéj“ poświęcili uczucie przedmiotom niegodnym, zasługującym jedynie na pożałowanie. Nie zachwycą się on najnowszą plejadą poetów francuzkich, tak zwanych Parnasyjczyków, jak Leconte de Lisle, Teodor de Banville, w których widzi wydoskonalenie formy z uszczerbkiem idei i sądzi, że po W. Hugo Francya ma prawdziwego poetę w Fryderyku Mistralu (piszącym, jak wiadomo, po prowansalsku). Sąd p. Guillemina o Zoli i o szkole naturalistycznej jest surowy; ale sprawiedliwy. Guillemine zarzuca mu, że w imię prawdy przekracza granice poezyi i artyzmu i wkracza w „dziedzinę fizjologii, medycyny sądowej i alienizmu.“ Dziwném zato wydaje się nam twierdzenie autora o niemożliwości dobrych romansów historycznych, o niezgodności ze sobą tych dwóch pojęć (str. 32, 33), tém dziwniejsze, iż postawił twierdzenie swoje gołosłownie, a nadto jest w owym razie w sprzeczności z tém, co mówi na str. 13 o zdolności poetów do „odgadywania dawnych czasów, wskrzeszania ich i odbudowania za pomocą pewnego rodzaju intuicyi proroczej wstecznej.“

Związła a przytem lekka forma rozprawki, zamkniętej wraz z uwagami dodatkowemi, na kilkudziesięciu stronicach, na pierwszy rzut oka ściąga na autora podejrzenie o pobieżne i powierzchowne ślizganie się po przedmiocie. Wczytawszy się jednak w książeczkę, rozgrzeszamy go od tego zarzutu, owszem, uznajemy podkładkę znakomitego odczytania i znajomości przedmiotu, a zarazem chęć powiedzenia pokrótce a jasno i dostępnie szerokiemu kołu publiczności wielu prawd estetycznych ad usum skwapliwych czytelników beletrystyki. Prostota stylu, pełna wdzięku i wytworności, wiele uwag trafnych, a nie-raz niespodzianych, czynią dziełko p. Guillemina nietylko pożytecznym, ale jeszcze przyjemnym.

Jesteśmy stanowczymi przeciwnikami frankomanii, zwłaszcza gdy ta objawia się w parlowaniu po francuzku w życiu powszedniem, w konwersacyach po pensjach żeńskich i w masowem pochłanianiu produktów bieżącej literatury nadsekwauńskiej. W takich wypadkach koniecznie ucierpieć musi należyta znajomość języka ojczystego i literatury narodowej. Jednakże, gdy już jesteśmy tak nieszczęśliwi, że nie możemy tak jak Francuzi i Anglicy poprzestawać na ojczystej mowie, wolimy to zwracać się do Francyi, niżeli bierne poddawanie się niemczyźnie, jakie tak często razi u innych Słowian zachodnich. Publiczność nasza i tak wiele czyta po francuzku, życzymy więc jéj, aby przeczytała książeczkę p. Guillemina, a może niejeden zachęci się do poznania tego, co stanowi nie ginące nigdy bogactwo literatury powszechnej i upodobanie w czytaniu skieruje na właściwe tory.

Bronisław Grabowski.

„Gdzie leżał Raj?” Wo lag das Paradies? eine biblisch-assyriologische Studie mit zahlreichen assyriologischen Beiträgen zur biblischen Länder-und Völkerkunde und einer Karte Babylo niens von dr. Friedrich Delitzsch. Leipzig, 1881, str. X i 346, w 8-ce.

Z pośród narodów starożytnych, z którymi żydzi w ciągu swjej historyi, w bliższe mieli sposobność wejść stosunki, żaden nie wywarł na nich tak silnego i trwałego wpływu, jak Assyryjczycy i Babilończycy, z których pierwsi, jak wiadomo, sprowadzili upadek państwa Izraelskiego, drudzy państwa Judy. Nie bez przyczyny téż uwaga badaczy Starego Testamentu zwracała się zawsze ku owym ludom, tém więcéj wszakże jeszcze skierować się musiała w czasach najnowszych, począwszy od ostatnich lat czterdziestu, gdy Emil Botta, konsul francuzki w Mossul, a po nim Layard, ostatni ambasador angielski w Konstantynopolu, swojemi wykopaliskami, a w szczególności odkryciem napisów klinowych assyryjsko-babilońskich wśród ruin starożytnj Niniwy, sir Henry Rawlinson zaś pierwszemi pracami około ich odczytywania, inaugurowali nową erę w badaniach historyi starożytne go Wschodu w ogóle, a w assyriologii w szczególności, podobnie jak niedawno przedtém zwiastował ją Champollion w egiptologii, znalezieniem klucza do czytania hieroglifów.

I odtąd także datuje się prawdziwe żniwo wcale nowych, oryginalnych zdobyczy naukowych, z których każda sprowadza nagle, jakby różczką magiczną tyle pożądané światło tam, gdzie dotychczas uczeni i nieuczeni, błędząc po omacku, gubili się w labiryncie samych tylko przypuszczeń i wniosków. Przedewszystkiém jest już niewzruszonym owocem dotychczasowych studyów, na napisach klinowych opartych, że najstarszą ludnością Mezopotamii, t. j. kraju, objętego średnim i dolnym biegiem dwóch bliźnich rzek, Eufratu i Tygru, nie byli bynajmniej semicy Assyryjczycy i Babilończycy, lecz dwa inne bratnie plemiona, nieznanego jeszcze bliżej, ale z całą pewnością, nie semickiego pochodzenia, Akkadowie i Sumirowie, i że ci ostatni, a nie ludy semickie byli twórcami téj cywilizacji, jaką w dalszym ciągu jej rozwoju już lepiej znana historia w północnej i południowej Mezopotamii zastała. Również stało się dziś niewątpliwém, że jak Akkadowie i Sumirowie dla Assyryjczyków i Babilończyków, tak podobnie znowu Assyryjczycy i Babilończycy byli z kolei nauczycielami całej rzeszy narodów, z nimi sąsiadujących. Od nich to mianowicie, a głównie z Babilonii wyszedł i po całej południowo-zachodniej Azji rozpostarł się system monet, wag i miar, jak niemniej podział tygodnia na dni siedm, a godziny na 60 minut, nareszcie od nich dostały się pierwsze wzory sztuki nawet do Grecyi. Co więcéj, odczytywacze napisów klinowych, nietylko w opowiadaniu wypadków historycznych, mogli już stwierdzić mnóstwo

analogii między tekstem Starego Testamentu, a napisami klinowemi i doszukać się w ostatnich, prócz tego, wielu uzupełnień; lecz nadto zdołali już w niejednym względzie przekonać się najnieomylniej, że nawet najdalej w przeszłość sięgające tradycje, zawarte w księdze Genetis Mojżesza, niesłusznie były dotychczas poczytywane za własność ludu żydowskiego, skoro cały niemal cykl tych tradycji przedstawia się dzisiaj najwyraźniej zaczerpniętym ze źródeł znacznie starszych, assyryjsko-babilońskich, t. j. nie z kądinąd, lecz właśnie tylko z Mezopotamii biorącym swój początek i nie do innych odnoszącym się okolic, jak tylko do Babilonii. Już same wyobrażenia i podania żydów o pochodzeniu ich praojca Abrahama z Babilonii, w szczególności z miasta Chaldejskiego Ur, o którego położeniu pouczyły właśnie dopiero napisy klinowe — wyobrażenia, odpowiadające wprost podobnym opowiadaniom Berozosa, kapłana i historyka babilońskiego, z III-go wieku przed Chrystusem., o okolicach Babilonu, jako siedzibie pierwszych ludzi, dalej wykrycie znacznie starszych od Biblii tekstów klinowych, opowiadających o stworzeniu świata i o potopie z uderzającą zgodnością tak co do treści, jak i co do formy, z odnośnemi tekstami Starego Testamentu, nie pozostawiają co do pochodzenia tych tradycji żadnej wątpliwości. Najważniejsza różnica między osnową podań assyryjsko-babilońskich o stworzeniu świata i o potopie, a przedstawieniem w Starym Testamencie, polega na tém, że podania assyryjsko-babilońskie osnute są jeszcze na wielobóstwie i jako takie przenoszą nas w „dziecięcy jeszcze wiek ludzkości,” podczas gdy też same tradycje w tekstach Biblii już najwyraźniej opierają się na wierze w jednego, wszechmocnego Boga.

Tego rodzaju dotychczasowe zdobycze assyriologii, obudziły naturalnie słuszną w badaczach nadzieję, że prędej, czy później napisy klinowe jeszcze niejedną okoliczność i niejedną zagadkę z prastarych dziejów ludzkości rozjaśnią i rozwiążą. Oczekiwanie te przedstawiają się o tyle więcj uprawnionemi, o ile dotąd, stosunkowo jeszcze bardzo małą ilość tabliczek z napisami klinowemi zdołano odkopać, a i z téj ilości zaledwie dopiero cząstkę udało się odczytać. W szczególności nie wątpią assyriologowie, że wcześniej, czy później znajdzie się między tabliczkami napisów klinowych i tekst podania starobabilońskiego o upadku człowieka w Raju, jak się już znalazła na starobabilońskim walcu obrazowa ilustracya jego, przedstawiająca kobietę i mężczyznę, siedzących pod drzewem z wyciągniętymi ku jego owocom rękami, oraz węża, zajmującego za kobietą wyprostowaną postawę, przez co tém wymowniej jeszcze uwydatni się wpływ, pod jakim żydzi zostawali ze strony Assyryi i Babilonii.

Jakkolwiekby już i dzisiaj nie jesteśmy bez równie umiejętnych jak pewnych wskazówek, z kąd tradycya o Raju pochodzi, i do której to okolicy ziemi odnieść należy tę krainę pierwotnego szczęścia. Wskazówki te podaje nam dzieło głośnego assyriologa niemieckiego, prof. d-ra Fryderyka Delitzscha, zatytułowane pytaniem „Gdzie leżał Raj?”

Autor podnosi przedewszystkiém powszechną zgodność zapatrywań co do tój okoliczności, że podanie o Raju nie w Palestynie, lecz poza Palestyną, wzięło początek (str. 92) i następnie przypomina, jak dalece usposobienie, charakter i cała mitologia ludów semickich są odmienne od indoeuropejskich, a w szczególności jak jedyną w swoim rodzaju, jak oryginalną i dla Semitów charakterystyczną jest tradycja o Raju i jak w ten sposób tradycja ta nie dopuszcza najmniejszego podejrzenia, jakoby przez ludy semickie mogła być z zakresu podań aryjskich przejętą (str. 28 i 29). W dalszym ciągu wykazuje, że skoro nie wszystkie znowu ludy semickie podanie to posiadają, skoro w szczególności brak go Arabom, musiało zatem powstać w łonie pewnych tylko ludów semickich, a mianowicie, ponieważ Palestyna musi być w tój mierze wykluczoną, kolebką tego podania były siedziby żydów, poprzedzające ich przybycie do ziemi Kanaan, t. j. Babilonia czyli Chaldejacy, ojczyzna Abrahama.

Oznaczywszy tym sposobem ogólnie okolicę, w której jedynie podanie o Raju mogło wziąć początek, bez trudu tłumaczy dalej, dlaczego wszystkie dotychczasowe próby odszukania i umieszczenia Raju poza granicami Babilonii, okazały się i musiały zostać bez żadnego pozytywnego rezultatu. Wyjaśnia, dlaczego w kwestyi tój brakowało zawsze badaczom przewodniej latarni, dlaczego wszyscy z nich schodzili tak łatwo na błędne i dowolne drogi, i, umieszczając Raj to w Kaszmirze, to w Baktryi, to w Armenii, to nawet, coby Delitzsch winien był dodać, na hypotetycznym, w ocean Indyjski zapadłym lądzie „Lemuryi,” doprowadzili w końcu badania do stanu, dającego powód do narzekań w Niemczech na daremne wysilenia ze strony uczonych i nazywających wprost zajmowanie się ściśtem oznaczeniem geograficznego położenia Raju, trwonieniem napróżno czasu (str. 11—45).

Ostatecznie podejmuje autor raz jeszcze zagadnienie, tyle dla jego poprzedników niewdzięczne i tak w końcu zdyskredytowane, i podając raz jeszcze umiejętnej analizie słowa z Genesis o Raju, rozwiązuje swoje zadanie tak wprawném i decydującém piórem, z taką siłą argumentacyi, a jednak z taką łaskawością i bez wymuszenia, jakby w czytelnikach chciał znowu obudzić uczucie zdziwienia, że prawdę, którą wykrywa, mogły tak długo omijać badania dawniejsze. Poszukiwania autora dowodzą jasno, że nietylko ojczyznę podania o Raju była Babilonia, lecz że nadto podanie to odnosi się wprost do jednej, ściśle nawet dającój się oznaczyć okolicy dolnej Mezopotamii (str. 45—83).

Raj, według słów Genesis, był ogrodem, założonym przez Boga w Edenie, ogrodem zroszonym przez strumień, który rozgałęział się w nim na cztery rzeki: Pizon, opływającą cały kraj Chavila; Gihon, opływającą kraj Kusz; Chiddekel, płynącą po przedniej stronie kraju Assur, i na rzekę Frat. W opisie tym już same nazwy rzek Frat i Chiddekel, („Chiddekel” była starą assyryjską i hebrajską nazwą Tygrysu) przenoszą nas wprost do Mezopotamii, w szczególności zaś do oko-

licy samego Babilonu wyrażenie „Ogród w Edenie.” Okolica bowiem Babilonu, gdzie Eufrat i Tygrys najwięcej się do siebie zbliżają, była już od niepamiętnych czasów porytą siecią kanałów irygacyjnych i cieszyła się tak wielką, w skutek tego, urodzajnością, zwłaszcza w stosunku do otaczającej ją pustyni, że z jój powodu, już najstarsi mieszkańcy Babilonii nazwali ją „Kardunias,” t. j. „ogrodem boga Dunias,” podobnie więc, jak Chińczycy zwali „rajem” swe prasiadziwy w dolinie Tarymskiej, lub jak potem okolice Damaszku albo Samarkandy w przeciwieństwie do otaczających je pustyni, nazywały się w językach ludów Wschodu „Rajem.” Niesemickiego początku wyraz „Kar” zastąpiono z czasem wyrazem semickim „ginu,” oznaczającym również „ogród,” zczém okolica Babilonii zwała się „Gindunis,” z czego, jak już Rawlinson trafnie przypuszczał, mogła z łatwością powstać zepsuta nazwa ludowa „Gan-Eden,” oznaczająca „ogród w kraju Edenie.” Ale i inne szczegóły w opisie Raju w Genesie, rozpraszają najzupełniej wszelkie wątpliwości, że przez „Raj” należy rozumieć okolice Babilonu. W téj okolicy bowiem, rzeczywiście jeden tylko Eufrat jest i był strumieniem oddającym rolnictwu pierwszorzędne usługi, z niego jednego tylko, gdyż posiadał niższe brzegi, aniżeli Tygrys, biegły kanały irygacyjne, a więc on jeden mógł być nazwanym „strumieniem Raju.” Najtrudniej było oznaczyć badaczom nowszych czasów położenie rzek: Piszon i Gihon. Upatrywano je wszędzie. Widziano w nich to Indus i Oxus, to znowu Indus i Nil, to Araxes i Kur lub Fasis (Phasis) i t. p. Tymczasem, według Delitzscha, były to poprostu kanały, albo raczej starodawne rozwidlenia, czyli poboczne ramiona Eufratu. A mianowicie jedném takim poboczném ramieniem był t. zw. potem przez Arriana „Pallakopas,” odprowadzający nadmiar wody Eufratu z okolicy Babilonu na prawo, w pustynię, gdzie téż w skutek tego również wyższa niegdyś kwitnęła kultura i wznosiły się miasta jak Ur, ojczyzna Abrahama. Ramię to uchodziło nawet niegdyś osobno do zatoki Perskiej. Drugi, podobny naturalny kanał, odczepiał się również w pobliżu Babilonu od Eufratu, ale po wschodniej, t. j. lewej stronie téj rzeki, jako t. zw. w późniejszych czasach „Schatten-Nil i sam rozszczepiał się następnie, płynąc jedném ramieniem do Tygru, drugim wracając do Eufratu. Kraj „Chavilla” odpowiada, według Delitzscha, części pustyni Syryjskiej, dochodzącej do Eufratu i zatoki Perskiej. „Piszon więc opływający Chaville” oznaczałby najwyraźniej ramię Eufratu, „Pallakopasem” później przewane, podczas gdy „Gihonem” byłby Schatten-Nil, t. j. ramię, opływające kraj Kusz, czyli środkową Babilonią, skoro nazwa „Kusz” właśnie do niej się odnosi. Nie znaleziono tylko dotychczas nazw akkadzko-Sumirskich dla wymienionych kanałów, nazw, z których dopiero musiały być urobione semickie nazwy: Piszon i Gihon. Już dziś wszakże odszukano w katalogach rzek Babilonii, w napisach klinowych zachowanych, nazwę „Guga-ande”=Guhana=Gihon, po assyryjsku brzmiącą „Arachtum,” i oznaczającą kanał po lewej stronie Eufratu. „Piszon” zaś zdaje się odpowiadać wyrazowi

akkadzko-sumirskiemu i assyryjskiemu „pisanu,” który znaczy „zbiornik wody, wodociąg, kanał.”

Wszystkoby więc świadczyło najwymowniej, że przez „strumień Raju, rozszczepiający się na cztery rzeki,” należy rozumieć Eufrat, który, w średnim swym biegu mnogimi kanałami irygacyjnymi z Tygrysem sprzężony, tworzył z nim niejako jedną rzekę, a z którego w dalszym ciągu odczepiały się dwa ramiona Piszon i Gihon, podczas gdy Tygrys zyskiwał samodzielność, a sam Eufrat, znacznie pomniejszony, przyjmował w dolnym swym biegu charakter niejako osobnej, czwartej rzeki. Tém klasyczniejsze cechy przybiera to tłumaczenie Delitzscha z uwagi, że Augustyn Hausdorf w Pradze, w pracy swojej „Ueber die vier Flüsse Eden” (znanój Delitzschowi w rękopisie), udowadnia argumentami geologicznymi, iż niegdyś Eufrat i Tygr powyżej Babilonii, tworzyły istotnie jeden zwarty strumień, t. j. zbierały się podobnie w jedno łożysko, jak dziś to czynią, ale znacznie niżej, i że dopiero z czasem przyszło w ich średnim biegu do rozbratu w skutek osadzającego się w łożysku materiału alluwialnego.

Podobna interpretacya słów Genesis o Raju, wspiera się na zbyt silnych podstawach, ażeby mogła kiedykolwiek doznać zmian zasadniczych. Mogą ją tylko uzupełnić w szczegółach, gdy zostaną odkryte, opowiadające o Raju teksty klinowe.

F. Czerny.

„Jus primae noctis,” eine geschichtliche Untersuchung; von dr. Karl Schmidt. Fryburg w Bryzgowii.

Zanim powiemy słówko o samej książce, wypada przyznać autorowi zasługę, iż ten przedmiot w sposób metodyczny i zgodny z naukowymi wymaganiami poruszył. Przedmowa, gdzie podano spis wszystkich osób, z którymi autor był w piśmiennych stosunkach, świadczy o staranném przygotowywaniu materiałów do dzieła. Rejestr zamieszczony dalej wskazuje bogactwo treści, oraz umiejętny układ materji. Następnie wymieniono źródła, na których autor się opierał, stanowiące bogatą bibliografią przedmiotu. W końcu dzieła załączono indeksa chronologiczne, oraz imion własnych, co pod względem praktycznym użyteczność jego zwiększa. Istnienie tak zwanego droit de Seigneur (Kunica) powszechnie jest znane. Na tém tle powieściowi komedyopisarze, jak Beaumont i Fletcher, tworzyli niemało fantazyi, a Wolter całe ryzy papieru na polemiki spotrzebował. Nawet sztuka malarska, jak świadczy obraz Ferragutiego na ostatniej wystawie w Medyolanie, przedstawiający ofiarę niegodziwej ustawy, tém źródłem nie gardziła. (Reprodukcyja w Ilust. Ital., Nr. 12).

Dr. Schmidt spokojnie upewnia, że ustawa, lub zwyczaj, po sto razy powoływane dla stwierdzenia dzikości wieków średnich, tudzież upadku obrzydliwego ubogiej klasy pod systematem feodalnym, nigdy nie istniały, a wiara w nie tylko jest „ein gelehrter Aberglaube.” Czy wycieczka obecna d-ra Schmidta zachwieje tą wiarą? Ocena źródeł przytoczonych przezeń wydaje się dosyć stronną i dowolną. Uznaje on Hektora Boëthiusa za wynalazcę praw owych, w jego bowiem historii pierwsza ma być o tém wzmianka. Umarł on w 1550 r. i nie ma wcześniejszej o zwyczaju ohydny m wiadomości. Prawo pomienione ze Szkocyi miało się rozlać potokiem po całej Europie, nie zostawwszy jednak śladu w dopiskach, ani glossariach. Prawie nie do pojęcia jest, aby w katalogowanych zbiorach o niem nie uczyniono wzmianki, aby przeszło w życiu społeczném bez odbicia się w kościele i piśmiennictwie. Jeśli wszelako tak było, czém przesąd naukowy usprawiedliwi się? Składały się na to różne powody.

Zdarzały się nadużycia ze strony pojedynczych osób, o dzikięj, nieokiełznanęj naturze, które służące im przywileje władzy przekraczały. Legendy i fantazyjne opowiadania wędrownych gęślarzy, co wówczas pisma peryodyczne zastępowali, posłużyły do szerzenia wiadomości o podobnych wypadkach i utrwalenia onych w tradycyi. Niewątpliwem jest jednak, iż pan lenny miał tytuł mieszania się do małżeństwa podwładnych i zwłaszcza włościaninowi pozwolenia na wstąpienie w związki mógł odmówić. Ztąd powstał niesporny zwyczaj składania opłaty przy uroczystości ślubnej na rzecz właściciela gruntu i był naj-silniejszą pobudką do uwierzenia w istnienie ohydnygo zwyczaju, który w oczach autora jest urojeniem.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,
NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Kwiecień 1882 r.— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, przesłał Red. „Bibl. Warsz.“ p. d. 4 marca r. b. następujące ogłoszenie: „Z powodu przejścia domu gubernatorskiego, z posiadania rządu, w inne ręce, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, w krótkim czasie zmuszonem będzie opuścić mury, w których się przed dwunasty laty własnym kosztem urządziło i szukać dla siebie innego pomieszczenia. Trudność odnalezienia odpowiedniego lokalu, czyniącego zadość potrzebom Towarzystwa, a szczególniej wystawy dzieł sztuki, oraz brak funduszków na pokrycie kosztów komornego, które dotąd budżetu Towarzystwa prawie wcale nie obciążało, skłoniły Komitet do powzięcia myśli wystawienia dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych własnego domu. W przekonaniu, że w obec świetnego rozwoju sztuki polskiej i jej uszlachetniającego wpływu na wszystkie warstwy społeczeństwa, kraj cały przyjmie gorący udział w sprawie wystawienia w naszym grodzie takiego publicznego przybytku dla sztuki krajowej, Komitet wyjednał u rządu zezwolenie na zbieranie składek dobrowolnych w obrębie Królestwa Polskiego do wysokości stu tysięcy rubli. Do przyjmowania tych składek upoważnieni są członkowie Komitetu, kustosz i korespondenci Towarzystwa, wszystkie redakcje pism peryodycznych krajowych, oraz inne osoby do tego przez Komitet piśmiennie zaproszone i w tym celu zaopatrzone w osobne kwitariusze.

Podając o tém do publicznej wiadomości, Komitet Towarzystwa ma niepełną nadzieję, że społeczność nasza zrozumie wysoką doniosłość tej sprawy i ochoczo ją poprze w imię dobra powszechnego. A w ten sposób, przy energii i poświęceniu ludzi dobrej woli, stanie wkrótce w Warszawie, zbiorowemi siłami przybytek pamiątkowy, godny sztuki krajowej.

Jeżeli Czesi miliony zebrali dla wzniesienia w Pradze teatru, to się zapewne znajdą u nas sto tysięcy na cel równie piękny i wzniosły!

W tém przeświadczeniu rozpoczyna Komitet pracę około tego dzieła i da Bóg, ujrzy je wkrótce uwieńczone m dla chluby kraju i sztuki."

Słowa powyższe nie potrzebują żadnego komentarza i nie wątpimy, że czytelnicy „Bibl. Warsz.“ pośpieszą ochno ze swojemi datkami, które w Redakcyi składać można codziennie (prócz dni świątecznych) od godziny 10-tój do 12-tój rano i od 6 tój do 7 éj po południu.

— List fundacyjny „Macierzy polskiej“ zawiera następujące artykuły:

1. Celem fundacyi jest szerzenie oświaty narodowej w tych warstwach społeczeństwa, w których jój potrzeba okaże się najpilniejsza.

2. Pierwotny majątek zakładowy fundacyi stanowią nateraz Listy zastawne kijowskiego banku ziemskiego, a mianowicie: a) Listy zastawne wydane na okres 43 $\frac{1}{3}$ lat: Ser. 4 Nr. 29,670 na 500 rs., Ser. 6 Nr. 726 na 1,000 rs., Ser. 8 Nr. 13 na 500 rs., Ser. 11 Nr. 269 na 1,000 rs., Ser. 13 Nr. 88 na 500 rs., tudzież Ser. 14 Nr. 285, Ser. 15 Nr. 84, Ser. 16 Nr. 553, Ser. 17 N-ra 75, 76, 77 i 510, wreszcie Ser. 18 N-ra 136, 630 i 631, każdy po 1,000 rs. b) Listy zastawne, wydane na okres 27 $\frac{1}{2}$ lat, a mianowicie: Ser. 3 N-ra 207, 216 i 217 po 500 rs., tudzież Ser. 3 Nr. 112 i Ser. 14 N-ra 3, 4, 5 i 6 po 1000 rs. Efekta powyższe wynoszą łącznie dwadzieścia tysięcy (20,000) rs. imiennej wartości, a życzeniem jest dawców, ażeby powyższe Listy zastawne pozostały w majątku fundacyi aż do czasu, w którym wylosowane i spieniężone będą.

3. Czyste stałe dochody powyższego majątku, który jako żelazny, w żadnym razie nie może być uszczuplony, obracane będą na wydawnictwa ludowe w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, po potrąceniu jednak rocznej kwoty pięciuset (500) złr., przeznaczonych na zasiłki naukowe dla dzieci niezamożnych rodziców, według uznania kuratora „Macierzy polskiej.“

4. Czysty dochód z rozporządzenia wydawnictw „Macierzy polskiej“ po potrąceniu wszelkich kosztów nakładu, użyty będzie na cele fundacyi.

5. Wydawnictwa „Macierzy polskiej“ przedsiębrane być mogą: a) drogą konkursów; b) przez wybór prac, niezależnie od konkursu nadsyłanych; c) przez zamówienia.

6. Nie należy do celów fundacyi: a) nabywanie dzieł już wydanych; b) wydawanie broszur politycznych.

7. Językiem wydawnictw „Macierzy“ jest język polski, a względnie ruski, jakiego używa lud ruski w Galicyi wschodniej.

8. Siedzibą „Macierzy polskiej“ jest Lwów.

9. Sprawami „Macierzy“ zarządza rada wykonawcza, pod kontrolą kuratora i rady nadzorczej.

10. Kuratorem fundacyi jest dr. Józef Ignacy Kraszewski, któremu służy prawo wyznaczenia sobie następcy.

11. Rada wykonawcza składa się z siedmiu osób, mianowanych pierwotnie przez kuratora, z których przynajmniej cztery ma mieć swo-

je stałe mieszkanie we Lwowie. Każdy członek, który w czasie powołania do rady wykonawczej, mieszkał stale we Lwowie, występuje z téjże rady ipso facto, jeżeli zmieni miejsce stałego zamieszkania. Występujący tym sposobem, może być jednak nanowo kooptowany, jeżeli, pomimo jego przesiedlenia się, pozostanie w radzie wykonawczej czterech, stale we Lwowie mieszkających członków.

12. Radzie wykonawczej służy prawo obierania sobie doradców, wedle stałej lub chwilowej potrzeby.

13. Opróżnione miejsce w radzie wykonawczej, będzie obsadzone przez kooptacyą reszty członków, za zgodą kuratora.

14. Rada wykonawcza, jako zarządzająca bezpośrednio wszystkimi sprawami „Macierzy polskiej“ jest bezustannie czynną i zbiera się na posiedzenia, które, w miarę potrzeby, zwołuje przewodniczący, przez członków téjże z własnego grona wybrany.

15. Uchwały rady wykonawczej zapadają prostą większością głosów, a zebranie jest do decyzji prawomocnym przy obecności czterech członków, z włączeniem przewodniczącego. W razie równości głosów, ten ostatni rozstrzyga.

16. Radę wykonawczą reprezentuje na zewnątrz przewodniczący i sekretarz, którego ustanawia kurator, bądź z grona członków samejże rady, bądź z poza niej.

17. W razie dłuższej nieobecności którego z członków, przewodniczącemu służy prawo listownie zasięgnąć jego zdania.

18. Rada nadzorcza „Macierzy polskiej“ składa się z trzech członków, których pierwotnie mianuje kurator.

19. Opróżnione miejsce w radzie nadzorczej, będzie obsadzone przez kooptacyą pozostałych członków téjże rady za zgodą kuratora.

20. Kurator sam mianuje swego następcę. Tylko w razie nie dopełnienia téj formalności, wybierają go obie rady na zebraniu wspólnym, pod kierownictwem przewodniczącego, do tego aktu z pomiędzy członków obu rad, większością głosów wybranego.

21. Rada nadzorcza zbiera się prawidłowo raz do roku, na posiedzenie wspólne z kuratorem (względnie jego zastępcą) i radą wykonawczą, celem skontrolowania rachunków i ułożenia ogólnego planu działań na rok przyszły. Nadto zadaniem członków rady nadzorczej, jest stałe wspieranie rady wykonawczej wskazówkami co do najpilniejszych potrzeb kraju, wchodzących w zakres działania „Macierzy polskiej.“

22. W razie uznanój potrzeby, zwołuje kurator sam lub na żądanie dwóch członków rady nadzorczej, a względnie trzech członków rady wykonawczej, nadzwyczajne wspólne zebranie obu rad.

23. Na walnym zebraniu dorocznym, jako téż na zebraniach nadzwyczajnych obu rad, przewodniczy kurator, a względnie jego zastępcą. Zebranie zaś jest prawomocnym przy obecności czterech członków rady wykonawczej, dwóch rady nadzorczej i kuratora, lub jego zastępcy.

24. Corocznie ma być podawane do wiadomości powszechnej, sprawozdanie z czynności „Macierzy polskiej.“ Sprawozdanie to zawierać ma również nazwiska osób, wchodzących w skład obu rad „Macierzy,“ a osnowę jego uchwała doroczne walne zebranie.

25. Członkowie obu rad spełniają swoje obowiązki bezpłatnie, z wyjątkiem sekretarza; któremu rada wykonawcza wyznaczy stosowną płacę.

26. Zarząd żelaznego majątku fundacyi i wykonywanie wszelkich z zarządem tym połączonych czynności, spoczywać będzie w ręku reprezentacyi krajowej, a względnie wydziału krajowego Królestwa Galicyi i Lodomeryi w Wielkiem Księstwie Krakowskiem. Z zarządu tego, będzie wydział krajowy zdawać corocznie sprawę sejmowi, a sprawozdanie swe poda również do wiadomości publicznej.

27. W razie wylosowania efektów, należących do majątku żelaznego fundacyi, zakupywane będą za uzyskaną ztąd gotówkę, inne papiery publiczne, dające pupilarne bezpieczeństwo i według możności taki sam dochód, jaki dawały efekta wylosowane. Dla utrzymania stałego dochodu fundacyi, zawsze w tej samej wysokości, wolno będzie użyć na zakupno nowych efektów, w razie potrzeby również części bieżących dochodów fundacyi.

28. W użyciu nadzwyczajnych dochodów, jakieby fundacya mieć mogła z dobrowolnych datków i ofiar, stanowić będzie, w braku wyraźnego w tej mierze oświadczenia dawców, walne zebranie obu rad „Macierzy“ (art. 21, 22 i 23).

29. Odsetki majątku żelaznego, jakoteż wszelkie sumy obrotowe, wydawać będzie wydział krajowy radzie wykonawczej „Macierzy“ za pokwitowaniem przewodniczącego i sekretarza. Wspomnianą zaś w artykule 3 kwotę, rocznych 500 złr. wypłacać należy bądź do rąk kuratora fundacyi, bądź też wprost tym osobom, dla których ją kurator przeznaczy.

30. W razie, jeżeliby wydział krajowy, jako wybieralna przez sejm władza, kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób istnieć przestał, uchwali sejm krajowy królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, w czyje ręce ma przejść zarząd majątku fundacyi. Na wypadek, jeżeliby sejm krajowy takiej uchwały nie powziął, walne zebranie obu rad „Macierzy“ postanowi co do przyszłego umieszczenia i zarządu majątku. Gdyby i to nastąpić nie mogło, lub „Macierz polska“ z jakichbądź powodów istnieć przestała, zarząd majątku przechodzi na Akademię Umiejętności w Krakowie, a gdyby i tej nie było, majątek „Macierzy“ stanie się własnością uniwersytetu Jagiellońskiego. Tak Akademia, jak Uniwersytet, obowiązane będą obracać dochody na cele, wskazane niniejszą fundacyą, dopóki „Macierz polska“ nanowo nie powstała i w swoje prawa do majątku nie weszła.

31. W ciągu lat dziesięciu, od daty niniejszego listu fundacyjnego, żadne w nim zmiany zająć nie mogą. W przyszłości zaś, mogłyby

nastąpić tylko za zgodą dwóch trzecich głosów walnego zebrania obu rad, wraz z kuratorem.

32. C. k. Namiestnictwu we Lwowie, jako naczelnéj władzy fundacyjnej w kraju, służy nadzór najwyższy nad niniejszą fundacją.

Drezno, dnia 4 marca 1882 r.

Powyższy akt fundacyjny podpisali: J. I. Kraszewski, dr. Mikołaj Zybliekiewicz, Antoni Małecki, Włodzimierz Dzieduszycki, Leoncyusz Wybranowski, Julian Ochowicz, Jan Amborski, ks. Jan Siemieński i Władysław Bełza.

— Odczyt w Poznaniu. Dnia 20 lutego w poznańskim Towarzystwie przemysłowém, w obec licznie zebranych słuchaczy, miał odczyt hr. Benzelstierna Engeström, bardzo pożądanéj treści: „O baronie Rastawieckim i znaczeniu jego zbiorów, nagromadzonych w Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk.“ Na wstępie szanowny prelegent w trafnych uwagach zaznaczył, jaką ma doniosłość pielęgnowanie i rozwój sztuk pięknych w pochodzie ogólnej cywilizacji, wykazując, że i w przeszłości naszego narodu z prądem dziejowym, z postępem oświaty, wśród walk nawet i burz politycznych, sztuki piękne zawsze znajdowały miłośników i krzewicieli. A gdy po gromach życie polityczne zagaśło, to skupiony duch narodu tém potężniej wskrzesił się w artyzmie — zrazu i przeważnie w poezyi, później na polach innych badań, wiedzy i sztuki, torując nowe drogi. Z synami inuz powstawali i opiekunowie aryzmu, a wśród nich Ed. baron Rastawiecki przeważnie zajmuje miejsce. W kilku jasných zarysach zakreślił szanowny prelegent żywot i rozliczne działania Rastawieckiego, przypomniał, co ten wszechstronnie wykształcony estetyk, gorący miłośnik naszej przeszłości, skrzętny zbieracz skarbów pamiątek i sztuki, a hojny mecenas, nagromadził i zdziałał jako pisarz i wydawca, mianowicie odkąd się w pracy połączył z równym sobie „bratem po duchu“ Al. hr. Przeddzieckim. Gdy zbliżał się koniec życia, Rastawiecki rozporządził bogatemi zbiorami swemi tak, aby dla narodu i na korzyść jego stanęły otworem. Zbiory więc numizmatyczne i archeologiczne oddał do Akademii Jagiellońskiej w Krakowie; dzięki zaś temu, który wśród nas, Wielkopolan, jedyny był ożywiony zamiłowaniem i myślą przewodnią, tą samą, która kierowała całym życiem i duchem Rastawieckiego i Przeddzieckiego, dzięki Sewerynowi hr. Mielżyńskiemu, zbiory bogate obrazów i rycin po Rastawieckim dostały się do naszej dzielnicy, do Miłosławia, a po zgonie Seweryna Mielżyńskiego, za wolą hojnych testatorów, główną stały się ozdobą poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Galeria Rastawieckiego nie jest, jak tyle innych, nagromadzeniem obrazów i rycin przypadkowém, wykonaném bez systemu, luźnym szeregiem dzieł artystów wszelakiej narodowości, całego świata i wszystkich epok, ale jest zbiorem dzieł wyłącznie własnych polskich, a jeśli obcych, to wśród kraju naszego i dla nas, głównie z epoki Stanisława Augusta, pracujących artystów, i tento charakter galerii narodowój, najbogatszy na cały kraj, podwójną nadaje jéj wartość, nad czém się sz. prelegent

obszernie zastanawiał. Wdzięczni za to jesteśmy, pisze „Dziennik Poznański,” p. Engeströmowi, że w tak pożądanym odczycie, udzielając więcej, niż sam tytuł zapowiada, sięgał myślą w daleką przeszłość, aby przekonać słuchaczy, jak zawsze Polacy, a tu szczególnie nasza dzielnica, kolébka narodu, ceniła wszelki artyzm i dostarczała mu adeptów z téj dawnéj przeszłości; stawił pomniki sztuk pięknych, przypomniął mistrzów-malarzy, począwszy od Marcina ze Srody, biegłego malarza XV wieku. Poznań, Leszno, Bydgoszcz i tyle innych miast i miejsc wielkopolskich wydawały na świat artystów w kolejnym stuleci biegu. Za Wazów Grodzicki ozdobił nasz kościół farny, pojezuicki, trzema obrazami w głównym i dwóch bocznych ołtarzach, od lat dziecięcych nawykliśmy spoglądać na nie, a czy wszyscy wiemy, kto je wykonał? W katedrze zaś znany obraz, przedstawiający św. Marcina, jak krajem własnego płaszcza okrywa żebraka, dzieło Bogaszewskiego. Wypełzłe dziś, sponiewierane wizerunki królów naszych, malował na wspólnym frontonie, z polecenia króla Stanisława, także Wielkopolanin Cielecki. Niepodobna nam streścić całego tak obfitego w szczegóły odczytu, miło nam więc donieść, że autor niebawem ma swą pracę ogłosić w jedném z pism polskich.

— Posiedzenie komisji archeologicznej Akademii umiejętności w Krakowie. Posiedzenie komisji archeologicznej Akademii umiejętności odbyło się pod przewodnictwem prof. I. Łepkowskiego, 23 marca b. r. Po zagajeniu tego posiedzenia rozpoczął je referat p. Ziemięckiego o wykopalisku w Bałandynie (w pow. Czehryńskim), dokonaniem w roku zesłtym przez p. Kazimierza Przyszychowskiego. Znakomite to i jedyne u nas w swoim rodzaju wykopalisko bałandyńskie znane już jest po części lubownikom archeologii z wiadomości zamieszczonej w N-rze 261 Tygodnika Ilustrowanego (1881), przy którym dołączone były i rysunki przedmiotów, wykonane przez samego p. Przyszychowskiego. Po ogłoszeniu téj pierwszej wiadomości, członek komisji p. T. Ziemięcki odniósł się listownie do szanownego właściciela wykopaliska z prośbą o udzielenie mu bliższych i szczegółowszych w tym przedmiocie wiadomości, oraz z propozycją ofiarowania samych przedmiotów wykopaliska do zbiorów Akademii umiejętności. Pod obu względami wypadek starań okazał się jaknajpomyślniejszym. P. Przyszychowski nie tylko że uzupełnił wiadomości poprzednie nowemi wielce interesującemi szczegółami, odnoszącemi się bezpośrednio lub pośrednio do wykopaliska, a zatem wyjaśniającemi jego stanowisko archeologiczne, lecz nadto, przychylił się chętnie i do drugiego punktu propozycji. Tak tedy znakomite te zdobycze z czasów odległej przedhistorycznej przeszłości Ukrainy, pomnik ofiarności p. Przyszychowskiego stały się już dziś własnością naszej instytucji.

Ze wszech miar wielce ciekawe to wykopalisko składa się z naczyńa glinianego większego, które stało w grobie, obok szkieletu, z naczyńka drugiego, drobnego, mającego trzy okrągłe otworki w swych ściankach, z ozdoby glinianej w kształcie paciorka lub wisiorka zna-

cznej wielkości, z ułamków kótek brązowych i nakoniec z pysznego i nadzwyczaj okazałego naszyjnika.

Naczynie większe grobu bałandyńskiego było zupełnie pogruchotane. Łaskawy jednakże ofiarodawca wykopaliska zebrał jaknajstarszanniej i nadesłał wszystkie jego najdrobniejsze ułamki. Szczęśliwym trafem niebrakowało z niego ani jednej cząsteczki i, dzięki możebnym usiłowaniom członka Akademii D-ra J. Kopernickiego, zostało ono jak najdokładniej przez niego odbudowane. Po sklejeniu złożonych cząsteczek i okruchów w całość, pokazało się że naczynie to tak pod względem materiału, z którego ono wyrobione, jako téż i pod względem swojego kształtu nosi najwybitniejsze znamiona wyrobów dawniej ceramiki greckiej. Z kształtu swego jest ono podobne do hłodysza sporiej wielkości, pięknego, delikatnego wyrobu, z jedném uchem i koloru żółtawo-czerwonego. Naczynia téj formy znane są z wykopalisk kierezyńskich. Godném uwagi jest to, że dziś lud w okolicy Bałandyń używa pospolicie naczyń zupełnie takiego samego kształtu jak to naczynie grobowe. Upatrywać w tém można ślady przedwiekowego wpływu na tę miejscowość dawniej sztuki ceramicznej greckiej. Naczynia takiegoż samego kształtu znajdują się także w grobach badanych we wschodniej Galicyi. D-r J. Kopernicki znajdował je przy badaniu grobów nieciałopalnych w Horodnicy nad Dniestrem (na Pokuciu). Dziwny kształt naczynka drugiego (z trzema dziurkami) nie pozwala dziś oznaczyć jego użytku i przeznaczenia. To pewna jednakże, że drugie to naczynko, oraz paciorek gliniany są najniewątpliwiéj roboty miejscowej. Najciekawszym atoli przedmiotem z całego wykopaliska tego jest wspomniony pyszny naszyjnik. Składa się on z kilkunastu różnorodnych paciorek stanowiących jego ogniwa. Środek zajmuje piękny i dobrze zachowany okaz konchy rodzaju *murex*. Nie zatrzymujemy się tu nad opisem każdego z tych ogniwn naszyjnika, gdyż te opisane są w ogólności we wspomnionym już artykule „Tygodnika Ilustrowanego”. Najciekawszemi z nich są dwa skarabeusze i żabka. Wyroby takie znane są z wykopalisk etruskich. Jednakże, gdy podczas samego posiedzenia, przy rozpatrywaniu naszyjnika, uchylono przymocowaną do kartonki drugą stronę skarabeusza, spostrzeżono na niej wyraźny znak swastyki, co odkrywa zupełnie inne pochodzenie tego wyrobu, wcale różne od znanych dotychczas. Ze szczegółów sytuacyjnych grobu bałandyńskiego ważném jest to, iż w miejscowości téj znajduje się jeszcze dziś przeszło 50 kurhanów, zajmujących dość spory obszar.

Wykopalisko bałandyńskie wywołało żywe zainteresowanie się członków komisji i ożywioną dyskusję. D-r J. Majer zwrócił uwagę na to, że obok licznych śladów kultury greckiej, napotykanym w zabytkach przedhistorycznych Ukrainy, dziwném się wydaje brak stosunkowo wielki w tychże stronach monet tegoż pochodzenia. D-r J. Kopernicki wskazał na tożsamość pochodzenia kształtów naczyń znajdujących w zabytkach grobowych Pokucia z naczyniem bałandyńskiem,

z tą jednakże różnicą, że naczynia pokuckie nie należą do wyrobów obcych, lecz przeciwnie, są wytworem kunsztu miejscowego. Przedstawił on przytem okaz takiego naczynia zdobytego w jednym z grobów horodnickich.

Na wniosek d-ra Kopernickiego, członkowie komisji uchwalili jednogłośnie zaprosić p. Kaz. Przyszchowskiego na członka komisji archeologicznej. Następnie p. Kirkor przedstawił rozmaite przedmioty, nadesłane w darze do zbiorów Akademii, a zebrane przez hr. Koziembrodzkiego w Chlebowie. Przedmioty są wielce różnorodne i rozmaitej wartości archeologicznej. Są między nimi wyroby kamienne, żelazne i brązowe, a pochodzące to ze znalezisk przypadkowych, to z kurhanów, to znowu z cmentarzyska ciałopalnego. Zbieranie podobnego rodzaju rozmaitych zabytków, które tak często na ziemiach naszych od czasu do czasu w najrozmaitszych miejscowościach się wynajdują, jest usługą dla archeologii miejscowej, zasługującą na uznanie. Tym sposobem ocalonym często bywa niejeden ważny zbytek archeologiczny, który w innym razie mógłby być niewątpliwie zatraconym, czego u nas przykładów mnóstwo się przytrafia. Jeszcze chwalebniejszym jest niezatrzymywanie w ręku prywatnym takich znalezisk, które w takim wypadku także wcześniej lub później zatraconemi bywają, albo też bez żadnej korzyści naukowej w ukryciu i niewiadomości marnieją; lecz odsyłanie do zbiorów tych instytucji naukowych, gdzie je ze znajomością rzeczy rozpatrzą i korzyść naukową wyzyskać z nich potrafią. Instytucją taką jest u nas Akademia Umiejętności. Z tego też względu należy się wdzięczność hr. Koziembrodzkiemu, który ze znaleziskami w okolicach jego zamieszkania przytrafiającemi się, w ten sposób oddawna postępuje. Pomiedzy przedmiotami, teraz przez niego nadesłanemi, znajduje się niewielki ułamek naczynia glinianego, ozdobionego na powierzchni rzadko u nas przytrafiającą się ornamentyką kółkową, złożoną z kółek wygniatanych. Z powodu tej ornamentyki p. G. Ossowski zauważył, że te rzadkie u nas ozdoby, które tu w południowych krainach się pokazują, występują także na naczyniach grobowych krain północnych. Znana mu jest urna, pochodząca z grobów skrzynkowych cmentarzyska w Kłęczkowie, w powiecie Chełmińskim (Prusy Królewskie), na której podobne Chlebowskim znajdują się ozdoby. Nadto, w téjże urnie w Kłęczkowa znaleziono pomiędzy kośćmi palonemi blaszkę kościaną, w tenże sam sposób przyozdobioną ornamentyką rytą. Oba te przedmioty znajdują się w zbiorze archeologicznym p. Scharloka w Grudziądzu. Prof. Łepkowski nadmienił, że z tychże krain północnych, z okolic także Chełmna, pochodzi inna kość, mająca także same kółkowe ozdoby, znalezione także w popielnicy grobu skrzynkowego, a która znajduje się obecnie w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie. Należy ona do zbioru archeologicznego, będącego dawniej własnością p. Florowskiego z Grudziądza, który to zbiór został ostatniemi czasy zakupiony w części przez Muzeum ks. Czartoryskich, a w części do gabinetu archeologicznego uniwersytetu Jagiellońskiego. Prof. Łe-

pkowski oznajmił przytém także, że zbiór ten przybył na miejsce do Krakowa i obecnie jest już uporządkowany; zaprasza przeto interesujących się tym przedmiotem do oglądania tych wykopalisk naszego Pomorza. Postanowiono udać się w tym celu razem w całym składzie obecnych na posiedzeniu członków i przeznaczono na to 10 godzinę przed południem na dzień 27 marca, t. j. w poniedziałek. Z powodu ożywionej dyskusji nad wykopaliskiem bałandyńskim, która się przeciągnęła niezwykle, następujący referat o wykopalisku w Podhorcach, który był na porządku dziennym tego posiedzenia, został odroczonym na posiedzenie następne, a te zakończone zostało po godzinie 8-jej.

G. O.

— Posiedzenie sekcji geologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tegoroczne posiedzenie sekcji geologicznej Akademii Umiejętności odbyło się 10 lutego, pod przewodnictwem prof. dr. Altha. Po zagajeniu posiedzenia, przewodniczący wezwał członków sekcji do zdania sprawy z tegorocznych wycieczek i rozpoczął je sprawozdaniem z wycieczki własnej, którą odbył wspólnie z p. Bieniaszem. Wycieczka prof. Altha skierowaną była najprzód w okolice Szczawnicy, gdzie referent badał tamiczne trachity, oraz znajdujące się z niemi w związku pokłady osadowe. Po ukończonych badaniach tój miejscowości, prof. Alth rozstał się z p. Bieniaszem i udał się w kierunku ku Tatrom. Pomiedzy Szczawnicą a Zakopanem badał on także utwory wapienne, obnażone, w kierunku zachodnim od wsi Szklar. Przybywszy nakoniec do Zakopanego, robił z tego punktu liczne wycieczki w rozmaite miejsca, a między innymi zwiedził głównie okolice doliny Kościeliskiej i odbył wielką wycieczkę na Kominy, zkąd udał się na Czerwonny-Wirch. Szczególnie ostatnia wycieczka prof. Altha przysporzyła mu znaczny zapas nowych spostrzeżeń geologicznych. Szczegóły wypadków naukowych, osiągniętych z tych badań całorocznych, złożone będą przez referenta komisji fizyograficznej w osobnym, obszernym sprawozdaniu.

Następnie zdawał sprawę p. G. Ossowski z poszukiwań szczątków fauny dyluwialnej w jaskiniach okręgu krakowskiego. Tegoroczne badania referenta pod tym względem, odnoszą się do kilku jaskiń, leżących w wąwozie mnikowskim, w których dokonał on badań razem z badaniem tychże jaskiń pod względem antropologicznym, mianowicie dwóch schronisk Na Gaiku, jaskini Pod Kochanką, groty dr. J. Majera, dwóch jaskiń Na Łopiankach i jaskiń Nad Potoczkiem i Murek ¹⁾. Z wyjątkiem dwóch tylko z tych jaskiń (schron. Na Gaiku I i jaskini Na Łopiankach II), we wszystkich innych referent znalazł obfity materiał paleontologiczny dla miejscowej fauny dyluwialnej. Razem ze

¹⁾ O wypadkach, osiągniętych z badań tychże jaskiń, pod względem antropologicznym, referent przedstawił sprawozdanie Komisji antropologicznej, na posiedzeniu 11 listop. z. r., o czém podaliśmy wiadomość w naszym piśmie w zeszycie styczniowym (str. 150).

wszystkich tych jaskiń zdobyto szczątki następujących gatunków zwierzęcych: 1) mamut (*Elephas primigenius*), indywiduów 7 do 8; 2) nosorożec włochaty (*Rhinoceros tictorhinus*), ind. 8—9; 3) niedźwiedź jaskiniowy (*Ursus spelaeus*), ind. 5; 4) borsuk (*Meles taxus*), ind. 1; 5) koń (*Equus sp?*), ind. 10—11; 6) wół (*Bos sp?*), ind. 2; 7) wół piżmowy (*Ovibos moschatus*), ind. 1; 8) łosć (*Cervus alces*), ind. 6; 9) jeleni (*C. elaphus*), ind. 4; 10) daniel (*C. Dama*), ind. 1; 11) lis *Canis vulpas*, ind. 1; 12) kuna (*Mustela martes*), ind. 1. Według jaskiń, z których szczątki te wydobyte zostały, gatunki zwierzęce i ilość ich indywiduów grupują się w sposób następujący: Schronisko Na Gai-ku II. Nosorożec włoch., ind. 1; niedźwiedź jaskiniowy, ind. 1; koń, ind. 1—2; lis, ind. 1; kuna, ind. 1. Jaskinia Pod Kochanką. Mamut 1—2; nosorożec włoch. 1; koń 3; łosć 3; Jaskinia d-ra Majera. Mamut 1; nosorożec włoch. 2—3; niedźwiedź jask. 1; koń 2; łosć 1; jeleni 1; wół 2. Jaskinia Murek: mamut 3; nosorożec włoch. 3; niedźwiedź jask. 3; borsuk 1; koń 3; wół piżmowy 1; łosć 1; jeleni 1; daniel 1; lis 1. Jaskinia Nad Potoczkiem: mamut 1—2; nosorożec włoch. 1; koń 1; łosć 1; jeleni 1.

Główną, wybitną cechą całego tego materiału paleontologicznego, jest najprzód to, że chociaż do składu owych szczątków zwierzęcych, wchodzi gatunki, należące tylko do okresu dyluwialnego, to tém niemniej, niewątpliwą jest rzeczą, że wszystkie one znajdowały się w napływie aluwialnym. Udowadnia to między innymi tak sam stan zdobytych kości, które są w najwyższym stopniu stoczkowe, jako też i skład patrograficzny tej warstwy, w której one znalezione zostały, a która zawiera w sobie wyraźną domieszkę ziemi roślinnej. Następnie, z porównania listy gatunków zdobytych teraz z jaskiń wąwozu mnikowskiego, znajdującego się na obszarze środkowym okręgu krakowskiego, z gatunkami, zdobytymi przez referenta w latach poprzednich z jaskiń pasu południowego téjże krainy (Powieśle), pokazuje się, że tu nie ma wcale żadnych śladów hyeny, która w jaskiniach przywiślańskich, jest bardzo liczną (niekiedy do 16 indyw. w jednej jaskini); natomiast, w jaskini obszaru środkowego znaleziony został gatunek *Ovibos moschatus* (wół piżmowy), który nadzwyczaj rzadko napotykaną, dotychczas był na całym kontynencie Europy, a na ziemiach polskich poraz pierwszy dopiero przez referenta został znaleziony. Nakoniec, zauważyć trzeba i to, że warstwa namuliskowa, zawierająca wyżej przytoczone szczątki gatunków dyluwialnych, leży bezpośrednio pod warstwą zawierającą pozostałości pobytu zamieszkania człowieka przedhistorycznego, sama jednakże w sobie żadnych tych śladów nie zawiera. Cały zbiór zdobytych szczątków, oznaczonych przez referenta, według gatunków i według jaskiń, z których one pochodzą, referent złożył do zbiorów komisji fizyograficznej.

Z kolei nastąpiło sprawozdanie prof. Zaręcznego z postępu robót jego w opracowaniu mapy geometrycznej okręgu Krakowskiego. Prześtrzeń nateraz oznaczona dokładnie obejmuje okolice, leżące na za-

chód od Krakowa aż pod samą Alwernię, a od północy odgraniczone doliną rzeki Rudawy. Referent prowadzi swe prace w ten sposób, aby mapa jego, oprócz celów czysto naukowych, mogła zarazem służyć i za podstawę do dokładnego rozpoznania gruntu pod względem rolniczym. Skala tej mapy jest zaprojektowaną w stosunku 1:50,000. Oczekiwać przeto należy w tej pracy prof. Zaręcznego, dzieła nader szczegółowego i dla szerszego koła obywateli krajowych wielce pożądanego i korzystnego.

Przewodniczący przedstawił następnie członkom sekcji 4 arkusze rozpoczętego przez komisją fizyograficzną nowego jej wydawnictwa, atlasu geologicznego Galicyi, nadesłane do 1-szej korekty z zakładu kartograficznego p. Hausermanna z Paryża ¹⁾. Postanowiono przystąpić niezwłocznie do sprowadzenia dokładności roboty pod względem redukcji skali i następnie do korekty.

Zakończyły posiedzenie to wnioski członków sekcji co do programu prac naukowych na przyszłe lato. Dezyderata pod tym względem zapowiadają program szeroki i dla rozwoju geologii miejscowej nader korzystny. Między innymi prof. Alth wskazał na potrzebę prowadzenia dalszych badań geologicznych w szerszych niż przedtém rozmiarach w Tatrach, które tak mało i wcale niedokładnie dotychczas są rozpoznane. Prof. Zaręczny oznajmił o zamiarze swym dalszego prowadzenia rozpoczętych przez niego badań szczegółowych okręgu krakowskiego, w celu uzupełnienia swój mapy geognostycznej tego obszaru. P. G. Ossowski wskazał na możność szczegółowszego rozpoznania fauny dyluwalnej stron naszych, a to przez zbadanie większej ilości namulisk jaskiniowych. Jako obszar najlepiej odpowiadający temu celowi, zaznaczył on północne podnóże Tatr, gdzie w ciągu lata zeszłego zwiedził on sześć wielkich jaskiń, zawierających znaczne namuliska i podających tém samém wielkie nadzieje na obfite z nich plony paleontologiczne. P. Bieniasz zamierza rozwijać dalej badania, rozpoczęte przez niego we wschodniej Galicyi, w celu rychlejszego uzupełnienia materiału dla rozpoczętego atlasu geologicznego. Wszystkie wnioski te uznano za korzystne dla dalszego rozwoju geologii krajowej i posta-

¹⁾ Nagromadzone w znacznej ilości ostatnimi czasy materiały, powstałe z badań geologicznych, dokonanych w ciągu lat kilku przez członków sekcji geologicznej, a głównie przez prof. Altha i p. Bieniasza, podały możność komisji fizyograficznej do rozpoczęcia w tym czasie obszerniej publikacji „Atlasu geologicznego Galicyi,“ w skali $1/100,000$. Zupełny brak w kraju zakładów kartograficznych, zniewolił komisję do udania się w tym przedmiocie za granicę. Podjął się tego wydania zakład p. Hansermanna w Paryżu, który już nie po raz pierwszy chlubnie jest znany w wydawnictwach polskich. Do robót wielkich, wykonanych w tym zakładzie, należy między innymi „Mapa geologiczna Wołynia“ przez G. Ossowskiego i „Mapa archeologiczna Prus królewskich“ przez tegoż autora. Oba wydawnictwa zyskiwały wysokie uznanie na wystawach krajowych i zagranicznych.

nowiono przedstawić je dla uwzględnienia komisji fizyograficznej.

— Posiedzenie sekcji zoologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Posiedzenie tegoroczne sekcji zoologicznej, odbyło się d. 10 marca, pod przewodnictwem prof. Wierzejskiego. Narady toczyły się wyłącznie około ułożenia programu zajęć dla członków sekcji na lato przyszłe. Postawiono liczne wnioski, odnoszące się do szerszych i dokładniejszych badań fauny krajowej. Do miejscowości, mających wejść w zakres tego rodzaju badań, zaliczono okolice Lwowa, Przemysła, Kołomyi, Chełmna i znaczną przestrzeń okręgu krakowskiego, oraz Tatr. Wszystkie te wnioski uznano za korzystne dla nauki i postanowiono przedstawić je komisji fizyograficznej do uwzględnienia przy ułożeniu ogólnego programu prac komisyjnych na lato przyszłe.

N e k r o l o g i a.

† Dnia 21 kwietnia r. b. umarł ś. p. *Walenty Dutkiewicz*, mąż obszernej wiedzy, potężnej pracy, nieskazitelnej prawości, b. członek b. Rady Stanu, b. dziekan wydziału prawa i administracji w b. Szkole Głównej. Urodził się d. 5 lutego 1797 r. w Galicyi, we wsi Itekwa. Niedostatkowi rodziców przyszedł w pomoc wuj ś. p. Walentego, Mateusz Frankowski, zakonnik, który, zabrawszy go ze wsi, łożył na jego wykształcenie w szkołach miechowskich, jarosławskich i przemyskich, gdzie ukończywszy nauki średnie w r. 1819-tym, przybył w tymże roku na nauki uniwersyteckie do Warszawy. Wstąpiwszy na wydział prawny, otrzymał w r. 1882 stopień magistra cum eminentia atque laude eximia. W służbie publicznej doszedł do stopnia pomocnika naczelnego prokuratora senatu, członka IX departamentu tegoż senatu, nakoniec w r. 1861 do godności członka rady stanu Królestwa Polskiego i przewodniczącego w jój wydziale prawodawczym. Niemniejsze zasługi położył jako profesor i jako uczyony. Na kursach prawnych, otwartych w Warszawie w r. 1841, Dutkiewicz od samego początku był profesorem prawa cywilnego. Podobnie w chwili otwarcia Szkoły Głównej powierzono mu w niej wykład prawa polskiego, hypotecznego i notaryalnego, a towarzysze wydziału prawnego wybrali go po śmierci Wołowskiego na swego dziekana. Zawód pisarski, wyłącznie w zakresie prawa, a nadewszystko historii prawa polskiego, zaczął Wal. Dutkiewicz od artykułów po czasopismach. Najwięcej tych prac drukowała „Biblioteka Warszawska,” następnie „Słowo petersburskie” i i. Ale głównie dał się poznać Dutkiewicz światu naukowemu prawniczemu do-

pięro w r. 1850 przez ogłoszenie obowiązującego „Prawa hipotecznego w Królestwie Polskiem, którego zawiązek wykazał w r. 1588, kiedy jeszcze Europa nie miała pojęcia o systemacie jawności praw i zobowiązań. W r. 1863 począł wychodzić zeszytami jego „Program do egzaminu z historii praw, które w Polsce przed wprowadzeniem Kodeksu Napoleona obowiązywały;“ dzieło to, po ukończeniu ukazało się w roku 1879 p. t. „Prawa cywilne,“ i jest niewątpliwie najlepszym podręcznikiem do poznania praw cywilnych polskich. W r. 1870 ogłosił Dutkiewicz „Sposprzeżenia nad Historią Prawodawstw Słowiańskich“ Maciejowskiego, pracę niewypowiedzianie mozolną. W późniejszych latach wydał Dutkiewicz „Ustawy Sądowe“ kanclerza Andrzeja Zamojskiego, opatrzone licznymi wyjaśnieniami, o ile zaś zwątlone siły pozwalały, poświęcił się wychodzącej dotąd zbiorowej „Bibliotece Umiejętności Prawnych.“ W roku 1873 ukazały się tam jego „Uwagi nad dziełem: Prawo polskie prywatne“ Burzyńskiego; w roku 1875 traktat: „O znaczeniu jurysprudeneyi;“ w roku 1876: „O mniemaném prawie zwyczajowém w Polsce, przeciwko prof. Bobrzyńskiemu; w roku 1877: „Słowo o stosunkach majątkowych między małżonkami“ przeciwko Maciejowskiemu z powodu jego rozprawy o Helclu; nakoniec w r. z. znowu rzecz „O stosunkach majątkowych małżonków“ według prawa mazowieckiego, z powodu szacownej książki Dunina.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

OGŁOSZENIA.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA,

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysiańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

WSZECHŚWIAT.

TYGODNIK POPULARNY, POŚWIĘCONY NAUKOM PRZYRODNICZYM.

Z dniem 1 kwietnia r. b. rozpoczyna wychodzić tygodnik popularno-naukowy, poświęcony naukom przyrodniczym. Naukom tym wykształcony nasz ogół chętnie przyznaje należne stanowisko w szeregu umiejętności, a nadto umie ocenić korzyści, spływające z zajęcia się nimi na wszystkie gałęzie gospodarstwa narodowego. Z drugiej strony nasz ruch umysłowy znajduje główne swe pole w literaturze peryodycznej. Wobec tego brak organu, którego zadaniem byłoby wyrównywanie niedostatków naszego domowego i szkolnego wykształcenia, któryby mógł znaleźć się w ręku młodzieży jako przewodnik i dopełnienie, w ręku osób starszych jako przypomnienie, brak takiego organu jest dla nas zjawiskiem nienormalnym, przypadkowym. Istniejące u nas publikacje peryodyczne z zakresu nauk przyrodniczych są przeznaczone dla ludzi wyłącznie zajętych nauką, albo przynajmniej dokładnie z nią obeznanych. Nam zaś, potrzeba niezbędnie pisma częściej i do-

stępniej przypominającego naukę ludziom, którzy znają tylko najpierwsze, najgłówniejsze jej zasady.

Z tego widoczny już jest program, jaki redakcja „Wszechświata” sobie założyła. Wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych będziemy się starali uwzględnić równomiernie w łamach tygodnika i wszelkimi sposobami dążyć do ich spopularyzowania. W tym celu damy w naszym piśmie obszernie miejsce takim utworom, jak opisy wypraw i wycieczek naukowych, życiorysy uczonych, korespondencye z ognisk postępu wiedzy i t. p., które pozwalają na przedstawienie najważniejszych prawd naukowych w postaci nieco luźniejszej i mniej oszczędnej od systematycznego wykładu. Z drugiej strony, dla czytelników, obeznanych z nauką, chcemy w krótkich streszczeniach podawać o ile można dokładny obraz bieżącego jej rozwoju. Nakoniec jako rodzaj artykułów pośredni między dwoma wymienionemi powyżej, wprowadzimy monografie, wyczerpujące do pewnego stopnia szczegółowe pojęcia naukowe.

Przytém nie zapominamy i o tém, że człowieka najbardziej zajmują to, co go najbliżiej otacza. Dlatego też przyroda ziemska, a już zwłaszcza przyroda tej części ziemi, na której sami mieszkamy, będzie przedmiotem szczególniejszej naszej uwagi. Jej opisom poświęcimy znaczną część ram „Wszechświata,” z tém przekonaniem, że czytelnicy znajdą w nich wiele rzeczy ciekawych, a dotychczas sobie nieznanych.

Kierunek naukowy naszego pisma powierzamy komitetowi redakcyjnemu, który się składa z pp.: prof. dr. Tytusa Chałubińskiego, dr. Leona Dudrewicza, mag. Stanisława Kramszytyka, mag. Antoniego Ślósarskiego, inż. Józefa Słowikowskiego, prof. Jana Trejdosiwicza i prof. Augusta Wrześniowskiego.

„Wszechświat” wychodzić będzie raz na tydzień, w poniedziałek, w objętości arkusza druku (16 stron in folio we dwie szpalty) i zamieszczać będzie rysunki, służące do objaśnienia tekstu. Prenumerata wynosi: w Warszawie: rocznie rs. 6, kwartalnie rs. 1 kop. 50; na prowincyi z przesyłką: rocznie rs. 7 kop. 20, kwartalnie rs. 1 kop. 80.

Prenumerować można w redakcyi, Podwale, Nr. 2 i we wszystkich księgarniach w kraju i zagranicą. Wydawca Eug. Dziewulski, redaktor Br. Znatowicz.

VIII. Z pod Wawelu. Krakowski karnawał.—Bal kostiumowy koła artystyczno-literackiego.—Koncerty: Joachima i Bonawitza, Bülowa, panny Sułkowskiej.—Koncert i wieczorki Towarzystwa Muzycznego.—Teatr krakowski; sprawa jego zamknięcia.—Prowizoryczny przy ulicy Wolskiej.—Komedia V. Bersezio: „Kłopoty p. Travetti.“—B. Czerwińskiego „Niewolnik.“—J. I. Kraszewskiego i K. Zalewskiego „Rodzina.“—Inne sztuki.—Poranki muzykalne.—Odczyt J. Horaina.—Wieczorek koła artystyczno-literackiego.—Wieczorki środowe, jak się odbywają.—Koncerty i przedstawienia teatralne w czasie postu na cele dobroczynne.—Odczyty urządzone przez młodzież akademicką, na dochód swych instytucji i bibliotek: dr. Izidor hr. Dzieduszycki (O patriotyzmie w Polsce), Stan. hr. Tarnowski (O Rzecyzosp. babińskim), Edw. Krzymuski (O odpowiedzialności karniej zwierząt), J. Rostafiński (O jesieni i jej owocach), Nowicki (O znaczeniu wód naszych dla bogactwa krajowego).—Przegląd literacki i artystyczny p. K. Bartoszewicza. Pawła Popiela (tłóm. Iliady Homera), wyd. 2-gie; Alfr. Szczepański (Wybór liryki greckiej).—Dzienniki krakowskie: „Gazeta Krakowska.“ „Reforma.“ „Czas.“—Czasopisma: „Przegląd polski.“—„Przewodnik bibliograficzny.“—Brak pisma dla klas średnich.—„Świat ilustrowany“ Bensingera z Wiednia.—„Przegląd akademicki.“—Wydawnictwo K. Bartoszewicza.—Książka prof. Szujskiego o Polakach i Rusinach w Galicyi.—P. Maryan Gorzkowski o Matejce.—Gładyator Weleńskiego.—Z wystawy obrazów: Akwarele Juliana Fałata. Obrazy olejne: St. Rejchana, Ant. Kozakiewicza, S. Bienszada, Henciszca, Papińskiego, Kleczyńskiego, Jasińskiego, M. Dulębianki.—Wystawa obrazów dawnych w Sukiennicach. Przez No... No... 284

IX. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

- „Obrazki z życia i prawdy,“ Zofii Rudnickiej (t. XVII i XVIII Biblioteki Nowości. Nakładem K. Łukaszewicza, we Lwowie, r. 1882). Przez R. B. 309
- „Mapa archeologiczna Prus Zachodnich (dawniej Królewskich) z przyległemi częściami W. Ks. Poznańskiego.“ Tekst objaśniający. Na podstawie badań, dokonanych w latach 1875—1878, opracował Godfryd Ossowski. Wydanie nakładem ś. p. Zygmunta Działowskiego. Kraków, 1881. Przez Zygmunta Glogera. 313
- „Les oeuvres d'imagination, essai d'esthétique littéraire,“ par Jules Guillemin, professeur de littérature française à Varsovie, membre de plusieurs sociétés savantes de France. Varsovie, 1882, 8^o min., str. 92. Przez Bronisława Grabowskiego. 317
- „Gdzie leżał Raj?“ Wo lag das Paradies? eine biblisch-assyriologische Studie mit zahlreichen assyriologischen Beiträgen zur biblischen Länder-und Völkerkunde und einer Karte Babylonien von dr. Friedrich Delitzsch. Leipzig, 1881, str. X i 346, w 8-oe. Przez F. Czerneho. 320

„Jus primae noctis,” eine geschichtliche Untersuchung; von dr. Karl Schmidt. Fryburg w Bryzgowii. Przech A. N.	324
X. Wiadomości bieżące, naukowe, artystyczne i społeczne.— Odezwa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem w sprawie budowy odpowiedniego gmachu (326).—Ustawa „Macierzy” (327—330).—Odczyt Engeströma: „O baronie Postawieckim” (330). —Posiedzenie komisji archeologicznej Akademii Umiejętności (331— 334).—Posiedzenie sekcji geologicznej Akademii Umiejętności (334 —337).—Posiedzenie sekcji zoologicznej Akad. Umiej. (337).	326—337
XI. Nekrologia: Ś. p. Walenty Dutkiewicz.	337
XII. Ogłoszenia księgarskie.	

WARUNKI PRENUMERATY.

Prenumerata na rok 1882 wynosi w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs. 12 kop. —
Półrocznie	„ 6 „ —
W Warszawie zaś:	
Rocznie	„ 10 „ —
Półrocznie	„ 5 „ —
Kwartalnie	„ 2 „ 50

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Świat, Nr. 68.**

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Nadmieniamy, że dla informacji czytelników, wyjednaliśmy sobie pozwolenie dołączania do pojedynczych zeszytów (jak to czynią i pisma zagraniczne) wszelkich ogłoszeń, które prócz handlu księgarskiego i antykwarskiego, mogą się także odnosić i do innych interesów. Opłata za te ogłoszenia wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające 1 całą stronicę formatu Bibl. Warsz.	rs. 5
„ „ 1/2 stronicy	„ „ 3
„ „ 1/4 „	„ „ 2

**Redakcyja Biblioteki Warszawskiej:
Nowy-Świat, Nr. 68.**